



Kristin Hannah

Rzeczy,
które czynimy
z miłości

Świat Książki

Kristin
Hannah
Rzeczy,
które czynimy
z miłości

Z angielskiego przełożyła
Zuzanna Henel


Świat Książki

**Wyrazy wdzięczności dla Benjamin i Tuckera
Dla moich dobrych przyjaciół: Holly i Gerarda, Marka i Moniki,
Toma i Lori, Megan i Kany oraz Steve'a i Jill
Wreszcie specjalne podziękowania dla Lindy Marrow
za jej starania obowiązkowe i nadobowiązkowe**



**Rzeczy się nie zmieniają, zmieniamy się my.
Henry David Thoreau**

1

Tego nieoczekiwanie słonecznego dnia na ulicach West Endu było tłoczno. Wszystkie mamy z dzielnicy stały na progach domów i popatrywały spod przesłoniętych dłonią oczu na bawiące się dzieci. Wiedziały, że niedługo, być może już jutro, lepka mgielka rozpełźnie się po niebie, przesłoni błękit, zakryje blade słońce i znowu będzie padać.

W końcu to maj na Wybrzeżu Północno-Zachodnim. Fakt, że deszcz pada w tym miesiącu, jest równie oczywisty jak pojawianie się duchów na ulicach trzydziestego pierwszego października czy łososa na domowym stole.

– Uf, jak gorąco – stwierdził Conlan zza kierownicy lśniącego, czarnego kabrioletu BMW. To były pierwsze słowa, jakie powiedział w ciągu blisko godziny. Próbował nawiązać rozmowę, i tyle. Angie powinna odbić piłeczkę, na przykład nadmieniając, jak pięknie wygląda kwitnący głóg. Ale nawet jeśli o tym pomyślała, odechciało jej się. Minie ledwie kilka miesięcy, a delikatne zielone listki poskręcają się i szernieją, zimne noce wyssą z nich kolor, wreszcie spadną na ziemię niezauważone.

A właściwie po co w ogóle zajmować się czymś tak przemijającym.

Spoglądała przez okno samochodu na rodzinne miasto. Nie była tutaj od wielu miesięcy. Pomimo że West End leżał jedynie około stu dziewięćdziesięciu kilometrów od Seattle, odległość ta wydawała jej się ostatnio coraz większa. Chociaż tak mocno kochała rodzinę, nie lubiła opuszczać domu, drażniły ją dzieci bawiące się na dworze.

Dojechali do starszej części miasta, gdzie wiktoriańskie domy zbudowane zostały jeden obok drugiego na niewielkich działkach. Olbrzymie zielone klony zacięniały ulicę, tworząc z przebiegającego przez liście światła misterny, koronkowy wzór na asfalcie. W latach siedemdziesiątych było to serce miasta. Dzieciaki kręciły się tam i z powrotem, jeżdżąc na rowerach Big Wheels and Schwinn od domu do domu. Co niedziela odbywały się tu przyjęcia po mszy w kościele, a na każdym podwórku grano w czerwonego pirata.

W ciągu lat, które upłynęły od tamtych czasów, dzielnica się zmieniła, stare domy podupadły, tonęły w ciszy i życie w nich zamarło. Nie pływało już tyle łososi w morzu ani przemysł drzewny nie przynosił zbyt wielu dochodów. Ludzie, którzy żyli tutaj kiedyś z ziemi i połowów, zostali zapomniani; nowi lokatorzy wybudowali domy gęsto obok siebie na terenach przeznaczonych do zasiedlenia po wycięciu drzew.

Ale tu, na niewielkim skrawku Maple Drive, czas jakby się zatrzymał. Ostatni dom wyglądał dokładnie tak jak przed czterdziestu laty. Pomalowany porządnie na biało, ozdobiony regularnie przystrzyżonym żywopłotem lśniącym szmaragdową zielenią; żaden chwast nie miał prawa rosnąć na trawniku. Ojciec Angie dbał o niego od wielu lat, dom był jego dumą i radością. Każdego poniedziałku po weekendzie, podczas którego ciężko pracował w rodzinnej restauracji, przez dwanaście godzin sumiennie porządkował dom i ogród. Kiedy zmarł, mama Angie starała się dalej o nie troszczyć. Stało się to jej wybawieniem, sposobem na połączenie z ukochanym mężem, z którym spędziła blisko pięćdziesiąt lat; gdy czuła się zmęczona mozolną pracą, zawsze znajdowała się jakaś pomocna dłoń. Była to korzyść z posiadania trzech córek, zapłata za troskę, jaką okazywała im jako nastolatkom.

Conlan podjechał do krawężnika i zaparkował. Następnie podniósł dach w kabrioletcie

i zwrócił się do Angie:

– Czy na pewno dobrze się czujesz?

– Przecież tu jestem, tak? – Wreszcie spojrzała na męża. Był wyczerpany, dostrzegła to w jego błękitnych oczach, wiedziała, że nie powie nic więcej, nic co mogłoby przypomnieć o dziecku, które stracili przed kilkoma miesiącami.

Siedzieli tak w milczeniu obok siebie. Klimatyzator wydawał lekko świszczący dźwięk.

Dawny Conlan pochyliłby się teraz w jej stronę i pocałował, zapewniłby, że ją kocha, i tych kilka czułych słów mogłoby przynieść ulgę, ale to była przeszłość. Miłość, którą do siebie czuli, gdzieś się oddaliła i zbladła, podobnie jak dzieciństwo.

– Moglibyśmy zaraz odjechać, powiedz, że samochód się zepsuł – rzucił, starając się być tym mężczyzną co kiedyś, tym, który wywoływał uśmiech na jej twarzy.

– Chyba żartujesz? – odrzekła, nie patrząc na męża. – Wszyscy słyszeli, że zapłaciliśmy kupę pieniędzy za ten samochód. Zresztą mama już wie, że tu jesteśmy. Może sobie rozmawiać z duchami, ale słuch ma doskonały.

– Jest w kuchni, przygotowuje dziesięć tysięcy cannoli dla dwudziestu osób. A twoje siostry nie przestały mówić, od kiedy przekroczyły próg domu. Moglibyśmy się wymknąć w zamieszaniu. – Uśmiechnął się.

Przez moment panowała przyjemna atmosfera, jakby nie było duchów w samochodzie. Angie zapragnęła, by ta chwila trwała jak najdłużej.

– Livvy przygotowała trzy casserole – zamruczała. – Mira najpewniej wydziergała nowe obrusy i zmusi nas do włożenia fartuchów.

– W zeszłym tygodniu zaliczyłaś dwa ważne spotkania i film reklamowy. Szkoda, żebyś marnowała się w kuchni.

Biedny Conlan. Czternaście lat małżeństwa, a on wciąż nie znał zwyczajów rodziny DeSaria. Gotowanie było czymś więcej niż pracą lub hobby, było walutą, a Angie odstawała od wzorca. Jej tata, którego idealizowała, cieszył się, że córka nie umie gotować. Uważał to za gwarancję sukcesu. Imigrant, który dotarł tu z czterema dolarami w kieszeni i zarabiał na życie, karmiąc inne rodziny imigrantów, był dumny, że jego najmłodsza córka radzi sobie świetnie, używając rozumu, nie rąk.

– Chodźmy – rzuciła, nie chcąc dłużej myśleć o tacie.

Angie wysiadła z auta, obeszła je i zatrzymała się z tyłu przy bagażniku. Otworzył się cichutko, ukazując wąskie kartonowe pudełko. Wewnątrz znajdowało się pyszne ciasto czekoladowe wykonane przez Pacific Dessert Company i tarta cytrynowa, za którą można by dać się zabić. Sięgnęła po nie, a w uszach już słyszała komentarze dyskredytujące jej umiejętności kulinarne. Jako najmłodsza córka, „księżniczka”, mogła sobie siedzieć i kolorować obrazki czy rozmawiać przez telefon, podczas gdy starsze siostry pomagały w kuchni. Żadna z nich nie pozwoliła Angie zapomnieć, że tata rozpuścił ją bezgranicznie. Gdy dorosły, siostry wciąż pracowały w rodzinnej restauracji. To była prawdziwa praca, a nie, jak mówiły, jakaś tam kariera w reklamie.

– Chodź – powiedział Conlan i chwycił ją za rękę.

Podeszli w górę betonową ścieżką, minęli fontannę Matki Boskiej i pokonali kilka stopni. Przy drzwiach stała figura Chrystusa z rękami rozłożonymi szeroko w geście powitania. Na jednej z rąk ktoś powiesił parasol.

Conlan zapukał i otworzył drzwi.

Dom wypełniony był hałasem – podniesionymi głosami, odgłosami kroków dzieci, które dreptały po schodach w górę i w dół, brzękiem lodu wrzucanego do kubełka, śmiechem. Meble w przedpokoju przesłaniała sterta płaszczy, obuwia i opakowań po jedzeniu. W pokoju

rodzinnym dzieci zajmowały się grami, młodsze – Candy Land, a starsze zwariowanymi ósemkami. Najstarszy siostrzeniec Angie Jason i jego siostra Sara grali w Nintendo podłączone do telewizora. Kiedy weszła, dzieciaki z piskiem rzuciły się do niej, przekrzykiwały się i starały zwrócić na siebie jej uwagę. W najdawniejszych wspomnieniach była ciocią, która położyła się na podłodze i będzie się z nimi bawić tym, co znajdowało się pod ręką. Nigdy nie ściszała muzyki ani nie mówiła, że film jest nieodpowiedni do oglądania. Gdy ich pytano o Angie, wszystkie mówiły, że jest cool.

Słyszała Conlana za plecami, rozmawiał z Vince'em, mężem Miry. Nalewano drinki. Uwolniła się od dzieci i zeszła na dół do kuchni. W drzwiach się zatrzymała. Mama pochylała się nad ogromnym stołem rzeźniczym, stojącym pośrodku pokoju, wałkując słodkie ciasto. Połowę twarzy i włosy miała oprószona mąką. Okulary, które nosiła od lat siedemdziesiątych, z soczewkami ogromnymi jak spodki, powiększały piwne oczy. Okruchy ciasta przylepiły jej się do brwi, policzków i dekoltu. W ciągu pięciu miesięcy, jakie upłynęły od śmierci ojca, bardzo schudła, przestała farbować włosy, które były teraz białe jak śnieg.

Mira stała nad kuchenką, wrzucając gnocchi do garnka z wrzątkiem. Z tyłu wyglądała jak dziewczynka. Nawet po urodzeniu czwórki dzieci była drobna jak ptaszek, a ponieważ nosiła ubrania swojej nastoletniej córki, nie wyglądała na czterdzieści jeden lat, a przynajmniej dziesięć lat młodziej. Dzisiaj długie czarne włosy zaplecione miała w warkocz, który niczym wąż zwisał jej do pasa. Włożyła czarne biodrówki dzwony, a do tego czerwony luźno robiony na drutach sweter. Zajęta była rozmową, czyli tym co zwykle. Tata żartował, że jego najstarsza córka miele językiem jak mikser na wysokich obrotach.

Livvy stała nieco z boku, po lewej stronie, i kroїła na plasterki mozzarellę. Wyglądała jak długopis BIC w dopasowanej jedwabnej czarnej sukni. Jedyne, co było wyższe od szpilek, które miała nogach, to skomplikowana konstrukcja na głowie z natapirowanych włosów. Dawno temu Livvy wyjechała w pośpiechu z West Endu, przekonana, że czeka ją kariera modelki, i mieszkała w Los Angeles do czasu, gdy znudziło jej się pytanie: „Czy możesz się rozebrać?”, od którego zaczynała się każda rozmowa w sprawie pracy. Pięć lat temu, po trzydziestych piątych urodzinach, postanowiła wrócić do domu, zgorzkniała przez lata nieefektywnych starań, wlokąc ze sobą dwóch synów. Ich ojcem był człowiek, którego nawet krewnych nie знаła. Zaczęła pracować w rodzinnej restauracji, ale nie lubiła swojego zajęcia. Uważała się za dziewczynę z dużego miasta, schwytaną w pułapkę małomiasteczkowej rutyny. Właśnie wyszła po raz kolejny za mąż. W zeszłym tygodniu odbyła się krótka ceremonia zaślubin w Kaplicy Miłości w Las Vegas. Wszyscy mieli nadzieję, że Salvatore Traina, szczęśliwy mąż numer trzy, wreszcie i ją uczyni szczęśliwą.

Angie się uśmiechnęła. Tak wiele czasu spędziła w tej kuchni z tymi trzema kobietami, że obojętnie, ile lat by miała i w jakim kierunku potoczyłoby się jej życie, zawsze tutaj znajdzie swój dom. W maminej kuchni będzie szczęśliwa, będzie jej ciepło, będzie kochana. Chociaż różniła się od sióstr, które wybrały inną drogę, wszystkie tworzyły wątki jednej liny. Kiedy były razem, nic jej nie mogło zerwać. Znowu chciała być częścią tego życia, bo zbyt długo smuciła się w samotności.

Weszła do kuchni i położyła pudełko na stole.

– Cześć wszystkim! – rzuciła.

Livvy i Mira ruszyły w jej kierunku. Chwyciły ją w objęcia i ścisnęły z całych sił. Pachniały włoskimi przyprawami i perfumami z drugstore'u. Angie poczuła łzy na szyi i usłyszała:

– Witaj w domu.

– Dzięki – odpowiedziała i podeszła do mamy, by rzucić się w jej ramiona. Mama

pachniała tymiankiem, perfumami Tabu i lakierem do włosów Aqua Net. Zapachy z dzieciństwa. Objęła ją tak mocno, że Angie usiłowała się troszkę odsunąć, by złapać łyk powietrza, zrobiła nawet krok do tyłu, ale mama nie rozluźniła uścisku.

Angie zeszywniała. Ostatnim razem, gdy trzymała ją tak mocno, szeptała: „Jeszcze spróbujesz. Bóg jeszcze da ci dziecko”.

– Dosyć – powiedziała łagodnie. Uwolniła się z uścisku i spróbowała uśmiechnąć.

Podziała. Mama sięgnęła po tarkę do sera i zajęła się parmezanem.

– Obiad gotowy. Mira, zawołaj dzieci do stołu – oznajmiła.

Jadalnia mieściła wygodnie czternaście osób. Dzisiaj przy stojącym pośrodku pokoju mahoniowym stole przywiezionym z kraju przodków miało ich zasiąść piętnaście. Ściany pomieszczenia pokryte były tapetą w kolorze róży i burgunda, rzeźbiony drewniany krucyfiks wisiał na ścianie obok obrazu przedstawiającego Jezusa. Dorośli i dzieci stłoczyli się przy stole, z drugiego pokoju dobiegał śpiew Deana Martina.

– Pomódlmy się – zarządziła mama, gdy wszyscy usiedli. Ponieważ wciąż było głośno, lekko dotknęła ręką wujka Francisca. Ten spuścił głowę i zamknął oczy. Wszyscy postąpili podobnie i zaczęli się modlić. Jednym głosem zaintonowali:

– Pobłogosław nas Panie i te dary, którymi w swojej szczodrości obdarzasz nas, przez Syna Twojego, Pana naszego, amen.

Gdy tylko skończyli, mama wstała pośpiesznie, ujęła kieliszek i wzniosła toast:

– Wypijmy zdrowie Sala i Oliwii. – Głos jej się załamał, usta zadrżały. – Nie wiem, co powiedzieć, wnoszenie toastów to męskie zadanie. – Po czym gwałtownie usiadła.

Mira dotknęła ramienia mamy i wstała.

– Witamy Sala w naszej rodzinie. Obyście odnaleźli takie uczucie, jakie połączyło mamę i tatę. Niech wasze szafy będą pełne, a sypialnie ciepłe i... – zamilkła na chwilę. Głos jej zmiękł. – Życzę wam wielu zdrowych dzieci.

Zamiast brzęku stukających o siebie kieliszków zapadła niezręczna cisza.

Angie wstrzymała gwałtownie oddech i spojrzała na siostry.

– Nie jestem w ciąży – szybko rzuciła Livvy. – Ale... próbujemy.

Angie zdołała się uśmiechnąć, jakkolwiek wypadło to blado i nie przekonało nikogo. Wszyscy patrzyli na nią, zastanawiając się, jak przyjmie kolejną ciążę w rodzinie. Tak bardzo starali się jej nie zranić.

– Za Sala i Livvy! – powiedziała szybko, podnosząc kieliszek z nadzieją, że łyż zamienią się w radość. – Obyście mieli dużo zdrowych dzieci!

Znowu zaczęto rozmawiać. Pokój wypełnił się brzękiem noży i widelców przesuwanych po porcelanowych talerzach oraz śmiechem. Mimo że rodzina zbierała się każdego dnia świątecznego i w dwa poniedziałkowe wieczory w miesiącu, nigdy nie brakło tematów do rozmowy.

Angie rozejrzała się wokół stołu. Mira z ożywieniem opowiadała mamie o funduszu szkolnym, który powinien zostać utworzony. Vince i wujek Francis sprzeczali się na temat ostatniego meczu Ducksów z Huskiesami, Sal i Livvy całowali się, młodsze dzieciaki pluły pestkami na siebie, starsze klóciły się, która z konsoli jest lepsza – Xbox czy PlayStation. Conlan pytał ciocię Giulie o operację stawu biodrowego, której miała się niedługo poddać.

Angie nie mogła skupić się na żadnym z tematów. Z całą pewnością nie była zdolna do normalnej rozmowy. Jej siostra chce mieć dziecko i pewnie będzie je mieć. Livvy prawdopodobnie zajdzie w ciążę między programem Leno a wiadomościami. „Ojej... zapomniałam się zabezpieczyć”. Tak to się odbywało u jej siostr.

Po obiedzie, gdy Angie zmywała naczynia, nikt z nią nie rozmawiał, każdy zaś, kto

przechodził obok, próbował ją objąć lub pocałować w policzek. Wszyscy wiedzieli, że nie ma nic więcej do dodania. Słowa nadziei i modlitwy padały tak wiele razy w ciągu minionych lat, że straciły swoją moc. I choć mama od dziesięciu lat zapalała świeczkę przed świętą Cecylią, w samochodzie tej nocy Angie i Conlan wciąż będą sami, para, która nie ma szansy przekształcić się w rodzinę.

Nie mogła dłużej tego znieść. Rzuciła ściereczkę na stół i poszła na górę do swojej starej sypialni. Był to śliczny pokój pokryty tapetą w róże w białych koszykach, z dwoma jednakowymi łózkami, na których leżała zmierzwiona różowa pościel. Angie usiadła na jednym z nich.

Jak na ironię, kiedyś klęczała na tej samej podłodze i modliła się, by nie zajść w ciążę. Miała wtedy siedemnaście lat i spotykała się z Tommym Matuccim – swoją pierwszą miłością.

Drzwi się otworzyły i wszedł Conlan. Jej wysoki, czarnowłosy irlandzki mąż wyglądał idiotycznie nie na miejscu w małym, dziewczęcym pokoju.

– Wszystko w porządku – powiedziała.

– Taaak... jasne – odrzekł.

Wyczuła gorycz w jego głosie i nieco ją to zabolowało. Nie mogła nic zrobić, a on nie mógł jej pocieszyć, choć Bóg wie ile razy próbowali.

– Potrzebujesz pomocy – stwierdził zmęczonym głosem i nie było się czemu dziwić. Te słowa padały już wcześniej.

– Wszystko w porządku – powtórzyła Angie.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Niebieskie oczy, niegdyś pełne uwielbienia, teraz patrzyły na nią z rezygnacją. Z westchnieniem wycofał się z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Niebawem powtórnie się otworzyły. To mama stanęła w progu z rękami wspartymi na wąskich biodrach. Poduszki w ramionach niedzielnej sukienki były wielkie jak w *Lowcy androidów*, tak że niemal dotykały futryny po obu stronach drzwi.

– Zawsze uciekałaś do swojego pokoju, gdy się martwiłaś. Albo byłaś zła – powiedziała.

– A ty zawsze przybiegałaś za mną. – Angie przesunęła się, by zrobić jej miejsce.

– Twój tata chciał tego, nie wiedziałaś o tym, prawda? – Mama usiadła obok Angie. Stary materac ugiął się pod ich ciężarem. – Nie mógł znieść twojego płaczu. Biedna Livvy mogłaby wypluć sobie płuca, szlochając, i nigdy nie zauważył. Ale ty... ty byłaś jego księżniczką. Jedna twoja łza mogła złamać mu serce. – Westchnęła ciężko, zabrzmiało w tym rozczarowanie i współczucie jednocześnie. – Masz trzydzieści osiem lat, Angelo – powiedziała mama. – Czas dorosnąć. Twój tata, niech Bóg czuwa na jego duszą, powiedziałby to samo.

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli.

Mama objęła ją i przyciągnęła do siebie.

– Bóg odpowiedział na twoje modlitwy. Nie jest to odpowiedź, jakiej oczekujesz, więc udajesz, że nie słyszysz, najwyższy czas Go usłyszeć.

*

Angie obudziła się nagle. Szyję miała mokrą od łez.

Znowu śniła o dziecku. To był ten sam sen, w którym ona i Conlan stoją na przeciwległych brzegach, a pomiędzy nimi na błyszczącej, błękitnej tafli wody dryfuje malutkie różowe zawiniątko z niemowlakiem. Cal za calem odpływa coraz dalej, aż wreszcie niknie. Zostają sami, ona i Conlan, daleko od siebie.

Ten sen powracał od lat. W tym czasie ona i jej mąż wędrowali od doktora do doktora, próbowali różnych metod. Można rzec, że miała więcej szczęścia od innych, bo w ciągu ośmiu

lat starań trzy razy zaszła w ciążę. Dwukrotnie poroniła, trzecie dziecko, córeczka Sophie, żyło tylko kilka dni po urodzeniu. To był kres ich możliwości: ani Conlan, ani ona nie mieli już sił próbować.

Podniosła się z łóżka i wyszła z sypialni. W zacienionym holu po prawej stronie na ścianie wisiały dziesiątki rodzinnych fotografii – wszystkie w mahoniowych ramach. Portrety pięciu pokoleń rodzin DeSaria i Malone.

Spojrzała na ostatnie zamknięte drzwi. Mosiężna klamka połyskiwała w księżycowej poświacie przedostającej się do wnętrza przez pobliskie okno.

Kiedy to było, gdy ostatni raz ośmieliła się wejść do tego pokoju? „Bóg odpowiedział na twoje modlitwy... najwyższy czas Go usłyszeć”, dźwięczały jej w uszach słowa matki.

Szła powoli, minęła pusty pokój gościnny, wreszcie stanęła pod feralnymi drzwiami. Odetchnęła głęboko. Ręce jej drżały, kiedy naciskała klamkę i wchodziła do środka. Powietrze było ciężkie, zatęchłe.

Zapaliła światło i zamknęła drzwi za sobą.

Pokój był taki doskonały.

Przymknęła oczy, tak jakby ciemności mogły coś pomóc. Melodyjne dźwięki z *Pięknej i Bestii* wypełniły jej umysł, cofnęły do czasów, gdy pierwszy raz zamknęła drzwi tego pokoju wiele lat temu. To było wtedy, gdy podjęli decyzję o adopcji.

„Mamy dziecko, pani Malone. Matka, nastolatka, wybrała panią i Conlana. Proszę wpaść do mnie do biura, to się państwo poznają”.

Cztery godziny zajęło Angie szykowanie się na spotkanie, wybór stroju i makijaż. Kiedy wreszcie razem z Conlanem stanęli oko w oko z Sarah Dekker, wszyscy troje natychmiast poczuli wzajemną bliskość. „Będziemy kochać twoje dziecko – Angie obiecała dziewczynie. – Możesz nam zaufać”.

W ciągu sześciu wspaniałych miesięcy zaprzestali prób poczęcia dziecka. Seks stał się znowu przyjemnością, zakochali się w sobie od nowa. Życie było dobre. W ich domu zagościła nadzieja. Obchodzili to uroczyście wspólnie z rodziną. Zaprosili Sarah, by zamieszkała z nimi przez jakiś czas, i dzielili z nią swe szczęście. Dwa tygodnie przed rozwiązaniem dziewczyna przyniosła szablony i farby. Wspólnie z Angie zaczęły dekorować pokój. Błękitny sufit i ściany pokryły kłębiaste, białe chmurki. Biały płótek oplatał ogród pełen kwiatów w żywych kolorach, pszczoł, motyli i duszków.

Pierwszą zapowiedzią katastrofy była cisza, jaką zastali po powrocie z pracy, gdy Sarah poszła rodzić. Żadnej wiadomości na sekretarce ani kartki na kuchennym stole. Czuli się osieroceni. Godzinę później zadzwonił telefon.

Rzucili się go odebrać, trzymali za ręce i cieszyli z narodzin dziecka. Dalsze słowa docierały do nich z trudem. Nawet teraz Angie jak przez mgłę przypomina sobie fragmenty rozmowy:

„Bardzo mi przykro,
zmieniła zdanie,
zeszli się z chłopakiem,
zatrzymuje dziecko...”.

Zamknęli drzwi do tego pokoju i pozostawili go w niezmienionym stanie. Raz w tygodniu sprzątaczką robiła porządek, ale Angie i Conlan nie wchodzili tam nigdy. Ponad rok pokój, ich świątynia marzeń, stał pusty. Zaprzestali wszelkich prób: wizyt u lekarzy, nowych metod leczenia, zastrzyków, procedur. I wtedy niemalże cudem Angie zaszła w ciążę. Kiedy była w piątym miesiącu, ośmielili się przekroczyć próg pokoju i wypełnić go na nowo marzeniami. A przecież powinni wiedzieć lepiej i dmuchać na zimne.

Przyniosła z garderoby duże kartonowe pudło. Jeden po drugim zaczęła wkładać do niego przedmioty, starając się nie przywoływać wspomnień związanych z każdym z nich.

– Hej! – Usłyszała.

Nawet nie widziała, kiedy pojawił się obok niej. Musiała idiotycznie wyglądać, siedząc pośrodku pokoju z wielkim pudłem, otoczona rzeczami rozrzuconymi naokoło, jak bibeloty. Kubuś Puchatek, ramka z obrazkiem Aladyna, nowiutka kolekcja książek doktora Seussa. Jedyne mebeleki, jaki pozostał, to dziecięce łóżeczko. Za nim, na podłodze, leżała pościel – schludny stosik bladoporóżowej flaneli.

Obróciła ku niemu głowę. Miała łzy w oczach, nic prawie nie widziała, z czego zdała sobie sprawę dopiero teraz. Chciała mu powiedzieć, jak jest jej przykro, że wszystko między nimi było nie tak. Bezwiednie podniosła ze stosika różowe prześcieradło i zaczęła głaskać materiał.

– Doprowadza mnie to do szaleństwa. – Nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Usiadł przy niej.

Czekała, aż coś powie, ale on tylko siedział i patrzył na nią. Rozumiała. Przeszłość nauczyła go ostrożności. Był jak zwierzę, które przystosowało się do niebezpiecznego środowiska, trwając nieruchomo w ciszy. Pomiędzy dającymi kopa narkotykami a marzeniami, które legły w gruzach, emocje Angie pozostawały poza kontrolą.

– Zapomniałam o nas – przyznała się.

– Nie ma żadnych nas, Angie – odparł tak łagodnym głosem, że złamał jej serce.

Wreszcie. Jedno z nich ośmieliło się to powiedzieć.

– Wiem – odparła cicho.

– Też chciałem mieć dziecko – szepnął.

Zacząła przetykać łzy, żeby nad nimi zapanować. Zapomniała, że w ciągu ostatnich lat Conlan też miał swoje marzenia o zostaniu ojcem, równie ważne jak jej o macierzyństwie. A jakoś tak się stało po drodze, że liczyły się tylko odczucia Angie. Tak bardzo skupiła się na własnym żalu, że jego smutek wydawał się nieistotny. Prześladowało ją to. Od zawsze była skazana na sukces – co rodzina nazywała obsesją – a dziecko zdawało się jeszcze jednym celem do osiągnięcia. Powinna pamiętać, że rodzicielstwo jest sportem drużynowym.

– Przykro mi – powtórzyła.

Wziął ją w ramiona i pocałował. To był tego rodzaju pocałunek, jaki nie zdarzał się od lat. Siedzieli objęci w ten sposób dłuższą chwilę.

Pragnęła, by jego miłość starczyła za nich dwoje. Tak powinno być. Ale jej potrzeba bycia matką była jak potężna fala, która pochłonęła ich oboje. Może rok temu jeszcze znalazłaby w sobie siłę, by wydostać się na powierzchnię. Teraz już nie.

– Kocham cię – szepnęła.

– Wiem – odpowiedział.

– Szkoda, że nie byliśmy ostrożniejsi – dodała.

Później, nocą, kiedy leżała sama w łóżku, które kupili wspólnie, starała się odtworzyć wszystkie „dlaczego” i „jak”, które powiedzieli sobie na koniec ich miłości, ale nie potrafiła ich przywołać. Jedyne, co zapamiętała, to dziecięcy puder i brzmienie jego głosu, kiedy mówił do widzenia.

2

Zadziwiająco, jak dużo czasu zabrało Angie i Conlanowi rozmontowywanie życia. Skoro tylko podjęli decyzję o zakończeniu małżeństwa, największe znaczenie zaczął mieć sposób, w jaki rozwód zostanie przeprowadzony. Jak podzielić wszystko na połowę, zwłaszcza te rzeczy niepodzielne: domy, samochody, serca. Miesiące spędzili na uzgadnianiu szczegółów, ale do końca września wszystko było gotowe.

Jej dom, a właściwie teraz już dom Pedersonsów, stał pusty. Zamiast sypialni, artystycznie zaprojektowanego salonu i wykładanej granitem kuchni miała okazałą sumę pieniędzy na koncie, a podnajęte pomieszczenie wypełnione było połową ich wspólnego umeblowania. W bagażniku w samochodzie leżały walizki.

Angie usiadła przy ceglany kominku i przypatrywała się połyskującemu złotawo, wykonanemu z twardego drewna parkietowi. Kiedy się tutaj wprowadzali, podłoga pokryta była niebieską wykładziną dywanową.

„Twarde drewno – powiedzieli, patrząc porozumiewawczo na siebie i uśmiechając się do swoich myśli. Dywany są trudne w utrzymaniu przy dzieciach”.

To było tak dawno temu...

Dziesięć lat w tym domu, a czuła, jakby minęły całe wieki.

Dzwonek u drzwi dał znać, że ktoś idzie.

Zamarła zaskoczona.

To nie mógł być Con. Ma klucze. Poza tym nie zamierzał przychodzić tu dzisiaj, bo to był jeszcze jej dzień na dokończenie przeprowadzki. Po czternastu latach małżeństwa doszło do tego, że muszą ustalać grafik, kto kiedy będzie w ich wspólnym domu.

Wstała i przeszła przez pokój gościnny, by otworzyć drzwi.

Mama, Mira i Livvy stały zbite w gromadkę pod daszkiem przed wejściem, by nie dać się zmoczyć deszczowi. Próbowaly się uśmiechać, ale nie do końca im się to udało.

– Taki dzień jak dzisiaj – powiedziała mama – powinien być dla rodziny. – Całe stadko ruszyło jednocześnie do przodu. Z piknikowego koszyka na ramieniu Miry wydobywał się aromat czosnku.

– Focaccia – rzuciła Mira, widząc spojrzenie Angie. – Wiesz, że jedzenie to lekarstwo na różne kłopoty.

Angie lekko się uśmiechnęła. Ile to razy wracała ze szkoły z poczuciem doznanej krzywdy, żeby usłyszeć od mamy: „Zjedz coś, poczujesz się lepiej”.

Livvy podeszła do niej. W czarnym sweterku i dopasowanych dżinsach wyglądała jak Lara Flynn Boyle podczas weselnych przygotowań.

– Mam za sobą dwa rozwody. Jedzenie nie bardzo pomaga. Próbowalam włożyć tequilę do koszyka, ale znasz mamę. – Pochyliła się do niej. – Mam ze sobą zolof, jeśli ci potrzeba.

– Chodźcie, chodźcie. – Mama przejęła dowodzenie. Zagarnęła swoje kurczaczki do salonu.

Angie odczuła cały ciężar porażki. Rodzina, która ją odwiedziła, rozglądała się za czymś do siedzenia po pustym wnętrzu, które jeszcze wczoraj było domem.

Angie przysiadła na twardej, zimnej podłodze. Zapanowała cisza. Czekwały, aż coś powie, przejmie rolę gospodyni tak jak zwykle. Problem polegał na tym, że Angie nie miała nic do

powiedzenia ani nie wiedziała, gdzie pójść. Kiedy indziej siostry wybuchnęłyby śmiechem. Dzisiaj byłoby to mało zabawne.

Mira usiadła obok Angie i przysunęła się do niej. Słysząc było dźwięk nitów jej jasnych dzinsów zahaczających o podłogę. Mama dołączyła do nich, siadając przy kominku, a Livvy przycupnęła obok.

Angie spoglądała na ich smutne, znajome twarze, próbując coś wyjaśnić.

– Gdyby Sophie żyła... – zaczęła.

– Nie tędy droga – odezwała się gwałtownie Livvy. – To nic nie pomoże.

Angie zapiekły oczy. Omal nie poddała się bólowi, jeszcze chwila, a zapanowałby nad nią. I naraz się opanowała. Nie byłoby z tego żadnego pożytku. Do diaska, większość roku spędziła na płaczu i dokąd ją to zaprowadziło?

– Masz rację – powiedziała.

Mira wzięła ją w ramiona.

Dokładnie tego Angie było potrzeba. Kiedy się wyswobodziła, poczuła jednocześnie drżenie i ogarniający ją spokój. Wszystkie trzy kobiety jej się przypatrywały.

– Czy mogę być szczerą? – odezwała się Livvy i wyjęła z koszyka butelkę czerwonego wina.

– W żadnym wypadku – odpowiedziała Angie.

Livvy ją zignorowała.

– Ty i Con nie pasowaliście do siebie od dawna. Uwierz mi, wiem coś na temat gasnących uczuć. To był już czas, żeby dać sobie spokój. – Zaczęła nalewać wino do kieliszków.

– Powinnaś gdzieś wyjechać, zrobić sobie trochę wolnego.

– Uciekanie nie pomoże – wtrąciła się Mira.

– Bzdura – zareagowała Livvy, podając Angie kieliszek z winem. – Masz pieniądze, jedź do Rio de Janeiro, tam są ponoć świetne plaże.

Angie uśmiechnęła się. Klucie w piersiach trochę ustąpiło.

– To co, powinnam kupić skąpe bikini i pokazać swoje obwisłe pośladki? – zażartowała.

– Kochanie, to nie zaboli. – Livvy zaśmiała się.

Przez następną godzinę siedziały w pustym salonie, popijały czerwone wino, jadły focaccię i gawędziły o zwykłych sprawach: pogodzie, życiu w West Endzie, niedawnej operacji ciotki Giulii.

Angie usiłowała przysłuchiwać się rozmowie, ale myśli uciekały w inną stronę, zastanawiała się, jak to się stało, że znalazła się sama, prawie z czterdziestką na karku. A przecież wczesne lata małżeństwa były takie udane...

– Wszystko dlatego, że biznes się nie kręci – powiedziała Livvy i nalala sobie kolejny kieliszek wina. – Co jeszcze możemy zrobić?

– Co wy mówicie? – Angie powróciła do rzeczywistości, zdając sobie sprawę, że była nieobecna duchem przez parę minut.

– Mama chce sprzedać restaurację – oznajmiła Mira.

– Co ty opowiadasz?! – Angie wyprostowała się. Restauracja była dla rodziny pępkiem świata, centrum wszystkiego.

– Nie będziemy dzisiaj o tym rozmawiać. – Mama rzuciła gniewne spojrzenie Mirze.

– Co się u diabła dzieje? – Angie wodziła wzrokiem po twarzach siostr i matki.

– Nie przeklinaj, Angelo – poprosiła mama zmęczonym głosem. – Restauracja cienko przędzie. Nie mam pomysłu, co dalej robić, żeby ją utrzymać.

– Ale to było oczko w głowie taty – zaprotestowała Angie.

– Nie musisz mi o tym przypominać. – Łzy napłynęły do piwnych oczu mamy.

– Co idzie nie tak w restauracji? – Angie patrzyła na Livvy.
– Złe wyniki finansowe. – Livvy wzruszyła ramionami.
– Rodzina DeSaria prowadziła tę restaurację z sukcesem przez trzydzieści lat, nie możemy się poddać – powiedziała Angie z przekonaniem.
– Nie wierzę, zamierzasz nas pouczać, jak zarządzać rodzinnym biznesem? – rzuciła Livvy, próbując zapalić papierosa. – Co autorka reklamówek może mieć na ten temat do powiedzenia?
– Dyrektor kreatywny. A prowadzenie restauracji nie jest tym samym co operowanie mózgu. Serwujesz ludziom smaczne jedzenie po przystępnych cenach. Jakim cudem to może być skomplikowane... – zaczęła rozwodzić się Angie.
– Obydwie przestańcie – wtrąciła się Mira. – Mama nie potrzebuje waszych uwag. Angie spoglądała na matkę, nie wiedząc, co powiedzieć. Rodzina stanowiąca opokę, na której jeszcze przed chwilą chciała się oprzeć, może się rozpaść.
Zapadło milczenie. Angie rozmyślała o restauracji, tacie, który zawsze potrafił ją rozśmieszyć, nawet gdy serce miała rozdarte, i o bezpiecznym świecie, w jakim wszystkie dorastały.
Restauracja była kotwicą dla rodziny, bez niej siostry i mama będą dryfować, oddalając się od siebie, skazane na samotne życie. Angie coś na ten temat wiedziała.
– Angie mogłaby pomóc – odezwała się nagle mama.
– Przecież ona nie ma pojęcia o interesach – jęknęła Livvy z niedowierzaniem. – Córeczka tatusia...
– Cicho, Livvy! – przerwała mama, przypatrując się Angie.
Ta w lot zrozumiała matczyne spojrzenie. Oferowała jej schronienie u siebie, ucieczkę od bolesnych wspomnień związanych z tym miastem. Do mamy! Wrócić do domu! To była odpowiedź na wszystkie pytania i wątpliwości.
– Livvy ma rację – powiedziała jednak powoli. – Nie znam się zupełnie na prowadzeniu biznesu.
– Pomogłaś restauracji w Olimpii i sukces twojej kampanii opisały gazety – oznajmiła Mira, uważnie obserwując jej twarz. – Tata kazał nam czytać wszystkie wycinki.
– Wysyłała je tacie mejlem – uzupełniła Livvy, wypuszczając dym.
Angie rzeczywiście przyczyniła się do przywrócenia popularności owej restauracji, ale stało się tak dzięki odpowiednio wspartej pieniędzmi kampanii reklamowej.
– Może i nam mogłabyś pomóc – powiedziała Mira w końcu.
– Nie wiem. – Angie wahała się. Opuściła dom dawno temu z przekonaniem, że cały świat przed nią stoi otworem. Co to za uczucie powrócić po latach?
– Mogłabyś zamieszkać w domku przy plaży – zaproponowała mama.
Domek na plaży.
Angie zamyśliła się. Mała chatka na dzikim, smaganym wiatrem wybrzeżu, a z nią tysiące pieczołowicie przechowywanych wspomnień, które wracały teraz jedno po drugim.
Zawsze czuła się tam bezpieczna i kochana. Chroniona.
Może w miejscu, gdzie jako dziewczynka śmiała się tak łatwo i często, mogłaby znowu przypomnieć sobie, jak się to robi.
Rozejrzała się po pustych ścianach smutnego domu wybudowanego w mieście, z którym wiązało się tak wiele złych wspomnień. Może rodzinne strony pomogą jej stanąć na nogi przynajmniej na tyle, by mogła znaleźć odpowiedź na pytanie, gdzie jest jej miejsce.
W chatce nie będzie się czuła tak samotna jak w Seattle.
– Taaak... – powiedziała wolno i spojrzała w górę – chyba mogłabym pomóc przez jakiś

czas.

Nie była pewna, co czuła w tym momencie – ulgę czy rozczarowanie. Widziała jedno: teraz nie będzie już sama.

– Tata zawsze powtarzał, że kiedyś do nas wrócisz. – Mama się uśmiechnęła.

– Wspaniale! Księżniczka wraca do domu, by pomóc swym biednym nierozgarniętym krewnym prowadzić restaurację. – Livvy przewróciła oczami.

*

Tydzień później Angie była w drodze. Ruszyła do West Endu, tak jak miała w zwyczaju rozpoczynać nowy projekt – pełną parą! Najpierw zadzwoniła do szefa agencji reklamowej, w której pracowała, i poprosiła o urlop.

Zaczął coś bełkotać zaskoczony. Nic nie wskazywało na to, że była niezadowolona. Jeśli chciałaby awansu...

Zaśmiała się z propozycji i wyjaśniła, że po prostu jest zmęczona.

Zmęczona?

Potrzebuje wolnego czasu. I nie ma pojęcia na jak długo. Gdy rozmowa się przeciągała, postanowiła po prostu rzucić pracę. Czemu nie? Powinna rozpocząć nowe życie, a trudno to zrobić, jeśli będzie się trzymać starego. Ma mnóstwo pieniędzy na koncie i poszukiwane na rynku umiejętności. Gdy tylko zechce, znajdzie pracę z łatwością.

Wolała nie przypominać sobie, jak często Conlan ją o to błagał. „Kiedy ty wreszcie odpoczniesz? Funkcjonujesz stale na najwyższych obrotach, to cię wykańcza. Lekarze twierdzą...”

Włączyła muzykę – coś starego i uroczonego, po czym dodała gazu. Połykała kilometry, oddalając się od Seattle, a przybliżając do miasteczka dzieciństwa.

Zjechała w końcu z autostrady i kierując się na Washington Beaches, zmierzała w stronę West Endu.

Niewielkie miasteczko przywitało ją światłem odbijającym się w kałużach i kroplami deszczu na liściach. Witryny sklepowe, dawno temu pomalowane na niebiesko, zielono i bladoróżowo, by oddawały styl wiktoriańskiej wioski rybackiej, z czasem pokryły się srebrnym nalotem. Gdy jechała Front Street, główną ulicą, przypomniały jej się parady urządzone z okazji 4 lipca. Każdego roku rodzina DeSaria uczestniczyła w nich odświętnie ubrana, niosąc reklamę restauracji. Rzucali cukierki w stronę tłumu. Kiedyś Angie strasznie to irytowało, ale dzisiaj... dzisiaj wspomnienia sprawiły, że się uśmiechała, choć smutno. „Jesteś częścią rodziny, Angelo. Maszeruj”. Dźwięczał jej w uszach gromki śmiech ojca.

Opuściła okno i natychmiast poczuła słony zapach morskiego powietrza pomieszany z aromatem sosny. Gdzieś otworzono piekarnię. Bryza niosła ze sobą nutkę cynamonu.

Tego wrześniowego popołudnia na ulicy panował ruch, ale nie można powiedzieć, że było tłoczno. Gdziekolwiek spojrziała, ludzie rozmawiali ze sobą z ożywieniem. Dostrzegła pana Petersona, miejscowego aptekarza, stojącego przed budynkiem. Pomachał w jej stronę, odpowiedziała tym samym gestem. Wiedziała, że on za chwilę pójdzie do sklepu wielobranżowego i powie panu Tannenowi, że Angie DeSaria wróciła. Zniży głos i doda: „Biedactwo rozwiódła się, wiesz pewnie?”

Zbliżała się do świateł drogowych, jednych z czterech w mieście, więc zwolniła. Miała zamiar skręcić w lewo, w stronę domu rodziców, ale ocean wabił ją syrenim śpiewem i czuła, że temu ulega. Poza tym nie była jeszcze gotowa do spotkania z rodziną.

Skierowała samochód na prawo i zaczęła posuwać się długą, krętą drogą wyjazdową z miasta. Po jej lewej stronie Ocean Spokojny wyglądał jak targany wiatrem szary żagiel. Trawa

morska na wydmach falowała i szeleściła na wietrze.

Mniej więcej półtora kilometra za miastem zaczynał się inny świat. Tu i ówdzie stało kilka chat, obok szyldy reklamujące wypoczynek w tych swego rodzaju domkach letniskowych, ale z drogi w zasadzie nie było tu nic ciekawego do oglądania. Ten odcinek nadbrzeża schowany wśród strzelistych drzew przy nieuczęszczanej drodze z małego miasteczka zagubionego gdzieś pomiędzy Seattle a Portland, jak dotąd nieodkryty przez japiszonów, był zbyt drogi dla miejscowej ludności. I wciąż jeszcze dziki. Prymitywny. Ryk oceanu przypominał przejeżdżającym, że kiedyś, wcale nie tak dawno temu, ludzie wierzyli w smoki zamieszkujące nieznaną wodę. Czasem bywało tu zwodniczo spokojnie. W takich chwilach turyści, których czujność została uspijona, w poczuciu złudnego bezpieczeństwa wypożyczają kajaki i wiosłują tam i z powrotem po falującej wodzie. Każdego roku część z nich pada ofiarą oceanu, wracają tylko puste kajaki.

Angie dotarła wreszcie do starej, pokrytej rdzą skrzynki pocztowej, na której widniał napis: DeSaria.

Skręciła w stronę porytego koleinami, ziemnego podjazdu. Otoczyły ją ogromne drzewa, które zasłaniając słońce, niemal całkiem blokowały dostęp światła. Ziemię pokrywały sosnowe igły i porastały wielkie paprocie. Mgła, która właśnie zaczęła się podnosić, sprawiała, że wszystko wyglądało nierealnie – było szare i rozmyte. Angie zapomniała o tym zjawisku. A przecież każdego ranka jesienią mgła nadciągała i unosiła się, jakby ziemia wydawała westchnienie. Czasami, kiedy spacerowało się o tej porze i patrzyło w dół, nie widziało się własnych stóp. Dzieci to pociągało, wyruszały na poszukiwanie mgły, żeby się zabawić.

Podjechała do domku i zaparkowała.

Powrót do domu był tak słodki, cierpki i bolesny jednocześnie, że poczuła w gardle gulę trudną do przełknięcia. Wybudował go ojciec na niewielkiej polanie pośród drzew pamiętających czasy ekspedycji Lewisa i Clarka, którzy przejeżdżali przez te tereny na początku dziewiętnastego wieku.

Gonty z czerwonego niegdyś drewna cedrowego postarzały się, pokrywając srebrzystym nalotem jak pnie leżące dłuższy czas w wodzie. Biała listwa wykończeniowa była ledwo widoczna na tym tle.

Gdy wysiadła z samochodu, usłyszała letnią symfonię z dzieciństwa – szum fali pod nogami, świst wiatru między drzewami. Ktoś gdzieś puszczał latawca. Wszystkie te dźwięki cofnęły ją w czasie.

„Chodź tutaj, księżniczko. Pomóż tacie przyciąć te krzaki...”

Livvy, zaczekaj! Nie mogę biec tak szybko...

Mamo, powiedz Mirze, żeby oddała mi marshmallow...”

Z tym miejscem wiązało się tyle zabawnych, denerwujących i słodko-gorzkich chwil składających się na rodzinne dzieje. Stała w nikłym prześwicie słonecznym, otoczona drzewami, pogrążona we wspomnieniach.

Przy wielkiej kłodzie, z której wyrastało sporo małych roślin, Tommy po raz pierwszy pocałował Angie... i próbował jej dotykać. Studnia obok nadawała się świetnie do zabawy w chowanego.

Wśród paproci, pomiędzy gigantycznymi cedrami, znajdowała się grotka. Dwa lata temu urządziła tutaj z Conlanem biwak dla wszystkich siostrzenic i siostrzeńców. Wybudowali coś w rodzaju fortu i udawali piratów. Nocą opowiadali wymyślne historie o duchach, siedzieli wokół ogniska, opiekali marshmallow i tworzyli własne zwyczaje.

Wracając, wciąż wierzyła, że pewnego dnia przyprowdzi tu własne dzieci...

Z westchnieniem wniosła walizki do domku. Na dole znajdowało się jedno duże

pomieszczenie z wydzielonymi strefami: po lewej kuchnia z serwantką w maślanożółtym kolorze i wykładaną białymi kafelkami ladą; w kącie mała jadalnia (jakimś cudem całej piątku udawało się zmieścić przy niewielkim stole); salon zajmował resztę przestrzeni. Okazały kominek zbudowany z rzecznego kamienia dominował przy północnej ścianie. Wokół niego stłoczone stały dwie wyściełane na niebiesko sofy, zniszczony sosnowy stolik do kawy i wysiedziany skórzany fotel taty. W domku nigdy nie mieli telewizora.

„Porozmawiamy”, odpowiadał zawsze tata, gdy córki narzekały.

– Oj, tato – wyszeptała Angie.

Jedyną odpowiedzią było stukanie wiatru o szybę.

Puk, puk. Puk, puk.

Taki sam dźwięk wydawał bujany fotel na drewnianej podłodze w niezamieszkanym pokoju w Seattle...

Starła się uciec od wspomnień, ale były szybsze. Powoli zaczęła nad nimi panować. Z każdym oddechem czuła, że czas biegnie i przemija. Młodość oddała się, a ona nie potrafi jej zatrzymać, tak jak nie umie przestać oddychać. Noc spędzi samotnie w łóżku.

Westchnęła ciężko. Była głupia, sądząc, że tutaj zapomni o przeszłości. Niby dlaczego? Wspomnienia nie leżą na ulicy ani nie mieszkają w miastach. Płyną z krwią w żyłach, czuje się je w sercu. Przywiozła ze sobą wszystkie – każdą stratę, każdy ból serca, który przygniatał ją, wyczerpywał.

Weszła po schodach i zajrzała do dawnej sypialni rodziców. Łóżko było nieposłane – koce i pościel leżały na pewno w bielizniarce – materac zakurzony, ale Angie o to nie dbała, dowlokła się do niego, położyła i zwinęła, przyjmując pozycję embrionalną.

Przyjazd tutaj nie był dobrym pomysłem. Zamknęła oczy i słuchając pszczoł brzęczących za oknem, próbowała zasnąć.

*

Słońce obudziło ją o poranku. Wpatrzyła się w sufit, gdzie czarny, tłusty pająk pracowicie tkął swą sieć.

Oczy, zapuchnięte od płaczu, piekły.

Zroszony wspomnieniami materac był mokry.

Co za dużo, to niezdrowo.

Mówiła to sobie już setki razy cały zeszły rok. Teraz jednak była zdecydowana przestać się mazać i wziąć się w garść.

Otworzyła walizkę, wzięła jakieś ciuchy na zmianę i skierowała się do łazienki. Po gorącym prysznicu poczuła się znowu jak człowiek. Rozczesała włosy, związała w koński ogon, włożyła dzinsy, do tego czerwony golf i chwyciła torbę ze stołu. Już miała wyjść do miasta, ale spojrzała na dwór przez okno.

Dostrzegła mamę, która siedziała przy wejściu na kłodzie drewna i rozmawiała z kimś, żywo gestykulując, co w młodości zawsze wprawiało Angie w zakłopotanie.

Bez wątpienia cała rodzina zajmowała się roztrząsaniem kwestii, czy „księżniczka” może być w jakikolwiek sposób przydatna w restauracji. Po ostatniej nocy Angie sama zaczęła w to wątpić.

Wiedziała, że gdy tylko wyjdzie na ganek, głosy rozdyskutowanych pań ulegną natężeniu, co będzie przypominało dźwięk kosiarki do trawy. Godzina im zejdzie na rozważaniu argumentów za i przeciw jej powrotowi.

Co ona sama o tym sądzi, miało najmniejsze znaczenie.

Przez chwilę zbierała się na odwagę, by wyjść. Zmusiła się do uśmiechu, otworzyła drzwi

i spodziewała się stanąć oko w oko z rodziną.

Na zewnątrz była tylko mama.

Angie podeszła do niej i usiadła obok.

– Wiedzieliśmy, że prędzej czy później przyjedziesz – powiedziała mama.

– Wiedzieliśmy? – Angie powtórzyła z roztargnieniem, nie bardzo rozumiejąc.

– Tata i ja – uzupełniła mama.

Angie westchnęła. Pani DeSaria wciąż rozmawiała z mężem. Żal wynikający z utraty był zrozumiały, Angie nie mogła winić mamy, że nie potrafi rozstać się z ojcem, ale dostrzegając w tym coś niepokojącego, czym być może należało się martwić. Dotknęła matczynej dłoni, której skóra była miękka i pomarszczona.

– To co powiedział tata na mój powrót do domu? – zapytała.

– Twoje siostry chcą, żebym umówiła się na wizytę u lekarza. Ty pytasz, co tata o tym sądzi. – Mama westchnęła z widoczną ulgą. – Och, Angelo, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś.

Przyciągnęła córkę do siebie i uścisnęła.

Po raz pierwszy mama nie była ubrana jak spod igły – prosty sweter robiony na drutach i wysłużona para dżinsów Jordache. Przytulona do matki, Angie mogła wyczuć, jak bardzo schudła; zaniepokoiło ją to.

– Tracisz na wadze – stwierdziła i odsunęła się.

– A pewnie. Przez czterdzieści siedem lat jadałam z mężem, teraz, gdy jestem sama, nie mam apetytu – odparła pani DeSaria.

– To możemy teraz jeść razem, mnie też brakuje towarzystwa – zaproponowała Angie.

– Zostajesz? – zapytała mama.

– Co masz na myśli? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Mira uważa, że potrzebny jest ci ktoś, kto zatroszczyłby się o ciebie, i miejsce, gdzie mogłabyś w spokoju zaszyć się na parę dni. Zajmowanie się restauracją przeżywającą trudne chwile nie jest łatwe. Mira podejrzewa, że nie dasz rady i wyjedziesz po upływie jednego lub dwóch dni – wyrzuciła z siebie mama.

Angie mogłaby powiedzieć, że siostra stara się wejść w jej buty, ale nie potrafiła. Mira bowiem nigdy nie rozumiała, jak to jest mieć marzenia na tyle wielkie, że mogą zmobilizować dziewczynę do opuszczenia domu w poszukiwaniu innego życia... lub że ból serca może być tak dotkliwy i powodować pragnienie powrotu do rodzinnego gniazda. Wszyscy obawiali się, że Angie nie potrafi zrezygnować z ambicji.

– O czym myślisz? – przerwała te rozmyślania mama. – Tata czekał dwadzieścia lat, żebyś zajęła się jego maleństwem, tą restauracją, i nie chciałby, żeby ktokolwiek ci w tym przeszkodził – dodała ze smutnym spojrzeniem, znajomym jak szum morza.

Angie się uśmiechnęła. Tak bardzo pasowało to do taty. Przez moment była w stanie uwierzyć, że jest tu z nimi, gdzieś w cieniu drzew, które tak kochał. Tak bardzo pragnęła usłyszeć znowu jego głos, ale zamiast tego do uszu wdzierał się łoskot fal uderzających o brzeg. Wciąż myślała o łzach, które wylała ostatniej nocy.

– Nie jestem pewna, czy mam dość siły, by wam pomóc – westchnęła.

– Uwielbiał siedzieć tutaj i patrzeć na ocean – powiedziała, pochylając się ku niej, mama. – „Musimy naprawić schody, Mario”. To były pierwsze słowa, jakie wypowiadał, gdy zaczynało się lato.

– Słyszałaś, co mówiłam...? Miałam ciężką noc – Angie próbowała włączyć się w ciąg rozmyślań mamy.

– Co roku coś poprawialiśmy, to miejsce nigdy nie wyglądało tak samo dwa lata z rzędu –

kontynuowała pani DeSaria.

– Wiem o tym, ale... – starała się wtrącić Angie.

– Zawsze zaczynało się od jednej rzeczy, na przykład tych schodów – ciągnęła mama.

– Tylko schody, co? Najdłuższe podróże zaczynają się od małego kroku, czy jakoś tak – powiedziała Angie i uśmiechnęła się wreszcie.

– Niektóre powiedzenia są prawdziwe – rzuciła mama.

– A jeśli nie wiem, od czego zacząć? – zapytała Angie.

– To się dowiesz.

Mama otoczyła ją ramionami i siedziały tak długo, wsparte o siebie, wpatrzone w morze.

– Skąd wiedziałas, że jestem tutaj? – przerwała ciszę Angie.

– Pan Peterson widział, jak wyjeżdżasz z miasta – odpowiedziała pani DeSaria.

– Zaczyna się – Angie się uśmiechnęła. Mieszkańców tego miasta oplata sieć pajęcza.

Kiedyś podczas szkolnej potańcówki przyzwoliła, żeby Tommy Matucci położył rękę na jej pupie, informacja o tym dotarła do mamy przed końcem melodii. Gdy była dziewczynką, nie znosiła tej małomiasteczkowej atmosfery. Teraz zrobiło jej się miło na myśl, że ludzie się o nią troszczą, że coś ich obchodzi.

Usłyszała podjeżdżający samochód i obejrzała się. Minivan w kolorze zielonego lasu zaparkował na podwórku.

Z samochodu wysiadła Mira. Miała na sobie znoszone ogrodniczki i stary T-shirt z nadrukiem Metalliki. Z trudem obejmowała stertę ksiąg z dokumentacją rachunkową.

– Nie ma to, jak zacząć od razu – oznajmiła. – Lepiej przeczytaj je szybko, zanim Livvy zauważy, że zniknęły.

– Widzisz – powiedziała mama z uśmiechem. – Rodzina zawsze ci podpowie, od czego zacząć.

3

Lśniący od mżawki ceglany dziedziniec Fircrest Academy wyglądał jak polakierowany. Lauren Ribido stała pod masztem flagowym i zerkała co chwilę na zegarek, przynajmniej dziesięć razy w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

Była szósta piętnaście.

Mama obiecała wpaść po nią na spotkanie informacyjne dla kandydatów na studia najpóźniej o piątej trzydzieści.

Nie mogła uwierzyć, że znowu dała się nabrać na ładnie brzmiące obietnice. Wiedziała przecież, że happy hour w pubie The Tides nie kończy się przed wpół do siódmej.

Zdawałoby się, że serce powinno stwardnieć i stać się odporne. Dlaczego więc po tylu latach to wciąż bolało?

Odwróciła się od pustej drogi i skierowała w stronę sali gimnastycznej. Była już prawie pod drzwiami, gdy usłyszała, jak męski głos woła ją po imieniu.

David, pomyślała.

Obróciła się szybko z uśmiechem na twarzy. Właśnie wysiadł z miejsca dla pasażera nowego czarnego cadillaca escalade i zatrzasnął biodrem drzwi. Był ubrany w błękitne dockersy i żółty kaszmirowy sweter. Nawet blond włosy przylizane na żel nie mogły pozbawić go miana najprzystojniejszego chłopaka w szkole.

– Myślałem, że już jesteś w środku – powiedział, podchodząc do niej.

– Mama się nie pokazała.

– Znowu.

– Nie ma problemu, to nic takiego – zapewniła ze złością, bo czuła, że oczy ma pełne łez.

Przyciągnął ją do siebie i ukryła się na moment w jego niedźwiedzim uścisku. W takich chwilach świat nie wydawał się zły.

– Co z twoim tatą? – zapytała delikatnie Lauren. Liczyła, że choć tym razem pan Haynes pojawi się, by zrobić przyjemność Davidowi.

– Nic. Ktoś przecież musi pracować.

Wyczuła gorycz w jego głosie. Właśnie zamierzała powiedzieć, że go kocha, ale odgłos szpilek na twardym bruku ją powstrzymał.

– Cześć, Lauren!

Wyzwoliła się z objęć Davida i dostrzegła niezbyt zachwycone spojrzenie jego matki.

– Dzień dobry, pani Haynes.

– A gdzie twoja mama? – zapytała kobieta. Poprawiła drogą brązową torebkę na ramieniu i rozejrzała się wokół.

Lauren oczami wyobraźni zobaczyła swoją mamę rozwaloną na stołku barowym z wycyganionym od kogoś papierosem.

– Musiała zostać dłużej w pracy – powiedziała.

– Akurat dzisiaj? – z niedowierzaniem dociekała pani Haynes.

Lauren nienawidziła spojrzenia, jakim została teraz obdarzona. Znaczyło ono mniej więcej „jakiś biedactwo”. Dostrzegła je przez całe życie. Dorośli, zwłaszcza kobiety, zawsze chcieli jej matkować. Przynajmniej na początku, ale prędzej czy później kobiety wracały do swoich spraw i rodzin, zostawiając Lauren bardziej samotną niż przedtem.

- Nic nie mogła zrobić – odpowiedziała dziewczyna, kończąc temat nieobecności mamy.
- Czego się nie da powiedzieć o tacie – wtrącił David i spojrzał znacząco na panią

Haynes.

– Wiesz przecież, że przyjechałby tu, gdyby mógł – odparła przygaszonym głosem, ciężko wzdychając.

- Jasne – rzucił i oplótł ramieniem plecy Lauren, przyciągając ją mocno do siebie.

Dała się poprowadzić przez mokry dziedziniec w stronę sali gimnastycznej. Cały czas starała się myśleć pozytywnie. Nieobecność matki nie mogła wpływać na poczucie własnej wartości i jej pewność siebie. Dziś wieczorem ponad wszystko powinna się skupić na głównym celu, jakim było otrzymanie stypendium na tę samą uczelnię, którą wybrał David. Stosując piłkarskie porównanie, szkoła była jak bramka na boisku i trzeba było do niej trafić.

Lauren należała do osób, dla których gdy zaangażują się w coś bardzo mocno, nie ma rzeczy niemożliwych. W końcu przecież tu jest. Kończyła jedną z najlepszych szkół prywatnych w stanie Waszyngton, na dodatek przyznano jej tam wysokie stypendium. Podjęła decyzję w czwartej klasie, gdy przeniosła się z Los Angeles do West Endu. Wcześniej była wstydliwą dziewczyną, zakłopotaną tym, że nosi okulary w taniej rogowej oprawce i ubrania z second-handu. Popełniła błąd, kiedy raz, dawno temu, poprosiła matkę o pomoc: „Nie mogę dłużej nosić tych butów, mamusiu, porobiły się w nich dziury i podczas deszczu wlewa się do nich woda”.

„Jeśli jesteś taka jak ja, przywykniesz”, było jedyną reakcją rodzicielki. Te słowa – „taka jak ja” – nadały nowy kierunek jej życiu.

Następnego dnia zabrała się do dzieła. Projekt „Nie bądź nudziarzem” polegał na tym, że dorabiała sobie, pomagając sąsiadom z podupadającego domu, w którym obie z mamą mieszkały. Karmiła koty starej pani Teabody spod 4A, czyściła kuchnię pani Mauk, wносиła siatki pani Parmeter spod 6C. Każda z nich płaciła Lauren dolara, a ona za zaoszczędzone pieniądze kupiła szkła kontaktowe i nowe ubrania. „Masz najpiękniejsze piwne oczy, jakie kiedykolwiek widziałem”, powiedział jej optyk. Gdy już upodobniła się do otoczenia wyglądem, dostosowała do niego także zachowanie. Zaczęła od uśmiechów, potem przeszła do gestów. Zgłaszała się na ochotnika do wszystkiego, gdzie tylko nie była wymagana zgoda rodziców. Ciężka praca nad sobą opłaciła się: kiedy rozpoczęła naukę w szkole średniej, czuła, że zasłużyła na Fircrest Academy, katolicką szkołę, w której nosiło się mundurki. Tutaj musiała starać się jeszcze bardziej. W dziewiątym roku nauki została wybrana na przewodniczącą klasy i pełniła tę funkcję przez kolejne lata aż do ukończenia szkoły. Odpowiadała za organizację potańcówek, wykonanie corocznych zdjęć klasowych, zarządzała uczniowskim gronem, a poza tym zdobywała odznaki i wyróżnienia w zawodach gimnastycznych i meczach siatkówki. W Davidzie zakochała się już cztery lata temu i od tamtej pory byli nierozłączni.

Lauren wbiła wzrok w tłum zgromadzony na sali.

Wyglądało na to, że jest jedyną osobą, której nie towarzyszą rodzice. Niby przyzwyczała się do tego, ale uśmiech powoli zniknął z jej twarzy. Oglądała się za siebie, zerkając na maszt z flagą, pod którym mamy wciąż nie było.

- Jak tam Trixie, jesteśmy gotowi? – David ścisnął jej dłoń.

To zdrobniałe przezwisko przywróciło jej uśmiech. Wiedział, jak jest zdenerwowana. Pochyliła się i wyciągnęła do niego rękę.

- Speed Racer, chodźmy!

- Masz długopis i kawałek papieru, Lauren? – Pani Haynes wyrosła nagle za nimi.

– Tak, proszę pani – odpowiedziała dziewczyna. Poczuli się zakłopotani tym, że proste pytanie miało dla niej tak wielkie znaczenie.

– Ja nie mam długopisu – rzucił David, szczerząc zęby w uśmiechu.

Pani Haynes dała mu coś do pisania i poprowadziła ich naprzód. Wmieszali się w główny nurt i jak zwykle ludzie rozstępowali się przed nimi. Byli parą starszych uczniów, którą najprawdopodobniej wiązało trwałe uczucie. Koledzy pozdrawiali ich przyjaźnie.

Przechodzili od stoiska do stoiska, przeglądając materiały promocyjne, literaturę i zagadując przedstawicieli firm. David jak zawsze robił, co mógł, by pomóc Lauren. Opowiadał każdemu o jej wysokich ocenach i osiągnięciach. Był przekonany, że zaraz pojawią się niezliczone propozycje stypendialne. W jego świecie wszystko przychodziło łatwo, również wiara w szczęśliwe zakończenia.

Zatrzymał się przed punktem Ivy League.

Gdy Lauren spojrzała na fotografie tych wszystkich szacownych zabudowań miasteczek uniwersyteckich, zebrało jej się na mdłości. Modliła się, by David nie zechciał studiować na Harvardzie lub Princeton. Nie czułaby się w tych miejscach dobrze i nawet gdyby ją zaakceptowano, wolała tam nie jechać, przerażała ją bowiem sala, gdzie uczyłyby się dziewczęta o imionach brzmiących jak nazwy produktów żywnościowych, których rodzice wierzą w edukację. Mimo to posłała w stronę pilnującego stoisko najmiłszy ze swoich uśmiechów i wzięła broszurkę. Dziewczyna taka jak ona zmuszona jest zawsze robić dobre wrażenie. W jej życiu nie było miejsca na popełnienie błędu.

Wreszcie skierowali się w stronę szczytu marzeń uczniów szkół średnich.

Stoisko Stanforda.

Z przodu dobiegał rozwlekły głos pani Haynes kroczącej na czele:

– ...Skrzydło nazwane na cześć twojego dziadka...

Lauren się potknęła. Tylko siłą woli zdołała utrzymać właściwą postawę i zachować uśmiech.

David pójdzie pewnie na uniwersytet Stanforda, tam gdzie studiowali jego rodzice, a wcześniej dziadek. Jedyna uczelnia na Zachodnim Wybrzeżu, która na zasadzie wyjątku dołączyła do Ivy League. Wysokie oceny to za mało, by się tam dostać, nawet zdany świetnie SAT[*] nie dawał gwarancji przyjęcia.

Nie ma szans, żeby Stanford przyznało jej stypendium.

David mocniej ścisnął jej rękę. Uśmiechnął się, patrząc na nią. „Uwier”, mówił ten uśmiech.

Pragnęła tego.

– To mój syn, David Ryerson Haynes. – Pani Haynes dokonała prezentacji.

„Jak Ryerson-Haynes Paper Company”.

Nie musiała tego oczywiście dodawać. Takie przedstawienie syna byłoby w złym guście i zupełnie niepotrzebne.

– A to Lauren Ribido – powiedział David, nie puszczać ręki Lauren. – Będzie największym skarbem uczelnianego grona Stanforda.

Pan prowadzący wstępną rekrutację uśmiechnął się do Davida.

– Tak więc, młody człowieku, zamierzasz iść w ślady rodziny. Bardzo dobrze! Na Stanfordzie jesteśmy dumni z... – Głos przedstawiciela uniwersytetu jakby oddalał się od Lauren.

Stała tuż obok Davida, ściskając jego dłoń tak mocno, że aż ją palce bolały. Czekwała cierpliwie na swoją kolej, ale rekrutujący nowych studentów w ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

*

Autobus gwałtownie zatrzymał się na przystanku. Lauren chwyciła plecak z podłogi

i pospieszyła do przedniego wyjścia.

– Miłego wieczoru – powiedział do niej kierowca.

Dziewczyna pomachała mu na do widzenia i ruszyła Main Street. W tym turystycznym centrum West Endu wszystko lśniło i wabiło urodą. Wiele lat temu, gdy przemysł drzewny i przedsiębiorstwa związane z połowem ryb zaczęły mieć kłopoty, radni postanowili przywrócić miastu świetność, stawiając na wiktoriański urok. Połowa budynków w mieście pasowała do projektu od razu, pozostałe zaś szybko przekształcano. Rozpoczęto kampanię w całym stanie (przez rok liczyło się tylko to, zarząd obciął wydatki na drogi, szkoły i służby miejskie) i tak narodził się West End – „wiktoriańska brama na wybrzeże”.

Kampania chwyciła. Turyści napływali, zachęceni ofertą noclegu ze śniadaniem i rozrywkami plażowymi, takimi jak budowa zamków z piasku, puszczenie latawców czy też zawody w łowieniu ryb. Miasteczko stało się celem samym w sobie, a nie było już tylko miejscowością, gdzie nikt się nie zatrzymywał, na trasie z Seattle do Portland.

Tak głębokie zmiany nie zaszły w całym West Endzie, nadal istniały tam zapomniane miejsca i zaułki nieodwiedzane przez turystów ani nawet mieszkańców. W tych częściach miasta ludzie żyli w mieszkaniach bez ozdób i ochrony. Tak właśnie wyglądała dzielnica Lauren.

Skręciła z Main Street i szła dalej.

Z każdym krokiem otoczenie wyglądało na coraz bardziej podupadłe, ponure i zaniedbane. Na budynkach nie było ozdóbek inspirowanych stylem wiktoriańskim ani reklam zachęcających do spędzenia nocy w staroświeckim pensjonacie z ofertą *bed-and-breakfast* czy przelotu hydroplanem. Tutaj żyli sami „weterani” – ludzie pracujący niegdyś w tartakach lub rybacy. Ci, którzy nie załapali się na falę zmian i zostali zmyci do ciemnego, grząskiego bagna. Jedyne neon, jaki wnosił trochę światła, był reklamą alkoholu.

Lauren szła żwawym krokiem, patrząc przed siebie. Dostrzegała każdy najmniejszy ruch, słyszała każdy szelest, ale się nie bała. Na tej ulicy czuła się u siebie już od ponad sześciu lat. Chociaż większość sąsiadów można było zaliczyć do pechowców, potrafili troszczyć się o siebie nawzajem, a że uznali małą Lauren za swoją, mogła na nich liczyć.

Sześciopiętrowy blok, w którym mieszkała, stał pośród zdziczałych krzewów porzeczek i salalu. Pokrywał go szary od brudu, miejscami odpadający tynk. Jediną oznakę życia stanowiło światło w oknach.

Lauren pokonała kilka trzeszczących stopni i popchnęła drzwi frontowe (zamek wyłamany został pięciokrotnie w zeszłym roku i administratorka budynku odmówiła zamontowania kolejnego), po czym zaczęła wchodzić po zniszczonych stopniach.

Wstrzymała oddech, przekradając się koło mieszkania administratorki. Już je prawie mijiała, gdy usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi.

– Lauren, czy to ty?

Niech to diabli, pomyślała, ale się odwróciła.

– Dobry wieczór, pani Mauk – powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

„Mów mi Dolores, kotku”, zadźwięczało Lauren w uszach. Pani Mauk wkroczyła do ciemnego korytarza. Światło, które przedostawało się przez uchylone drzwi, nadawało jej twarzy błady, złowieszczy wygląd, choć kobieta jak zawsze się uśmiechała. Miała na sobie jak zwykle kwiciastą domową sukienkę, a na siwiejących włosach chustę. Tworzyło to razem dość osobliwy wizerunek, a ona sprawiała wrażenie zgnębionej. Garbiła się pod ciężarem życiowych doświadczeń, co można powiedzieć, było typową postawą w okolicy.

– Byłam dzisiaj w salonie fryzjerskim – zaczęła pani Mauk.

– Uhm...

– Twoja mama nie pojawiła się w pracy.

– Jest chora.

– Kolejny nowy chłopak, co? – Pani Mauk cmoknęła współczująco. Lauren nie zamierzała odpowiadać.

– Może tym razem to będzie miłość? Tak czy siak, zalegacie z czynszem. Pieniądze są mi potrzebne i musicie zapłacić najpóźniej do piątku – kontynuowała pani Mauk.

– W porządku. – Lauren nie była w stanie dłużej się uśmiechać.

– Marzniesz w tym płaszczu, powiedz mamie... – Pani Mauk posłała jej swoje słynne spojrzenie.

– Dobrze, powiem. Do widzenia! – Szybko wspięła się po schodach na czwarte piętro. Drzwi były uchylone. Światło przedostawało się przez szparę i ukosem wpadało do środka, rzucając smugę na linoleum na korytarzu.

Lauren nie zaniepokoiła się. Matka rzadko pamiętała o zamykaniu drzwi wejściowych, nie mówiąc już o zamykaniu ich na klucz. Nigdy tego nie robiła, zbyt często gubiła klucze i zawsze tym się usprawiedliwiała.

Dziewczyna weszła do środka.

Wewnątrz panował okropny bałagan. Pudełko po pizzy leżało na stole, za nim kolekcja butelek po piwie. Opakowania po chipsach wałyły się wszędzie. W pokoju śmierdziało papierosami i potem.

Mama leżała skulona na sofie. Spod warstw koców, którymi nakryta była aż po głowę, dobiegało przytłumione chrapanie.

Lauren z westchnieniem weszła do kuchni i zabrała się do sprzątanía. Kiedy skończyła, podeszła do kanapy i uklękła przy matce.

– Wstań, pomogę ci przejść do łóżka.

– Co? Gdzie? – Pani Ribido usiadła nieprzytomna, miała zapuchnięte oczy. Potargane, krótkie włosy, w tym miesiącu ufarbowane na platynowo, sterczały każdy w inną stronę wokół bladej twarzy. Drżącą ręką sięgnęła po piwo. Wypiła duży łyk i odstawiła butelkę na stół tak niefortunnie, że ta przechyliła się, a zawartość wylała się na podłogę.

Wyglądała jak połamana lalka z wykrzywioną twarzą. Porcelanową bladość podkreślała mascara, która rozmazała jej się wokół oczu. Wyzierał spod niej nikły ślad dawnej, niegdyś wielkiej urody niczym złota dekoracja na zakurzonym chińskim talerzu.

– Zostawił mnie – powiedziała.

– Kto, mamó?

– Cal. A przysięgał, że kocha.

– Taaak... oni zawsze tak mówią, wszyscy są tacy sami. – Lauren postawiła przewróconą butelkę. Zastanawiała się, czy są papierowe ręczniki, w które mogłoby wsiąknąć rozlane piwo. Pewnie nie ma. Wypłata mamy ostatnio była coraz skromniejsza. Pani Ribido zarzekała się, że winny jest kryzys, który spowodował, że mniej klientek odwiedza Hair Apparent Beauty Salon, zakład fryzjerski, gdzie pracowała. To była zapewne połowa prawdy, jej dopełnieniem zaś pub The Tides, odległy kilkanaście metrów od salonu.

– Znowu patrzysz na mnie w ten sposób. – Mama sięgnęła po papierosa i zapaliła. – To twoje cholerne spojrzenie mówiące, że matka jest nieudacznikiem.

Lauren usiadła na stoliczku do kawy. Choćby nie wiem jak się starała nie pokazywać tego po sobie, doskwierało jej to. Zawsze, jak się okazywało, wymagała zbyt wiele od matki. Kiedy się wreszcie nauczy? Ciągłe rozczarowania ją dobijały.

– Dzisiaj odbyło się spotkanie informacyjne na temat college'u.

– Miało być we wtorek. – Pani Ribido zaciągnęła się papierosem i wypuściła obłok dymu.

– Dzisiaj jest wtorek, mamó.

– O kurczę! – Pani Ribido padła z powrotem na sofę w kolorze awokado. – Przepraszam, kochanie. Straciłam ostatnio rachubę czasu. – Znowu wydmuchnęła chmurę dymu, która poleciała ukosem. – Siądź przy mnie.

Lauren zrobiła to szybko, bojąc się, że matka zmieni zdanie.

– Jak poszło?

– Poznałam wspaniałego faceta z USC. Poradził mi, bym poszukała rekomendacji jakiegoś absolwenta. Znam nawet kogoś, kto mi ją napisze. – Lauren przytuliła się do matki i westchnęła.

– Oby to był ktoś, kto zapłaci rachunki.

Pani Ribido powiedziała to twardym głosem, aż Lauren się wzdrygnęła.

– Na pewno dostanę stypendium, zobaczysz!

Matka zaciągnęła się ponownie i obróciła w stronę córki, przypatrując się jej twarzy poprzez mgiełkę dymu papierosowego.

Lauren zebrała się w sobie. Domyślała się, co teraz nastąpi. „Nie dzisiaj. Proszę”, pomyślała pospiesznie.

– Też myślałam, że dostanę stypendium, wiesz o tym.

– Proszę, nie zaczynaj znowu. Porozmawiajmy o czymś innym. Mam świadectwo z wyróżnieniem i notą A+. – Dziewczyna próbowała wstać, ale matka trzymała ją mocno za rękę.

– Miałam dobre oceny. Sukcesy w biegach i koszykówce. Wyniki testów co najmniej dobre. I byłam piękna. Mówili, że wyglądam jak Heather Locklear. – Jej brązowe oczy pociemniały.

– Wiem. – Lauren westchnęła, odsuwając się nieco.

– I wtedy wybrałam się na tańce do Sadie Hawkins z Thadem Marlowe'em.

– To był poważny błąd. Wiem o tym.

– Kilka pocałunków, parę drinków z tequilą i znalazłam się z zadartą sukienką. Nawet nie przypuszczałam, jak się to dla mnie skończy. Cztery miesiące później byłam studentką z brzuchem, szukającą sukienek ciążowych. Żadnego stypendium ani przyzwoitej pracy. Koniec marzeń o nauce. Gdyby jeden z twoich ojczymów nie pomógł mi, płacąc za kurs fryzjerski, wyładowałabym pewnie na ulicy i żywiła się resztkami, które inni wyrzucają. Tak więc uważaj, panienko...

– Nie rozkładaj nóg. Dobrze wiem, mamo, jak zrujnowałam ci życie – weszła jej w słowo Lauren.

– „Zrujnowałaś”. To brzmi okrutnie. Nigdy tak nie mówiłam.

– Ciekawa jestem, czy ma inne dzieci? – Lauren zadawała sobie to pytanie za każdym razem, gdy rozmawiały o ojcu. Nie mogła się powstrzymać i wydawało jej się, że zna odpowiedź.

– Skąd mam wiedzieć? Uciekł ode mnie jak od zarazy.

– Chciałam po prostu się dowiedzieć, czy mam krewnych, to wszystko.

– Uwierz mi, rodzina jest przereklamowana. Zdają się mili, dopóki czegoś nie schrzaniisz, a potem łamią ci serce. W ogóle nie ma co liczyć na ludzi, córeczko.

– Chciałam tylko... – zaczęła Lauren, bo już wielokrotnie to słyszała.

– Nie mów dalej. To cię zrani.

Lauren spojrzała na matkę.

– Taaak... wiem – odpowiedziała zmęczonym głosem.

* SAT (Scholastic Assessment Test) – sprawdzian wiedzy uczniów szkół średnich. Jest brany pod uwagę przy selekcji kandydatów na studia (przyj. red.).

4

Przez następne kilka dni Angie robiła to, na czym znała się najlepiej. Rzuciła się w wir pracy, budziła długo przed świtem i przez cały dzień zajmowała się przygotowywaniem strategii biznesowej. Obdzwaniała znajomych i byłych klientów, każdego, kto kiedykolwiek miał do czynienia z prowadzeniem restauracji lub firmą cateringową, a następnie skrupulatnie zapisywała ich rady. Dwukrotnie dokładnie przeczytała księgi rachunkowe, żeby wiedzieć o każdym zarobionym dolarze i wydanym cencie. Kiedy ten etap miała za sobą, pojechała do biblioteki, gdzie wybrała interesujące ją książki i artykuły i godzinami je studiowała. Wreszcie, korzystając z czytnika do mikrofilmów, przejrzała materiały archiwalne.

O szóstej pani Martin, bibliotekarka, która musiała być wiekowa już wtedy, gdy Angie otrzymała pierwszą kartę biblioteczną, zgasiła światło.

Angie uzyskała wskazówki i potrzebne informacje. Zaniósła naręcza książek do samochodu, zawiozła do domu, a potem do późna czytała. Zasnęła na sofie, co było nieskończenie lepszym rozwiązaniem od nocy spędzonej samotnie w łóżku.

W ciągu tych dni rodzina wydzwaniała do niej z regularnością szwajcarskiego zegarka. Angie starała się być uprzejma, więc za każdym razem przez chwilę rozmawiała, zanim się rozłączyła. Wszystkim obiecywała, że da znać, jak tylko będzie gotowa obejrzeć restaurację.

Mama komentowała to gderliwie, że bez praktyki nie ma nauki. Angie odpowiadała, że dopóki nie przyswoi sobie teorii, nie ruszy z praktyką.

– Zawsze miałaś obsesję. Trudno cię zrozumieć.

Podsumowanie wymiany zdań przez mamę nie odbiegało zbyt wiele od prawdy i Angie zdawała sobie z tego sprawę. Zawsze gdy nad czymś pracowała, koncentrowała się na zadaniu niczym wiązka lasera. Żadnych półśrodków, żadnej połowiczności, taryfy ulgowej. To ją wyniszczało. Na przykład gdy raz zapragnęła dziecka, nie mogła przestać o nim myśleć, a czarne chmury zbierały się nad jej głową. Nieustające starania, by zająć w ciężę, rujnowały jej życie.

Mimo że miała już tego świadomość, nie wyciągała z tej wiedzy nauki. Zachowywała się wciąż tak samo. Skoro się czegoś podejmowała, za wszelką cenę musiała odnieść sukces.

W rzeczywistości – a szczerą była ze sobą tylko podczas ciemnych nocy – wiedziała, że lepiej było planować postawienie restauracji na nogi, niż rozpamiętywać porażki i błędy, które ją tu przywiodły.

Mimo że bardzo się starała, trudno jej było zapomnieć o przeszłości. Gdy czytała o technikach marketingowych i zarządzaniu, co jakiś czas powracały bolesne wspomnienia.

„Sophie będzie u nas od dzisiaj nocowała”.

„Conlan tak lubił tę piosenkę”.

Przypominało to chodzenie boso po rozbitym szkle. Usuwała odłamki ze stopy, ale ból pozostawał. W takich chwilach podwajała wysiłki.

Do popołudnia w środę była kompletnie wyczerpana z niewyspania, ale przygotowania teoretyczne miała zakończone. Wszystkiego, czego mogła się dowiedzieć z lektury i od ludzi, już się dowiedziała. Teraz nadszedł czas, żeby spożytkować tę wiedzę w praktyce.

Odłożyła książki, wzięła gorący prysznic i zastanowiła się, w co się ubrać. Wybrała czarne spodnie i sweter tego samego koloru. Ubranie nie mogło rzucać się w oczy ani podkreślać wielkomięjskiego stylu życia jego właścicielki.

Pojechała wolno w stronę miasta i zaparkowała przed restauracją. Z notepadem pod ręką wysiadła z samochodu.

Pierwsze, co wpadło jej w oko, to ławka.

– Och... – zdziwiła się. Dotknęła wygiętego oparcia z kutego żelaza i poczuła chłód metalu pod palcami... Ławka wyglądała tak samo jak w dniu, w którym ją kupiły.

Zamknęła oczy i wspomnienia znów zaczęły wracać...

Wszystkie cztery nie mogły się dogadać, jaka piosenka ma zabrzmieć na pogrzebie ani kto będzie ją śpiewał; podobnie wyglądało z nagrobkiem i decyzją, jakiego koloru powinny być róże zdobiące trumnę. Jednak gdy szukając cytrynowych świec mających być oprawą uroczystości pożegnania taty, ujrzały w sklepie tę właśnie ławkę, zapanowała jednomyślność i błyskawicznie doszły do porozumienia.

Pierwsza zatrzymała się mama. „Tata zawsze chciał mieć taką ławkę przed restauracją”.

„Żeby ludzie mogli kłaść na niej pakunki”, dodała Mira, która podeszła wtedy do Angie.

Następnego ranka ławka została postawiona na chodniku i przymocowana. Nigdy nie rozmawiały, czy umieścić na niej pamiątkową tabliczkę z imieniem i nazwiskiem ojca. Taki był zwyczaj w dużych miastach. W West Endzie i tak wszyscy wiedzieli, że ławka należy do Tony’ego DeSarii. Pod koniec tygodnia pojawiło się na niej mnóstwo kwiatów, każdy z nich zostawiony został przez kogoś, kto pamiętał tatę.

Angie wpatrywała się w restaurację, która była jego dumą i radością.

– Utrzymam ją dla ciebie, tato – wyszeptala i chwilę później zdała sobie sprawę, że czeka na odpowiedź. Nic takiego nie nastąpiło. Za plecami słyszała tylko hałas uliczny, przez który przebijał się szum morza.

Zdjęła skuwkę z długopisu, który trzymała w gotowości tuż nad kartką papieru.

Ceglana fasada budynku wymagała naprawy. Mech wyrósł pod okapem. Dachówki wypadały. W czerwonym neonie z napisem „DeSaria’s” brakowało apostrofu i litery „i”.

Angie zaczęła notować:

„Dach

Naprawy zewnętrzne

Brudny chodnik

Mech

Neon”.

Zrobiła parę kroków po schodkach i zatrzymała się przed drzwiami frontowymi. Na ścianie wisiała oszklona gablotka z menu. Spaghetti z klopsikami mięsnymi – siedem dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów. Lasagne serwowana z pieczywem i sałatką – sześć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów.

Nie ma się co dziwić, że tracimy pieniądze, pomyślała i dopisała:

„Ceny

Menu”.

Otworzyła drzwi. Zadźwięczał dzwonek. W powietrzu unosił się intensywny zapach czosnku, tymianku, duszonych pomidorów i pieczonego chleba.

Cofnęła się w czasie. Przez dwadzieścia lat nic się nie zmieniło. W słabo oświetlonym pomieszczeniu stały stoły nakryte obrusami w biało-czerwoną kratkę, na ścianach wisiały widoczki z Włoch. Angie miała wrażenie, że za moment zza rogu wyjdzie uśmiechnięty tata, wytrze ręce w fartuch i powie: „Śliczna Angelino, wróciłaś do domu”.

– Ho, ho. To naprawdę ty. Już się martwiłam, że wywróciłaś się na schodkach w domku i nie dałaś rady wstać – powitała ją Livvy.

Angie zamrugała powiekami i przetarła oczy.

Siostra stała przy stoliku recepcyjnym, ubrana w dopasowane czarne dżinsy i koszulkę bez rękawów w tym samym kolorze, a na nogach miała klapki w stylu Barbie. Napięcie opadało z Angie falami. Wydawało się, że znowu są dziećmi walczącymi, które pierwsze użyje sprayu Baby Soft.

– Przyszłam pomóc – odezwała się Angie.

– Pechowo się składa, że nie potrafisz gotować ani nie pracowałaś w restauracji, od kiedy przestałaś nosić aparat korekcyjny na zębach. Nie. Poczekaj. Ty nigdy tutaj nie pracowałaś – powiedziała siostra.

– Nie kłóćmy się już, Livvy.

– Wiem. Nie chcę zachowywać się jak świnia. Jestem po prostu zmęczona tymi wszystkimi bzdetami. Pieniądze wyciekają z restauracji, a mama potrafi jedynie przygotować więcej lasagne. Mira narzeka na mnie, ale kiedy proszę ją o pomoc, odpowiada, że nie zna się na rachunkach, tylko na gotowaniu. I kto się zgłasza na ochotnika? Ty, księżniczka tatusia. Nie wiem, czy powinnam się śmiać, czy płakać? – Livvy westchnęła. Wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę i zapaliła papierosa.

– Nie będziesz tu chyba palić?

– Zupełnie jak ojciec. – Livvy przestała się zaciągać i wyrzuciła papierosa do szklanki w połowie wypełnionej wodą. – Idę zapalić na zewnątrz. Zawiadom mnie, jak znajdziesz wyjście z sytuacji.

Angie spoglądała za wychodzącą na dwór siostrą, po czym skierowała się w stronę kuchni, gdzie mama zajęta była wykładaniem lasagne do wielkich brytfann. Mira stała tuż obok niej i przygotowywała klopsiki na ogromnej blasze, niewiele chyba mniejszej od łóżka. Gdy Angie weszła, Mira spojrzała na nią i przywitała ją uśmiechem.

– Angie! – Mama otarła twarz, rozsmarując sobie na policzku sos pomidorowy. Pot ściekał jej z czoła. – Jesteś gotowa do lekcji?

– Mało prawdopodobne, żebym ocaliła restaurację, ucząc się gotować. Będę robiła notatki.

– Notatki? – Uśmiech zastygł mamie na ustach. Spojrzała z przestachem na Mirę, która ledwie wzruszyła ramionami.

– Zapisuję to, co można usprawnić z biznesowego punktu widzenia.

– I zaczynasz od mojej kuchni? Tata, niech spoczywa w pokoju, uwielbiał...

– Uspokój się, mamó. Po prostu sprawdzam różne rzeczy.

– Pani Martin powiedziała, że przeczytałaś wszystkie publikacje, jakie znalazłaś w bibliotece na temat prowadzenia restauracji – wtrąciła Mira.

– Przypomnij mi, żebym nie wypożyczała w tym mieście żadnego filmu dozwolonego od lat osiemnastu – odparła Angie z uśmiechem.

– Ludzie zwracają tu na siebie uwagę, Angelo. I jest to właściwe – obruszyła się pani DeSaria.

– Nie zaczynajmy, mamó. Tylko żartowałam.

– Mam nadzieję. Jeśli chcesz pomóc, naucz się gotować – zaproponowała mama, poprawiając okulary, i przypatrywała się badawczo córce poprzez szkła, które powiększały jej piwne oczy.

– Tata nie umiał.

Mama zamruwała powiekami, prychnęła i zajęła się wykładaniem ricotty wymieszanej z pietruszką na warstwę makaronu.

Mira i Angie wymieniły spojrzenia.

Sytuacja wygląda gorzej, niż Angie myślała. Będzie musiała postępować wyjątkowo

ostrożnie. Poirytowana Livvy to jedno. Ale wkurzona mama to zupełnie coś innego. Alaska zimą jest cieplejsza od rozżalonej pani DeSaria.

Angie pochyliła głowę, przyglądając się notatkom, ale czuła na sobie wzrok dwóch par oczu. Minęła chwila, zanim zebrała się na odwagę i zapytała:

– Od jak dawna nie zmienialiście menu?

– Od lata, gdy wyjechałam na obóz harcerski. – Mira uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Bardzo zabawne – prychnęła mama – Udoskonalamy je. Nasi stali klienci uwielbiają każde danie.

– Ależ ja nie sugeruję, że jest inaczej. Jestem zwyczajnie ciekawa, kiedy ostatni raz wprowadzyliście zmiany w jadłospisie?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku.

Angie podkreśliła słowo „menu” na swojej liście. Może nie знаła się na prowadzeniu restauracji, ale sporo wiedziała o tym, co się jada na kolację. Zmieniające się propozycje w karcie dnia przyciągają ludzi.

– Czy macie w ofercie danie wieczoru?

– Każda z potraw jest daniem wieczoru. To nie centrum Seattle, Angelo. Robimy tutaj wszystko po swojemu. Tata, niech spoczywa w pokoju, uważał, że tak jest dobrze. – Mama wysunęła podbródek. Temperatura w kuchni spadła o kilka stopni. – Lepiej zrobimy, jak wrócimy do pracy. – Szturchnęła łokciem Mirę, która wróciła do formowania kulek z mięsa.

Angie zrozumiała, że została zwolniona. Odwróciła się i weszła do pustej sali. Zobaczyła tam Livvy rozmawiającą z Rosą, która pracę kelnerki rozpoczęła już w latach siedemdziesiątych. Angie pomachała im i poszła na górę.

W biurze ojca było spokojnie. Zatrzymała się na moment w wejściu i pozwoliła, by wróciły wspomnienia. W jej pamięci tata wciąż tam siedział przy wielkim, dębowym biurku, jakie kupił podczas aukcji w klubie rotariańskim, i ślęczał nad rachunkami.

„Angelino, wejdź, nauczę cię rachunkowości.

Ale ja wybieram się do kina, tato.

Leć sobie, leć, oczywiście. Przyślij do mnie Oliwię”.

Westchnęła ciężko i podeszła do biurka. Usiadła w fotelu taty, sprężyny zatrzeszczały pod jej ciężarem.

Kilka następnych godzin wnikliwie czytała, uczyła się i robiła notatki. Przeglądała raz i drugi stare księgi rachunkowe, rejestry podatkowe i odręczne zapiski ojca na temat działalności biznesowej. Kiedy odłożyła ostatni tom, wiedziała już, że mama miała rację. Rodzina DeSaria była w kłopotcie. Dochody stopniały niemal do zera. Przetarła oczy i zeszła na dół.

Była godzina siódma.

Serwowanie kolacji rozpoczęło się już jakiś czas temu. W restauracji było niewielu gości: państwo Petrocelli i rodzina Schmidtów.

– Czy zawsze jest taki zastój? – Angie zapytała Livvy, która stała za stolikiem recepcyjnym, wpatrując się w lakier na paznokciach. Na jasnoczerwonym tle wymalowane były różowe gwiazdki.

– Ostatniej środy mieliśmy troje klientów w ciągu całego wieczoru. Może zechcesz zapisać. Wszyscy zamówili lasagne, jeśli cię to interesuje.

– Mieli wybór jak ci dzisiaj.

– Od tego zaczęli.

– Nie krytykuję cię, Liv. Po prostu próbuję pomóc.

– Chcesz pomóc? Proszę bardzo, zastanów się, jak przyciągnąć klientów. Albo z czego zapłacić pensję Rosie Contadori. – Livvy zerknęła na starszą kelnerkę, która poruszała się nie

szybciej od lodowca, niosąc za każdym razem po jednym talerzu.

- Można wprowadzić zmiany – powiedziała możliwie najdelikatniej, jak potrafiła, Angie.
- Niby jakie? – zapytała siostra, stukając pomalowanym na czerwono paznokciem o zęby.
- Menu. Reklama. Wystrój. Ceny. Wasze płatności to jeden wielki chaos, podobnie

zamówienia. Marnujecie masę jedzenia.

- Musisz przygotować dania dla gości, nawet jeśli się nie pojawią.
- Ja tylko próbuję powiedzieć...
- Że wszystko robimy źle. – Livvy podniosła głos tak, żeby mama mogła ją usłyszeć.
- Co się dzieje? – zapytała pani DeSaria, wychodząc z kuchni.
- Angie posiedziała pół dnia w restauracji, mamo. Wystarczająco długo, by się

zorientować, że nie mamy pojęcia o tym, co robimy.

Pani DeSaria przyglądała się córkom przez moment, po czym obróciła się, skierowała w stronę okna w rogu sali i zaczęła mówić do zasłony.

– O Boże, poszła poradzić się taty. – Livvy przewróciła oczami. – Jeśli nieboszczyk nie poprze mnie, idę sobie stąd.

Wreszcie mama wróciła.

- Tata mówi, że uważasz, iż menu nie jest odpowiednie.
- Nie powiedziałam, że jest złe – odparła Angie, choć w rzeczywistości właściwie tak uważała. – Tylko że mogłoby się zmienić. To może być dobry pomysł.
- Wiem – przyznała mama. Skrzyżowała ręce, a usta wygięły jej się w podkówkę.

Spojrzała na Livvy. – Tata sądzi, że powinniśmy posłuchać Angie.

– Pewnie, że powinniśmy, skoro córeczka tatusia tak mówi. – Siostra spojrzała na Angie. – W ogóle nie muszę się tym zajmować. Mam nowego męża, który prosi mnie, bym nocowała w domu, żebyśmy mogli zrobić sobie dzidziusia.

Strzała trafiła do celu. Angie się wzdrygnęła.

– To właśnie zamierzam zrobić. – Livvy poklepała ją po plecach. – Powodzenia z restauracją, siostrzyczko. Wszystko jest twoje. Pracujesz w nocy i w weekendy. – Obróciła się na pięcie i wyszła.

Angie odprowadzała ją wzrokiem, zaskoczona, że tak szybko wszystko się popsuło.

- Ja tylko powiedziałam, że trzeba parę rzeczy zmienić.
- Ale nie menu. – Mama skrzyżowała ręce. – Ludzie uwielbiają moją lasagne.

*

Lauren wpatrywała się w pytanie, jakie miała przed sobą:

„Mężczyzna porusza się przez dziewięć i pół kilometra z prędkością sześć i pół kilometra na godzinę. Z jaką prędkością powinien poruszać się przez następne dwie i pół godziny, żeby osiągnąć przeciętną prędkość dziewięciu i pół kilometra na całej trasie?”

Odpowiedzi rozmazywały jej się przed zmęczonymi oczami.

Odsunęła się od stołu. Miała dość. Przygotowania do zdania SAT-u zabrały tak wiele czasu, że zaczęła miewać migreny. Nie wyjdzie jej na dobre, jeśli zda go świetnie, ale będzie przesypiała lekcje ze zmęczenia.

Test jest za dwa tygodnie, pomyślała.

Z westchnieniem wróciła do stołu i wzięła do ręki ołówek. Już w zeszłym roku przystąpiła do SAT-u i miała dobre wyniki. Tym razem spodziewała się tysiąca sześciuset punktów. Dla dziewczyny takiej jak ona każdy punkt miał znaczenie.

Do czasu kiedy godzinę później usłyszała alarm z piekarnika, miała gotowe pięć stron testu praktycznego. Liczby, słowa, równania geometryczne kłębiły jej się w głowie jak

wpadające na siebie olbrzymie statki kosmiczne z *Gwiezdnych wojen*.

Weszła do kuchni, żeby przygotować obiad przed pracą. Mogła wybrać pomiędzy miską Raisin Bran i jabłkiem z masłem orzechowym. Zdecydowała się na jabłko. Kiedy skończyła jeść, włożyła czarne spodnie i duży różowy sweter. Nie miało to większego znaczenia, bo góra ubrania i tak schowa się pod służbowym fartuchem z Rite Aid. Chwyciła plecak, tak na wszelki wypadek, gdyby podczas przerwy na lunch udało jej się skończyć ćwiczenie z trygonometrii, i wybiegła z mieszkania.

Zeszła szybko po schodach i gdy już prawie trzymała w ręku klamkę od drzwi wejściowych, usłyszała głos:

– Lauren?

O kurczę! – przekląła w duchu, ale zatrzymała się i odwróciła.

Pani Mauk stała w progu mieszkania ze zmarszczonymi brwiami. Zmęczenie wykrzywiło jej kąciki ust, które opadały w dół. Zmarszczki na czole wyglądały jak pomalowane.

– Wciąż czekam na zaległy czynsz – oświadczyła.

– Wiem. – Dziewczyna starała się opanować głos.

– Przykro mi, Lauren. – Pani Mauk zbliżyła się do niej. – Wiesz, że usiłuję być cierpliwa, ale musicie zapłacić. Z tego żyję, inaczej...

Dziewczyna poczuła, jakby uszło z niej powietrze. Będzie musiała poprosić szefa o zaliczkę. Nienawidziła tego.

– Dobrze, powiem mamie.

– Zrób to.

– Jesteś dobrym dzieckiem, Lauren – usłyszała, zbliżając się do drzwi. Pani Mauk zawsze tak mówiła, gdy zmuszona była upominać się o pieniądze. Dziewczyna nigdy nie odpowiadała, tylko szła dalej, tym razem wyszła w deszczową, granatową noc.

Dwukrotnie zmieniała autobus, żeby dotrzeć na autostradę, przy której znajdowała się całodobowa apteka Rite Aid, widoczna z daleka dzięki jasnemu neonowi. Lauren spieszyła się do pracy, chociaż nie była spóźniona. Nawet kilka dodatkowych minut na karcie pracy mogło działać na jej korzyść.

– O, Lauren – zawołała na jej widok farmaceutka Sally Ponocheck. Jak zwykle mrużyła oczy. – Pan Landers chce cię zobaczyć.

– Okej. Dzięki. – Weszła do pokoju, w którym pracownicy jedzą lunch, zostawiła rzeczy i skierowała się po schodach na górę do małego, wypełnionego zapasami pokoiku kierownika. Przez całą drogę układała sobie w głowie, w jaki sposób zwróci się do niego o pieniądze: „Pracuję tutaj już od roku, w każde święto jestem w aptece, wie pan o tym. Przyjdę również w Święto Dziękczynienia i na Boże Narodzenie. Czy byłoby możliwe, żebym mogła otrzymać zapłatę za ten tydzień z góry?”

– Chciał się pan ze mną zobaczyć. – Starła się uśmiechnąć na powitanie.

– A, Lauren, tak. – Spojrzał na nią znad papierów leżących na biurku. Ręką przecesał z zakłopotaniem rzednące włosy na bok. – Ciężko mi to mówić, ale musimy cię zwolnić. Sama wiesz, jaki jest teraz zastój w interesie. Prawdopodobnie apteka zostanie zamknięta. Tutejsi ludzie nie chcą robić zakupów w sieciowym sklepie. Przykro mi.

– Zwalnia mnie pan? – Minęła chwila, zanim to do niej dotarło.

– Formalnie wysyłamy cię na coś w rodzaju urlopu czasowego. Jeśli sytuacja się poprawi... – Niesprecyzowana obietnica zawisła w powietrzu. Oboje wiedzieli, że pewnie nic się nie zmieni. Wręczył jej list. – To rekomendacja, najlepsza, jaką umiałem napisać. Przykro mi, że cię tracę, Lauren.

*

Dom był zbyt spokojny.

Angie stała przy kominku i wpatrywała się w nieruchomą przestrzeń oceanu. Ciepło promieniowało do jej stóp, ale nie sięgało wyżej. Skrzyżowane ramiona wciąż pozostawały zimne.

Była dopiero ósma trzydzieści, za wcześnie, by kłaść się spać.

Odwróciła się od okna i spojrzała tęsknie na schody. Gdyby tylko mogła cofnąć czas o kilka lat i usypiać jak kiedyś bez kłopotu.

Bez obejmujących ją ramion Conlana było trudno. Nie sypiała samotnie tyle lat, że zapomniała, jak duży może być materac, ale również, ile ciepła daje ciało ukochanej osoby.

Nie było szansy, żeby usnęła dziś w nocy, nie da rady.

Pragnęła słuchać jakichś dźwięków. Czegoś, co przybliżałoby ją do życia.

Schyliła się, zgarnęła klucze ze stolika kawowego, i skierowała do drzwi.

Piętnaście minut później parkowała samochód na podjeździe u Miry. Mały dwupiętrowy dom, jakby wciśnięty w działkę o niewielkiej powierzchni, otoczony był domami o podobnych rozmiarach. Zabawki, rowery i deskorolki leżały rozrzucone na podwórku.

Angie siedziała przez minutę, ściskając kierownicę. Nie mogła tak po prostu wpaść do Miry o dziewiątej wieczorem. Nie wypadało.

Lecz jeśli stąd odjedzie, to dokąd się uda? Wróci do pustego domu, do mrocznej krainy wspomnień, które lepiej zostawić w spokoju.

Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

Noc zaatakowała ją przenikliwym chłodem. Poczula w powietrzu zapach jesieni.

Nadciągnęła olbrzymia szara chmura i zaczęło kropić.

Przyśpieszyła kroku i za chwilę pukała do drzwi siostry.

Mira otworzyła niemal natychmiast, ubrana w wysłużony sweter i kapcie z wizerunkiem Grincha. Długie włosy opadały jej luźno kaskadami, tworząc po obu stronach niesforną burzę loków.

– Zastanawiałam się, jak długo zamierzasz tkwić w tym samochodzie przed domem? – Uśmiechnęła się smutno.

– Wiedziałaś?

– Chyba żartujesz? Kim Fisk zadzwoniła minutę po tym, jak podjechałaś, Andrea Schmidt jakieś pięć sekund później. Zapomniałaś, jak to jest żyć wśród sąsiadów.

– Ooo... – Angie poczuła się jak idiotka.

– No chodź już. Domyślałam się, że wpadniesz. – Mira poprowadziła ją przez wykładany linoleum przedpokój w stronę pokoju dziennego zdominowanego przez ogromny brązowy regał, na którym stał telewizor. Na dębowym stoliku do kawy czekały dwa kieliszki wypełnione czerwonym winem.

Angie nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Usiadła na sofie i sięgnęła po wino.

– Gdzie są wszyscy?

– Maluchy śpią, starsze dzieci odrabiają prace domowe, a Vince ma dziś w nocy swoje mecze. – Mira wyciągnęła się na kanapie obok siostry i spojrzała na nią.

– I jak?

– Jak z czym?

– Tak sobie po prostu jeździłaś po ciemku?

– Coś w tym stylu.

– Angie, daj spokój. Livvy odeszła. Mama rzuciła ci wyzwanie, a restauracja krwawi.

– Nie zapominaj, że uczyć się żyć sama – rzekła Angie i spróbowała się uśmiechnąć.
– Z tego, co widzę, nie idzie ci najlepiej.
– Masz rację – Wypiła łyk wina. Może nawet ciut więcej. Zupełnie nie miała ochoty rozmawiać o swoim życiu. Za bardzo ją to raniło. – Muszę namówić Livvy do powrotu.
Mira westchnęła, widocznie rozczarowana zmianą tematu.
– Powinnyśmy ci powiedzieć, że ona od dawna nosiła się z zamiarem odejścia.
– Tak? Dobrze wiedzieć.
– Pomyśl pozytywnie. Jedna osoba mniej, by się wkurzać, gdy zaczniesz coś zmieniać.
Z jakiegoś powodu ostatnia uwaga siostry ją dotknęła. Angie odstawiła kieliszek, wstała, po czym podeszła do okna i zaczęła przez nie wyglądać, tak jakby czegoś szukała.
– Angie?
– Nie wiem, do diabła, co się ze mną ostatnio dzieje.
Mira stanęła za nią i dotknęła jej ramienia.
– Musisz ciut zwolnić – powiedziała.
– Co masz na myśli?
– Od kiedy zaczęłaś dorastać, zawsze za czymś goniłaś, czegoś pragnęłaś, chciałaś jak najszybciej wydostać się z West Endu. Biedny Tommy Matucci jeszcze dwa lata po twoim wyjeździe dopytywał o ciebie, ale ty ani razu do niego nie zadzwoniłaś. Potem przemknęłaś przez college i zajęłaś się bez reszty organizowaniem kampanii reklamowych. – Głos jej zmieknął.
– A gdy postanowiliście z Conlanem założyć rodzinę, od razu zaczęłaś sprawdzać dni płodne i przeszliście do dzieła.
– Działo to na mnie dobrze.
– Problem polega na tym, że się pogubiłaś, a wciąż gnasz na pełnej prędkości. Byle dalej od Seattle i zawałonego małżeństwa, w kierunku West Endu i upadającej restauracji. W jaki sposób chcesz się dowiedzieć, na czym ci zależy, jeśli wszystko zamazuje ci się w biegu?
Angie przyglądała się swemu odbiciu w oknie. Skórę miała kredowobiałą, oczy podkrążone, a usta zacięte.
– Co ty wiesz o pragnieniach... – powiedziała z bólem w głosie.
– Mam czwórkę dzieciaków i męża, który kocha kręgle co najmniej tak mocno jak mnie, i nigdy nie miałam szefa, który nie byłby ze mną spokrewniony. Podczas gdy ty wysyłałaś mi kolejne kartki z Nowego Jorku, Londynu i Los Angeles, ja próbowałam zaoszczędzić parę groszy na fryzjera. Wierz mi, dobrze wiem, jak to jest pragnąć czegoś.
Angie chciała się obejrzeć i spojrzeć siostrze w oczy, ale się nie ośmieliła.
– Oddałabym wszystko – podróże, styl życia, karierę – za choćby jedno z tych dzieci na górze.
– Wiem. – Mira dotknęła jej ramienia.
Angie odwróciła się i od razu wiedziała, że popełniła błąd.
Oczy Miry były pełne łez.
– Muszę już iść. – Głos Angie stwardniał.
– Nie... zostań.
Odepchnęła Mirę i pobiegła do wyjścia. Na dworze zmoczył ją deszcz, przesłonił wzrok. Nie dbając o to, pognąła do samochodu. Za nią niósł się głos Miry wołającej, żeby wracała.
– Nie mogę – odpowiedziała zbyt cicho, by siostra mogła ją usłyszeć.
Wskoczyła do samochodu, zatrasnęła drzwi, uruchomiła silnik i zdążyła wycofać się, zanim Mira dołała ją dogonić.
Ruszyła najpierw w górę jedną ulicą, potem inną w dół, nie bardzo zdając sobie sprawę, gdzie właściwie jest. Włączyła radio na cały regulator. Cher śpiewała właśnie, jakby dla niej,

swój przebój *Believe*.

Wreszcie znalazła się na parkingu przy Safewayu, którego neony przyciągnęły ją jak ćmę do światła. Lampa uliczna tuż za nią jaskrawo odcinała się na tle ciemnej nocy. Angie wpatrywała się w deszcz bębniący w przednią szybę.

„Oddałabym wszystko”. Zamknęła oczy. Wystarczyło powiedzieć to na głos i zabołało. Nie, pomyślała.

Nie będzie siedziała i dusiła tego w sobie. Co za dużo, to niezdrowo. Postanowiła, że już naprawdę ostatni raz zajmuje się tym, czego nie można zmienić. Koniec, kropka.

Pójdzie do sklepu, kupi tabletki na sen, które wydają bez recepty, i dzięki nim jakoś dotrwa do rana.

Wysiadła z samochodu i zbliżyła się do jasno oświetlonego przestronnego sklepu. Wiedziała, że nie spotka tu nikogo z rodziny. Patrzyli z góry na miejscowych.

Skierowała się wprost do miejsca, gdzie leżały aspiryny, i znalazła to, czego szukała.

Była już w połowie drogi do kasy, kiedy ich zauważyła.

Chuda jak ptaszek kobieta w brudnym ubraniu niosła trzy kartony papierosów i dwanaście piw. Czwórka obdartych dzieci kręciła się wokół niej i coś mówiła. Jedno z nich, najmniejsze, prosiło matkę o pączka, ale ta tylko je trzepnęła.

Dzieci miały przetłuszczone włosy i usmarowane buzie, ich tenisówki świeciły dziurami.

Angie zatrzymała się i zaczęła ciężko oddychać. Ból znowu wracał. Gdyby to mogło pomóc, zwróciłaby się do Boga z błagalnym pytaniem „dlaczego”.

Dlaczego niektóre kobiety tak łatwo rodzą dzieci, podczas gdy inne...

Rzuciła pudełeczko z pastylkami na sen i wyszła ze sklepu. Na dworze deszcz znowu padał rzęsiście, krople spływały po jej twarzy, mieszając się ze łzami.

W samochodzie siedziała nieruchomo, wpatrując się w mokrą szybę. W tym czasie rodzina zdążyła zapłacić i właśnie wszyscy ładowali się do wysłużonego auta, a gdy już to się udało, odjechali. Żadne z dzieci nie miało zapiętego pasa bezpieczeństwa.

Angie zamknęła oczy. Wiedziała, że jeśli posiedzi tu jeszcze chwilę, poczuje się lepiej. Ze smutkiem było jak z deszczem, prędzej czy później zawsze przechodził. Trzeba tylko odrobiny cierpliwości. Starła się równo oddychać...

Coś pacnęło o przednią szybę.

Otworzyła oczy.

Dostrzegła różową ulotkę na szybie o treści: „Szukam pracy. Solidna. Niezawodna”.

Zanim zdołała przeczytać do końca, litery pisane tuszem rozpląły się w deszczu.

Angie przechyliła się nad siedzeniem pasażera i opuściła szybę w oknie.

Rudowłosa dziewczyna mocowała ulotki. Ubrana w wytarty płaszcz i spłowiałe dżinsy, nie bacząc na padający deszcz, przesuwiała się od samochodu do samochodu.

Angie zareagowała bez zastanowienia. Wyskoczyła z auta i zawołała:

– Hej, ty!

Dziewczyna spojrzała na nią.

– Czy mogę jakoś pomóc? – Angie biegła w jej stronę.

– Nie – odparła dziewczyna, cofając się.

Angie pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła pieniądze.

– Masz. – Wcisnęła dziewczynie do zimnej, mokrej dłoni zwitek banknotów.

– Nie mogę tego przyjąć – wyszeptwała tamta, kręcąc odmownie głową.

– Weź, zrób to dla mnie – poprosiła Angie.

Patrzyły na siebie przez dłuższą chwilę.

Wreszcie dziewczyna skinęła głową. Oczy wypełniły jej się łzami.

– Dziękuję – powiedziała, odwróciła się i pobiegła w mrok.

*

Lauren wspinała się po pograżonych w ciemności schodach do mieszkania. Z każdym krokiem uchodziło z niej powietrze, aż przy drzwiach pani Mauk poczuła się zupełnie mała i nieważna.

Zatrzymała się i spojrzała na plik wilgotnych banknotów w ręce. Sto dwadzieścia pięć dolarów.

„Zrób to dla mnie”, przypomniały jej się słowa kobiety z parkingu, jak gdyby to tamta potrzebowała pomocy.

Tak, w porządku. Lauren rozumiała znaczenie słowa „dobroczynność”, zwłaszcza gdy miała jej dowód w rękę. A przecież chciała odrzucić tę pomoc, mogła zaśmiać się pogodnie i powiedzieć: „Pomyliła się pani co do mnie”. Zamiast tego biegła całą drogę do domu.

Otarła resztki łez z twarzy i zapukała do drzwi.

Pani Mauk otworzyła. Na widok Lauren uśmiech zniknął jej z twarzy.

– Jesteś kompletnie przemoczona.

– Nic mi nie jest – zapewniła Lauren – Pieniądze za czynsz, proszę.

Pani Mauk wzięła je i przeliczyła. Zamyśliła się przez chwilę i powiedziała:

– Wezmę tylko setkę, dobrze? A ty idź i kup sobie coś przyzwoitego do jedzenia.

Lauren omal znowu się nie rozplakała. Odwróciła się i uciekła na schody, zanim gospodyni mogła to zobaczyć.

Gdy dotarła do swojego mieszkania, zawołała matkę.

Odpowiedziała jej cisza.

Z westchnieniem rzuciła plecak na sofę i podeszła do lodówki. Była prawie pusta. Lauren sięgała po na wpół zjedzoną kanapkę, gdy ktoś zapukał.

Przeszła przez zabałaganiony pokój i otworzyła drzwi.

Za nimi stał David, w rękę trzymał duże kartonowe pudło.

– Cześć, Trix – przywitał się.

– Co tutaj robisz?

– Zadzwoiłem do apteki. Powiedzieli mi, że już tam nie pracujesz.

– Ach tak. – Skrzywiła się, bo jego łagodny głos i zrozumienie w oczach były nie do zniesienia w tym momencie.

– Mama urządziła przyjęcie poprzedniego wieczoru i została fura jedzenia. Wyczyściłem więc domową lodówkę. – Zajrzał do pudełka i wyjął kasetę wideo. – Przyniosłem też film *Speed Racer*.

– A wzięłeś odcinek, w którym Trixie ocala mu tyłek? – Zmusiła się do uśmiechu.

– Oczywiście. – W jego spojrzeniu kryło się wszystko. Miłość. Zrozumienie. Troska.

– Dziękuję. – Nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

– Powinnaś była zadzwonić do mnie, wiesz o tym. Kiedy straciłaś pracę.

Nie rozumiał, jak to jest stracić coś, czego rozpaczliwie się potrzebuje. Ale miał rację. Powinna była zadzwonić. Chociaż był młodym, siedemnastoletnim, czasem bardzo niedojrzałym chłopakiem, był też jedyną osobą, na której mogła polegać. Przy nim jej przyszłość, ich przyszłość, wydawała się jasna i piękna jak perła.

– Wiem.

– To chodź, zjemy coś teraz i obejrzymy film. Muszę być w domu przed północą.

5

Pan Lundberg rozwodził się na temat kwestii społecznych, przeskakując z jednego problemu na drugi jak dziecko goniące bańki mydlane.

Lauren próbowała skupić uwagę; naprawdę się starała. Ale była już tym kompletnie znudzona.

– Lauren. Lauren?

Zamrugła nieprzytomnie powiekami, bo zdała sobie sprawę o sekundę za późno, że usnęła.

Pan Lundberg wpatrywał się w nią intensywnie. Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Poczuła, że palą ją policzki. Tak to już jest z rudzielcami o jasnej karnacji. Ich blada cera łatwo robi się czerwona.

– Tak, panie Lundberg?

– Zapytałem, jakie zajmujesz stanowisko w sprawie kary śmierci?

– Popieram – zawołał ktoś z grupy. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Lauren starała się powstrzymać chichot.

– Jestem przeciwko karze śmierci. Przynajmniej do momentu, kiedy będziemy mogli zagwarantować uczciwe i jednakowe jej wymierzanie. Nie. Chwila. Jestem przeciwna jej w każdym wypadku. Państwo nie powinno stosować kary śmierci, głosząc jednocześnie, że zabijanie jest moralnym złem.

Pan Lundberg skinął głową i odwrócił się w stronę telewizora ustawionego pośrodku sali.

– W ostatnich tygodniach poruszaliśmy kwestię sprawiedliwości czy też jej braku w Ameryce. Wydaje mi się, że czasem zapominamy, jak szczęśliwi jesteśmy, mogąc stawiać takie pytania. W innych częściach świata bywa różnie. Weźmy choćby Sierra Leone...

Nauczyciel włożył kasetę VCR do odtwarzacza i nacisnął „start”.

W połowie filmu dokumentalnego zabrzmiał dzwonek kończący lekcję. Lauren zebrała książki i zeszyty, po czym wyszła z klasy. W holu narastał hałas: śmiech, nawoływania, zwiastujące koniec zajęć w szkole.

Przedzierała się przez tłum do wyjścia, zbyt zmęczona, by zdobyć się na coś więcej niż pomachanie ręką mijającym ją znajomym.

David pojawił się za Lauren z nienacką i przyciągnął ją do siebie. Obróciła się, przytuliła do chłopaka i wpatrzyła w jego intensywnie błękitne oczy. W tej chwili hałas przycichł i zamienił się w bzyczenie. Wspomnienia ostatniej nocy ożyły nagle i sprawiły, że się uśmiechnęła. Ocalił ją, tak po prostu.

– Rodzice musieli pilnie wyjechać do Nowego Jorku – wyszeptał. – Nie wrócą do domu przed sobotą.

– Naprawdę?

– Piłka nożna kończy się o piątej trzydzieści, chcesz, żebym wpadł po ciebie?

– Nie, muszę poszukać nowej pracy.

– W porządku – w głosie Dawida zabrzmiało rozczarowanie.

Lauren wspięła się na palce i pocałowała go, czując na jego ustach resztki soku owocowego Snapple.

– Mogłabym być u ciebie przed siódmą.

– Świetnie. Podjechać po ciebie? – zapytał zadowolony.
– Nie. Dam sobie radę. Przywieźć coś?
– Mama zostawiła mi dwieście dolarów. Zamówimy pizzę. – Uśmiechnął się.
Dwieście dolarów. Tyle, ile są jeszcze winne pani Mauk za czynsz. A David może je sobie wydać na pizzę.

*

Lauren była gotowa na poszukiwanie pracy. W szkolnej bibliotece wydrukowała piętnaście kopii CV i listu rekomendacyjnego.

Miała właśnie zamiar wyjść, gdy trzasnęły drzwi wejściowe i po chwili jej matka wpadła do domu jak bomba.

Podeszła szybko do sofy, odrzuciła na bok poduszki, jakby czegoś szukała. Ale niczego tam nie było. Zwróciła się do Lauren, spoglądając dzikim wzrokiem:

– Czyś ty powiedziała, że jestem za gruba?
– Nie ważysz nawet pięćdziesięciu kilo, mamó. Nie mówiłam, że jesteś gruba. Jeśli już, to raczej odwrotnie, za chuda. Jest przecież jedzenie...
– Nie zaczynaj ze mną. – Ręka mamy zawisła w powietrzu. Strzepnęła popiół z papierosa.
– Wiem, co myślisz, że piję za dużo, a jem za mało. Nie potrzeba mi dziecka, które mnie śledzi.
Rozejrzała się naokoło, skrzywiła się i ruszyła gwałtownie do kuchni. Po dwóch minutach była w pokoju z powrotem.

– Potrzebuję pieniędzy – powiedziała.

W pewne noce Lauren potrafiła zdobyć się na to, by matce współczuć, pamiętała, że alkoholizm jest chorobą. Ale to nie była ta noc.

– Jesteśmy splukane, mamó. Byłoby dobrze, gdybyś poszła do pracy. – Dziewczyna rzuciła plecak na stół kuchenny i schyliła się, by podnieść z podłogi poduszkę.

– Przecież masz robotę. Potrzeba mi tylko kilku dolarów. Proszę, córeczko. – Podeszła i położyła dłoń na jej plecach.

Ten gest przypomniał Lauren, że grają w jednej drużynie. Ona i mama. Stanowiły wprawdzie dysfunkcyjną, ale jednak rodzinę.

Mamina ręka prześlizgnęła się po jej dłoni i objęła ją tak mocno, że Lauren wiedziała, iż matka robi to z desperacji.

– No, proszę, daj – poprosiła drżącym głosem. – Dziesięć dolarów wystarczy.

Lauren sięgnęła do portfela i wyciągnęła zmiętą piątkę. Dzięki Bogu, że dwudziestkę schowała.

– Nie będę miała pieniędzy na jutrzejszy lunch – stwierdziła.

– Weź sobie coś z domu. W lodówce są krakersy, masło orzechowe i dżem. – Mama zgarnęła pieniądze.

– Kanapka z krakersów. Świetnie – powiedziała Lauren. I pomyślała, że na szczęście zostało coś jeszcze z tego, co przyniósł wczoraj David.

Mama już była w drodze do drzwi. Kiedy je otworzyła, zatrzymała się i odwróciła. Zielone oczy spojrzały smutno na córkę; bruzdy na twarzy bardzo ją postarzały, a przecież miała tylko trzydzieści cztery lata. Przeczesała palcami rozczochrane tlenione włosy i zapytała:

– Skąd masz ten kostium?

– Od pani Mauk. Kiedyś jej córka w nim chodziła.

– Przecież ona nie żyje od sześciu lat.

Lauren wzruszyła ramionami, nie była w stanie zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Trzymała rzeczy córki tyle czasu, no, no...

- Niektórym matkom sprawia przykrość wyrzucanie ubrań ich dzieci.
- Mniejsza o to. Dlaczego jesteś ubrana w kostium nieżyjącej dziewczyny?
- Szukam... pracy.
- Przecież masz zajęcie w drugstosrze.
- Dostałam wymówienie. Czasy są złe.
- Próbowałam ci to powiedzieć wcześniej. Ale jestem pewna, że przyjmą cię z powrotem na wakacje.

- Potrzebujemy pieniędzy teraz. Zalegamy z czynszem.
- Tak, wiem o tym. – Mama znieruchomiła, wyglądała na bardzo smutną, ale Lauren, patrząc na nią, dostrzegła ślady dawnej urody.

Przyglądały się sobie przez chwilę. „Powiedz, że jutro pójdziesz do pracy”, pomyślała Lauren i nachyliła się do matki.

– Muszę iść – odezwała się wreszcie pani Ribido. Opuściła pokój, nie patrząc na córkę. Lauren zduśiła w sobie śmiechu warte rozczarowanie, jakiego doznała, i wyszła za matką. Deszcz przestał padać, zanim dotarła do malowniczego serca West Endu. Była zaledwie piąta, ale o tej porze roku wcześniej zapadał zmierzch. Niebo było jasnofioletowe.

Najpierw wstąpiła do Sea Side, lokalu modnego ostatnio wśród turystów, oferującego miejscowe piwo i ostrygi.

Po godzinie z okładem przeszła już centrum miasteczka z jednego końca na drugi. W trzech restauracjach uprzejmie przyjęto jej CV i obiecano zadzwonić, gdyby pojawiły się możliwości zatrudnienia. W dwóch innych nie zwracano sobie głowy grzecznościami i nie mamiono Lauren złudnymi nadziejami. W czterech sklepach detalicznych poproszono ją, by wróciła po Święcie Dziękczynienia.

Stała teraz przed ostatnią restauracją w tej okolicy.

DeSaria.

Zerknęła na zegarek. Była szósta dwadzieścia. Wyglądało na to, że nie będzie u Davida o czasie.

Z westchnieniem pokonała kilka schodków wiodących do drzwi frontowych. Skrzypiały, co nie wróżyło dobrze. Przed drzwiami zatrzymała się i spojrzała na menu. Najdroższe danie, manicotti, kosztowało osiem dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów. To również nie była dobra informacja.

Mimo wszystko otworzyła drzwi i weszła do środka.

Było to niewielkie pomieszczenie o ścianach z cegły. Sklepione przejście rozdzielało dwie jednakowej wielkości sale, w każdej z nich stały stoły przykryte obrusami w czerwono-białą kratkę. W jednej większość miejsca zajmował kominek z dębowym obramowaniem. Na surowych ścianach wisiały obrazki w drewnianych ramach. Część z nich stanowiły fotografie rodzinne, inne przedstawiały włoskie widoki lub winogrona i oliwki. Słychać było dźwięki muzyki – instrumentalną wersję *I Left My Heart in San Francisco*. W powietrzu unosił się apetyczny zapach.

Przy stole siedziała rodzina i jadła kolację. Jedna rodzina.

Niezbyt tłoczno jak na czwartkowy wieczór.

Bez sensu byłoby starać się tu o pracę. Na dzisiaj chyba wystarczy spacerów. Może, jeśli się pośpieszy, da radę wrócić do domu, przebrać się i zameldować u Davida przed siódmą. Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Kiedy zmierzała w stronę przystanku, zaczęło padać. Zimny, porywisty wiatr hulał na ulicy. Wyświechtany płaszcz nie był w stanie ogrzać dziewczyny i zanim dotarła do domu, przemarzała do szpiku kości.

Drzwi do mieszkania otwarte, okno w jadalni również. W pokoju było zimno jak w lodówce.

– Cholera – zakłęła Lauren pod nosem, jednocześnie rozcierając zmarznięte ręce. Zatrzasnęła drzwi i podeszła do okna, by je zamknąć. Usłyszała wtedy głos matki, która śpiewała: „Wyruszam samolotem... nie wiem, czy wrócę potem”.

Lauren stanęła jak wryta. Poczowała przyływ złości i zacisnęła dłonie. Gdyby była chłopakiem, walnęłaby pięścią w ścianę. Nie znalazła pracy, spóźniła się na randkę i teraz jeszcze to. Pijana matka rozmawiająca z gwiazdami.

Dziewczyna wyszła przez okno i wspięła się po chybotałej drabince przeciwpożarowej na dach.

Tam znalazła matkę siedzącą na samym jego skraju, w ociekającej wodą bawełnianej sukience. Bez butów.

Lauren podeszła do niej od tyłu, uważając, by za bardzo nie zbliżyć się do krawędzi.

– Mamo?

Matka obróciła się i uśmiechnęła.

– Cześć!

– Cofnij się, mamo, możesz spać.

– Czasami trzeba poczuć, że się żyje. Tak zwyczajnie, tak po prostu. – Pogłaskała krawędź, przesunęła dłoń po niej i po dachu tuż za nią.

Lauren nienawidziła takich chwil jak ta, kiedy musiała się zmagać z towarzyszącym jej strachem. Pani Ribido uwielbiała ryzyko i skoki adrenaliny. Zawsze to powtarzała. Dziewczyna wolno posuwała się naprzód. Bardzo ostrożnie usiadła przy matce.

Ulica pod nimi była prawie pusta. Pojedynczy samochód właśnie odjechał. Światła reflektorów przebijały się migotliwie poprzez deszcz – wyglądało to nierealnie.

Lauren czuła, że matka trzęsie się z zimna.

– Gdzie jest twój płaszcz, mamo?

– Zgubiłam go. Nie. Dałam Phoebe. Przehandlowałam za karton papierosów... Deszcz sprawia, że wszystko wygląda ładniej, prawda?

– Przehandlowałaś płaszcz za papierosy? – Bezbarwnym głosem powtórzyła za matką, wiedząc, że złość nic tu nie da. – A wiesz, że zapowiadają mroźną zimę w tym roku?

– Byłam splukana. – Pani Ribido wzruszyła ramionami.

Córka objęła ją ramionami.

– Chodź, musisz się rozgrzać. Gorąca kąpiel jest tym, czego ci trzeba.

Mama spojrzała na nią.

– Franco powiedział, że dzisiaj zadzwoni. Słyszałaś może telefon?

– Nie.

– Nigdy nie wracają. A w każdym razie nie do mnie.

Choć dziewczyna słyszała to po raz setny, wciąż jej współczuła.

– Tak, wiem.

Pomogła matce wstać, podprowadziła ją do drabinki przeciwpożarowej i kontrolowała, jak schodzi po metalowych stopniach, a potem wchodzi do pokoju przez okno. Podczas gdy pani Ribido brała gorącą kąpiel, ona mogła wreszcie zająć się sobą. Kiedy matka leżała już w łóżku, Lauren w świeżym ubraniu była gotowa do wyjścia.

– Dasz sobie już radę beze mnie? – zapytała.

Oczy pani Ribido stawały się już senne.

– Zadzwonił może, jak byłam w wannie?

– Nie.

– Jak to się dzieje, że nikt mnie nie kocha?
W jej głosie pobrzmiwało tyle rozpacz, że Lauren poczuła, że musi złapać oddech. Przecież ja cię Kocham, pomyślała. To się nie liczy?
Matka przytuliła twarz do poduszki i zamknęła oczy.
Lauren powoli odsunęła się od łóżka. Gdy wyszła z domu i mijała kolejne ulice, mogła myśleć tylko o Davidzie.
„David”.
On wypełni pustkę w jej sercu.

*

Stateczną superbogatą enklawę, jaką było osiedle Mountaineire, tworzyło zaledwie kilka budynków usytuowanych w najdalszym zakątku West Endu; za strzeżonymi bramami, pięknie kutymi żelaznymi ogrodzeniami istniał inny świat. Ta oaza dobrobytu z widokiem na ocean zdominowała całe wzgórze. To był świat Davida: podjazdy z kamienia lub wzorzystej cegły, samochody zatrzymujące się przy fantastycznych portykach i parkujące w obszernych garażach, obiady jadane na porcelanie tak cienkiej i przezroczystej jak skóra niemowlęcia. W wieczory takie jak dzisiejszy krople padającego deszczu zamieniały się w światło tutejszych ulicznych latarni w roziskrzone diamenty.

Lauren poczuła się wyjątkowo nie na miejscu, gdy zbliżała się do budki strażniczej przy bramie wejściowej. Wyobraziła sobie notatkę, jaką otrzymają państwo Haynes po powrocie: w domu złożyła wizytę osoba z nieodpowiedniego środowiska.

– Jestem umówiona z Davidem Haynesem – odezwała się z dłońmi przyciśniętymi do boków.

Strażnik uśmiechnął się porozumiewawczo.

Brama zaskrzypiała i otworzyła się. Lauren poszła wijącą się, czarną asfaltową drogą, mijając po obu stronach domy jak z okładek magazynów: georgiańskie rezydencje, francuskie wille, hacjendy w stylu Bel-Air.

Było tu tak spokojnie. Żadnego trąbienia klaksonów, żadnych głosów kłócących się sąsiadów ani ryku włączonych głośno telewizorów.

Lauren zawsze wyobrażała sobie, jak to jest przynależeć do takiego środowiska. Nikt z mieszkańców Mountaineire nie martwił się, że zalega z czynszem lub nie może zapłacić rachunku za światło. Było oczywiste, że kto rozpoczyna życie w tym miejscu, może osiągnąć każdy cel, jaki sobie zamierzył.

Podeszła ścieżką do drzwi frontowych. Pachnące, ogromne jak spodki od filiżanek różowe róże otoczyły ją zewsząd jak księżniczkę z bajki. Dziesiątki ukrytych lampek oświetlały dziedziniec.

Zastukała w wielkie mahoniowe drzwi.

David otworzył niemalże w tej samej chwili. Lauren pomyślała, że być może czekał na nią przy oknie.

– Spóźniłaś się. – Uśmiechnął się lekko. Przytulił ją do siebie, tutaj, w drzwiach wejściowych, gdzie sąsiedzi mogli wszystko widzieć. Chciała powiedzieć, by zaczekał, zamknął drzwi, ale gdy tylko ją pocałował, zapomniała o wszystkim. Zawsze tak na nią działał. Nocą, gdy leżała sama w łóżku, myślała o nim, tęskniła, dziwiła się, na jak osobliwą chorobę zapadła. Miłość. Cóż innego mogło zupełnie zdrową dziewczynę skłonić do tego, że wydawało jej się, iż bez dotyku Davida słońce zgaśnie, a świat stanie się zimny i ciemny.

Zarzuciła mu ręce na szyję i uśmiechnęła się do niego. Wspólna noc właściwie jeszcze się nie zaczęła, a jej ciało wyczekiwało już niecierpliwie tego, co miało się wydarzyć.

– Jak dobrze, że jesteś. Musiałbym strasznie nakłamać mamie, żeby spędzić z tobą noc, gdyby rodzice byli w mieście.

Lauren próbowała wyobrazić sobie życie, w którym ktoś, mama, gdy jej nie ma, czeka i martwi się o nią.

Żadne kłamstwa w rodzinie Ribido nie były konieczne. Kiedy Lauren miała dwanaście lat, mama wyjaśniła jej, na czym polega seks. „I tak ci się to kiedyś przytrafi – powiedziała i zapaliła papierosa. We właściwym czasie”. Mówiąc, stuknęła opakowaniem prezerwatyw w blat stolika kawowego.

Po tym tłumaczeniu pani Ribido uznała, że Lauren może już podejmować samodzielne decyzje, tak jakby wręczenie środków antykoncepcyjnych zwalniało ją z matczynych obowiązków. Od tamtej pory Lauren musiała sobie sama wytyczać granicę, ustalać godzinę policyjną. Gdyby nie wróciła na noc do domu, nikt nie czyniłby jej wyrzutów.

Wiedziała, że gdyby zwierzyła się z tego koleżankom, okrzykiem zachwytu, jaka to z niej szczęściara, nie byłoby końca, ale oddałaby całą tę wolność za jeden pocałunek na dobranoc.

David cofnął się o krok, uśmiechnął i wziął ją za rękę.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Poszła za nim przez szeroki hol. Słysząc było stukot jej obcasów na kremowej marmurowej posadzce. Jeśli rodzice Davida byłiby w domu, Lauren przemykałaby cichutko na palcach, ale dzisiaj mogła się czuć swobodnie.

David skręcił w stronę głównej jadalni wydzielonej z holu sklepionym łukiem.

Wyglądała jak dekoracja do filmu. Długi, lśniący drewniany stół, przy którym stało szesnaście bogato rzeźbionych krzeseł, a w jego centrum umieszczono olbrzymią kompozycję kwiatową składającą się z białych róż, lilii i zielonego przybrania.

Na jednym końcu stołu ustawione było nakrycie dla dwóch osób. Śliczna, półprzezroczysta chińska porcelana ze złotym brzegiem na jedwabnej serwetce w kolorze kości słoniowej. Obok złote sztuce i pojedyncza świeca, która rzucała na nie blask.

Lauren spozrzała na Davida, który uśmiechał się pogodnie jak dziecko w dniu zakończenia roku szkolnego.

– Zajęło mi całą wieczność skompletowanie tego wszystkiego. Mama na co dzień używa błękitnego nakrycia.

– To jest piękne.

Poprowadził ją do przygotowanego dla niej miejsca i odsunął krzesło. Kiedy usiadła, nalał musującego cydru do kieliszka.

– Chciałem włamać się do piwniczki z winami, ale wiedziałem, że będziesz się wściekać i martwić, że mnie nakryją.

– Kocham cię – powiedziała ze łzami w oczach, co ją bardzo zawstydziło.

– Ja ciebie też. – Uśmiechnął się znowu. – I już teraz chciałem cię formalnie zaprosić na bal absolwentów.

– Będę zaszczycona. – Roześmiała się.

Na wszystkie potańcówki wychodzili razem. Ta będzie ostatnia. Na samą myśl o tym odechciało jej się śmiać. Nagle dotarło do niej, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż w przyszłym roku będą rozdzieleni. Popatrzyła na chłopaka i postanowiła go przekonać, że aby tak się nie stało, powinni być na jednej uczelni. David wierzył, że ich miłość przetrwa rozstanie. Nie miała najmniejszej ochoty ryzykować. Był jedyną osobą, która powiedziała: „kocham cię”. Nie chciała żyć bez tych słów. Bez niego.

– David...

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

– Czy to twoi rodzice? – Lauren wstrzymała oddech. – O Boże!

– Spokojnie. Dzwonili z Nowego Jorku godzinę temu. Tata był wściekły, bo limuzyna spóźniła się pięć minut. – David ruszył w stronę wejścia.

– Nie otwieraj – poprosiła. Nie chciała, by cokolwiek popsulo ten wieczór. A jeśli Jared i spółka dowiedzieli się, że państwa Haynes nie ma w domu? Wystarczy iskra, żeby ta oaza ciszy i spokoju zamieniła się w głośną szkolną zabawę.

– Poczekaj chwilę. – David się roześmiał.

Słyszała, jak idzie przez hol i otwiera drzwi. Rozległy się głosy. Jakiś śmiech. Drzwi się zamknęły.

Po minucie David wrócił do jadalni z pudełkiem pizzy w ręku. Ubrany w luźne workowate džinsy i T-shirt z napisem: „Nie zazdrość, nie każdy może być mną”, wyglądał tak świetnie, że zaczęła mieć trudności z oddychaniem.

Podszedł do stołu i postawił pudełko.

– Chciałem się popisać i ugotować coś dla ciebie – powiedział i uśmiech na moment zniknął z jego twarzy. – Zamiast tego przypaliłem wszystko, co się dało.

– Jest idealnie – odparła Lauren, podniosła się z krzesła i zbliżyła do chłopaka.

– Naprawdę?

Wyczuła ogromną potrzebę akceptacji w głosie Davida, która głęboko ją poruszyła. Trafiła w jakąś jego czułą strunę, wiedziała, jak to jest pragnąć zadowolić kogoś i sprawić mu przyjemność.

– Naprawdę – odpowiedziała i wspięła się na palce, żeby go pocałować.

Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że zabrakło jej tchu.

Kiedy przypomnieli sobie o pizzy, była już zimna.

6

Nowy dwupiętrowy dom Livvy w stylu lat siedemdziesiątych został wybudowany na dużej narożnej parceli stanowiącej część jednego z najładniejszych osiedli miejskich. Niektóre budynki, te naprawdę drogie, frontem zwrócone były w stronę morza. Pozostałe miały prawo do korzystania z basenu, który kształtem przypominał nerkę, i centrum osiedlowego wyposażonego w urządzenia kuchenne. Kiedy Angie chodziła do szkoły, Havenwood było prawdziwym rajem do życia. Pamiętała, jak latem przesiadywała nad basenem z przyjaciółmi, obserwując, co robią ich matki. Większość z nich wylegiwała się na wygodnych leżakach, ubrana w seksowne kostiumy jednoczęściowe, z głowami osłoniętymi od słońca kapeluszami z szerokim rondem, a każda miała w ręku papierosa i dzin z tonikiem. Angie uważała wtedy, że są niezwykle eleganckie, prawdziwe reprezentantki białej klasy średniej z rejonów podmiejskich. Zupełnie niepodobne do jej włoskiej mamy pachnącej przyprawami, która nawet jednego dnia nie spędziła na takim leniuchowaniu.

Jej siostra musiała kiedyś przyglądać się temu z taką samą szczeniacką tęsknotą za przynależnością do tego miejsca.

Zaparkowała samochód na kolistym podjeździe u Livvy, za subaru wagonem, i wysiadła. Przed drzwiami wejściowymi zatrzymała się na chwilę.

Ta sprawa musi być załatwiona w niezwykle ostrożny sposób. Chirurg, który przeprowadza operację na otwartym sercu, tak właśnie postępuje. Angie niemal całą noc spędziła na zastanawianiu się, jak to zrobić. To i inne rzeczy. Miała za sobą kolejną ciężką, samotną noc, podczas której przypominała sobie wszystko, o czym wolałaby zapomnieć, i obawiała się tego, co nadejdzie, ale jedna kwestia nie ulegała wątpliwości: musi sprawić, by Livvy wróciła do pracy. Angie nie wiedziała, jak prowadzić restaurację, co więcej, nie zamierzała zajmować się tym długo ani nawet nie pragnęła.

„Przepraszam, Liv”.

Te słowa powinny oczywiście paść na początku. Potem będzie musiała z pokorą wypić piwo, którego nawarzyła, i prawić siostrze wyszukane komplementy. Zrobić cokolwiek, byleby odniosło skutek. Livvy musi wrócić do restauracji. Angie planowała tu spędzić miesiąc, najwyżej dwa, do czasu gdy samotne noce przestaną jej doskwierać.

Zapukała do drzwi.

Czekała.

Zastukała znowu.

Wreszcie Livvy otworzyła. Miała na sobie dopasowany różowy welurowy dres z wizerunkiem Jennifer Lopez na piersi.

– Domyślałam się, że wpadniesz. Chodź. – Cofnęła się i odwróciła. Nie było w zasadzie miejsca dla nich dwóch w wejściu wielkości znaczka pocztowego. Livvy weszła po schodach wyłożonych dywanem do salonu, gdzie bieżnik z plastiku wyznaczał ścieżkę, którą należało się poruszać.

Bładoniebieskie sofy stały naprzeciwko siebie rozdzielone stołem z drewna na wysoki połysk. Krzesła obok były bogato złocone, pokryte tkaniną w różowe i niebieskie kwiaty. Na podłodze leżał pomarańczowy dywan.

– Przydałoby się coś innego na podłogę, ale przynajmniej meble robią wrażenie, nie

sądzisz? – zapytała Livvy.

Angie zauważyła fotel w odcieniu brązu popularnej firmy La-Z-Boy z pokryciem ze sztucznego tworzywa.

– Są śliczne. Sama to wszystko urządziłaś?

Livvy rozpierała duma.

– Sama. Zamierzałam zatrudnić projektantkę, ale Sal powiedział, że nie jestem gorsza od dziewczyn, które pracują w sklepie meblowym u Rickiego.

– Jasne, widać, że się na tym znasz.

– Zastanawiałam się nawet, czy nie zapytać się tam o pracę. Usiądź. Napijesz się kawy?

Livvy poszła do kuchni i wróciła po paru minutach z dwiema filiżankami. Podała jedną Angie i usiadła naprzeciw niej.

Angie wpatrywała się w filiżankę. Nie było sensu dłużej tego odkładać.

– Wiesz, po co tu przyszłam, prawda?

– Pewnie, że wiem.

– Przepraszam, Livvy. Nie chciałam cię obrazić, krytykować czy zranić twoich uczuć.

– Wiem. Zawsze robisz to przez przypadek.

– Jestem inna niż ty czy Mira, nieraz mi mówiłaś. Czasami mogę być za bardzo...

skoncentrowana na jednej rzeczy.

– Tak to u was w wielkim mieście nazywają? Małomiasteczkowe dziewczyny określają to jako złośliwość. Ewentualnie obsesja maniacka.

– Oj, Liv! Nie znęcaj się już nade mną. Przyjmij przeprosiny i powiedz, że wrócisz do pracy. Potrzebuję cię. Poza tym sądzę, że naprawdę możemy przydać się mamie.

Livvy wzięła głęboki oddech.

– I tu jest problem. Pomagałam mamie przez pięć lat, pracowałam w tej cholernej restauracji i wysłuchiwałam jej zdania na każdy temat: począwszy od mojej fryzury, na butach kończąc. Nie ma się co dziwić, że tak długo szukałam właściwego faceta. – Wychyliła się do przodu. – Teraz jestem żoną. Mam męża, który mnie kocha. Nie chcę tego zniszczyć. Najwyższy czas, żebym zmieniła priorytety i przestała wszystko, co dotyczy rodziny DeSaria, stawiać na pierwszym miejscu. Sal na to zasługuje.

Angie chciała czuć złość na Livvy, skłonić ją w jakiś sposób do zmiany decyzji. Zamiast tego przemknęło jej przez myśl bolesne skojarzenie z własnym małżeństwem. Może i ona powinna była kiedyś, gdy był na to czas, przedłożyć je nad pragnienie macierzyństwa. Westchnęła. Teraz już na to za późno.

– Potrzebujesz otworzyć nowy rozdział w życiu – powiedziała spokojnie, czując niespodziewaną bliskość z siostrą. Miały ze sobą wiele wspólnego.

– Właśnie.

– Postępujesz właściwie. Powinnam była...

– Nie tędy droga, Angie. Wiem, że drażnili cię moi byli mężowie, ale czegoś się od nich nauczyłam. Życie biegnie naprzód. Myślisz, że się zatrzyma, zaczeka na ciebie, aż przestaniesz płakać? Nie, ono toczy się dalej. Nie trać czasu na oglądanie się za siebie. Przecież nie chcesz przegapić tego, co może się wydarzyć w przyszłości.

– Jak dobrze rozumiem, to, co się może wydarzyć, dzieje się właśnie w tej chwili. Dzięki!

– Spróbowała się uśmiechnąć. – Może jednak choć trochę mi pomożesz? Podsuniesz kilka pomysłów i rozwiązań.

– Prosisz mnie o radę?

– Tylko ten jeden raz. Zresztą ja też nie będę się tym długo zajmować. – Sięgnęła do torebki po notepad.

– Przeczytaj mi swoją listę zadań. – Livvy się roześmiała.
– Skąd wiesz, że...
– Robiłaś takie listy już w trzeciej klasie. Pamiętasz, co się z nimi działo?
– Uhm...
– Wrzucałam je do sedesu i spuszczałam wodę. Doprowadzały mnie do wariacji. Te wszystkie twoje zadania do zrealizowania. – Uśmiechnęła się. – Powinnam sama napisać kilka takich zestawów dla siebie.

To był już prawie komplement z ust siostry. Angie wręczyła jej notepad. Plan działania obejmował trzy strony.

Livvy uruchomiła urządzenie. Poruszała ustami, przebiegając wzrokiem linijki tekstu. W miarę czytania zdawała się coraz bardziej rozbawiona.

– Zamierzasz zrobić to wszystko?
– A co w tym złego?
– Czy poznałaś naszą matkę? Wiesz, tę kobietę, która na bożonarodzeniowym drzewku zawiesza od ponad trzydziestu lat te same ozdoby. A dlaczego? Bo uważa, że tak jest ładnie.
Angie się skrzywiła. Livvy mówiła prawdę. Mama była osobą wielkoduszną, kochającą, szczodłą... dopóki sprawy miały się tak, jak chciała. W przeciwnym razie zaczynały się schody.
– Jednakże – zaczęła siostra – twoje pomysły mogłyby uratować restaurację... gdyby dało się je wcielić w życie. Ale nie chciałabym być w twojej skórze.
– Od czego byś zaczęła?

Livvy przejrzała listę raz jeszcze, przesuwając strony.

– Nie ma tu tego.
– Czego nie ma?
– Przede wszystkim powinnaś zatrudnić nową kelnerkę. Rosa Contadori serwowała jedzenie u DeSariów, jeszcze zanim się urodziłaś. W czasie kiedy ona przyjmuje zamówienie, ja zdążyłabym się nauczyć grać w golfa. Wzięłam sprawy w swoje ręce i zajmowałam się podawaniem do stołu, ale ty... – Wzruszyła ramionami. – Nie sądzę, żebyś chciała być kelnerką.
Angie w duchu przyznała jej rację.
– Masz jakieś propozycje?
– Upewnij się, czy jest Włoszką. – Livvy wyszczerzyła zęby w uśmiechu.
– Bardzo zabawne. – Angie sięgnęła po pióro. – Coś jeszcze?
– Mnóstwo. Zaczniemy od podstaw...

*

Angie stała na chodniku i przyglądała się restauracji, która towarzyszyła jej dzieciństwu i wczesnej młodości. Mama i tata byli tutaj co wieczór: on na progu witał gości, ona uwijała się w kuchni, gotując dla nich. Rodzina zjadała obiad o czwartej trzydzieści, zanim pojawiali się klienci. Siadali wszyscy wokół dużego, okrągłego stołu kuchennego w taki sposób, by kontrolować, czy ktoś nie przyszedł. Po obiedzie Mira i Livvy zajmowały się pracą, nakryciami, podawaniem do stołu.

Ale nie Angie.

„Ona ma talent – mawiał tata. Musi się uczyć, bo pójdzie do college’u”.

Nikt tego nigdy nie kwestionował. Skoro ojciec coś postanowił, sprawa była zakończona. Angie poszła do college’u. A kiedy się dostała, noc w noc uczyła się w kuchni.

Nic dziwnego, że dostała stypendium.

Teraz wróciła tu, gdzie się wszystko zaczęło, i szukała sposobów na ocalenie rodzinnego biznesu, o którego prowadzeniu nie miała pojęcia, i na dodatek będzie dziś wieczorem sama, bez

Livvy.

Przeglądała notatki. Dodały z siostrą do istniejących trzech stron kolejne cztery. Pomysł gonił pomysł.

Do Angie będzie należało teraz wcielenie ich w życie.

Pokonując kilka stopni, znalazła się przed drzwiami frontowymi. Restauracja była już oczywiście otwarta. Mama przyjechała punktualnie o wpół do czwartej, ani minuty wcześniej czy później, jak to miała w zwyczaju od ponad trzydziestu lat w każdy piątek.

Angie usłyszała brzęk naczyń w kuchni. Gdy weszła do środka, zobaczyła, jak mama miota się po pomieszczeniu, złorzecząc na wszystkich.

– Mira jest spóźniona. Rosa zadzwoniła, że zachorowała. Jak ją znam, na pewno spędzi wieczór, grając w bingo u Elksów.

– Rosa źle się czuje? – Angie wpadła w panikę, głos jej drżał. – Jest naszą jedyną kelnerką.

– Teraz ty nią jesteś, to nie takie trudne, Angelo. Po prostu przynosisz ludziom dania, które zamówili – powiedziała mama i wróciła do przygotowywania klopsików mięsnych.

Angie wyszła z kuchni. Krążyła po sali od stołu do stołu i sprawdzała każdy szczegół; upewniała się, czy pieprzniczki i solniczki są pełne, a nakrycia czyste i właściwie ułożone.

Dziesięć minut później Mira wpadła do środka głównym wejściem.

– Przepraszam za spóźnienie, Daniella spadła z roweru – rzuciła i skierowała się do kuchni.

Angie skinęła głową i zajęła się na powrót menu, studiując je tak wnikliwie, jakby były to przewodniki CliffsNotes, a ona przygotowywała się do egzaminów.

Pierwsi klienci pojawili się o piątej czterdzieści pięć. Pani i pan Feinstein, który zarządzał kliniką w mieście. Dwadzieścia minut później przyszli państwo Giuliani. Angie witała ich po kolei, jak to robił jej ojciec, a potem wskazywała im stoły dla nich przygotowane. Przez chwilę poczuła się naprawdę dobrze, jakby stała się częścią rodzinnego dziedzictwa. Mama obdarzyła ją ciepłym uśmiechem i zachęcająco skinęła głową.

O szóstej piętnaście zaczęła się niepokoić.

Jak to może być, że siedem osób przysparza tyle pracy.

– Jeszcze trochę wody proszę.

– Prosiłam o parmezan.

– Gdzie nasz chleb?

– I oliwa.

– Możesz być znakomitą specjalistką od reklamy, Angelo, ale nie dałabym ci napiwku. Za wolno się ruszasz.

Trudno jej było nie zgodzić się z matką. Podeszła do stolika Feinsteinów i postawiła na nim talerz cannelloni.

– Zaraz wracam z krewetkami, pani Feinstein – powiedziała i udała się do kuchni.

– Mam nadzieję, że doktor Feinstein nie zdąży zjeść swojej porcji, zanim obsłużysz jego żonę. – Mama cmoknęła z dezaprobatą. – Mira, rób te klopsiki większe – zwróciła się do drugiej córki.

Angie wycofała się z kuchni, by zanieść danie do stolika Feinsteinów.

Gdy podawała krewetki, usłyszała, jak otworzyły się drzwi wejściowe i zadzwonił dzwonek.

Kolejni klienci. Oj, tylko nie to, pomyślała.

Obróciła się powoli i zobaczyła Livvy. Siostrze wystarczyło jedno spojrzenie, by wybuchnąć śmiechem.

– Przyszłaś tu, żeby nabijać się ze mnie? – mówiąc to, Angie się wyprostowała.
– Księżniczka wala sobie rączki pracą. A pewnie, że będę się z ciebie naśmiewać. – Livvy objęła ją. – Ale i pomogę.

*

Pod koniec wieczoru ból rozsadał Angie głowę.

– W porządku. Oznajmiam oficjalnie, że jestem najgorszą kelnerką na świecie. – Spojrzała na swoje ubranie: fartuch zalany winem, rękawy umazane crème anglaise, a na spodniach plamy po lasagne. Usiadła przy narożnym stole obok Miry. – Nie do wiary, mam na sobie kaszmirowy sweter i szpilki. Nic dziwnego, że Livvy śmiała się, ilekroć na mnie spojrzała.

– Nabierzesz wprawy – odezwała się Mira. – Chodź, poskładaj serwetki.

– Gorzej być nie może, to pewne, do diaska! – Angie nie mogła powstrzymać się od śmiechu, choć sytuacja w zasadzie nie była zabawna. Oczywiście nie wyobrażała sobie, że może być tak ciężko. Dotychczas wszystko przychodziło jej łatwo. Czegokolwiek się tknęła, robiła to dobrze. Może nie perfekcyjnie, ale na pewno powyżej przeciętnej. Skończyła studia w cztery lata z bardzo przyzwoitą lokatą, zaraz potem została zatrudniona przez najlepszą agencję reklamową w Seattle.

Szczerze mówiąc, zaszokowało ją, jak dalece nie radziła sobie w pracy tego wieczoru.

– To upokarzające.

Mira spojrzała na nią znad serwetek.

– Nie martw się. Rosa bardzo rzadko dzwoni, że nie może przyjść do pracy, bo jest chora. Zazwyczaj daje sobie radę z tym, jak to nazwałaś, tłumem. Ty też sobie poradzisz.

– Wiem, ale... – Angie spojrzała na dłonie. Dwa czerwone oparzenia szpeciły jej skórę. Na szczęście gorący sos wylała na siebie, a nie na panią Giuliani. – Nie jestem pewna, czy podołam.

Mira skończyła właśnie składać serwetkę, która przybrała kształt łabędzia, i przesunęła ją po stole.

Angie przypomniała sobie, że ojciec uczył ją, jak zrobić ptaka z kwadratowego kawałka płótna. Popatrzyła na siostrę i z jej uśmiechu wywnioskowała, że łabędź na stole nie pojawił się przypadkowo.

– Zajęło nam to z Livvy tygodnie, zanim potrafiłyśmy tak składać serwetki. Siedziałyśmy na podłodze przy tacie, naśladując jego ruchy, dopóki nie uśmiechnął się i nie pochwalił nas: „Dobra robota, moje księżniczki”. Myślałyśmy, że jesteśmy takie zdolne... aż pewnego dnia dołączyłaś do nas i udało ci się złożyć łabędzia przy trzeciej próbie. Tata ucałował cię i powiedział: „Ta dziewczyna robi, co zechce”.

To wspomnienie powinno przywrócić uśmiech na twarz Angie, ale tym razem jej myśli pobiegły w innym kierunku.

– Musiało być wam z tym ciężko.

Mira machnęła ręką.

– Nie to miałam na myśli. Rodzinną restaurację masz we krwi, podobnie jak my. I niczego nie zmienia fakt, że nie było cię tu tyle lat. Jesteś jedną z nas i możesz robić to, co uznasz za stosowne. Tata wierzył w ciebie i ja również podzielam jego wiarę.

– Boję się.

– To niepodobne do ciebie. – Mira uśmiechnęła się łagodnie.

Angie odwróciła głowę do okna i zaczęła przypatrywać się pustej ulicy. Opadające liście muskały betonowy chodnik.

– Jestem inna niż kiedyś. Zmieniłam się. – Przykro jej było to mówić.

– Mogę być z tobą szczerą? – Mira pochyliła się ku niej.
– W żadnym wypadku. – Angie próbowała się roześmiać, ale kiedy spojrzała na poważną twarz siostry, śmiech uwiązł jej w gardle.

– W ciągu ostatnich kilku lat stałaś się... skoncentrowana na sobie. Nie mówię: samolubna. Oczekiwanie na dziecko, potem utrata Sophie... To cię wyciszyło. I uczyniło w pewnym sensie samotną.

W pewnym sensie samotna.

To była prawda.

– Czuję się czasem tak, jakbym wisiała na cienkiej linie, a pode mną rozwierała się przepaść.

– Ta lina w końcu się zerwie.

Angie zastanawiała się nad tym. Może tak już się stało. Jednego roku straciła córkę, ojca i męża. Wtedy czuła, że spada. Czasami to uczucie wracało. Najgorsze jednak były noce.

– Może już czas zacząć patrzeć w przyszłość.

– Mam restaurację. Staram się.

– A co robisz, kiedy jesteś sama?

– Jest ciężko. – Angie przełknęła ślinę. – Próbuję się czegoś uczyć, robię notatki.

– Nie można żyć wyłącznie pracą.

– Masz rację, nie można. – Angie chciałaby podyskutować na ten temat i mieć parę argumentów w zanadrzu, ale od dawna wiedziała, że to prawda. Kiedyś kochała swoją pracę, a jednocześnie tak bardzo pragnęła zajść w ciążę.

– Może nadszedł czas, żebyś otworzyła się na innych ludzi, może ktoś potrzebuje twojej pomocy?

Angie pomyślała i przypomniała jej się nastolatka, którą spotkała na parkingu pod Safewayem. Pomogła wtedy dziewczynie, a czyniąc to, pomogła również sobie. Tamtej nocy spała mocnym snem aż do rana.

Czyżby było to właściwe lekarstwo na jej smutki? Pomóc komuś innemu.

Poczuła, że się uśmiecha.

– Poniedziałki mam wolne.

– I większość poranków.

*

Po raz pierwszy w życiu Lauren obudziła się z poczuciem, że jest bezpieczna. Ramiona Davida oplatały ją ciasno nawet podczas snu.

Upajała się tą chwilą, uśmiechała, wyobrażała sobie, że tak wyglądać będzie już zawsze jej życie po ślubie.

Leżała przez dłuższy czas i przypatrywała się chłopakowi, jak śpi. Wreszcie wysunęła się z jego objęć i wstała z łóżka. Zrobi mu śniadanie i przyniesie, zanim on się obudzi.

Z komody wysunęła górną szufladę, z której wyjęła długi T-shirt, włożyła go na siebie i zeszła po schodach.

Kuchnia była zachwycająca, cała z granitu i stali nierdzewnej, lśniącej jak lustro. Garnki i patelnie świeciły srebrzystym blaskiem. Przeszukała szafki i lodówkę, w których znalazła wszystko, co potrzeba do zrobienia jajecznicy na bekonie i naleśników. Kiedy śniadanie było gotowe, ustawiła je na pięknej drewnianej tacy i zaniosiła na górę.

David siedział na łóżku, ziewając.

– A, jesteś – powiedział i uśmiechnął się szeroko. – Już się bałem, czy...

– Tak jakbym kiedykolwiek cię zostawiła. – Wślizgnęła się pod kołdrę, a tacę ustawiła

pomiędzy nimi.

– Wygląda wspaniale – pochwalił i pocałował ją w policzek.

Jedli śniadanie i rozmawiali o zwyczajnych sprawach: nadchodzącym teście, piłce nożnej, ploteczkach szkolnych. Dawid opowiadał, jak razem z ojcem odnawiają porsche. To zresztą jedyne, co robili wspólnie, i w związku z tym chłopak miał obsesję na punkcie samochodu. Uwielbiał spędzać czas w garażu. Lauren nie mogła już tego słuchać. Ilekroć zaczynał mówić o przełożeniu, przyspieszeniu, jej zainteresowanie wyparowywało.

Zerknęła za okno. Zalewało je światło słoneczne i nagle pomyślała o Kalifornii, o ich wspólnym życiu. Straciła już rachubę, ile razy przeglądała informatory z college'u, studiując je pod kątem możliwości otrzymania stypendium. Uważała, że najlepiej byłoby dostać się na którąś z prywatnych uczelni. Najbardziej odpowiadał jej Uniwersytet Południowej Kalifornii. Łączył wysoki poziom dyscyplin sportowych ze świetną kadrą akademicką.

Niestety, był oddalony od Stanforda aż o osiem godzin jazdy samochodem.

Jakoś musi namówić Davida, by zastanowił się nad UPK, inaczej ona musiałaby wybrać Uniwersytet Santa Clara, a prawdę mówiąc, miała już dość katolickich szkół.

– ...całkowicie przylegające. Z doskonałej skóry. Lauren? Czy ty mnie słuchasz?

– Oczywiście. Mówiłeś o przełożeniu w samochodzie.

– Jasne, jakąś godzinę temu. Wiedziałem, że nie słuchasz. – Zaśmiał się.

– Przepraszam. – Poczula, że czerwienieją jej policzki. – Rozmyślałam o college'u.

Podniósł tacę i odstawił na stolik nocny stojący po lewej stronie łóżka.

– Zawsze się martwisz o przyszłość.

– A ty nigdy.

– To nic nie pomoże.

Zanim zdołała odpowiedzieć, pochylił się ku niej i ją pocałował. Wszystko odpłynęło, rozterki na temat uczelni i obawy co do ich wspólnej przyszłości. Zatopiła się w pocałunku i wtuliła w ramiona Davida.

Po długim czasie, gdy wreszcie zdecydowali się wstać z łóżka, już nie pamiętała o wszystkich tych problemach.

– Chodźmy pojeździć na łyżwach do Longview – powiedział David i zaczął przetrząsać szuflady w poszukiwaniu koszuli, którą chciał włożyć.

Lauren byłaby zachwycona taką propozycją, ale teraz zerknęła na walające się obok łóżka ubranie, złachany płaszcz, dziury w skarpetkach. Skrzywiła się.

– Nie mogę dzisiaj. Muszę poszukać pracy.

– W sobotę?

Spojrzała na niego. W tym momencie dzieliło ich dużo więcej niż ten metr przestrzeni pomiędzy nimi.

– Wiem, że to idiotyczne, ale nic nie mogę poradzić.

David zbliżył się do niej i zapytał:

– Ile?

– Co ile?

– Ile zalegacie z czynszem?

– Nie mówiłam, że... – Lauren poczuła, że się czerwieni.

– Nie mówiłaś, ale ja nie jestem idiotą, Lo. Ile jesteście winne?

Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Dwieście. Ale w poniedziałek muszę zapłacić pierwsze sto.

– Dwie setki. Tyle zapłaciłem za kierownicę i dzwignię od skrzyni biegów.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dla niego ta kwota to było kieszonkowe. Spuściła wzrok

i schyliła się po ubranie.

– Pozwól mi...

– Nie – odparła, ale nie miała śmiałości popatrzeć na niego. Łzy napłynęły jej do oczu. Poczula straszny wstyd. Nie miała szczególnego powodu. On ją bardzo kochał. Mówił to wiele razy, ale...

– Dlaczego nie?

Wyprostowała się powoli. Wreszcie spojrzała na niego.

– Całe życie – powiedziała – patrzyłam, jak mama przyjmuje pieniądze od mężczyzn. Zaczynało się od drobiazgów. Na piwo albo papierosy. Potem pięćdziesiąt dolarów na sukienkę albo sto na rachunek za elektryczność. To... wszystko zmienia, te pieniądze.

– Wiesz, że nie jestem jednym z tych facetów.

– Ale między nami musi być inaczej. Nie rozumiesz?

Dotknął delikatnie jej twarzy. Ten gest sprawił, że Lauren zachciało się płakać.

– Widzę, że nie chcesz, bym ci pomógł.

Jak mogła mu wytłumaczyć, że gdyby zgodziła się na jego propozycję, to utonęliby w tej rzece dobroczynności oboje.

– Po prostu mnie kochaj – wyszeptła i objęła go bardzo mocno.

Uniósł ją i zaczął całować, dopóki nie zakręciło jej się w głowie i uśmiech nie pojawił się znowu na twarzy.

– Idziemy na łyżwy i koniec!

Bardzo tego chciała, pragnęła w ten dokuczliwy chłód krążyć z Davidem po lodowisku, trzymając go mocno za rękę.

– Dobrze, tylko nie mam odpowiedniego ubrania, musimy wpaść do mnie do domu. – Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Jak miło było się poddać i wziąć sobie dzień wolny od kłopotów.

Chwycił ją za rękę i poprowadził schodami w dół w kierunku sypialni rodziców.

– David, co ty wyprawiasz? – Szła za nim nagle zachmurzona, ze zmarszczonymi brwiami.

Otworzył drzwi, wszedł do środka, a potem skierował się w stronę garderoby. Światło zapaliło się automatycznie. Garderoba była większa od salonu w mieszkaniu Lauren.

– Mama trzyma tu swoje płaszcze. Weź jeden.

Dziewczyna szła na drewnianych nogach, aż znalazła się na wprost palt pani Haynes. Było ich co najmniej tuzin. Skóra. Kaszmir. Wełna. Zamsz. Żaden nie miał oznak noszenia i zużycia.

– Włóż jeden z nich i lecimy.

Lauren nie mogła się poruszyć: serce biło zbyt szybko, prawie się dusiła. Poczula się zraniona, jej bieda stała się taka oczywista. Odwróciła się i skierowała spojrzenie na Davida. Jeśli nawet dostrzegł łzy w jej oczach, nie dał tego po sobie poznać.

– Przypomniałam sobie, że mam płaszcz, nie potrzebuję innego.

– Jesteś pewna?

– Tak. Najwyżej pożyczę jeden z twoich swetrów. Możemy już iść.

7

Angie jechała nadbrzeżną ulicą aż na skraj miasta. Pacyfik po lewej stronie wydawał się już szykować do jesieni. Biała morską pianą zalewała piasek w kolorze cementu i wyrzucała zamasyście resztki glonów na plażę. Staloszare niebo wyglądało złowieszczo, wiatr huczał i wyl wśród gałęzi drzew rosnących na nadbrzeżu, uderzał w przednią szybę jej samochodu. Lało tak, że wycieraczki ustawione na najwyższe obroty nie nadążały z usuwaniem wody.

Z Azalea Lane skręciła w lewo i znalazła się na wąskiej uliczce, niegdyś wylanej asfaltem. Dzisiaj widniały na niej tylko dziury i wyboje. Samochód chybotął się na nierównej drodze jak pijany.

Dom organizacji Help-Your-Neighbor, bładniebieski, w stylu wiktoriańskim, usytuowany na samym końcu tej zaniedbanej ulicy, stanowił ogromny kontrast z lichą zabudową otoczenia, składającą się głównie z przyczep kempingowych. Podczas gdy wszędzie wisiały tabliczki: „Uwaga, zły pies”, ta tutaj zachęcała napisem: „Zapraszamy”.

Angie wjechała na parking zaskoczona niemałą liczbą samochodów i ciężarówek, które już tu stały. Taki tłok, a przecież nie minęła jeszcze dziesiąta, na dodatek był to niedzielny poranek.

Zaparkowała obok zdezelowanego czerwonego pikapa z niebieskimi drzwiami i pokrowcem na broń wystającym z okna. Zebrała rzeczy, które zamierzała ofiarować: konserwy, przybory toaletowe, kilka sztuk indyków z pobliskiego sklepu spożywczego, i podeszła zwirową ścieżką do jaskrawo pomalowanych drzwi wejściowych. Ceramiczny krasnal szczyrzył do niej zęby z rogu werandy.

Uśmiechając się, otworzyła drzwi i znalazła się nagle w środku pandemonium. Na parterze było pełno ludzi, którzy chodzili tam i z powrotem, rozmawiali. Kilkoro dzieci zgromadziło się przy oknie i bawiło klockami lego. Kobiety o zmęczonych twarzach i wymuszonych uśmiechach siedziały wzdłuż ściany i wypełniały formularze, zamiast stołów używając podkładek. W odległym rogu dwóch mężczyzn wydobywało z paczek konserwy.

– Czym mogę pani służyć?

Minęła chwila, zanim Angie uświadomiła sobie, że pytanie skierowane było do niej. Kiedy zrozumiała, co mówiła kobieta, uśmiechnęła się.

– Przepraszam, nie słyszałam, takie tu zamieszanie.

– Istny cyrk. Tak będzie przez całe wakacje. Tak sądzimy. – Kobieta patrzyła na nią z marsową miną, uderzając długopisem o podbródek. – Wygląda pani znajomo.

– Dziewczyny z małych miasteczek zwykle tak wyglądają. – Angie zrobiła kilka kroków, wymijając zabawki leżące na podłodze, i znalazła się przy biurku swojej rozmówczyni. Usiadła naprzeciwko niej. – Nazywam się Angela Malone, kiedyś DeSaria.

Kobieta z impetem opuściła rękę na blat stołu, aż zadźwięczało niewielkie akwarium stojące obok.

– No jasne! Chodziłam do szkoły z Mirą. Dana Herter. – Podała Angie dłoń.

– Miło mi. – Angie odwzajemniła uścisk. – Wróciłam na jakiś czas do domu...

– Słyszeliśmy o twoim rozwodzie. – Rumiana twarz Dany pofałdowała się jak u mopsa.

– No tak, to oczywiste. – Angie starała się nadal uśmiechać.

– To małe miasteczko.

– Bardzo małe. Mniejsza o to, pracuję chwilowo w restauracji i pomyślałam, że... – Mimowolnie wzruszyła ramionami. – Dopóki tu jestem, mogłabym w czymś pomóc jako wolontariuszka.

Dana skinęła głową.

– Zaczęłam tu przychodzić, po tym jak Doug mnie zostawił. Doug Rhymer? Pamiętasz go? Kapitan drużyny zapaśniczej? Mieszka teraz z Kelly Santos. Suka. – Na jej twarzy pojawił się uśmiech, niepewny i bez cienia radości, taki, który nie ożywił oczu. – Praca tutaj mi pomogła.

Angie oparła się plecami o krzesło, poczuła się dziwnie miękka niczym z waty, jakby w ogóle nie miała kości. Jestem jedną z nich – singli, pomyślała. Ludzie snują różne domysły, bo zawaliło się jej małżeństwo. Jak mogła nie zdawać sobie z tego sprawy?

– W jaki sposób mogę wam pomóc?

– Jest mnóstwo rzeczy do zrobienia. Trzymaj! – Dana sięgnęła do szuflady i wyciągnęła dwukolorową broszurę. – To jest zarys naszej działalności. Przeczytaj i wybierz, co ci pasuje i najbardziej do ciebie przemawia.

Angie wzięła informator do ręki i szybko otworzyła. Zaczęła czytać, gdy Dana jej przerwała:

– Czy możesz dać to, co przyniosłaś dla nas, Tedowi, temu, który tam stoi? On musi zaraz wyjść.

– Oczywiście. – Angie wzięła pudło z konserwami i całą resztą, po czym przekazała dwóm panom, którzy z uśmiechem przyjęli dar i wrócili do pracy. Ona zaś skierowała się do prowizorycznej poczekalni i usiadła na jednym z plastikowych krzeseł.

Przejrzała broszurę z informacjami o świadczonych przez organizację usługach. Pomoc rodzinie. Poradnia dla rodziców i dzieci. Program przeciwdziałania przemocy domowej. Bank żywności. Ulotka zawierała również kalendarz imprez charytatywnych: turnieje golfowe, ciche aukcje, wyścigi rowerowe, maratony tańca. „Każdego dnia szczodrzy członkowie naszej społeczności zostawiają dary w postaci jedzenia, pieniędzy czy ubrań lub poświęcają prywatny czas. W ten sposób pomagamy sobie nawzajem”.

Angie zadrżała i poczuła coś ożywczego. Zdała sobie sprawę, że odzyskuje nadzieję. Uśmiechnęła się i zapragnęła obecności kogoś, z kim mogłaby o tym porozmawiać.

Pierwsza myśl – Conlan. I zaraz jej uśmiech znikł. Zrozumiała, że w nadchodzących miesiącach będzie takich chwil więcej. Momentów, w których będzie uświadamiać sobie swoją samotność. Zmusiła się do uśmiechu, ale wypadł sztucznie.

I wtedy zobaczyła tę dziewczynę z długimi rudymi włosami o niemożliwym do określenia odcieniu. Weszła frontowymi drzwiami. Wyglądała jak zmokła kura; woda kapła jej z nosa, włosów, ubrania. Miała cerę bladą niczym Nicole Kidman i ogromne piwne oczy o nieprzeniknionym spojrzeniu, nieproporcjonalnie duże w stosunku do twarzy, co nadawało jej wygląd małej dziewczynki. Nos i policzki usiane były piegami.

Angie rozpoznała dziewczynę z parkingu, tę, która rozlepiła ulotki z napisem: „Szukam pracy”.

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę w drzwiach wejściowych. Spróbowała poprawić przylegający ciasno płaszcz, ale był przykrótki i tak znoszony i poprzecierany na rękawach, że nie dało to żadnego efektu. Podeszła do punktu informacyjnego.

Dana spojrzała na nią, uśmiechnęła się i coś powiedziała.

Angie nie mogła się powstrzymać, przesunęła się bliżej, by słyszeć, o czym rozmawiają.

– Czytałam, że mają państwo palta – oznajmiła dziewczyna, krzyżując ramiona. Cała drżała.

– Dopiero co zaczęliśmy je zbierać. Musisz podać nam swoje nazwisko, rozmiar, jaki

nosisz, i zostawić numer telefonu. Damy znać, jak pojawi się coś odpowiedniego.

– To dla mamy – odezwała się dziewczyna – ona jest drobna.

Dana przytknęła długopis do podbródka i przyglądała jej się badawczo.

– Tobie też przydałby się jakiś płaszcz. Wydaje się, że ten pasowałby na ciebie...

Dziewczyna parsknęła nerwowym śmiechem.

– Nie trzeba. – Nachyliła się i napisała coś na kartce, którą przesunęła po blacie. –

Nazywam się Lauren Ribido, a tu jest mój numer. Proszę o telefon, jak będą coś państwo mieli.

Dzięki z góry.

Powiedziawszy to, ruszyła w stronę wyjścia.

Angie stała nieruchomo wpatrzona w drzwi, które dopiero co się zamknęły. Serce waliło jej w piersi.

„Idź za nią”.

Ta myśl pojawiła się nagle i uderzyła ją swoją intensywnością.

Pomysł był zwariowany, ale dlaczego nie?

Nie zastanawiała się długo. Działała instynktownie... poczuła więź z tą biedną nastolatką, która sama będąc w potrzebie, prosiła tylko o płaszcz dla matki. Wstała, zrobiła krok, potem kolejny. Zanim się zorientowała, była już na dworze.

Deszcz lał tak mocno, że trawa się pokładała na ziemi, a woda gromadziła w zagłębieniach, tworząc brązowe kałuże. Ognisćcie czerwone ogrodzenie połyskiwało od wilgoci i chwiało się na wietrze.

Na końcu ulicy Angie dostrzegła biegnącą dziewczynę.

Wsiadła do samochodu, włączyła światła i wycieraczki i szybko wyjechała z parkingu.

Zjeżdżała w dół wyboistą drogą, reflektory omiatały sylwetkę dziewczyny. Angie po raz kolejny zastanawiała się, co ona u diaska właściwie robi.

Wtrącam się, pomyślała, gdy odezwała się praktyczna strona jej natury.

Pomagam, dała o sobie znać strona romantyczna.

Dojechała do rogu i zwolniła. Zatrzymała się. Właśnie zamierzała opuścić szybę w samochodzie i zaproponować dziewczynie podwiezienie (żadna rozsądna panna by nie odmówiła), ale nadjechał autobus z numerem siedem i zatrzymał się z piskiem hamulców na przystanku. Rozklekotane drzwi otworzyły się, dziewczyna wspięła się po schodkach i zniknęła w środku.

Autobus odjechał.

Angie podążała za nim przez całe miasto. Na skrzyżowaniu Driftwood Way z wjazdem na autostradę miała wybór: mogła skręcić w stronę domu lub jechać za autobusem dalej.

Wybrała drugą opcję, choć trudno byłoby jej uzasadnić, dlaczego to robi.

Wreszcie na samym końcu West Endu dziewczyna wysiadła. Przemierzała okolice, które mogłyby wzbudzić lęk w wielu ludziach, aż dotarła do domu, który szumnie, acz nieprawdziwie, nazywał się Luxury Apartments (Luksusowe Mieszkania). Po kilku chwilach na czwartym piętrze zapaliło się światło.

Angie zatrzymała się przy krawężniku i wpatrywała się w budynek. Przypominał jej jeden z tych, które opisywał w powieściach Roald Dahl: przegniłe drewno i ciemne, puste miejsca. Nie ma co się dziwić, że dziewczyna wtykała za wycieraczki ogłoszenia o poszukiwaniu pracy.

„Nie możesz ocalić wszystkich”, powtarzał Conlan, gdy Angie płakała nad niesprawiedliwością tego świata. „Nie mogę ocalić nikogo”, odpowiadała.

Wtedy, gdy doskwierał jej smutek, miała przy sobie męża, a dzisiaj...

Decyzja należała do niej. Z pewnością nie mogła rozwiązać wszystkich problemów tej dziewczyny, nie było to w jej mocy. Ale mogła choć trochę jej pomóc.

*

Wszystkim kieruje przypadek. Do takiego wniosku doszła Angie, stojąc w poniedziałek rano przed witryną sklepu Clothes Line.

Był, miała go przed sobą.

Ciemnozielony, długi do kolan zimowy płaszcz, z szalowym kołnierzem ze sztucznego futra i z takim samym wykończeniem wokół mankietów. Właśnie takie palta były najmodniejsze w tym roku. Angie miała kiedyś podobny.

Rudowłosej dziewczynie o jasnej cerze i piwnych smutnych oczach będzie w nim do twarzy.

Przez nanosekundę albo dwie Angie starała się przekonać samą siebie, że miesza się w sprawę, które do niej zupełnie nie należą. Nie знаła tej dziewczyny, nie miała z nią nic wspólnego.

Były to jednak słabiutkie argumenty i wcale jej nie przekonały.

Przydałby się czasem ktoś obok, kto utwierdziłby ją w słuszności decyzji podjętej pod wpływem impulsu.

Otworzyła drzwi i weszła do niewielkiego sklepu. Nad wejściem, tuż nad jej głową, zadźwięczał dzwonek. Ten dźwięk przywołał wspomnienia i przez moment Angie wydawało się, że znowu jest chudziutką jak patyk cheerleaderką, z czarnymi włosami o metalicznym połysku, która idzie z siostrą do jedyne go wówczas sklepu z ciuchami w miasteczku.

Teraz było ich kilkanaście, znalazło się nawet miejsce, na obrzeżach miasta przy autostradzie, na dom towarowy J.C. Penney, ale po džinsy Jordache'a i getry przychodziło się do Clothes Line.

– Angie DeSaria?

Znajomy głos wytrącił ją z zadumy i przywołał do rzeczywistości. Usłyszała odgłos drobnych kroków i butów na gumowych podeszwach przesuwających po linoleum, co sprawiło, że się uśmiechnęła.

Pani Costanza torowała sobie drogę przez ubrania, lawirując i kiwając się na boki z finezją, której mógłby pozazdrościć Evander Holyfield. Na początku widać było jedynie natapirowaną burzę ufarbowanych na czarno włosów. Potem wyłoniły się mocno podkreślone ciemną kreską oczy, a na końcu uśmiechnięte wiśniowe usta.

– Dzień dobry, pani Costanza! – Angie przywitała się z kobietą, która dobrała jej pierwszy stanik i u której przez siedemnaście lat kupowała każdą parę butów.

– Nie mogę uwierzyć, że to ty. – Costanza uniosła w górę dłonie i klasnęła nimi tak, by nie połamać pomalowanych długich paznokci. – Słyszałam, że przyjechałaś, ale sądziłam, że ubrania kupujesz w wielkim mieście. Niechże ci się przyjrzę!

Chwyciła Angie za ramię i obróciła w koło.

– Dżinsy od Roberta Cavallego, porządny włoski chłopak. Dobry wybór. Ale już te buty nie są najodpowiedniejsze do spacerów po mieście. Powinnaś mieć nowe. A słyszałam, że pracujesz w restauracji, w takim razie musisz mieć stosowne do zajęcia obuwie.

– Ma pani jak zwykle rację. – Angie nie mogła przestać się uśmiechać.

– Mama jest taka szczęśliwa, że ma cię przy sobie – mówiąc te słowa, kobieta dotknęła jej policzka. – To był trudny rok dla niej.

– Dla nas wszystkich. – Uśmiech znikł z twarzy Angie.

– To był taki dobry człowiek. Najlepszy.

Przez moment przypatrywały się sobie w milczeniu, wspominając pana DeSaria. Wreszcie Angie się odezwała:

– Zanim sprzeda mi pani parę wygodnych butów, chciałabym kupić ten płaszcz z wystawy.

– Ależ on jest w bardzo młodzieżowym stylu, wiem, że w dużym mieście ubierają się inaczej, ale tutaj...

– To nie dla mnie... – Zawahała się. – Dla znajomej.

– Aaa... – Pani Costanza kiwnęła potakująco głową. – W tym sezonie każda dziewczyna chce mieć taki płaszcz. Chodź!

Po godzinie Angie opuściła Clothes Line z dwoma zimowymi paltami z angory, parą tenisówek bez jakiejś szczególnej metki i parą butów na płaskim obcasie, użytecznych w pracy. Weszła do punktu, gdzie zajmowano się pakowaniem, i poprosiła o włożenie płaszczy do pudła.

Zamierzała podrzucić je do Help-Your-Neighbor. Taki miała plan.

Ale tak się jakoś złożyło, że znalazła się na ulicy, gdzie wczoraj po raz ostatni widziała dziewczynę. Zaparkowała samochód i wpatrywała się w niszczyjący budynek.

Zabrała pudło z samochodu i skierowała się w stronę drzwi wejściowych. Szpilki, które miała na sobie, zapadały się w nierównym chodniku i co chwilę musiała chwycić równowagę. Wyglądała zapewne jak idący chwiejnym krokiem Quasimodo, gdyby ją ktoś w tej chwili mógł zobaczyć, ale ciemne, puste okna zaprzeczały takiej możliwości.

Drzwi wejściowe były otwarte, a w zasadzie wyjęte z zawiasów. Weszła do środka, gdzie panowały nieprzeniknione ciemności. Po lewej stronie znajdowała się skrzynka na listy z numerami oznaczającymi kolejnych lokatorów, ale nazwisko było tylko jedno, gospodyni Dolores Mauk, 1A.

Angie stała na wprost jej mieszkania. Poprawiła pudło, które trzymała pod pachą, i zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiadał, zastukała więc ponownie.

– Już idę – ktoś się odezwał.

Drzwi się otworzyły. Stała za nimi kobieta w średnim wieku, o zmęczonej twarzy i dobrych oczach. Miała na sobie sukienkę w kwiatki i tenisówki Converse. Włosy niemal całkowicie przesłaniała czerwona chustka.

– Pani Dolores Mauk? – zapytała Angie, wyczuwając rezerwę w kobiecie, która przed nią stała.

– To ja. Czego pani sobie życzy?

– Mam paczkę dla Lauren Ribido.

– Dla Lauren. – Twarz pani Mauk rozjaśnił promienny uśmiech. – To dobra dziewczyna.

– Po czym twarz kobiety spowaźniała. – Nie korzysta pani z doręczyciela? – zapytała i obrzuciła Angie wzrokiem od stóp do głów.

– To płaszcz na zimę – odezwała się Angie. Cisza, jaka nastąpiła, wymusiła na niej dalsze wyjaśnienia. – Byłam akurat w Help-Your-Neighbor, kiedy przyszła Lauren i pytała o palto dla mamy. Pomyślałam... dlaczego nie wziąć dwóch. I tak się tu znalazłam. A skoro już jestem, może mogłabym zostawić je u pani?

– Tak będzie najlepiej. Nie ma ich obu. Żadnej nie ma w domu.

Angie wręczyła jej paczkę. Już miała się odwrócić i odejść, gdy kobieta zapytała ją o nazwisko.

– Angela Malone. Kiedyś nazywałam się DeSaria. – Nauczyła się dodawać nazwisko panińskie. W miasteczku wszyscy zdawali się je znać.

– Tak jak restauracja?

– Dokładnie. – Angie się uśmiechnęła.

– Moja córka bardzo lubiła tam chodzić.

„Lubiła”. Tu tkwiło sedno sprawy, ludzie mówili o restauracji w czasie przeszłym.

– Proszę przyprowadzić córkę któregoś dnia. Obiecuję, że ugościmy ją po królewsku – powiedziała Angie i po wyrazie twarzy pani Mauk zorientowała się, że popełniła jakąś gafę.

– Dziękuję. Tak zrobię – odparła kobieta chrapliwym głosem i zamknęła drzwi.

Angie stała jeszcze przez chwilę, próbując dociec, co się stało. Po czym z westchnieniem dała za wygraną i skierowała się do wyjścia.

Gdy już znalazła się w samochodzie, przez chwilę przyglądała się przez szybę podupadłej okolicy. Właśnie podjechał na przystanek jaskrawożółty autobus, z którego, gdy się zatrzymał, wysypały się na ulicę dzieci. Było ich kilkoro, nieduże, mogły chodzić do pierwszej, najwyżej drugiej klasy.

Nie było żadnej mamy, która czekałaby na nie, popijając łyżkami drogą latte w Starbucksie, zajęta rozmową z inną mamą.

Odezwiał się znajomy ból, czuła, jak rozdziera jej piersi, utrudnia przełykanie. Patrzyła na gromadkę dzieci kąpiących leżące na chodniku puszki, roześmianych.

Dopiero gdy były już prawie poza zasięgiem jej wzroku, zdała sobie sprawę, czego im brakowało.

Płaszczy.

Żadne z dzieci, mimo że było chłodno, nie miało ciepłego zimowego okrycia.

A w przyszłym miesiącu będzie jeszcze zimniej.

I przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Można urządzić zbiórkę płaszczy w restauracji. Za każdy nowy lub lekko zniszczony będzie można dostać u DeSariów za darmo obiad lub kolację.

Idealnie.

Włożyła kluczyk do stacyjki i uruchomiła samochód. Nie mogła się doczekać, by opowiedzieć Mirze, co wymyśliła.

*

Lauren szybkim krokiem przemierzała dziedziniec szkolny. Przenikliwie zimne powietrze owiewało jej twarz. Oddech zamieniał się w szarawą mgiełkę, która po chwili się rozwiewała.

David czekał na nią pod masztem. Na jej widok uśmiechnął się wesoło. Musiał stać tam już od dawna, bo policzki miał mocno zaróżowione.

– Cholera, ale zmarzłem! – Przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie.

Potem ruszyli. Mijali po drodze znajomych, pozdrawiali i uśmiechali się do nich, rozmawiając ze sobą po cichu.

Przystanęli przed klasą. David pocałował ją na pożegnanie i skierował się do swojej sali. Nie przeszedł jeszcze kilku kroków, kiedy coś mu się przypomniało i zawrócił.

– Hej, zapomniałem zapytać. Jakiego koloru smoking powinienem mieć na balu absolwentów?

Krew odpłynęła Lauren z twarzy. Bal absolwentów. Zabawa była już za dziesięć dni.

Jezu! Zamówiła didżejów, ustaliła dekorację i światła.

Jak mogła zapomnieć o najważniejszej rzeczy. Nie miała sukienki!

– Lauren?

– Hm... Chyba czarny – odpowiedziała. – Czarny to najbezpieczniejszy wybór.

– Załatwione, będzie czarny – rzucił z uśmiechem.

Dla Davida wszystko było proste. Nie musiał się martwić, za co kupić nową sukienkę, nie wspominając o dodatkach, butach i szalu.

Przez całe zajęcia z trygonometrii nie mogła się skupić. Jak tylko się skończyły, zaszyła się w rogu biblioteki i sprawdziła wszystkie przegródki w portfelu, każdą kieszeń plecaka

w poszukiwaniu pieniędzy.

Sześć dolarów dwanaście centów. To wszystko, co miała.

Zmarszczka pojawiła się na czole Lauren i zagościła tam na dobre przez resztę dnia.

Po szkole wymigała się z zebrania w sprawie dekoracji i pobiegła do domu.

Wysiadła z autobusu na rogu Apple Way i Cascade Street. Lało. To już nie była srebrna mgiełka, ale istna ściana deszczu, która sprawiła, że świat stał się zimny, szary i ponury. Krople deszczu z wielką siłą waliły o chodnik. Brezentowy kaptur Lauren był, łagodnie mówiąc, do niczego. Woda ściekała jej po policzkach i dostawała się za kołnierza. Plecak wypełniony książkami, zeszytami, broszurami zdawał się ważyć tonę. Na dodatek złamała obcas w jednym bucie i szła, utykając, w stronę domu.

Na rogu zobaczyła Bubbę i pomachała mu, ten zrobił to samo i wycofał się do swojego zakładu, gdzie robił tatuaże. Neon nad jego głową migotał ospale. W oknie zawieszona była reklama: „Tatuowałem twoich rodziców”, ale słowa zamazywał deszcz spływający po szybie. Pokuśtykała dalej, minęła zamknięty o tej porze Hair Apparent, gdzie rzekomo pracowała jej mama. Potem przeszła obok prowadzonego przez rodzinę Chu sklepiku i Teriyaki Takeout należącej do państwa Ramirezów.

Doszła do domu, ale nagle nie mogła zdobyć się na to, by wejść do środka. Zamknęła oczy i zaczęła wyobrażać sobie dom, w którym pewnego dnia chciałaby zamieszkać: jasnożółte ściany, miękkie sofy, olbrzymie okna, długa weranda porośnięta kwiatami.

Chciała zatrzymać ten obraz na dłużej, ale rozplynął się w powietrzu jak dym.

Zmusiła się do zmiany nastawienia. Pojawiło się nowe życzenie. Pragnęła przestać ratować mamę z sytuacji podbramkowych i martwić się o jedzenie dla nich obu. Ale to marzenie również nie uczyniło z niej posiadaczki sukni na bal.

Zeszła z dziurawego chodnika i minęła pudełko z narzędziami ogrodowymi, ustawione tutaj przez panią Mauk w zeszłym tygodniu z nikłą nadzieją, że będzie stanowić zachętę dla lokatorów, by lepiej dbali o otoczenie. Jeszcze trochę czasu upłynie i narzędzia zaczną rdzewieć. Będą do niczego na długo przed tym, zanim ktoś się zlituje i zechce przyciąć tyczkowate róże i rozrośnięte w niekontrolowany sposób po całej parceli krzaki jeżyn.

Powitał ją ciemny korytarz.

Weszła na górę i zobaczyła, że drzwi do ich mieszkania są otwarte.

– Mamo! – zawołała, przeskakując przez próg. Na popielniczce stojącej na stoliku jarzył się papieros. Wokół wałało się mnóstwo niedopałków.

Mieszkanie było puste. Mama wróciła pewnie z pracy około piątej (jeżeli w ogóle do niej poszła), przeistoczyła się ze skromnej fryzjerki w odstawioną zdzirę i wyskoczyła do ulubionego baru na jednego.

Lauren pobiegła do swojej sypialni, modląc się cały czas po drodze: „Błagam, błagam, nie...”.

Pod poduszką nie znalazła niczego.

Mama zabrała pieniądze.

8

Lauren zamierzała się ruszyć. Chciała wstać, nałożyć świeży makijaż i raz jeszcze pożyczyć kostium Suzi Mauk, ale jakoś nie mogła się na nic zdobyć. Siedziała na podłodze, wpatrzona w niedopałki w popielniczce i walające się po stole. Ile z jej dwudziestu dolarów poszło z dymem?

Tak bardzo pragnęła zapłakać – kiedyś przychodziło jej to bez trudu, bo łzy przynosiły ulgę. Ale jej oczy już od dawna były suche i nie wiedziała, co mogłoby przynieść ukojenie.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, wałąc o ścianę. Całe mieszkanie zatrzęsło się od tego uderzenia. Butelka piwa spadła z sofy i potoczyła się po kosmatym dywanie.

Matka stała w wejściu, miała na sobie czarną, plisowaną minispódniczkę, tego samego koloru kozaczki i dopasowany niebieski podkoszulek. Lauren podejrzliwie przypatrywała się górze stroju, T-shirt wyglądał na nowy, ale podkreślał chudość pani Ribido. Niegdyś wyraziste kości policzkowe dodawały wyrazu jej urodzie, dzisiaj twarz stała się kolekcją zmarszczek i sińców. Alkohol, papierosy, zbyt wiele kiepskich lat – to wszystko odcisnęło na niej piętno, uroda przeminęła, pozostały jedynie olśniewające zielone oczy, które przyciągały uwagę. Dawniej Lauren uważała, że mama jest najpiękniejszą kobietą na świecie, jednak z upływem lat jej uroda gasła, a ona stawała się coraz trudniejsza we współżyciu.

Pani Ribido wsunęła papierosa do ust i mocno się zaciągnęła, po czym wypuściła dym gwałtownie.

– Co się tak na mnie gapisz?

Lauren westchnęła. Znosi się na jedną z tych nocy, kiedy to mama wracała niedopita, bardziej trzeźwa niż pijana, i wciekła z tego powodu. Lauren podniosła się i zaczęła ogarniać bałagan w pokoju.

– Wcale się nie gapię.

– Powinnaś być w pracy – stwierdziła matka i kopniakiem zatrzęsła drzwi.

– Podobnie jak ty.

Pani Ribido roześmiała się i padła na sofę, wyciągnęła nogi i oparła je o stolik do kawy.

– Wiesz, jak to jest.

– Tak. Wiem – powiedziała Lauren z goryczą w głosie, choć wołałaby, żeby jej nie było.

– Nie zaczynaj ze mną.

Lauren podeszła do sofy i przysiadła na poręczu.

– Wzięłaś dwadzieścia dolarów spod poduszki. To były moje pieniądze.

– I co z tego? – Mama skończyła palić jednego papierosa i zaczęła następnego.

– Bał absolwentów jest za niespełna dwa tygodnie. A ja... – Lauren zawahała się przez moment, nienawidziła tego, ale musiała powiedzieć, czego jej potrzeba, mimo że nie chciała. – Nie mam sukienki.

Pani Ribido spojrzała na nią. Dym wisiał w powietrzu, tworząc między nimi barierę.

– Zaszłam w ciążę na szkolnej potańcówce – odezwała się wreszcie.

– Wiem. – Lauren starała się nie przewracać oczami.

– Pieprzyć tańce!

Dziewczyna nie wierzyła, że po tylu latach można odczuwać ból. Kiedy przestała mieć nadzieję, że matka się zmieni?

– Dzięki, mamó. Jak zwykle bardzo mi pomagasz i mogę na ciebie liczyć.
– Zrozumiesz, gdy będziesz starsza. – Pani Ribido położyła się na plecach i wypuściła kolejny kłęb dymu. Wargi jej zadrżały i w jednym z tych rzadkich momentów wyglądała smutno.
– Wiele rzeczy nic nie znaczy. Ani to, czego chcesz. Ani jakie masz marzenia. Trzeba żyć z tym, co zostaje.

Jeśli miałyby to być prawda, nigdy nie podniosłaby się z łóżka, nie odkleiła od stołka barowego. Lauren schyliła się, odgarnęła matce włosy z oczu.

– Ze mną będzie inaczej, mamó.

Pani Ribido uśmiechnęła się smutno.

– Mam nadzieję – wymamrotała tak cicho, że dziewczyna musiała nachylić się do jej ucha, by zrozumieć.

– Coś wymyślę, żeby znalazły się pieniądze na czynsz i kupno sukienki – odezwała się z nieoczekiwaną energią Lauren. Kilka chwil wcześniej opuściła ją odwaga, czuła się zagubiona, odrętwiała, zmarznięta, teraz odwaga niespodziewanie wróciła, a ona postanowiła stawić czoło problemom. Ześlizgnęła się z poręczy sofy i poszła do sypialni matki. W wypchanej po brzegi bielizniarce znalazła czarną atlasową koszulę, którą od biedy dałoby się przerobić na sukienkę do tańca. Trzymała ją w ręku, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Nie zareagowała, ale matka otworzyła i krzyknęła:

– Przyszła pani Mauk!

Lauren zakłęła pod nosem. Że też mama musiała ją wpuścić. Rzuciła koszulę na łóżko i zmuszając się do uśmiechu, weszła do dużego pokoju.

Stała tam pani Mauk. Duże kartonowe pudło leżało u jej stóp. Obok mama przymierzała prześliczne czarne palto wykonane z mięciutkiej wełny, zapinane na guziki, dopasowane w talii, z szalowym kołnierzem.

Lauren zmarszczyła brwi.

– To płaszcz dla starszej pani – mruzczała mama, idąc w stronę łazienki.

– Pani Mauk? – odezwała się pytająco Lauren.

– Jest też drugi, dla ciebie. – Schyliła się i wyciągnęła z pudła zielone palto z futerkowym wykończeniem.

– Dla mnie? – wykrztusiła dziewczyna.

Wyglądało prawie jak to, które nosiła Melissa Stonebridge. Najzamożniejsza i najbardziej popularna dziewczyna w całym Fircreście. Lauren nie miała śmiałości po nie sięgnąć, dotknąć miękkiego futerka.

– Nie powinna pani, to znaczy... ja nie mogę... – Cofnęła rękę. Pani Mauk nie stać było na taki prezent.

– To nie ode mnie – odezwała się gospodyni i uśmiechnęła w dobrze znany smutny sposób. – Przyniosła to jakaś pani z Help-Your-Neighbor. Nazywa się Angela DeSaria. Wiesz, jak ta restauracja na Driftwood, tam pracuje. Ją na pewno stać na taki prezent.

„Dobroczynność”. Kobieta musiała ją widzieć i pewnie wzbudziła w niej współczucie.

– Ten płaszcz mnie postarza – odezwała się mama z drugiego pokoju. – Jak wygląda twój?

– Weź go. – Pani Mauk wetknęła palto w ręce Lauren.

Nie mogła się powstrzymać. Włożyła go i poczuła, że wreszcie jest jej ciepło. Nie zdawała sobie sprawy aż do teraz, jak długo marzła.

– W jaki sposób należy podziękować za coś tak pięknego? – wyszeptwała.

Pani Mauk spojrzała na nią ze zrozumieniem.

– Ciężko jest być skazanym na pomoc – odezwała się cicho.

– Tak...

Przez dłuższą chwilę patrzyły na siebie. Wreszcie Lauren spróbowała się uśmiechnąć.

– Chyba wybiorę się do restauracji, żeby ją znaleźć i... podziękować.

– To dobry pomysł.

– Zaraz wrócę, mamo! – rzuciła w jej stronę.

Lauren nie patrzyła na panią Mauk, gdy wyszły z mieszkania i w milczeniu schodziły razem po schodach.

Na ulicy pokiwała jej na pożegnanie. Gospodyni. Zawsze z tyłu, schowana, ale bacznie obserwująca, co się dzieje na ulicy.

Dotarcie do restauracji DeSaria zajęło Lauren mniej niż trzydzieści minut. Otworzyła drzwi.

Pierwszy dotarł do niej aromat. Miejsce pachniało niebiańsko. Nagle zdała sobie sprawę, jaka jest głodna.

– Chyba to mnie szukasz?

Lauren nawet nie zauważyła, kiedy kobieta się pojawiła, i teraz stały zwrócone ku sobie twarzą w twarz. Wyższa od dziewczyny nie więcej niż trzy centymetry, ale jakże inna! Była piękna, o urodzie gwiazdy filmowej, z czarnymi włosami, brązowymi oczami i zniewalającym uśmiechu. Ubrana jak z żurnala. Czarne spodnie z rozszerzonymi nogawkami, botki na wysokich obcasach i jasnożółty sweter z golfem. Wydawało się, że jest niezwykle serdeczna.

– Czy pani Angela DeSaria?

– Mów mi Angie, proszę. – Spojrzała na Lauren, a w jej brązowych oczach było tyle ciepła. – A ty pewnie nazywasz się Lauren Ribido.

– Bardzo dziękuję za płaszc. – Jej głos przeszedł od piskliwego sopranu do ochrypłych niższych tonów. Zdała sobie nagle sprawę, gdzie widziała tę kobietę – To pani dała mi pieniądze tamtego wieczoru.

Angie uśmiechnęła się, ale nieśmiało.

– Uważasz pewnie, że cię śledzę lub prześladuję. To nie tak. Ja po prostu... jestem w pewnym sensie nowa w tym mieście i nie bardzo wiem, co ze sobą począć. Zobaczyłam cię i chciałam pomóc.

– Zrobiłaś to i udało ci się. – Lauren znowu poczuła, że głos chrypie jej z emocji.

– Cieszę się, że tak mówisz. A może mogłabym zrobić coś jeszcze?

– Szukam pracy, miałabyś dla mnie jakieś zajęcie?

Angie zdawała się zaskoczona.

– Czy pracowałaś kiedyś jako kelnerka?

– Dwa sezony w czasie wakacji w Hidden Lake Ranch. – Lauren walczyła z całej siły z obezwładniającym ją poczuciem wstydu. Była pewna, że ta piękna kobieta widzi każdy szczegół, który chciała ukryć. Fryzura wymagała nożyczek, buty przeciekały na deszczu, a plecak był podniszczony.

– Pewnie nie jesteś Włoszką?

– Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. A czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie powinno... – Angie skierowała wzrok w stronę zamkniętych drzwi. – Ale my zawsze przywiązujemy wagę do pewnych spraw.

Nie pasuję do układanki, pomyślała Lauren.

– Rozumiem.

– Oszczędzasz pieniądze na college.

– Tak – potwierdziła Lauren, a gdy zobaczyła zrozumienie w brązowych oczach Angie, dodała szybko: – Ale potrzebuję też sukienki na bal absolwentów.

Kiedy to powiedziała, poczuła, że się rumieni. Jak mogła wyjawiać coś tak intymnego obcej osobie. Nie do uwierzenia.

Angie przypatrywała jej się przez chwilę. Ani się nie uśmiechała, ani nie krzywiła.

– Powiem ci, co zrobimy – odezwała się wreszcie. – Usiądź przy stole, zjedz coś, a potem porozmawiamy.

– Nie jestem głodna – skłamała, chociaż kiszki grały jej marsza z głodu.

Angie uśmiechnęła się łagodnie, co w jakiś sposób dotknęło Lauren.

– Zjedz obiad. Potem pogadamy.

*

Gdy Angie wyszła, Mira stała przy tylnych drzwiach, obydwiema dłońmi trzymała kubek i sączyła cappuccino. W zimnym powietrzu jej oddech tworzył charakterystyczną mgiełkę.

– Zima pojawi się wcześniej w tym roku – odezwała się.

– Zawsze chowałam się tutaj, kiedy zbliżała się pora zmywania naczyń – powiedziała Angie i podeszła do siostry. Uśmiechnęła się do wspomnień, zdawało jej się, że słyszy tubalny głos ojca, przenikający przez ceglana ścianę.

– Jakbym o tym nie wiedziała. – Mira się roześmiała.

Angie przysunęła się tak blisko siostry, że dotykały się ramionami. Obie opierały się o chropawą ścianę pamiętającą tak wiele chwil z ich życia. Wpatrywały się w pusty parking. Za nim widać było ulicę, która w zapadających ciemnościach przypominała srebrną wstążkę. Dużo dalej, pomiędzy drzewami, przeblyskiwał niebieskoszary ocean.

– Pamiętasz listę zmian, którą przygotowała Livvy, żeby pomóc postawić restaurację na nogi? – spytała Angie.

– Tę, jak ją mama nazwała „listę zagłady DeSariów”? Jakże mogłabym zapomnieć?

– Mam właśnie ochotę na wprowadzenie pierwszej zmiany.

– Jakiej?

– Znalazłam nową kelnerkę. Dziewczynę ze szkoły średniej. Mogłaby pracować wieczorami i w weekendy.

Mira obróciła się w stronę siostry.

– Sądzisz, że mama pozwoli ci zatrudnić dziewczynę ze szkoły średniej?

– To problem, tak? – Angie się skrzywiła.

– Mama będzie oponować, wiesz przecież. Jest chociaż Włoszką?

– Nie sądzę.

– Znosi się na zabawę. – Mira wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Daj spokój. Bądź poważna przez moment. Zatrudnienie nowej kelnerki jest dobrym pomysłem.

– Tak. Rosa jest za wolna i nie da rady obsłużyć więcej gości. Jak widzę, chcesz wprowadzić zmiany, by wpuścić świeży powiew do restauracji, a zmiana kelnerki jest krokiem, od którego należy zacząć. Gdzie ją znalazłaś? W agencji pośrednictwa pracy?

Angie przygryzła wargę i spojrzała pod nogi.

– Angie? – Tym razem Mira się nie uśmiechała, ale przyglądała jej się z najwyższą uwagą i niepokojem.

– Spotkałam ją w Help-Your-Neighbor, kiedy poszłam tam jako wolontariuszka. Pytała o płaszcz zimowy dla matki. Podsunęła mi pomysł, by jej taki sprawić.

– I zrobiłaś to?

– Sama mówiłaś, że powinnam się otworzyć, zrobić coś dla innych ludzi.

– I zaproponowałaś jej pracę.

Angie westchnęła. Wyczuwała nieufność w głosie siostry i ją rozumiała. Wszyscy myśleli, że Angie łatwo wziąć na litość. To z powodu Sarah Dekker. Kiedy starali się z Conlanem o adopcję dziecka, które urodzi, utworzyli przed kłopotliwą nastolatką dom i serca.

– Nosisz w sobie tyle miłości – odezwała się wreszcie Mira. – Trudno ci pewnie tłumić ją przez cały czas.

Słowa siostry zalazły jej za skórę.

– Więc tylko o to chodzi? Niech to szlag trafi! Sądziłam, że po prostu zatrudniłam dzieciaka do podawania jedzenia w weekendy.

– Może się mylę i przesadnie reaguję.

– A może ja dokonuję złych wyborów.

– To nie tak – zaprotestowała łagodnie Mira. – Przepraszam, że cię wypytuję. Martwię się o wszystko za bardzo. To u nas rodzinne. Masz prawo zatrudnić nową kelnerkę. Mama będzie musiała to zrozumieć i przyjąć do wiadomości.

Angie omal się nie roześmiała.

– Tak, na pewno przyjdzie jej to z łatwością.

– Bądź ostrożna, dobrze? – powiedziała siostra z troską.

– W porządku. – Angie wiedziała, że to dobra rada.

*

Angie stanęła w cieniu lampy i przyglądała się dziewczynie, która jadła kolację. Robiła to powoli, delektowała się każdym kęsem. Było w niej coś staromodnego, jakaś powściągliwość ruchów, która przypominała panny z przeszłości. Długie włosy barwy miedzi tworzyły burzę loków opadającą jej na plecy. Kolor ten podkreślała bladość policzków. Dziewczyna miała leciutko zadarty nos ozdobiony dodatkowo piegami. Ale to oczy, piwne i nad wyraz poważne jak na jej wiek, zwróciły i przykuły uwagę Angie.

„Nie będziesz mnie chciała”, zdawały się mówić.

„Nosisz w sobie tyle miłości. Trudno ci pewnie tłumić ją przez cały czas”. Słowa Miry wróciły do Angie. Nigdy wcześniej nie zdarzało się, by tak wiele myślała o przeszłości. Karuzela minionych wydarzeń i podjętych decyzji.

Ból dopadał zniecka, nie wiadomo jak i gdzie. Nawet drobiazg był w stanie wyprowadzić ją z równowagi. Dziecięcy wózek. Lalka. Kilka taktów smętnej muzyki. Odśpiewane *Sto lat*. Zdesperowana nastolatka.

Ale to nie miało związku z sytuacją. Nie miało. Była tego niemal pewna.

Dziewczyna, Lauren, podniosła głowę, rozejrzała się i spojrzała na zegarek. Odsunęła pusty talerz i skrzyżowawszy ramiona, czekała.

Teraz albo nigdy, pomyślała Angie.

Albo mama zgodzi się, by dokonała zmian w restauracji, albo nie.

Najwyższy czas się przekonać, jaka będzie odpowiedź.

Angie weszła do kuchni i zastała mamę zmywającą ostatnie naczynia po kolacji. Cztery patelnie z lasagne stały na ladzie.

– Lasagne bolognese jest już prawie gotowa – powiedziała mama. – Wystarczy spokojnie na jutrzejszy wieczór.

– I do końca miesiąca – mruknęła Angie.

– Co masz na myśli? – Mama spojrzała w jej stronę.

Angie staranie zaplanowała swoją wypowiedź. Każde słowo miało siłę pocisku i mogło wywołać wojnę.

– Mieliśmy dzisiaj siedmioro klientów, mamo.

– To całkiem dobrze jak na powszedni dzień w środku tygodnia.
– Nie całkiem. Za mało.
– Będzie lepiej, gdy zaczną się ferie świąteczne. – Mama gwałtownie zakręciła kran.
– Nie nadaję się na kelnerkę – spróbowała Angie z innej beczki.
– Nadajesz się. Kwestia praktyki.
– Przynajmniej jestem lepsza od Rosy. Obserwowałam ją poprzedniego wieczoru. Rusza się jak mucha w smole.

– Pracuje tutaj od tak dawna, Angelo. Okaż trochę szacunku.
– Musimy coś zmienić, dlatego przecież przyjechałam, prawda?
– Nie zwolnisz Rosy. – Mama rzuciła ścierką do mycia naczyń o blat tak mocno, że zabrzmiało to jak wystrzał.
– Nie zamierzałam tego robić.
– To dobrze. – Mama nieco się uspokoiła.
– Chodź ze mną. – Angie wyciągnęła do niej rękę.
Wyszły razem z kuchni. W cieniu łukowato sklepionego przejścia Angie się zatrzymała.
– Widzisz tę dziewczynę?
– Zamówiła lasagne – powiedziała mama. – Wygląda na to, że była smaczna.
– Zamierzam zaproponować jej pracę wieczorami i w weekendy.
– Jest za młoda.
– Zatrudnię ją. Nie jest za młoda. Livvy i Mira miały znacznie mniej lat niż ona, gdy zaczynały.

Mama przesunęła się na bok, zmarszczyła brwi i uważnie przyglądała się dziewczynie.
– Nie wygląda na Włoszkę.
– Bo nią nie jest.
Pani DeSaria nabrała gwałtownie powietrza w płuca i przyciągnęła do siebie córkę, żeby z ukrycia kontynuować obserwację.
– Przypatrz jej się teraz...
– Czy chcesz, żebym pomogła ci w prowadzeniu restauracji?
– Tak, ale...
– W takim razie pozwól mi to zrobić.
– Rosa poczuje się dotknięta.
– Uczciwie mówiąc, mamo, sądzę, że będzie zadowolona. Ostatniego wieczoru dwa razy wpadła na ścianę. Jest zmęczona. Z przyjemnością powita kogoś do pomocy.
– Dziewczyny ze szkoły średniej nigdy nie przykładają się do pracy. Zapytaj taty.
– Nie możemy zapytać taty. To my musimy zdecydować.

Na wspomnienie ojca z mamy uszło powietrze. Zmarszczki na policzkach pogłębiły się. Przygryzła lekko dolną wargę i zerknęła znowu w róg sali.
– Ma siano na głowie zamiast włosów.
– Na dworze pada. Szuka pracy, jak przypuszczam. Tak jak ty w Chicago, pamiętasz, tuż po ślubie z tatą.

Wspomnienia sprawiły, że mama zaczęła mięknąć.
– Ma dziury w butach i przyciasną bluzkę. Biedactwo. Mimo to... – Zachmurzyła się. – Wciąż pamiętam, jak ostatnia ruda dziewczyna, która tu pracowała, zwędziła cały utarg z wieczora.

– Ona nie zamierza nas okraść.
Pani DeSaria odsunęła się od ściany i ruszyła w kierunku kuchni. Rozmawiała ze sobą, szeptała, przez cały czas żywo gestykułując.

Gdyby Angie zamknęła oczy, mogłaby dostrzec ojca, który stojąc nieruchomo i nie zgadzając się co do meritum, przypatrywałby się spektaklowi granemu przez żonę z pobłażliwym uśmiechem.

Mama obróciła się na pięcie i zawróciła w stronę Angie.

– Tata zawsze sądził, że masz głowę do interesów. W porządku zatem. Zatrudnij tę dziewczynę, tylko ma się trzymać z daleka od kasy.

Angie o mało nie roześmiała się w głos, bo sytuacja była trochę absurdalna.

– Okej, mamó. Będzie, jak chcesz.

– No to dobrze. – Pani DeSaria odwróciła się i wyszła z restauracji.

Angie wyjrzała przez okno. Mama maszerowała ulicą, wciąż dyskutując z niewidoczną mężczyzną.

– Dzięki, tato – powiedziała Angie, uśmiechając się, i poszła w stronę Lauren przez opustoszałą już restaurację.

Dziewczyna na nią spojrzała.

– Jedzenie było pyszne – odezwała się trochę zdenerwowana. Złożyła serwetkę i położyła ją na stole.

– Mama rzeczywiście świetnie gotuje. – Angie usiadła naprzeciwko Lauren. – Czy można na tobie polegać?

– Absolutnie.

– Będziesz punktualnie przychodzić do pracy?

– Zawsze. – Lauren kiwnęła głową z przekonaniem, a jej piwne oczy patrzyły uczciwie.

Angie się uśmiechnęła. Od miesiący nie czuła się tak dobrze.

– W porządku. Zaczynasz jutro wieczorem, praca od piątej do dziesiątej. Pasuje ci?

– Wspaniale!

Angie podała jej rękę i uścisnęła ciepłą dłoń dziewczyny ponad stołem.

– Witamy w rodzinie!

– Dzięki! – Lauren zerwała się na równe nogi. – A teraz pójdę lepiej do domu.

Angie mogłaby przysiąc, że widziała łzy w oczach dziewczyny, ale zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, Lauren już nie było. Dopiero jednak gdy zamykała kasę, dotarło to do niej.

Lauren zareagowała gwałtownie na słowo „rodzina”.

*

Gdy Angie wróciła do domu, powitała ją cisza, boleśnie przypominając o jej samotności. Zamknęła drzwi, stała chwilę i wsłuchiwała się we własny oddech. Przyzwyczała się, że żadnego innego dźwięku nie będzie, a przecież w tym domku było tak głośno w czasach jej dzieciństwa. Ta konstatacja zabolęła. Kiedy już nie mogła znieść tej ciszy, rzuciła torbę na stolik przy wejściu, podeszła do starego odtwarzacza stereofonicznego RCA, włożyła kasetę do środka i włączyła muzykę.

Głos Tony’ego Bennetta wypełnił pokój melodią, przywołując wspomnienia. To była ulubiona kasetka taty, sam ją nagrał. Każdej z piosenek brakowało kawałka, czasem nawet jednej zwrotki. Gdy ojciec słuchał radia i nadawali coś, co mu się bardzo podobało, biegł do magnetofonu z okrzykiem: „Uwielbiam to!”, i utrwał.

Angie próbowała uśmiechnąć się do tych wspomnień, ale nie było w niej radości, a jeśli nawet, to odrobina bardzo głęboko ukryta.

– Zatrudniłam dzisiaj nową kelnerkę, tato. Kończy szkołę średnią. Możesz sobie wyobrazić reakcję mamy. Ooo... i na dodatek jest ruda.

Podeszła do okna i przypatrywała się morzu. Blask księżycy oświetlił fale, nadając lśnienie ciemnogrnatowej tafli wody. Zaczynała się kolejna piosenka. Bette Midler śpiewała *Wind Beneath My Wings*.

Puścili ją na pogrzebie taty.

Muzyka ją otaczała, dostawała się do środka, budziła niepokój.

– Łatwo jest z nim rozmawiać, prawda? Zwłaszcza tutaj.

Angie obróciła się gwałtownie, słysząc głos mamy.

Stała za sofą i wpatrywała się w nią, starając się uśmiechnąć. Ubrana była w złachaną, starą, flanelową koszulę nocną, którą dostała od taty wieki temu. Ruszyła przez pokój do magnetofonu i pstryknęła wyłącznik.

– Co tutaj robisz, mammo?

Pani DeSaria usiadła na sofie i poprawiła poduszkę.

– Wiedziałaś, że masz przed sobą ciężką noc.

Angie ulokowała się koło niej i przytuliła.

– Skąd wiedziałaś?

Mama otoczyła ją ramieniem.

– Ta dziewczyna – odezwała się w końcu.

Oczywiście! Angie nie mogła uwierzyć, że nie domyśliła się powodu.

– Powinnam zachować dystans wobec niej, prawda?

– Nigdy ci się to nie udawało.

– Nie.

Mama wzmocniła uścisk.

– Po prostu uważaj. Masz miękkie serce.

– Czasem wydaje mi się, że mam je w kawałkach.

Jej rodzicielka westchnęła lekko.

– Trzeba starać się oddychać w takich chwilach. Nic więcej nie możemy zrobić.

– Wiem. – Angie potaknęła.

Wzięły talię kart i grały do późnej nocy w remika. Potem usnęły przytulone do siebie na sofie pod narzutą, którą mama uszyła wiele lat temu; rano Angie czuła się silniejsza.

9

Lauren pojawiła się w pracy z piętnastominutowym wyprzedzeniem. Miała na sobie najlepsze czarne dżinsy i wyprasowaną białą bawełnianą bluzkę, którą dostała od pani Mauk.

Zapukała i odczekała chwilę. Ponieważ nikt się nie odezwał, ostrożnie otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

W restauracji panowały ciemności. Stoły wylaniały się z półmroku.

– Halo? Jest tu ktoś? – Zamknęła drzwi za sobą.

Z kąta sali wyszła kobieta, poruszając się szybko i wycierając ręce o biały poplamiony fartuch, który miała włożony na ubranie. Dostrzegła Lauren i się zatrzymała.

Dziewczyna poczuła się jak owad uwięziony w dzieciennych dłoniach. Kobieta zmarszczyła brwi i wpatrywała się w nią spod przymrużonych powiek. Staromodne oprawki i szkła powiększające nadawały jej niesamowity wygląd.

– Jesteś tą nową dziewczyną?

– Nazywam się Lauren Ribido. – Poczula, że się rumieni. Postąpiła krok naprzód i wyciągnęła rękę do powitania. Kobieta odwzajemniła gest, jej uścisk był zaskakująco silny.

– Maria DeSaria, miło mi. Czy to twoja pierwsza praca?

– Nie. Pracuję, odkąd pamiętam. Kiedy byłam mała, w piątej, szóstej klasie, zbierałam truskawki i maliny na farmie Magruderów. A od lata zeszłego roku w Rite Aid.

– Jagody? Sądziłam, że to robota dla cudzoziemców.

– Na ogół tak jest. Płaca jak dla dziecka była w porządku.

Maria przekrzywiła głowę i przypatrywała się Lauren ze zmarszczonymi brwiami.

– Sprawiasz jakieś problemy? No wiesz, narkotyki, ucieczki z domu, tego rodzaju rzeczy?

– Nie. Mam wynik trzy punkty i dziewięć dziesiątych w Fircrest Academy. Nie miałam żadnego konfliktu z prawem.

– Fircrest? Hm... jesteś katoliczką?

– Tak – odparła zakłopotana. Niebezpiecznie było w dzisiejszych czasach deklarować się jako osoba wierząca. Kościół przeżywał tyle problemów. Zmusiła się, by stać prosto i się nie wiercić.

– Tak. To dobrze. Mimo że masz rude włosy.

Lauren nie miała pojęcia, jak zareagować na ostatnie stwierdzenie, więc nic nie powiedziała.

– Czy pracowałeś już jako kelnerka? – przerwała ciszę Maria DeSaria.

– Tak.

– I jeśli cię poproszę o nakrycie do stołu i przetrucie szmatką tablicy z kartą dań, to będziesz wiedziała, co robić?

– Tak, proszę pani.

– Sztućce są tam, w kredensie. Nie bierz srebrnych, tylko zwykłe – dodała szybko.

– Dobrze.

Przypatrywały się sobie przez chwilę, a Lauren znowu poczuła się jak przyszpilony owad.

– No dobrze. Zaczynajmy – powiedziała Maria.

Lauren zbliżyła się do kredensu i wysunęła górną szufladę. Zrobiła to gwałtownie i srebrne sztucce zabrzęczały. Wzdrygnęła się na samą myśl, że zrobiła coś nie tak.

Obejrzała się ze strachem na Marię, która stała ze zmarszczonymi brwiami i obserwowała, jak dziewczyna grzebie w szufladzie.

Nie będzie łatwo zadowolić tę kobietę. Wcale niełatwo.

*

Przed końcem zmiany Lauren zdała sobie sprawę, że potrzebne są jej tenisówki oraz że musi pozbyć się złudzeń, iż pracując u DeSariów, spłaci zaległy czynsz i zarobi na porządną sukienkę.

Mimo to miejsce jej się podobało. Jedzenie podawano wspaniale. Starła się wykonywać swoje obowiązki najlepiej, jak potrafiła, wynajdywała rzeczy, które należało zrobić, zanim ktoś, a konkretnie Maria, wyda polecenie. Na przykład uzupełniła oliwę we wszystkich karafkach.

– Wiesz, to mogłaby być fantastyczna restauracja, niechby tylko ludzie zaczęli tu przychodzić – odezwała się Angie za plecami Lauren i podała jej na talerzyku deserowym kawałek tiramisu. – Przyłącz się do mnie – zaproponowała.

Usiadły przy stoliku nieopodal kominka. Płomienie migotały, ogień strzelał wesoło.

Lauren poczuła na sobie wzrok Angie i podniosła głowę. W brązowych oczach kobiety dostrzegła współczucie, a może to była litość. Angie widziała Lauren tamtej nocy na parkingu, a potem w Help-Your-Neighbor. Nie musiały mieć przed sobą sekretów.

– Naprawdę miło z twojej strony, że dałaś mi tę pracę. Wystarczyłoby wam przecież jedna kelnerka. – Kiedy to powiedziała, zorientowała się, że strzeliła głupstwo. Potrzebowała tego zajęcia.

– Teraz może tak, ale mam wielkie plany związane z restauracją. – Angie się uśmiechnęła. – Chociaż nie znam się za bardzo na prowadzeniu takiego interesu. Radziłam się Livvy, mojej siostry. Stwierdziła, że wszystko schrzańię i tylko stracę czas.

Lauren trudno było sobie wyobrazić, żeby tej pięknej kobiecie mogło coś nie wyjść.

– Jestem przekonana, że uda ci się wszystko, co sobie zaplanujesz. Jedzenie jest świetne.

– Tak. Mama i Mira rzeczywiście potrafią gotować. – Angie przełknęła kolejny kawałek ciasta i spytała: – Jak długo mieszkasz w West Endzie? Może znam twoich rodziców?

– Nie sądzę. – Lauren miała nadzieję, że nie zabrzmi to zbyt cierpko, ale słowa nie były łatwe do wypowiedzenia. – Przeprowadziłyśmy się tutaj, gdy chodziłam do czwartej klasy. Tylko mama i ja.

Lauren na moment zamilkła. Podobał jej się wydźwięk ostatniego zdania, jakby ona i mama stanowiły drużynę. Choć rodzina, czy też raczej jej brak, nie była tematem, który by chciała poruszać w rozmowie.

– A jak było z tobą? Od zawsze żyłaś w West Endzie?

– Dorastałam tutaj, ale potem wyjechałam do college'u, wyszłam za męża... – Angie przerwała. Wpatrywała się w deser i dziobała go widelcem. – Niedawno rozwiodłam się i postanowiłam wrócić. – Spojrzała na Lauren i spróbowała się uśmiechnąć. – Nie nauczyłam się jeszcze o tym mówić. Przepraszam.

– Ooo... – Dziewczyna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zająła się jedzeniem. Słysząc było tylko dźwięk widelców uderzających o talerzyki.

– Chciałabyś, żeby cię podwieźć? – odezwała się wreszcie Angie.

– Nie, dziękuję. – Pytanie zaskoczyło Lauren. – Mój chłopak po mnie przyjedzie.

Gdy to mówiła, usłyszała dźwięk klaksonu samochodowego. Poderwała się na równe nogi.

– Właśnie podjechał. Lepiej już pójdę. – Spojrzała na talerze. – Czy powinnam...

– Leć. Do zobaczenia jutro wieczorem!

– Jesteś pewna? – Dziewczyna spojrzała pytająco.
– Jestem. Do następnego razu!
– No to pa! – rzuciła w biegu. Schyliła się po plecak, który leżał za stolikiem recepcyjnym, i przewiesiła go przez ramię, po czym skierowała się do wyjścia.

*

Na stadionie kłębił się tłum.

Lauren, podobnie jak wszyscy, wstała, krzyczała i klaskała w dłonie. Trybuny zawyły. Tablica wyników zamigotała, na wyświetlaczu pojawiły się nowe cyfry: Fircrest – dwadzieścia osiem. Kelso Christian – czternaście.

– To było coś! – stwierdziła Anna Lyons, szarpiąc energicznie rękaw Lauren.

Ta zaś nie mogła się powstrzymać. Wybuchła radosnym śmiechem. David wykonał świetne podanie. Pięknie podkręcona piłka przeleciała dobrze powyżej trzydziestu metrów i wylądowała w rękach Jareda. Miała nadzieję, że jego ojciec to widział.

– No dalej – odezwał się ktoś. – To już prawie połowa.

Lauren zeszła po betonowych schodach za dziewczynami. Spieszyły się, by dostać się do linii bocznej boiska, przy której ustawiono różne stoiska z jedzeniem. Zajęła miejsce w budce z hot dogami, gdzie wszyscy jak co roku ciężko pracowali.

– Teraz moja kolej – powiedziała do Marci Morford, która zajęta była uzupełnianiem musztardy w pojemniczkach. Przez następne pół godziny, w czasie gdy orkiestra dęta maszerowała po boisku, Lauren sprzedawała hot dogi i hamburgery napływającym z każdej strony zgłodniałym uczestnikom, którzy ustawiali się w kolejce i prowadzili ożywione rozmowy. Rodzice. Nauczyciele. Uczniowie. Absolwenci. W piątkowe wieczory podczas sezonu piłkarskiego wszyscy spotykali się na lokalnym stadionie sportowym. A teraz zajęci byli omawianiem wyczynu Davida. Rozgrywał mecz swego życia.

Kiedy Lauren skończyła zmianę, dołączyła do znajomych i razem z nimi obejrzała końcówkę meczu.

Fircrest skopał tyłek konkurencji z drugiej szkoły.

Stanowiska powoli pustoszały, Lauren i koledzy porządkowali swoje kramy, potem poszli do szatni. Czekali na zewnątrz, aż zawodnicy się przebiorą, umilając sobie czas rozmową i żartami. Wreszcie jeden po drugim bohaterowie wieczoru zaczęli wychodzić, dołączali do swoich dziewczyn i się oddalali.

Nareszcie otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi i wybiegli ostatni gracze. Rozmawiali, śmiali się i dawali sobie kuksańce. Dawid należał do tej grupy, ale w jakimś sensie od niej odstawał, podobnie jak musieli się wyróżniać w swoich szkołach Brad Pitt czy George Clooney. Światło reflektora, które właśnie na niego padło, spowiło złotym blaskiem jego blond włosy i promienny uśmiech.

Lauren podbiegła do niego. Łatwo oddzielił się od grupy, żeby móc ją objąć.

– Byleś wspaniały – wyszeptała.

– Prawda? Widziałas, jaką bombę posłałem do Jareda? Kurczę, roznosiło mnie – mówił z szerokim uśmiechem, całując raz po raz.

Przy maszcie zatrzymał się i rozejrzał wokoło.

Lauren wiedziała, czego, czy też raczej, kogo szuka. Wyczuła napięcie, więc objęła go mocno.

Pozostali ruszyli już w stronę samochodów. Usłyszeli daleki dźwięk uruchamianych silników, odgłos zamykanych drzwiczek i trąbienie klaksonów. Zanosilo się na wielką imprezę na plaży. Nie ma nic lepszego od wysokiego zwycięstwa, żeby zmusić paczkę do aktywności.

Ostatnim razem, gdy rozgrywano mecz na własnym boisku, odbywało się to spokojnie. Lauren i David po zakończonym spotkaniu przesiadali dużo czasu w samochodzie jego mamy, rozmawiając. Ta noc będzie inna. Jaka, już ją mniej interesowało, ważne, że spędzą ten czas razem.

– Hej, David! – zawołał ktoś. – Przyjdziecie z Lauren na plażę?

– Wpadniemy – odpowiedział i odchylił się do tyłu. Intensywnie wpatrywał się w niezbyt dobrze oświetlony parking.

– Widziałas ich? – zapytał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszała głos jego matki.

– David, Lauren. Tu jesteście.

Pani Haynes przecięła dziedziniec i podeszła do nich. Objęła syna mocno i uśmiechnęła się do niego. Lauren zastanawiała się, czy dostrzegł wyraz jej twarzy.

– Jestem z ciebie dumna.

– Dzięki, mamó. – David nie patrzył na nią.

– Tata miał ważne spotkanie w pracy – powiedziała powoli. – Jest mu przykro.

– Nieważne – odparł, ale na jego twarzy malował się ból.

– Zabiorę was na pizzę, jeśli macie ochotę...

– Nie, dzięki, jest impreza na plaży Clayborne. Ale dziękuję – dodał raz jeszcze. Chwycił Lauren za rękę i pociągnął ją za sobą.

Pani Haynes szła krok za nimi. W milczeniu we trójkę dotarli do parkingu. David otworzył drzwi samochodu, żeby wpuścić Lauren pierwszą.

Dziewczyna zatrzymała się na moment i spojrzała na mamę swojego chłopaka.

– Dziękuję za zaproszenie, pani Haynes.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Bawcie się dobrze – odparła tamta i zwróciła się do Davida: – Bądź w domu przed północą.

– Jasne – rzucił i obszedł samochód od drugiej strony, by usadowić się na miejscu kierowcy.

Jeszcze tego samego wieczoru, gdy siedzieli stłoczeni wokół ogniska pośród kolegów rozmawiających o tradycyjnych imprezach klasowych, Lauren pochyliła się w jego stronę i wyszeptała:

– Na pewno chciał tam być.

David westchnął.

– Taaak... Przyjdzie w przyszły piątek. – Spojrzał na nią jasnymi oczami i powiedział: – Kocham cię.

– Ja też cię kocham – odparła i ujęła jego dłoń.

Wreszcie się uśmiechnął.

*

Przez kilka dni Angie pracowała bez przerwy. Każdego ranka była na nogach przed świtem i zasiadała przy stole nad rozłożonymi notatkami, zestawami menu oraz inną papierkową robotą. Bładoróżowe spokojne godziny poranka były świadkiem jej zmagania z materią kampanii reklamowej, gdy wszystkie promocje i reklamy trzeba było ułożyć we względnie sensowną całość. O siódmej trzydzieści meldowała się w restauracji, witała z mamą i zgłębiała od kulis rutynowe czynności.

Zacznęły od wizyty u dostawców. Angie obserwowała, jak mama porusza się wśród straganów ze świeżymi warzywami i wybiera dzień po dniu te same produkty: pomidory, zieloną paprykę, bakłażany, sałatę lodową, cebulę, marchewkę. Zawsze dokładnie oglądała grzyby

porcini czy portobello, różne rodzaje papryk w jaskrawych kolorach, strączki zielonego groszku, sałatę masłową czy dorodne ciemne trufle.

Tę samą znajomość rzeczy wykazywała na targu rybnym lub mięsnym. Kupowała wyłącznie drobne różowe krewetki koktajlowe do sałatek. W sklepie Alpac Brothers wybierała najwyższej jakości polędwicę wołową, mieloną wieprzowinę i cielęcinę, tuziny piersi z kurczaka. Pod koniec czwartego dnia Angie zaczęła dostrzegać niewykorzystane możliwości. Wreszcie postanowiła. Wysłała mamę do domu z zapowiedzią, że wkrótce do niej dołączy. Gdy tylko została sama, zwróciła się z prośbą o pomoc do kierownika sklepu.

– W porządku – zaczęła – spróbujmy wyobrazić sobie, że otwieramy nową restaurację pod nazwą DeSaria.

Przez następne kilka godzin zonglowała pytaniami jak na pokazie cyrkowym. Chwytała i zapisywała każde słowo, jakie usłyszała na targu warzywnym, mięsnym i rybnym.

Musiała tych pytań zadać setki.

Co to znaczy, że ryba była świeżo mrożona?

Które z małży i ostryg są najlepsze?

Dlaczego kupujemy ciemną wydzielinę kałamarnic?

Jak odróżnić dobry melon od złego?

Dlaczego krab z Dungeness jest lepszy od śnieżnego czy królewskiego?

Sprzedawcy odpowiadali cierpliwie na każde z pytań i pod koniec tygodnia Angie miała już pewien pomysł, jak ulepszyć menu. Obsesyjnie zbierała przepisy i propozycje karty dań, jakie oferowały najlepsze restauracje w Los Angeles, San Francisco czy Nowym Jorku. Wszystkie wykorzystywały świeże lokalne produkty do dań sezonowych. W dodatku przeczytała notatki i nagrania pozostawione przez ojca, a także wypytywała siostry tak długo, aż prosiły o litość.

Po raz pierwszy w życiu była pełnoprawnym uczestnikiem tego, co się działo w restauracji, a nie satelitą krążącym po orbicie. A co najbardziej zaskoczyło zarówno Angie, jak i otoczenie, uwielbiała się tym zajmować.

W sobotę wieczorem, w przerwie pomiędzy pomaganiem Lauren w podawaniu do stołu, zajęła się rachunkami, tymi zapłaconymi i tymi, które dopiero trzeba było uregulować, sporządziła też listę zakupów. Mimo że dzień minął w zasadzie spokojnie, kiedy już wyszedł ostatni gość, poczuła się wyczerpana.

Ale było to wspaniałe uczucie.

Powiedziała dobranoc mamie i Mirze, potem nałożyła lodów do dwóch pucharków i usiadła przy stole. Lubiła siadywać wieczorami w pustej i spokojnej już o tej porze restauracji. Gdy ogień buzował w kominku, a z góry dobiegał odgłos kropel deszczu uderzających o dach, niemalże czuła obecność ojca.

– Idę do domu, Angie – oznajmiła Lauren i ruszyła w stronę drzwi wyjściowych.

– Zjedz ze mną lody – zaproponowała tamta. – Są pyszne.

To był nieomal rytuał: w ciągu ostatnich kilku wieczorów Lauren i Angie po skończonej pracy zasiadały wspólnie do deseru. Angie zaczęła już wyczekiwać tego momentu.

– Jak tak dalej pójdzie, będę gruba jak beczka – zaśmiała się dziewczyna.

– Zabawne. Usiądź. – Angie się uśmiechnęła.

Lauren usadowiła się naprzeciwko szefowej, gdzie już czekała na nią porcja lodów i łyżeczka.

Angie nabrała na łyżeczkę troszkę smakołyku i poczuła, jak rozplywa jej się w ustach.

– O rany! Ale dobre! Szkoda, że tak mało osób mogło ich spróbować. – Spojrzała na dziewczynę. – Nie dostajesz za dużo napiwków, prawda?

– Nie bardzo.

– Kampania reklamowa naszej restauracji ruszy jutro. Powinna pomóc.

– Mam nadzieję.

Angie wyczuła nutę desperacji w głosie Lauren.

– Ile kosztuje sukienka, którą chciałybyś sobie kupić na bal absolwentów?

– Mnóstwo. – Lauren westchnęła.

– Jaki nosisz rozmiar?

– Osiem.

– Tak jak ja. – Rozwiązanie samo się nasuwało. – Mogłabym pożyczyć ci sukienkę.

Conlan, mój... eksmąż, jest reporterem „Seattle Times”. Nieraz chodziliśmy na jakieś uroczystości, więc mam kilka sukienek wyjściowych. Któraś może na ciebie pasować.

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Lauren, która wyrażała kombinację pożądania i wstydu.

– Nie mogę tego przyjąć, ale dzięki za propozycję.

Angie postanowiła nie nalegać, wyczuła emocje, które targały dziewczyną.

– Idziesz na zabawę z tym chłopcem, który odebrał cię z pracy?

– Nazywa się David Haynes. – Lauren się zarumieniła.

Angie zauważyła, jakiej zmianie uległa twarz dziewczyny, i wiedziała, że oznacza to jedno: miłość. Nie było w tym niespodzianki. Lauren jako poważna dziewczyna zakochiwała się na serio i na długo. Po prostu porządna dziewczyna.

– Od jak dawna spotykasz się z Davidem?

– Blisko cztery lata.

Angie uniosła brwi ze zdumienia. Lata szkolne można porównać z długością życia psa, a cztery lata w takim zestawieniu to całe wieki.

Miała ochotę powiedzieć: „Bądź ostrożna, miłość może zabić”, ale się powstrzymała. Jeśli Lauren będzie miała szczęście, nigdy jej to nie spotka.

Angie westchnęła. Nagle zaczęła rozmyślać o Conlanie i o swojej miłości do niego przez te wszystkie lata. I jak się czuła, gdy zdała sobie sprawę, że to już przeszłość.

Podniosła się szybko zza stołu, zanim jej smutek stałby się zbyt widoczny. Stała przy oknie i wpatrywała się w noc.

Chłodna jesień nadeszła w tym roku wcześniej, na ulicy tworzyła się warstewka szronu. Liście opadły, zalegając na chodnikach i drogach. Wkrótce szernieją i drogi staną się śliskie. Niedługo nie będzie żadnych liści.

– Wszystko w porządku?

Angie wyczuła niepokój w głosie Lauren, co ją zakłopotало.

– Tak. – Zanim zdołała powiedzieć coś więcej, wytłumaczyć, przed restauracją zatrzymał się samochód i usłyszała dźwięk klaksonu.

– To David – odezwała się Lauren i zerwała się na równe nogi.

Angie przyjrzała się autu parkującemu na zewnątrz. Było to klasyczne szare porsche speedster z błyszczącymi kołami pokrytymi chromem i z nowymi oponami.

– To dopiero samochód!

Lauren podeszła do niej.

– Nazywam go Speed Racer. Wiesz, tak jak ten ze starej kreskówki. On żyje dla tego samochodu.

– Aha. Chłopak i jego samochód.

– Jak zobaczę kolejną wersję koloru lakieru, będę krzyczeć. – Zaśmiała się. – Oczywiście mu tego nie powiem.

Angie spojrzała na dziewczynę. Nigdy nie widziała tak czystych emocji i jawnego

podziwu. Pierwsza miłość. Przypomniało jej się w jednej chwili, jak zaborcze było takie uczucie. Już miała powiedzieć: „Bądź ostrożna, Lauren”, ale to przecież nie jej rola. Takie rady powinna dawać matka.

– Do zobaczenia we wtorek – rzuciła na pożegnanie Lauren.

Angie obserwowała, jak dziewczyna biegnie przez ulicę i wsiada do sportowego samochodu.

Nagle przypomniały jej się czasy, kiedy była po uszy zakochana w Tommym Matuccim. Miał starego forda fairlane, tak rozklekotanego, że w każdej chwili mógł nawalić, ale Tommy go uwielbiał.

Zabawne.

Nie myślała o tym przez lata.

*

Zaparkowali naprzeciwko domu Lauren, w tym samym miejscu co zwykle. Dziewczyna usadowiła się w wygodnej pozycji. W niewielkim samochodzie nie było to wcale takie łatwe: gałka od skrzyni biegów jak zawsze uwierała, ale co znaczą lata praktyki, oboje zdążyli doskonale opanować technikę moszczenia się.

David objął ją i pocałował. Poczula, że traci oddech i zapada się w znajome ciemności, pragnęła tego. Serce zaczęło jej bić szybciej. W ciągu paru chwil okna zaparowały, co sprawiło, że kryjówka w samochodzie zapewniła im prywatność.

– Lauren – wymruczał, a w jego głosie dało się wyczuć pożądanie. Wsunął dłoń pod bluzkę dziewczyny. Zadrżała pod wpływem tego dotyku.

I w tym momencie odezwał się alarm w zegarku na nadgarstku Davida.

– Cholera! – zaklął, odsuwając się od niej i w dramatycznym geście skrzyżował ramiona.

– Nie do wiary, że każą mi tak wcześnie wracać do domu. Znam wielu ośmioklasistów, którzy mogą imprezować do północy.

Lauren starała się powstrzymać od śmiechu. Nie miał pojęcia, jak dziecinnie teraz wyglądał. Wielki David Ryerson Haynes z nadąsaną miną.

– Masz szczęście – powiedziała i przytuliła się do niego. – To znaczy, że cię kochają.

– Tak, racja.

Lauren czuła bicie jego serca, dłonią wyczuwała, jak mocno waliło. Przez sekundę wydawało jej się, że jest starsza od niego o całe lata.

– Twoja mama ma gdzieś, o której wracasz do domu, a nawet czy w ogóle wracasz.

– Lepiej bym tego nie ujęła – powiedziała i poczuła, jak wzbiera w niej gorycz. Ona i mama już dawno przedyskutowały kwestię „godziny policyjnej”. „Nie będę cię pilnowała. Moi rodzice próbowali, co tylko dało odwrotny rezultat”, tak zamknęła sprawę pani Ribido. W efekcie Lauren mogła wychodzić z domu i wracać o dowolnej porze.

David pocałował ją znowu i wycofał się z westchnieniem na swoje siedzenie.

Poczula instynktownie, że coś jest nie tak.

– O co chodzi?

Pochylił się i wyciągnął ze schowka jakieś papiery.

– Masz, zajrzyj.

– Co to... – Zerknęła na list. – Podanie do Stanforda.

– Tata chce, żebym podjął decyzję w pierwszym terminie, a tam przyjmują aplikacje do piętnastego listopada.

– Ach tak... – wyrwało się Lauren. Odsunęła się nieco i wyciągnęła na fotelu. Wiedziała, że chłopak zrobi wszystko, by zadowolić ojca.

– Myślę, że też mogłabyś spróbować.

Zapał w jego głosie sprawił, że omal się nie rozplakała. Jak mógł coś takiego powiedzieć, przecież był u niej w domu, wie, jak wygląda sytuacja, i nie chwyta, w czym problem?

– Nie stać mnie na tę uczelnię, David. Musieliby przyznać mi pełne stypendium, nie jakieś tam parę dolców.

– Wiem – westchnął.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, każde na swoim miejscu, wpatrzeni w zamgloną szybę.

– Pewnie się nie dostanę – odezwał się wreszcie.

– Daj spokój, David. Jeden z budynków nosi nazwisko twojej rodziny.

– Więc tobie też się uda. – Odwróciła się od niej, wziął ją w ramiona i pocałował. Wtuliła się w niego, jakby świat na zewnątrz nie istniał.

Później, gdy krążyła po swoim ponurym, pogrążonym w ciemności mieszkaniu, nie mogła przestać myśleć, jak dobrze byłoby żyć w jego świecie, gdzie wszystko przychodzi tak łatwo. Zwłaszcza realizacja marzeń.

*

Angie stała na werandzie, gdy Mira wróciła po podwieszeniu kogoś do pracy.

– Wstałaś o świcie, ale nie wyglądasz świeżo, porównaj ci oszczędzę – powitała siostrę Mira.

– Co ty powiesz? Czy każdy, kto świadczy sąsiedzką pomoc w podwożeniu do pracy, nosi gumki i powyciągany dres? – odgryzła się Angie.

– Większość z nas. Wchodź. – Mira się uśmiechnęła i gestem zaprosiła ją do środka.

W domu pachniało kawą i naleśnikami. Zbierając zabawki, które walały się po podłodze, przeszła do kuchni, żeby nalać dwie filiżanki aromatycznego napoju.

– No to fajnie, że jesteś. – Usiadła wygodnie na krześle pokrytym kraciastym materiałem w pokoju, który wyglądał, jakby przeszedł tędy huragan. – A teraz powiedz mi, czemu zawdzięczam wizytę i dlaczego wyglądasz jak uczestniczka reality show Robinsonowie.

– Bardzo śmieszne. – Angie padła na krzesło. – Całą noc nie spałam, pracowałam.

– Pracowałaś, hm...? – Mira sączyła kawę i przyglądała się siostrze znad filiżanki.

– Zobacz, co chciałabym zmienić w restauracji. – Angie podała siostrze zeszyt.

Mira odstawiała filiżankę na bok i zaczęła przyglądać się notatkom. Na jej twarzy pojawiło się zdumienie i niedowierzanie.

Angie pośpieszyła z wyjaśnieniami.

– W związku z zaplanowaną akcją reklamową chciałabym zorganizować we wtorki wieczory z winem, kiedy to w ramach promocji butelka kosztowałaby połowę ceny, a w czwartki do obiadu dodawałybyśmy za darmo bilety do kina, z kolei w piątki i soboty robiłybyśmy *happy hours*. Można by otwierać restaurację o trzeciej i do piątej serwować drinki, a do tego przekąski za darmo. No wiesz, antipasti, bruschette, tego rodzaju rzeczy. Sprawdzalam i wychodzi, że kilka takich godzin tygodniowo podwaja zyski. Na razie marnujemy naszą licencję na alkohol. A pomyśl, jak brzmi taka zachęta: „Odkryj, jak może być romantycznie u DeSariów”! To będzie nasze hasło. Mogłybyśmy wręczać róże każdej parze, która nas odwiedzi.

– Jasna cholera! – wyrwało się nagle Mirze.

Angie wiedziała, co to oznacza: siostra dotarła do Ważnego Punktu. Zmiana menu.

– Trzeba podwoić ceny i wyrzucić połowę z obecnych propozycji. Powinnyśmy zastąpić je daniami ze świeżych ryb i sezonowymi warzywami.

– Niech to diabli! – zaklęła znowu Mira i spojrzała na siostrę. – Tacie ogromnie by się

podobało.

- Wiem. Niepokoję się o reakcję mamy.
- Ba! – Mira się zaśmiała.
- Jak jej to powiedzieć?
- Najlepiej z bezpiecznej odległości i włóż zbroję.
- Zabawne.

– W porządku, księżniczko, masz dwa wyjścia. Pierwsze, wykorzystać tatę. Mama zawsze robiła wszystko, żeby go uszczęśliwić.

– Niestety, on rozmawia tylko z mamą.

– Taaak... Drugie, musisz mieć plan B. Spraw, żeby pomyślała, że to jej pomysł.

Zrobiłam tak, kiedy chciałam obejrzeć koncert Wingsów na stadionie w Kingdome. Zajęło mi miesiąc, aż w końcu zdecydowała, że nie byłoby to po amerykańsku, gdybym nie poszła z przyjaciółmi.

- Ale jak mam to zrobić?
- Zaczynaj od prośby o radę.

10

Lauren stała pośrodku sali i wpatrywała się w solniczki i pieprzniczki, które dopiero co ustawiła obok siebie na kredensie.

Cały wieczór zastanawiała się, jak poruszyć w rozmowie z Angie temat zaliczki na poczet pierwszej wypłaty. Ewentualnie jak powrócić do kwestii pożyczania sukienki.

Tak czy owak, wyglądała jak ofiara losu. Nie wspominając, że panie DeSaria mogą być zdziwione, gdzie podziały się napiwki, jakie dostała w czasie pracy.

„Narkotyki”, tak pewnie stwierdziłaby Maria i pokręciła z dezaprobatą głową. „Takie smutne”. Bez wątplenia zwałiby wszystko na rude włosy Lauren.

Gdyby powiedziała prawdę, to znaczy, że musiała zapłacić zaległy czynsz, Angie i Maria wymieniłyby współczujące spojrzenia opatrzone czymś w rodzaju „biedna mała”. Lauren doświadczyła tego już setki razy od nauczycieli, szkolnych psychologów i sąsiadów.

Podeszła do okna i zaczęła wyglądać przez szybę na zamglone nocne niebo.

Były takie momenty w życiu, które o nim decydowały. Czy zbliżający się bal absolwentów miał być w przyszłości niezatartym wspomnieniem, o które należało walczyć za wszelką cenę? Czy to ją... jakoś umniejszy, jeśli z niego zrezygnuj? Może powinna się wybrać tam w starej sukience, udając, że stylizuje się na modę vintage, i pozwolić, by potraktowano to jako brak poszanowania dla konwenansów zamiast za dowód braku grosza przy duszy. Ale przecież wszyscy wiedzą, że dostaje stypendium. Nikt nie powiedziałby ani słowa, ale Lauren i tak przez całą noc myślałaby o tym, czy taniec był tego wart.

Takimi wątpliwościami dziewczyna powinna się móc podzielić ze swoją matką.

– Ha! – wyrwało się Lauren bez cienia humoru.

Jak zwykle musiała pójść za własną radą, a wyjścia były dwa. Mogła spróbować wymyślić jakąś historyjkę... albo poprosić Angie o pomoc.

*

Angie siedziała przy blacie ze stali nierdzewnej. Notatki i papiery leżały rozrzucone przed nią.

Mama stała przy niej, plecami do zlewu, z założonymi rękami. Nie potrzebowałoby eksperta, by zrozumieć mowę jej ciała. Patrzyła przez szparki powiek, usta miała zacisnięte, co wyrażało niezadowolenie.

Angie starała się postępować możliwie najostrożniej.

– Rozmawiałam ze Scottem Formanem. Zgodził się na pięćdziesięcioprocentową zniżkę na bilety, jeśli zrobimy mu odpowiednią reklamę.

Mama prychnęła.

– Filmy teraz są okropne, pełne przemocy. Tylko podrażnią ludziom żołądki.

– Zjedzą przed seansem.

– No właśnie.

Angie wywierała presję. Biznes w dzisiejszych czasach zmienił się i rozwinął za sprawą reklamy. Najwyższy czas, by wyłożyć karty na stół.

– To co, podoba ci się mój pomysł?

– Zobaczymy, co z tego wyjdzie. – Mama wzruszyła ramionami.

– A co sądzisz o reklamie, sprytna, prawda?

– A ile kosztuje?

Angie rozłożyła przed nią wycenę. Mama zerknęła, ale nie ruszyła się z miejsca przy zlewie.

– Zbyt dużo.

– Może uda mi się wynegocjować korzystniejszą cenę. – Otworzyła notepadę z wyświetlonym menu z Cassiopei, czterogwiazdkowej restauracji włoskiej w Vancouver.

– Masz jakieś uwagi do propozycji wieczoru z winem?

– Mogłybyśmy porozmawiać z Victorią i Caseyem McClellanami – zaproponowała pani DeSaria. Mają winiarnię w Walla. Jak ona się nazywa, Siedem Wzgórz? Jest jeszcze Randy Finley, właściciel winnic na wzgórzach Mount Baker, produkuje dobre wino. Może zgodziliby się sprzedawać je nam po przyzwoitej cenie w zamian za reklamę trunku. Randy uwielbia moje *osso bucco*.

– Świetny pomysł, mamo. – Angie dopisała kilka uwag do swej listy. Kiedy skończyła, podsunęła menu Cassiopei mamie.

Mama wyciągnęła szyję i przekrzywiła głowę.

– Co to jest?

– To? Propozycja świeżych ryb w karcie dań. – Angie uśmiechnęła się uwodzicielsko. – Mogłybyśmy...

– Angelo Rose, dlaczego pokazujesz mi to menu?

– Dlaczego? No przecież powinnyśmy interesować się tym, co robi konkurencja. – Angie udawała zaskoczoną.

Mama machnęła ręką.

– Przecież ci ludzie nie byli nigdy we Włoszech!

– Zobacz, jaki mają interesujący cennik.

Pani DeSaria zerknęła na menu.

– A co w nim jest ciekawego?

– Przystawki zaczynają się od czternastu dolarów dziewięćdziesięciu pięciu centów. – Angie zawiesiła głos i pokręciła głową. – To smutne, ale wielu ludzi uważa, że cena idzie w parze z jakością.

– Daj mi to. – Mama capnęła otwarte menu i przysunęła do siebie. – Ziołowe naleśniki z leśnymi grzybami i sieją smażone na maśle za dwadzieścia jeden dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów. To nie jest włoski przepis. Moja mama, niech spoczywa w pokoju, robiła *tonno al cartoccio*, pieczonego w pergaminie tuńczyka, który rozpływał się w ustach.

– Terry ma w tym tygodniu tuńczyka, mamo. Również odmianę *ahi*. I przepiękne kalmary.

– Pamiętasz, co najbardziej smakowało tacie? *Calamari ripieni*. Do tego trzeba najlepszej jakości pomidorów.

– Johnny z targu obiecał mi takie niebiańskie pomidory.

– Ale kalmary i *ahi* są drogie.

– Możemy zrobić jedno- albo dwudniowy eksperyment zareklamowany na osobnej karcie. Jeśli nie wypali, to trudno, zapomnimy o tym i nie będziemy tego ciągnąć.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Angie zaklęła pod nosem. Mama już się prawie zgodziła. Każde odwrócenie uwagi mogło oznaczać, że trzeba będzie zacząć wszystko od początku.

Do kuchni weszła Lauren, kurczowo trzymając w rękach porządnie złożony fartuch.

– Dobranoc, Lauren – powiedziała Angie. – Zamknij drzwi, jak będziesz wychodzić.

Dziewczyna nie poruszyła się. Wyglądała na skrupowaną, niepewną.

– Dziękujemy ci – odezwała się pani DeSaria. – Miłego wieczoru.

Lauren wciąż tkwiła w miejscu.

– Co się stało? – zapytała Angie.

– Ja... to jest... – ze zdenerwowania plątał jej się język. – Chciałam powiedzieć, że mogę jednak przyjść jutro do pracy.

– Świetnie – odpowiedziała Angie z głową pochyloną nad papierami. – Do zobaczenia o piątej!

Po minucie, gdy dziewczyna już wyszła, Angie wróciła do tematu.

– No więc, mam, jakie jest twoje zdanie w kwestii niewielkiego podniesienia cen i dodania do karty jako dania dnia ryby?

– Co sądzę? Sądzę, że moja córka próbuje zmienić jadłospis, który wszystkim smakował u DeSariów od zawsze.

– To niewielkie zmiany, mam. Takie, które odrobinę unowocześnią menu. – Przerwała, by po chwili wypalić: – Tata na pewno by je zaakceptował.

– Uwielbiał moje *calamari ripieni*, to prawda. – Mama odsunęła się wreszcie od zlewu i usiadła obok Angie. – Pamiętam, kiedy twój tata kupił mi cadillaca. Był bardzo dumny z tego samochodu.

– Ale ty nim nie jeździłaś.

Mama się uśmiechnęła.

– Twój tata myślał, że mam nie po kolei w głowie, nie korzystając z tak pięknego samochodu. I pewnego dnia sprzedał mojego starego buicka, a klucze do cadillaca zostawił na stole z karteczką: „Spotkamy się na lunchu, przyniosę wino”. – Opowiadając to, mama uśmiechnęła się znowu. – Wiedział, że trzeba mnie popchnąć do zmiany.

– Nie chcę popychać cię za mocno.

– Chcesz, chcesz – westchnęła mama. – Całe twoje życie koncentrowało się na popychaniu, Angelo, na dostawaniu tego, czego pragnęłaś.

Dotknęła policzka córki.

– Tata kochał cię właśnie taką i byłby z ciebie dzisiaj bardzo dumny.

Nagle sprawy menu przestały być dla Angie w ogóle istotne. Wróciły wspomnienia związane z ojcem, wszystko, za czym tęskniła. Sposób, w jaki brał ją na barana, żeby mogła obejrzeć paradę z okazji Święta Dziękczynienia, wspólna modlitwa przed snem, głupie dowcipy, które opowiadał przy stole podczas śniadania.

– No dobrze. – Oczy mamy również zasnuły mgłą wzruszenia. – Wypróbujemy w tym tygodniu kilka potraw rybnych i się przekonamy.

– Zobaczysz, że to wypali. Reklama jest dźwignią handlu. Mamy zapewnioną czołówkę na kolumnach rozrywkowych w niedzielnym wydaniu.

– Już przychodzi więcej ludzi. Muszę to przyznać. Dobrze, że zatrudniłaś tę dziewczynę, jest dobrą kelnerką. Kiedy się u nas pojawiła, taki rudzielec, byłam pewna, że będą z nią same kłopoty, a kiedy mi powiedziałaś, że biedactwo potrzebuje sukienki, chciałam...

– O nie! – Angie zerwała się na równe nogi. – Bal!

– O co chodzi?

– Jutro wieczorem jest bal absolwentów. To dlatego Lauren przyszła do nas do kuchni. Chciała przypomnieć mi, że potrzebuje jutro wolnego wieczoru.

– Więc dlaczego obiecała, że będzie w pracy?

– Nie wiem. – Angie wyłowiła z kieszeni kluczyki do samochodu i chwyciła z wieszaka płaszcz. – Na razie, mam. Do zobaczenia jutro!

Wybiegła z restauracji. Na dworze padał drobny deszcz.

Rozejrzała się na wszystkie strony, ale nigdzie nie dostrzegła Lauren.

Pobiegła na parking, wsiadła do auta i ruszyła w kierunku Driftwood. Droga była zupełnie pusta. Angie miała zamiar skręcić w stronę wjazdu na autostradę, ale zauważyła przystanek autobusowy.

W złocistym świetle ulicznej latarni nawet z odległości, w której się znajdowała, Angie mogła dostrzec miedziane włosy Lauren.

Podjechała do niej i stanęła.

Dziewczyna wolno podniosła głowę. Oczy miała czerwone i zapuchnięte.

– Och... – wyrwało jej się, gdy rozpoznała Angie, i zaraz się wyprostowała.

Szyba w oknie samochodu zsunęła się po naciśnięciu guzika i zimne powietrze błyskawicznie wdarło się do środka. Angie pochyliła się w stronę Lauren.

– Wsiadaj!

– Mam tutaj autobus, ale dzięki – odparła dziewczyna.

– Jutro jest zabawa w szkole, czy tak? – zapytała Angie. – To chciałaś mi powiedzieć w kuchni?

– Nie przejmuj się tym. Nie pójdę.

– Dlaczego nie?

– Nie mam nastroju. – Lauren odwróciła wzrok.

Angie spojrzała na stare wysłużone buty dziewczyny.

– Proponowałam, że pożyczę ci suknię, pamiętasz?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Przydałaby ci się jutro?

– Tak – odpowiedziała ledwo słyszalnym głosem.

– Okej, wpadnij do restauracji jutro o trzeciej. Jesteś umówiona z kimś, u kogo masz się przebrać?

Lauren przecząco pokręciła głową.

– To może wyszukujesz się u mnie w domu? Może być zabawnie.

– Naprawdę? Byłoby super!

– No to świetnie. Zadzwoń do Davida i powiedz, żeby wpadł po ciebie do mnie.

Mieszkam przy Miracle Mile Road 7998. Niech skręci w pierwszą przecnicę za mostem.

W tym momencie usłyszały klakson zatrzymującego się na przystanku autobusu.

Jakiś czas później Angie wkroczyła do swego ciemnego, pustego domu. Zastanawiała się, czy nie popełniła błędu.

Wyszykowanie dziewczyny na bal było zadaniem matki.

*

Następnego dnia od rana Angie wszystko robiła w biegu. O siódmej razem z mamą spotkały się z zaopatrzeniowcami i dostawcami. Do dziesiątej uporały się z zamówieniami na cały tydzień, skontrolowały świeżość owoców i warzyw, wystawiły czeki z zapłatą, wpłaciły pieniądze na konto i podrzuciły obrusy do pralni. Kiedy mama poszła pozałatwiać własne sprawy, Angie zajęła się wydrukowaniem ulotek i kuponów z zaproszeniami na wieczór z winem i na wieczór romantyczny. Potem podrzuciła pierwszą partię palt do Help-Your-Neighbor.

Zaczęło padać, gdy była w pralni chemicznej. W południe deszcz przeszedł w ulewę. Ulice zamieniły się w wartkie potoki. Nic nowego pod słońcem.

Pogoda o tej porze roku była przewidywalna. Od teraz aż do maja należy spodziewać się pochmurnego nieba i opadów. Promienie słoneczne staną się rarytasem pojawiającym się rzadko

i nieoczekiwanie i równie szybko rozplywającym się w szarości. Ci, którzy nie mogą znieść tej przygnębiającej aury, budzą się w nocy, bez tchu, na dźwięk kropel deszczu.

Podjechała pod restaurację piętnaście minut spóźniona.

Lauren czekała na nią na chodniku pod restauracyjną zielono-białą markizą. U jej stóp leżał stary niebieski plecak.

Angie opuściła szybę.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Myślałam, że zapomniałaś.

Angie zastanawiała się, czy ktokolwiek dotrzymał obietnicy tej dziewczynie i czy kiedykolwiek jej jakieś składał.

– Wsiadaj – powiedziała i otworzyła drzwi samochodu.

– Jesteś pewna?

– Wierz mi, jestem. Zawsze jestem. Livvy mnie zastąpi. No chodź już.

Lauren wsiadła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Deszcz bębnił w samochód, który trząsał się i trzeszczał.

Jechały w milczeniu. Wycieraczki rytmicznie pocierały o szybę i wydawały tak przenikliwy dźwięk, że nie było sensu rozmawiać.

Kiedy podjechały do domku, Angie zaparkowała w pobliżu drzwi frontowych i zwróciła się do Lauren:

– Czy nie uważasz, że powinnyśmy zadzwonić do twojej mamy? Może miałyby ochotę do nas dołączyć?

Dziewczyna zaśmiała się. Był to ironiczny, gorzki śmiech.

– Nie sądzę. – Zorientowała się, jak twardo te słowa zabrzmiały. Uśmiechnęła się i dodała: – Ona nie jest z tych, co lubią tańczyć.

Angie nie doszukiwała się drugiego dna w słowach Lauren. Była szefową i tyle. Miała zamiar pożyczyć jej sukienkę. To wszystko.

– W porządku, chodźmy pogrzebać w szafie.

Lauren rozpromieniła się i objęła Angie ramionami. Uśmiechnięta, szczęśliwa twarz sprawiła, że wyglądała jak jedenastoletnia dziewczynka.

– Dziękuję, Angie. Ogromnie dziękuję.

*

Lauren nie wychowywała się na opowieściach o dobrych wrózkach. Inaczej niż większość jej koleżanek i kolegów dzieciństwo spędziła na oglądaniu w telewizji programów, w których było mnóstwo przemocy, strzelaniny, prostytutek i kobiet lękających się tego, co je czeka. „Realne życie”, jak lubiła często podkreślać jej matka.

U pań Ribido nie oglądało się kreskówek, żadnego tam Disneya. W wieku zaledwie siedmiu lat dziewczyna wiedziała już, że księżę z bajki to bzdura. Kiedy leżała na wąskim łóżku w swoim pokoju przesiąkniętym wonią piwa i papierosów, nie potrafiła wyobrazić sobie, że jest Kopciuszką lub Śnieżką. Nigdy nie widziała sensu w historyjkach o księżniczkach, które rozkocharają w sobie wszystkich od pierwszego wejrzenia.

Aż do teraz.

Dzisiaj Angie Malone otworzyła przed Lauren drzwi, a widok z ganku zapierał dech w piersiach. To był świat skąpany w promieniach słońca, świat pełen możliwości.

Po pierwsze, sukienka. Nie, najpierw dom.

– Mój tata go zbudował – powiedziała Angie. – Spędzaliśmy tutaj lato, kiedy byłam dzieckiem.

Piętrowy dom kryty gontem był wpasowany pomiędzy górujące nad nim drzewa. Otaczała go weranda, na której tu i ówdzie stały poustawiane bujane fotele z wikliny. Z daleka dobiegał szum fal. Można było sobie wyobrazić, jak się siedzi na ganku, sączy w takim dniu jak ten gorącą czekoladę i patrzy na srebrzysty ocean w dole.

Kiedy Lauren zobaczyła ten dom, zatrzymała się. Był dokładnie taki, o jakim zawsze marzyła. Wystarczyło na niego popatrzeć, a od razu budziło się pragnienie posiadania go.

– Lauren? – Angie ją przywołała.

– Już idę, przepraszam. – Dziewczyna weszła do środka.

Wnętrze wywoływało podobne wrażenie: wszystko było dopracowane w najmniejszym szczególe. Ogromne pokryte dżinsem sofy ustawiono naprzeciwko siebie w pobliżu kominka zbudowanego z kamienia rzeczno. Stary zielony pień służył za stolik do kawy.

Niewielka kuchnia miała wesoły wygląd dzięki kredensowi w ciepłym, żółtym kolorze i oknom, z których rozpościerał się widok na ogród różany. Ogromne jodły tworzyły pierścień wokół domku i izolowały go od sąsiadów.

– Jest piękny – wyszeptała Lauren.

– Dzięki. Bardzo go lubimy – powiedziała Angie i pochyliła się, by dorzucić do ognia w kominku. – No to jak chciałabyś wyglądać na balu?

– Ba...

Angie zwróciła głowę w stronę dziewczyny.

– Kim chciałabyś być dzisiaj wieczoru? Księżniczką? Niewiniątkiem? Seksownym wampem?

– Z każdej sukienki będę zadowolona.

– Potrzebujesz dobrej rady ze strony działu pomocy dla młodych panienek. Może nawet trzeba wezwać pogotowie w tej sprawie. Chodź. – Wyminęła Lauren i skierowała się na górę po schodach, które trzeszczały pod stopami.

Dziewczyna pobiegła za nią. Przeszły przez wąski korytarz do przewietrzanej, wyglądającej na zamieszkaną sypialni. Miała pomalowany na biało sufit i drewnianą podłogę. Od razu rzucały się w oczy plakaty zawieszony nad łóżkiem; po drugiej stronie przy składanym stole, na którym leżał stos książek, zamocowana była lampka do czytania.

Angie weszła do garderoby i pociągnęła za sznurek od kontaktu. Zawieszona wysoko pojedyncza żarówka rzuciła wiązkę światła na rzędy ubrań.

– Zobaczmy tutaj. Przywiozłam ze sobą tylko kilka sukienek. Właściwie to miałam zamiar sprzedać je na eBayu. – Schyliła się, żeby podnieść jedną z kilku stłoczonych żółto-beżowych toreb, na których widniało logo Nordstrom.

„Nordstrom”.

Lauren nie miała nigdy żadnego ubrania z metką tej szacownej firmy z Seattle. Więcej, nie stać jej było nawet na kawę z baru na zewnątrz sklepu. Zrobiła krok do tyłu.

Angie otworzyła jedną z toreb, wyjęła z niej długą, czarną suknię i wręczyła dziewczynie.

– Co o niej sądzisz?

Była to kreacja bez pleców, ze śliskiego materiału, pewnie jedwabiu, z obrozą ozdobioną górskimi kryształkami i podwójnym pasem w talii, inkrustowanym większymi kamieniami.

– Jak ci się podoba?

Lauren nie mogła pożyczyć takiej sukienki. A jeśli ją zaplamiła?

– Właściwie nie jest dla ciebie. Wyglądałabyś w niej za poważnie. W końcu to zabawa dla młodzieży. – Angie rzuciła sukienkę na podłogę i zajęła się ponownie gorączkowym grzebaniem w torbach.

Lauren schyliła się i podniosła suknię. Materiał niemal pieścił jej palce. Nigdy nie

dotykała tak delikatnej tkaniny.

– O! – rzuciła Angie. Sukienka, którą tym razem trzymała w ręku, była beżoworóżowa, z dzianiny, a więc z grubszego, ale i bardziej elastycznego materiału, który łatwo dopasowywał się do figury, podkreślając kobiece kształty. Miała wbudowany stanik, głęboki dekolot na plecach i tylko jeden rękaw. Też za poważna dla nastolatki.

Angie wyciągnęła kolejną sukienkę, koloru szmaragdowozielonego z długimi rękawami i odsłoniętymi ramionami. Była wspaniała, ale wzrok Lauren poszybował z powrotem w kierunku beżoworóżowej kreacji z dzianiny.

– Ile taka sukienka kosztuje? – odważyła się zapytać.

– Ta? Kupiłam ją w Racku. Nie, zaraz, w second-handzie na Capitol Hill.

– Jest fajna.

– To znaczy, że decydujesz się na różową?

– Mogłabym ją zniszczyć. Boję się, że...

– W takim razie różowa. – Angie powiesiła pozostałe sukienki w szafie, a wybraną przez Lauren przerzuciła sobie przez ramię. – Teraz czas na prysznic.

Dziewczyna wyminęła Angie, która rozkładała sukienkę na łóżku, i skierowała się do łazienki.

– Masz buty?

Lauren skinęła głową.

– Jakiego koloru?

– Czarne.

– Prysznic wymaga naprawy – powiedziała Angie, próbując wyregulować temperaturę. – Mogłabym zrobić sweter na drutach, zanim zaczniesz płynąć gorąca woda.

Sprzątnęła z kabiny puste opakowania po kosmetykach.

– Zostawiam ci maseczkę pilingującą. Wiesz, jak ją stosować, prawda?

A gdy Lauren potaknęła, Angie sięgnęła po coś jeszcze.

– A tu masz maseczkę nawilżającą. Poprawia wygląd skóry. Sprawia, że wygląda się dziesięć lat młodziej.

– Wtedy kwalifikowałabym się na zabawę przedszkolną.

Angie roześmiała się i wpakowała obie tubki dziewczynie do rąk.

– Szykuj się, a potem zrobię ci fryzurę i makijaż.

Lauren wzięła najdłuższy i najbardziej luksusowy prysznic w życiu. Rury nie piszczwały, woda raz uregulowana płynęła normalnie i nie zmieniała temperatury. Użyła wszystkich luksusowych kosmetyków i po skończonych ablucjach czuła się jak nowo narodzona. Wysuszyła włosy, owinęła się olbrzymim, grubym, białym ręcznikiem i tak odziana weszła do sypialni.

Angie siedziała na krawędzi łóżka, a wokół niej leżało mnóstwo różnych przedmiotów: szczotki do włosów, metalowa lokówka, torebki i apaszki.

– Zobacz, znalazłam czarny szal zdobiony koralikami, czarną torebkę wieczorową i to! – W ręku trzymała kilka różowo-czarnych spinek do włosów w kształcie motyli. – Chodź, usiądź przy mnie. Kiedyś z siostrami spędzałyśmy mnóstwo czasu na układaniu sobie nawzajem włosów. – Rzuciła poduszkę na podłogę przed sobą.

Lauren posłusznie usiadła przed nią, zwrócona plecami do łóżka.

Angie od razu zabrała się do szczotkowania włosów dziewczyny. Lauren było tak przyjemnie, że aż westchnęła. Nie pamiętała, by kiedykolwiek ktoś ją czesał. Nawet jeśli czasem mama podcinała jej włosy, to nigdy nie zajmowała się ich szczotkowaniem.

– W porządku, skończyłam – usłyszała po chwili. – Możesz teraz usiąść na łóżku.

Lauren zmieniła pozycję. Angie uklękła przed nią.

– Zamknij oczy.

Poczuła delikatne muśnięcie cieniem do powiek i do tego... trochę rózu na policzki.

– Na szyi położę ci odrobinę brokatu. Kupiłam go dla mojej siostrzenicy, ale Mira uznała to za niestosowny prezent... o, tyle wystarczy. Gotowe!

Lauren wstała i włożyła sukienkę. Angie zasunęła zamek.

– Doskonale wyglądasz – powiedziała, wzdychając.

Dziewczyna wolnym krokiem podeszła do dużego lustra umieszczonego po wewnętrznej stronie drzwi, gdzie mogła zobaczyć się w całości.

Gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca. Sukienka leżała na niej idealnie. Wyglądała jak księżniczka z bajek, których nie czytała. Po raz pierwszy w życiu nie różniła się od swoich koleżanek w szkole.

11

Angie stała przed komodą. Górna szuflada była wysunięta. W środku pomiędzy stanikami, majtkami i skarpetkami leżał aparat fotograficzny.

„Rób zdjęcia moim wnukom”, tak powiedziała mama, gdy wręczała go córce.

Uśmiech mamy mówił sam za siebie, dzieci rosną tak szybko, jak wiosną rozkwitają pąki kwiatów.

Angie westchnęła.

Przez lata zrobiła mnóstwo zdjęć, w ten sposób utrwalając ulotne chwile swojego życia. Zawsze była z aparatem tam, gdzie trzeba, rok po roku pstrykała fotki podczas rodzinnych spotkań z okazji mających nastąpić narodzin dziecka, ukończenia przez nie kolejnych lat, uzyskania dyplomu z przedszkola. Jakoś w którymś momencie podczas robienia zdjęć zaczął pojawiać się ból, który przypominał, że to, na czym jej najbardziej zależało, zdawało się nieosiągalne. Wtedy przestała fotografować swoich siostrzeńców i siostrzenice. Wiedziała, że takie dziecinne zachowanie było egoizmem, ale okazało się to ponad siły. Kiedy mała, pięcioletnia już dzisiaj, Dani pojawiła się na świecie, Angie odłożyła aparat na dobre i do tej chwili nie wzięła go ręki.

Chwyciła aparat, załadowała nowy film do środka i zeszła po schodach na dół.

Lauren czekała przy kominku, zwrócona do niego plecami. Żółtawe światło otaczało dziewczynę, nadając jej bladej piegowatej cerze brązowy blask. Beżoworóżowa sukienka była na nią trochę za szeroka i za długa, ale dostrzec to mogło tylko wprawne oko. Włosy miała upięte w kok francuski, który podtrzymywały z tyłu spinki w kształcie motyli. Wyglądała jak księżniczka.

– Jesteś piękna – powiedziała Angie z zachwytem, wchodząc do pokoju. Ogarnęły ją tak ogromne emocje, że aż poczuła się skrępowana. Przecież to nic takiego, pomogła tylko nastolatce wyszykować się na szkolny bal, dlatego więc tak bardzo przeżywa to wszystko?

– Dzięki – odparła Lauren. Sądząc po głosie, wydawała się sama zaskoczona swoim wyglądem.

Angie nagle poczuła, że musi na nią spojrzeć przez obiektyw aparatu. Zaczęła pstrykać zdjęcia jedno po drugim. Tak się rozpędziła, że Lauren ze śmiechem próbowała ją powstrzymać.

– Hej, stop! Zostaw kilka klatek dla Davida.

Angie poczuła się jak idiotka.

– Masz rację, usiądź. Zaraz zrobię herbatę. Napijemy się, zanim przyjdzie.

– Powiedział, że będzie o siódmej. Zaprasza mnie na kolację do klubu.

Angie przygotowała w kuchni gorącą herbatę i wróciła z dwiema filiżankami do pokoju.

– Klub? Aha, będziesz zadzierać nosa?

Lauren zachichotała. Wyglądała tak młodo, gdy przysiadła po swojemu na krawędzi sofy. Pewnie bała się pognieść suknię. Trzymała filiżankę ostrożnie w obu rękach i popijała herbatę małymi łykami.

Angie znowu poczuła nagły przypływ emocji; bała się, jak wiele złego może wyrządzić świat tej dziewczynie, która czasami wydawała się bardzo samotna.

– Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz? Źle trzymam filiżankę? – zapytała Lauren.

– Nie. – Angie szybko zrobiła kolejne zdjęcie. Kiedy opuściła aparat na kolana, napotkała

roziskrzzone oczy dziewczyny. Jak matka mogła nie chcieć być z nią w takiej chwili? – Jak rozumiem, to nie jest pierwszy bal szkolny w twoim życiu – powiedziała, jakby chcąc wyjaśnić nieobecność pani Ribido.

– Tak, byłam na wielu – odparła jakby automatycznie. Sprawiała wrażenie zaniepokojonej, a w jej głosie brzmiało rozdrażnienie. W końcu odstawiła filiżankę z herbatą i zwróciła się do Angie: – Czy mogłabym cię o coś zapytać?

– W zasadzie na tak postawione pytanie powinno się odpowiedzieć „nie”, a nawet mocniej „nie, do diabła!”.

– Czyli co, mogę czy nie mogę?

– Śmiało! – Angie odchyliła się i wyciągnęła wygodnie na poduszce.

– Z jakiego powodu zrobiłaś dzisiaj dla mnie to wszystko?

– Lubię cię. Po prostu chciałam ci pomóc.

– A ja sądzę, że litujesz się nade mną.

Angie westchnęła. Wiedziała, że nie powinna się uchylić od odpowiedzi. Lauren oczekiwała szczerości.

– Rzeczywiście, szkoda mi cię, ale nie tylko z tego powodu ci pomogłam... Wiem, jak to jest pragnąć czegoś bardzo i nie móc tego mieć.

– Ty?

Angie z trudem przychodziły słowa. Jakaś część jej nie chciała w ogóle otwierać tych drzwi, ale pomyślała, że naturalne byłoby o tym porozmawiać. Chociaż w pewnym sensie przecież już zaczęła mówić, nie wiedziała tylko, jak kontynuować.

– Nie mogę mieć dzieci – rzuciła.

– Dlaczego?

Angie była wdzięczna za bezpośredniość tego pytania. Kobiety w jej wieku rozpoznawały grząski teren i starannie go omijały.

– Lekarze właściwie nie wiedzą dlaczego. Byłam w ciąży trzykrotnie... – Pomyślała teraz o Sophie i na chwilę przytknęła oczy, potem dokończyła: – Bez powodzenia.

– I sprawiło ci przyjemność, że pomogłaś mi się zrobić na bóstwo? – Smutek w głosie Lauren współgrał z nastrojem Angie.

– Owszem – przytaknęła. Chciała dodać coś jeszcze, ale zadzwonił dzwonek u drzwi.

– To David. – Dziewczyna zerwała się na równe nogi i pobiegła otworzyć.

– Zaczekaj – zawołała Angie.

– Dlaczego?

– Dama czeka na odpowiedni moment, kiedy ją poproszą. Idź na górę. Ja go wpuszczę.

– Naprawdę? – głos Lauren przeszedł niemalże w szept.

– Idź, proszę!

Kiedy dziewczyna była już na górze, Angie poszła przywitać Davida.

Chłopak stał na werandzie. W doskonale skrojonym czarnym smokingu, białej koszuli i srebrnym krawacie wyglądał jak ucieleśnienie marzeń każdej nastolatki.

– Masz na imię David, prawda? Widziałam cię pod restauracją. Ja nazywam się Angie Malone.

Podał rękę na powitanie i uścisnął tak mocno, że przysięgłaby, iż zatrzeszczały jej wszystkie stawy.

– David Ryerson Haynes – przedstawił się, uśmiechając nieco nerwowo i zerkając poza plecami Angie w stronę pokoju.

Cofnęła się, by mógł wejść do środka.

– Z tych Haynesów od drewna?

– Właśnie tych. Czy Lauren jest już gotowa?

To wyjaśniało obecność porsche. Zawołała Lauren po imieniu. Nie minęła sekunda, a dziewczyna pojawiła się u szczytu schodów.

– Kurczę! – David patrzył na nią ze zdumieniem i zachwytem. – Fantastycznie wyglądasz.

Lauren zbiegła szybko i podeszła do chłopaka. Spojrzała na niego z niepewnym uśmiechem.

– Naprawdę tak sądzisz?

Wręczył jej mały biały bukiet i ją pocałował.

Angie nawet z daleka mogła dostrzec galanterię, z jaką to uczynił, co sprawiło, że się uśmiechnęła.

– Chodźcie tu oboje. Trzeba zrobić pamiątkowe zdjęcie. Stańcie przy kominku.

Angie zrobiła kilka zdjęć. Jedyne siłą woli powstrzymała się przed pstrykaniem w nieskończoność.

– W porządku, wystarczy! – powiedziała wreszcie. – Jedźcie ostrożnie i bawcie się dobrze.

Nie była pewna, czy ją usłyszeli. Zdawało się, że nie mogą oderwać od siebie oczu.

Jednak przed drzwiami Lauren odwróciła się, zarzuciła ramiona na szyję Angie i mocno ją uścisnęła.

– Nigdy tego nie zapomnę – wyszeptwała. – Dziękuję.

– Bardzo proszę – równie cicho odpowiedziała Angie. Poczula, że słowa uwięzły jej w gardle.

Stała i patrzyła, jak David prowadzi Lauren do samochodu i otwiera przed nią drzwi.

Pomachała im na pożegnanie.

Angie wróciła do domu i zamknęła drzwi. Cisza, jaka tu panowała, wydała jej się nagle przytłaczająca.

Zapomniała na chwilę, jakie spokojne wiodła życie. Gdy nie włączała stereo, jedynym dźwiękiem w domu był odgłos jej kroków na drewnianej podłodze.

Poczula, że osuwa się w znajomą otchłań, tam gdzie jest zimno i pusto.

Nie chciała tego. Tak dużo czasu zabrało wydostanie się na powierzchnię. Żałowała, że nie może zadzwonić teraz do Conlana, rozmowa z nim zawsze poprawiała jej nastrój. Ale te dni, niestety, dawno już minęły.

Zadzwonił telefon. Dzięki Bogu! – pomyślała i pobiegła odebrać.

– Słucham? – Była zaskoczona, jak zwyczajnie i pewnie zabrzmiał jej głos. Tonąca kobieta nie powinna tak mówić.

– Jak idą przygotowania do balu? – To mama.

– Wspaniale. Lauren wygląda ślicznie. – Angie roześmiała się i miała nadzieję, że śmiech nie zabrzmiał sztucznie.

– Wszystko w porządku?

Cieszyła się, że mama o to zapytała.

– Tak. Położę się do łóżka wcześniej. Porozmawiamy rano, dobrze?

– Kocham cię, Angelo.

– Ja ciebie też, mamó.

Drżała, kiedy odłożyła słuchawkę. Nie wiedziała, co zrobić, żeby się uspokoić. Posłuchać muzyki, przeczytać książkę, a może popracować nad nowym menu? W końcu dała za wygraną; poczuła się zmęczona i poszła na górę. Położyła się do wielkiego łóżka, naciągnęła kołdrę pod brodę i zamknęła oczy.

Jakiś czas później się obudziła.
Ktoś wołał ją po imieniu. Spojrzała na zegarek. Nie było jeszcze dziewiętej.
Wypełzła spod przykrycia i potykając się, zeszła po schodach.
Mama stała w kuchni w mokrym palcie, spod którego wystawał poplamiony na czerwono fartuch. Wzięła się pod boki.
– Nie wyglądasz najlepiej – odezwała się.
– Poprawię się.
– Ja też, gdy skończę dziewięćdziesiąt lat, ale do tego długa i wyboista droga. Chodź! –
Wzięła córkę za rękę i pociągnęła w stronę sofy. Usiadły, przytuliły się do siebie, tak jak robiły to, gdy Angie była małą dziewczynką. Mama pogłaskała ją po głowie.
– Cieszyłam się, gdy pomagałam jej szykować się do wyjścia. Ale potem... gdy już wyszli... zaczęłam myśleć o...
– Wiem – odezwała się delikatnie mama. – Pomyślałaś o swojej córeczce.
Angie westchnęła. Żal ma taką naturę, wiedziały o tym z mamą obie, że od czasu do czasu wraca i tak już będzie zawsze. Niektóre rany są zbyt głębokie, a życie za krótkie, by je wyleczyć do końca.
– Kiedyś straciłam syna – przerwała milczenie mama.
Angie nabrała gwałtownie powietrza w płuca.
– Nigdy o tym nie mówiłaś.
– O pewnych sprawach trudno jest rozmawiać. Był moim pierwszym dzieckiem.
– Dlaczego mi się nie zwierzyłaś?
– Nie mogłam.
Angie poczuła ból swojej matki. Ta strata łączyła je w smutku i przyjaźni.
– Chciałam powiedzieć coś, co przyniesie ci ulgę.
Angie spojrzała na swoje dłonie. Przez krótką chwilę była zaskoczona, że jej obrączka ślubna zniknęła.
– Bądź ostrożna z tą dziewczyną, kochanie – poprosiła mama.
Już drugi raz dawała jej tę samą radę. Czy Angie będzie potrafiła z niej skorzystać?

*

Słoneczny jesienny poranek był darem od Boga równie rzadkim jak różowy diament w tej części świata.

Lauren potraktowała to jako znak.

Przeciągnęła się leniwie i stopniowo dochodziła do siebie. Z ulicy dobiegał warkot samochodów. Za drzwiami kłócili się sąsiedzi. Gdzieś zatrąbił klakson. W swoim pokoju matka odsypiała zeszłonocny spacer po barach.

Dla większości ludzi na świecie był to zwyczajny niedzielny poranek.

Lauren przekręciła się na bok. Stary materac, który służył dzielnie, od kiedy sięgała pamięcią, zatrzeszczał pod jej ciężarem.

David leżał w swobodnej pozie na plecach, poplątane w nieładzie włosy zasłaniały mu połowę twarzy. Jedna ręka zwisała z łóżka, drugą, zgiętą, trzymał pod głową. Mogła dostrzec czerwone wypryski na linii włosów i drobną zygzakowatą bliznę na policzku – pamiątkę po dość ostrej grze w piłkę.

„Krwawiłem jak zarzynane prosię”, podkreślał zawsze, gdy opowiadał o tym wydarzeniu. Niczego bardziej nie lubił od chwalenia się swoimi „ranami odniesionymi w boju”. Gdy Lauren chciała się z nim podrażnić, mówiła mu, że jest hipochondrykiem.

Przesunęła opuszką palca po bliznie.

Wczorajszy wieczór udał się świetnie, a nawet więcej – wspaniale. Czuła się jak księżniczka, kiedy David prowadził ją na podium, niemalże płynęła za nim. W tle leciał *Angel* Aerosmith. Zastanawiała się, jak długo będzie wracać do tego momentu. Czy opowie dzieciom o swoim triumfie? „Chodźcie do mnie, posłuchajcie, jak mama została królową balu”.

– Kocham cię – wyszeptał David, trzymając ją za rękę, gdy umieszczano diadem na jej głowie. Pamiętała, jak patrzyła na niego przez łzy. Kochała go w tamtej chwili tak mocno, że aż odczuwała ból w piersiach. Nie mogła sobie wyobrazić, że coś ich rozdzieli.

A przecież, jeżeli pójdą do innych college'ów...

Wystarczyło, że tylko o tym pomyślała, a już zaczynało ją ścisnąć w żołądku.

David zaczął się powoli budzić. Kiedy dostrzegł Lauren, uśmiechnął się.

– Muszę powiedzieć rodzicom, że będę wpadał tu częściej.

Wyciągnął do niej rękę. Pasowali idealnie, jakby byli dla siebie stworzeni.

Tak będzie w college'u i później, gdy się pobiorą. Już nigdy nie będzie się czuła samotna.

Pocałowała go i dotknęła.

– Mama w niedzielę nie wstaje nigdy przed południem – powiedziała z wiele obiecującym uśmiechem.

David się cofnął.

– Mam się spotkać za godzinę w domu z wujem Piotrem. Razem z nim będzie jakaś gruba ryba ze Stanfordu.

– W niedzielę? Myślałam... – zaczęła Lauren.

– Będzie w mieście tylko podczas weekendu. Możesz iść ze mną.

Uśmiech znikł z jej twarzy, podobnie jak rozwiały się romantyczne plany co do reszty dnia.

– Tak. Masz rację – przyznała, ale pomyślała co innego. Jeśli rzeczywiście chciał, żeby była obecna przy tej rozmowie, powiedziałby jej o tym wcześniej.

– Nie patrz tak na mnie.

– Daj spokój, David. Wróc na ziemię. Nie dostanę stypendium w Stanfordzie, a nie mam rodziców, którzy wypiszą mi czek. Za to ty mógłbyś pójść na Uniwersytet Południowej Kalifornii.

Stara dyskusja. Westchnął ciężko jak człowiek znudzony powtarzaniem tych samych argumentów.

– Po pierwsze, możesz się dostać na Stanford, a po drugie, jeśli nawet będziesz studiować na UPK, możemy się często widywać. Kochamy się i tych kilka kilometrów tego nie zmieni.

– Raczej kilkaset. – Wpatrywała się w sufit. W rogu pod wpływem wilgoci utworzyła się ciemna plama. Chciała móc się uśmiechnąć. – Tak czy siak, mam dzisiaj pracę.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować długo i powoli. Czuła, jak jej serce zaczyna bić coraz szybciej, a gniew z wolna mija. David przestał wreszcie, wstał z łóżka, a jej zrobiło się zimno.

David włożył smoking.

Lauren usiadła na łóżku, naciągnęła koc i zasłoniła nagie piersi.

– Świetnie się bawiłam zeszłej nocy.

Obszedł łóżko dokoła i usiadł przy niej.

– Za dużo się martwisz, niepotrzebnie.

– Rozejrzyj się wokół, Davidzie – powiedziała gardłowym głosem. Przy kimkolwiek innym czułaby się skrępowana. – Zawsze mam się o co martwić.

– Ale nie o to, co nas łączy. Kocham cię.

– Wiem. – Mówiła prawdę. Wierzyła w to uczucie całą sobą. Przywarła do niego i go

pocałowała. – Powodzenia!

Kiedy wyszedł, wpatrywała się w drzwi jeszcze przez długi czas. Wreszcie ruszyła się z łóżka, wzięła gorący prysznic, potem ubrała się i skierowała się do kuchni. Przystanęła przy sypialni matki. Usłyszała chrapanie dobiegające zza drzwi.

Znajoma tęsknota wypełniła jej serce. Dotknęła drzwi trochę z ciekawości, czy mama w ogóle pamiętała o szkolnym balu, który odbył się wczoraj.

Zapytaj ją o to, nakazała sobie.

Czasami o poranku, kiedy promienie słońca wpadały przez szpary w zakurzonych żaluzjach, mama budziła się niemal szczęśliwa. Może to będzie właśnie jeden z takich dni. Lauren pragnęła, by tak było. Zapukała delikatnie i otworzyła drzwi.

– Mamo?

Pani Ribido leżała w niedbalej pozycji na łóżku na rozłożonych kocach. W białym jakimś, starym T-shircie wyglądała bardzo mizernie, była chuda jak patyk. Z pewnością nie odżywiła się ostatnio zbyt dobrze.

Lauren przystanęła. To był jeden z rzadkich momentów, kiedy widać było, jaka matka jest młoda.

– Mamo?

Weszła do pokoju i przysiadła na krawędzi łóżka.

Pani Ribido przekręciła się na plecy. Bez otwierania oczu wymamrotała:

– Która godzina?

– Nie ma jeszcze dziesiątej.

Lauren zapragnęła odgarnąć włosy wpadające do oczu mamy, ale nie zrobiła tego, nie chciała burzyć nastroju chwili.

– Czuję się, jakby czołg po mnie przejechał. Wczoraj nieźle zabawiłyśmy się z Phoebe. – Matka uśmiechnęła się blado.

Lauren pochyliła się ku niej.

– Zostałam wczoraj królową balu – powiedziała spokojnie. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to się zdarzyło naprawdę. Lekko się uśmiechała.

– Co mówisz? – Oczy mamy same się zamknęły.

– Wczoraj podczas balu zostałam... – Wiedziała, że matka jej nie słucha. – Nieważne, zapomnij.

– Zadzwoń dzisiaj do pracy i powiem, że jestem chora – powiedziała pani Ribido i odwróciła się do niej plecami. Po chwili znowu rozległo się chrapanie.

Lauren postanowiła, że nie dopuści do siebie rozczarowania. Idiotycznie było oczekiwać czegokolwiek od matki. Powinna odrobić tę lekcję już dawno temu.

Z westchnieniem podniosła się z łóżka.

*

Godzinę później jechała autobusem przez miasto. Słońce znowu zniknęło, schowało się za zwalę gwałtownie ciemniejących chmur. Zanim dotarła do końcowego przystanku, zaczęło padać.

Była wczesna godzina niedzielnego poranka, ulice były prawie puste, za to parkingi przykościelne pękały w szwach.

Przypomniało jej się, jak jeszcze nie tak dawno, kiedy otwierała okno podczas deszczu czy śniegu, pogoda nie miała znaczenia. Wychylała się wtedy przez okno i słuchała bicia dzwonów. Zamykała oczy i wyobrażała sobie, jak to jest iść do kościoła w niedzielny poranek. Marzenie miało zawsze jednakowy kształt. Widziała małą rudą dziewczynkę w odświętnej

jasnozielonej sukience, stawiającą drobne, szybkie kroczki, by nadażyć za swoją śliczną mamą o blond włosach. Nieco dalej czekała na nie rodzina.

„Chodź, Lauren – mówiła zawsze ta elegancka pani, wyciągając do niej dłoń. Przecież nie chcemy się spóźnić”.

Okno pozostawało zamknięte od dawna. Gdyby w tej chwili przez nie wyjrzała, zobaczyłaby rozpadający się budynek nieopodal i podobnej urody stary niebieski chevrolet pani Sanchez. Teraz, jeśli w ogóle zdarzało jej się marzyć, to tylko nocą.

Autobus zwolnił, zbliżając się do przystanku. Lauren spojrzała na dużą torbę, którą trzymała w rękę. Powinna była najpierw zadzwonić, tak jak to się robi w porządnym domu. Nie wpadasz tak po prostu, nawet jeśli chcesz coś zwrócić. Ale nie znała numeru telefonu Angie, a jeśli chciała być ze sobą szczerą, potrzebowała towarzystwa.

– Miracle Mile Road – zawołał kierowca autobusu.

Lauren zerwała się na równe nogi i zaczęła przeciskać wąskim przejściem, starając się, żeby nikogo nie kopnąć. Zeszła po schodkach i już była na zewnątrz.

Usłyszała za sobą syk, a potem szcęk zamykających się drzwi. Autobus pojechał dalej.

Stała przez chwilę w miejscu. Ścisnęła przy piersi torbę, bojąc się, by rzeczy w środku nie zamokły na deszczu.

Przed nią wiała się droga wysadzana drzewami cedrowymi. Wydawało się, że sięgały niemal szarego podbrzusza chmur. Od czasu do czasu wyłaniała się przydrożna skrzynka na listy, poza tym nie było żadnych oznak życia. O tej porze roku okolica nie wyglądała zachęcająco; podczas tych mrocznych, pełnych wilgoci paru tygodni turysta, który ośmieliłby się zapuścić w te dzikie zielono-czarne chaszczki, mógłby przepaść bez wieści do wiosny.

Zanim dotarła do podjazdu, rozpadało się nie na żarty – zimne, ostre jak żyłotka gęsto padające krople deszczu raniły jej policzki.

Dom wyglądał na opuszczony. Żadne światło nie przedostawało się ze środka. Deszcz bębnił o dach z ogłuszającym łoskotem i rozpryskiwał się w kałużach. Samochód Angie stał na szczęście pod wiatą.

Lauren podeszła do drzwi i zastukała.

Z wnętrza dochodził jakiś dźwięk. Słyszeć było muzykę.

Zapukała znowu. Z każdą upływającą minutą traciła coraz bardziej czucie w rękach. Na dworze było piekielnie zimno.

Jeszcze raz spróbowała, po czym chwyciła za klamkę. O dziwo, drzwi łatwo ustąpiły. Weszła do środka i zamknęła je za sobą.

– Halo? Jest tu kto?

Nie paliło się żadne światło. W taką pogodę pokój wyglądał posępnie.

Zauważyła, że na stole leży portmonetka i kluczyki do samochodu.

– Angie? – Lauren zdjęła przemoczone buty, ściągnęła skarpetki i postawiła torbę na stole.

Weszła do salonu, ponownie nawołując Angie.

Był pusty.

– Do diabła! – mruknęła dziewczyna. Będzie teraz musiała wlec się w deszczu na przystanek i znowu marznąć. Nie miała pojęcia, jak często kursuje jej autobus.

No trudno.

W zasadzie skoro już tu jest, mogłaby odłożyć sukienkę na miejsce. Weszła na schody. Trzeszczały pod jej ciężarem. Gdy się odwróciła, zobaczyła, że zostawia mokre ślady.

Wspaniale! Na dodatek będzie musiała wytrzeć podłogę przed wyjściem.

Zatrzymała się na chwilę przed sypialnią i zapukała, choć wydało jej się niemożliwe, by

o dziesiątej trzydzięci Angie wciąż spała.

Otworzyła drzwi.

W pokoju panował półmrok. Ciężkie zasłony w kwiaty blokowały dostęp światła.

Lauren rozejrzała się w poszukiwaniu kontaktu, znalazła i nacisnęła. Zrobiło się jasno.

Szybko weszła do garderoby, odwiesiła sukienkę i za chwilę była z powrotem w sypialni.

Angie siedziała na łóżku, miała zapuchnięte oczy i wpatrywała się w dziewczynę z niedowierzaniem.

– Lauren?

Co za krępująca sytuacja, pomyślała dziewczyna, czerwieniąc się ze wstydu.

– Ja... przepraszam. Pukałam. Myślałam, że...

Angie posłała jej smutny uśmiech. Zaczerwienione oczy świadczyły o nieprzespanej, może przeplakanej nocy. Drobne różowe linie widniały odcisnięte na policzkach, a długie, czarne włosy były rozczochrane. Krótko mówiąc, nie wyglądała pięknie.

– W porządku, szkrabie.

– Powinam chyba sobie pójść.

– Nie! – zaprotestowała Angie gwałtownie, po czym dodała już łagodniejszym tonem: – Będzie mi bardzo miło, jeśli zostaniesz. – Głową wskazała jej ogromne łóżko. – Usiądź.

– Ale jestem cała mokra.

– To co mokre, wysycha. – Angie wzruszyła ramionami.

Lauren spojrzała w dół na bose stopy. Były sine z zimna. Wspięła się na łóżko, wyciągnęła nogi i oparła je o podnózek.

Angie rzuciła jej szenilową poduszkę i otuliła stopy niewiarygodnie miękkim kocem.

– Opowiedz mi, jak się udał wczorajszy wieczór.

Na te słowa coś się w Lauren odblokowało. Pałący ból w piersiach ustąpił. Chciała opowiedzieć, jaka była szczęśliwa, ale coś ją powstrzymało. Dostrzegła smutek w oczach Angie.

– Płakałaś – stwierdziła rzeczowo.

– Jestem stara. Tak wyglądam każdego ranka.

– Po pierwsze, jest już dziesiąta trzydzięci, praktycznie południe. Po drugie, po twoich oczach widać, że płakałaś.

Angie położyła się na plecach, oparła o wezglowie i zapatrzyła w pomalowany na biało sufit. Minęła chwila, zanim się odezwała:

– Od czasu do czasu mam kiepski dzień. Niezbyt często, ale... wiesz, czasami... – Westchnęła i spojrzała na Lauren. – Nie zawsze życie układa się tak, jak sobie wymarzyłaś. Jesteś za młoda, by o tym wiedzieć. Zresztą to nie ma znaczenia.

– Wydaje ci się, że jestem za młoda, by zrozumieć, co to rozczarowanie?

Angie popatrzyła na nią długo i spokojnie, potem powiedziała:

– Nie. Nie wydaje mi się, ale niektórych spraw nie rozwiąże się, rozmawiając o nich. Opowiedz mi lepiej, jak było na balu. Ze szczegółami.

Lauren żałowała, że nie zna lepiej swojej rozmówczynie. Wiedziałyby wtedy, czy powinna ciągnąć wątek, czy przestać. Ważne, aby znalazła właściwe słowa dla tej wspaniałej, niezwyklej, smutnej kobiety.

– Proszę – nalegała Angie.

– Wieczór udał się znakomicie – odezwała się wreszcie Lauren. – Wszyscy mówili, że świetnie wyglądam.

– Bo to prawda – stwierdziła Angie z uśmiechem. Z takim prawdziwym, nie tym wymuszonym sprzed paru chwil, gdy usiłowała ją przekonać, że ma się dobrze.

Lauren poczuła się dzięki temu lepiej, wreszcie w jakiś sposób mogła się zrewanżować za

dobro, którego doświadczyła.

– Sala była pięknie udekorowana. Jako motyw przewodni wybrano Zimową Krainę Czarów. Wszędzie rozrzucono sztuczny śnieg i ułożono lustra, które wyglądały jak zamarzniete stawy. Aaa... Brad Gaggiany przyniósł kilka butelek rumu. Wszystkie poszły błyskawicznie.

– Ojej. – Angie spoważniała.

Dziewczyna żałowała, że nie ugryzła się w język. Uprawiała przez chwilę takie dziewczynskie ploteczki i zapomniała, że rozmawia z osobą dorosłą. Nie miała doświadczenia w prowadzeniu tego rodzaju konwersacji. Mamie nigdy nie opowiadała o szkolnych imprezach.

– Wypiłam tylko troszeczkę – skłamała.

– Miło mi to słyszeć. Alkohol może sprawić, że dziewczyna robi rzeczy, których robić nie powinna.

Lauren wyczuła łagodność w głosie Angie. Od razu nasunęły jej się skojarzenia z własną matką, która w tym momencie wylałaby potok własnych żalów z nieodmiennym zakończeniem, czyli przestrogą przed macierzyństwem w młodym wieku.

– Zgadnij, co się stało? – zapytała dziewczyna, ale nie wytrzymała, by czekać na odpowiedź. – Zostałam królową balu.

Angie uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie.

– Och, to wspaniale, opowiadaj, chcę wiedzieć wszystko.

Przez blisko godzinę rozmawiały o wczorajszym wieczorze. O jedenastej trzydzieści, gdy trzeba było szykować się do wyjścia do restauracji, Angie była znowu uśmiechnięta.

12

Telefon dzwonił przez cały dzień. W trzecią niedzielę października pierwszą stronę reklamowej części niewielkiego pisemka „West End Gazette” zajmowało ogłoszenie:

Odkryj na powrót romantyzm @ DeSaria's.

Gazeta podawała szczegóły: wieczór we dwoje, randka z winem, happy hour, do tego zniżkowe kupony. Butelka wina za połowę ceny. Zamawiasz przystawkę, dostajesz dodatkowo ciastko. Lunch dnia dla dwóch osób w cenie jednego od poniedziałku do czwartku.

Mieszkańcy miasteczka, którzy zdążyli już zapomnieć o lokalu DeSaria's, teraz przypomnieli sobie o nim i o wieczorach spędzonych z rodzicami w niewielkiej trattorii na Driftwood Way.

Wielu z nich chwyciło za telefon i zamówiło stolik. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów lokal był wypełniony. Podobnie jak pudło, do którego każdy ofiarodawca mógł włożyć ciepłe ubrania dla biednych sąsiadów.

– Nie pojmuję tego – odezwała się pani DeSaria, która myła steki z tuńczyka *ahi* i kładła je na pergaminie. – Skąd mamy wiedzieć, ile osób będzie miało ochotę zjeść rybę dziś wieczorem? To zły pomysł, Angelo. Zbyt kosztowny. Powinniśmy przygotować więcej cannelloni i lasagne.

Powtarzała to już kilkakrotnie tego wieczoru.

Angie mrugnęła okiem do Miry, która powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Mamo, w zamrażalniku mamy zapas lasagne na wypadek wojny nuklearnej dla całego miasta.

– Nie żartuj sobie z wojny, Angelo. A ty, Miro, siekaj pietruszkę drobniej. Nie chcemy przecież, by nasi goście po zjedzeniu obiadu mieli zielone gałązki w zębach. Przyłóż się.

Mira roześmiała się, nie przerywając siekania.

Mama z niezwykłą dbałością rozłożyła pergamin i skropiła oliwą jego powierzchnię.

– Podaj mi szalotkę, Miro.

Angie wycofała się powolutku z kuchni.

Dopiero piętnaście po piątej, a już ponad połowa stolików jest zajęta. Rosa z Lauren krążyły wśród gości, przyjmowały zamówienia, rozlewały wodę.

Angie przechodziła od stolika do stolika i pozdrawiała gości tak, jak zapamiętała, że robił to ojciec. Przystawał przed każdym, prostował serwetki, odsuwał krzesła przed paniami, wołał o „więcej wody!”.

Dostrzegła osoby, których nie widziała od wieków, a każda z nich miała do opowiedzenia jakiegoś zdarzenia związane z jej ojcem. Zajęta bólem własnym i rodziny, nie zastanawiała się, jak wielką lukę jego śmierć uczyniła w lokalnej społeczności. Kiedy upewniła się, że wszystko w porządku, poszła z powrotem do kuchni.

Mama wyglądała jak strzępek nerwów i kręcący się w kółko derwisz jednocześnie.

– Klienci zamówili osiem porcji tuńczyka pieczonego w pergaminie, a ja zepsułam całą pierwszą partię. Pergamin pękł, a ryba się rozpadła.

Mira stała z boku, kroїła drobno pomidory i wyraźnie nie chciała rzucać się w oczy.

Angie podeszła do mamy i dotknęła jej ramion.

– Weź głęboki oddech.

Pani DeSaria zaczerpnęła powietrza w płuca i ciężko wzdychając, wypuściła. Pochyliła się nad stołem.

– Jestem stara – powiedziała cicho. – Za stara.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stała w nich Livvy ubrana w czarną, plisowaną spódnicę do kolan, białą bluzkę i czarne botki.

– Czy to prawda? Mama rzeczywiście zgodziła się na zmianę menu?

– Skąd się dowiedziałaś? – zapytała Mira i wytarła rękę o fartuch.

– Pan Tannen ze sklepu wielobranżowego wpadł do pralni. Sam usłyszał wieści od pana Garcii, który pracuje w pralni.

Pani DeSaria ignorowała córki z rozmysłem. Zajęła się przygotowywaniem ryby, każdy kawałek soliła, pieprzyła, posypywała pietruszką i tymiankiem, dodawała małych pomidorów cherry, na koniec wszystko zawijała w pergamin, kładła na blachę do pieczenia i wkładała ją do piekarnika.

– Mieli rację – szepnęła Livvy. – Co to jest?

– *Tonno al cartoccio* – prychnęła mama. – To nic takiego. A tam leży halibut. Szykuję ulubione danie taty *rombo alle capperi e pomodoro*. Kupiłam bardzo dobre pomidory.

Odezwał się dźwięk alarmu. Pani DeSaria wyjęła blachę z piekarnika i ułożyła rybę na talerzach razem z grillowaną papryką, cukinią i domową polentą.

– Na co się tak wszystkie gapicie? – Właśnie weszły do kuchni Lauren z Rosą. Mama wręczyła im talerze. Kiedy wyszły z nimi do gości, odezwała się pozornie lekceważąco: – Rozmyślałam o nowym menu już od lat. Dobrze jest zmieniać coś od czasu do czasu. Wasz tata, oby spoczywał w spokoju, zawsze powiadał, że mogę zrobić, co zechcę z kartą dań, ale mam zostawić lasagne. – Machnęła ręką. – Nie stójcie jak słupy, zmiatajcie stąd. Lauren może potrzebować pomocy, a ty Miro przynieś mi jeszcze trochę pomidorów.

Kiedy Livvy i Mira zrobiły to, o co prosiła, roześmiała się.

– Chodź tutaj! – zwróciła się do Angie, a gdy córka podeszła, objęła ją i wyszeptała: – Tata byłby z ciebie dumny.

– Byłby dumny z nas obu – odparła Angie i przytuliła ją mocno.

Późnym wieczorem, gdy ostatnia grupa klientów została obsłużona, a talerze sprzątnięte, by można było postawić tiramisu i miseczki pełne pysznego zabaglione ze świeżymi malinami, pani DeSaria wyszła z kuchni, żeby zorientować się, jak nowe potrawy zostały przyjęte.

Goście, w większości znający Marię od lat, powitali ją oklaskami. Pan Fortense w zachwycie zawołał:

– Jedzenie było bajeczne!

Mama uśmiechała się zadowolona.

– Bardzo dziękuję. Wróćcie niedługo. Jutro przyrządzę szparagowo-ziemniaczane gnocchi ze świeżymi pomidorami. Rozpłynie wam się w ustach. – Spojrzała na Angie. – To ulubione danie mojej nieocenionej córeczki.

*

Kiedy ostatni klienci wreszcie wyszli o dziesiątej trzydzieści, Lauren była wykończona. Przez cały wieczór wszystkie stoliki były zajęte. Kilkakrotnie nawet ustawiała się kolejka chętnych, bo brakowało wolnych miejsc. Biedna Rosa nie nadążała ze wszystkim. A ponieważ Lauren pracowała bardzo szybko, starsza pani stała się niespokojna i nerwowa. I wtedy pojawiła się Livvy. Z uśmiechem przesuwiała się płynnie wzdłuż stolików niczym anioł i odciążała znacznie Lauren.

Dziewczyna stała teraz przy stoliku recepcyjnym, gdzie między innymi przyjmowano

rezerwacje. Rosa poszła do domu już godzinę temu, a reszta kobiet była w kuchni. Po raz pierwszy tego wieczoru Lauren mogła swobodnie odetchnąć. Wysypała pieniądze z fartucha i przeliczyła.

Dwukrotnie.

Zarobiła sześćdziesiąt jeden dolarów. Nagle przestały się liczyć bolące stopy, dłonie i skurcze. Była bogata. Jeszcze kilka takich wieczorów i zbiera pieniądze na opłaty wstępne.

Zdjęła fartuch i skierowała się w stronę kuchni. Była w połowie drogi, gdy wahadłowe drzwi się otworzyły.

Pierwsza weszła do sali Livvy, zaraz za nią Mira. Były zupełnie niepodobne do siebie, ale nikt nie mógł wątpić, że są siostrami. Ruchy i gesty miały identyczne, ten sam lekko chrypliwy śmiech. Jak Angie. Z daleka trudno było odróżnić ich głosy.

W restauracji rozbrzmiewał śpiew. Głęboki, aksamitny głos Franka Sinatry niósł się po całej sali. Po nim zaczęła się nowa piosenka.

Mira i Livvy zatrzymały się i uniosły głowy.

To, co Lauren usłyszała teraz, było głośnie i niespodziewane, a rozpoznanie utworu zajęło jej chwilę.

Bruce Springsteen.

Glory Days.

„Miałem kiedyś przyjaciela, był wielkim graczem

W szkole średniej”.

Livvy krzyknęła radośnie i wyrzuciła ręce do góry. Zaczęła tańczyć z Mirą, która płaśała dość niezdarne, jakby ktoś robił jej elektrowstrząsy.

– Nie tańczyłam od... Jezu, nie pamiętam nawet od kiedy – przekrzykiwała muzykę Mira.

– To oczywiście, moja starsza siostró. – Livvy zaśmiała się. – Wyglądasz jak Elaine z *Kronik Seinfelda*. Musisz się poruszać bardziej rytmicznie.

Mira stuknęła siostrę biodrem.

Lauren patrzyła na nie z podziwem. W kobiety, które prawie wcale ze sobą nie rozmawiały przez cały wieczór, wstąpił teraz niespokojny duch. Wyglądały młodziej, swobodniej.

Związane ze sobą.

Drzwi znowu otworzyły się gwałtownie. Wypadła z nich kolejna tańcząca para: Angie z mamą.

– Teraz conga – krzyknęła któraś i utworzyły wężyk; ustawiły się jedna za drugą, nie przerywając płaśów. Wszystkie cztery tańczyły wokół pustych stołów, zatrzymywały się na chwilę, by machnąć nogą lub podrzucić głowę.

Wyglądało to idiotycznie. Jak jakieś show telewizyjne dla staruszków.

Ale równocześnie chwytало za serce.

Lauren poczuła ściskanie w żołądku, nie wiedziała, jak się ma zachować. Zdawała sobie sprawę, że do nich nie przynależy. Była tylko pracownicą.

To była impreza rodzinna.

Zaczęła wycofywać się w stronę drzwi.

– O, nie, nie! – zawołała Angie.

Dziewczyna zatrzymała się w pół kroku i odwróciła. Wianuszek tańczących pań się rozerwał.

Mira i Livvy dalej podrygiwały wspólnie, Maria stała z boku i przypatrywała się córkom, a Angie ruszyła w kierunku Lauren.

– Zostań z nami, zabawa dopiero się rozkręca!

– Ja nie...

Angie uśmiechnęła się do niej i chwyciła ją za rękę.

Słowa „nie należę do rodziny” nie zostały wypowiedziane.

Zmieniła się melodia. Z głośników popłynął *Crocodile Rock*.

– Elton! – zawyła radośnie Livvy. – Widzieliśmy to w hali Tacoma, pamiętasz?

I znowu zaczęły tańczyć.

– Dołącz do nas – poprosiła Angie.

Lauren, zanim się zorientowała, już była w środku rozbawionych kobiet. Gdy rozpoczynała się trzecia piosenka, *Uptown Girl* Billy’ego Joela, bawiła się w najlepsze.

Przez następne pół godziny z okładem rozkoszowała się towarzystwem tej hałaśliwej, ale kochającej się rodziny. Kobiety śmiały się, tańczyły i rozprawiały bez końca o tym, jak udało im się zgromadzić tylu gości w restauracji. Lauren upajała się każdą minutą i kiedy przed północą impreza miała się ku końcowi, z nienawiścią myślała o powrocie do domu. Nie było oczywiście wyboru.

Chciała wracać autobusem, ale Angie zaproponowała, że ją odwiezie. Rozmawiały przez całą drogę, śmiały się co chwilę i, niestety, w końcu dotarły na miejsce.

Wlokła się noga za nogą w górę po ciemnych schodach, przerzucając ciężki plecak z jednego ramienia na drugie.

Drzwi mieszkania były otwarte.

Wewnątrz unosiły się smugi szarego dymu papierosowego, jedne niedopałki tworzyły górę na popielniczce, inne walały się na stoliku do kawy i podłodze. W kącie leżała pusta butelka po dżinie.

Lauren rozpoznała nieomylnie ślady dwóch osób. Nie potrzebowała zespołu ekspertów z zakresu medycyny sądowej, miejsce zbrodni było dobrze znane. Niedopałki dwóch marek papierosów, puste butelki po różnych piwach.

Mama poderwała jakiegoś frajera w barze, gdzie są sami frajerzy, i przyprowadziła do domu.

Są teraz w jej sypialni. Słychać było rytmiczne uderzenia ramy wielkiego matczynego łóżka w ścianę. Łup, łup, łup.

Szybko przemknęła się do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Poruszała się po cichu, aby nie zorientowali się, że wróciła do domu. Otworzyła organizer i zanotowała w nim dwa słowa: impreza u DeSariów. Chciała zapamiętać je na zawsze. Ilekroć natknie się na nie w kalendarzu, będą wracać do niej wspomnienia dzisiejszego wieczoru.

W rekordowym tempie wzięła prysznic i naszykowała się do spania. Ostatnie, czego pragnęła, to nadzieć się na tego faceta w przedpokoju.

Wślizgnęła się do łóżka, nasunęła kołdrę pod brodę i zaczęła wpatrywać się w sufit.

Myślała o zabawie u DeSariów. Była to sinusoida uczuć – raz szczęście, a zaraz potem poczucie straty. Nie mogła tego zbalansować.

To przecież tylko restauracja, usiłowała sobie wmówić – miejsce zatrudnienia.

Angie jest jej szefową, nie... matką.

I w tym tkwiło sedno sprawy. Uwierało jak ziarno grochu pod materacem. Od tak dawna brakowało jej oparcia, a teraz choćby nie wiadomo jak irracjonalne to było, czuła, że je znalazła; pragnienie przynależności się ziściło.

Nawet jeśli to ułuda, a jest tak na pewno, lepsza ułuda od rzeczywistości, która nie ofiarowywała nic poza zimną pustką.

Próbowała o tym nie myśleć, zaprzestać rozpamiętywania zdań, które padły podczas rozmowy, ale to było silniejsze od niej. Pod koniec wieczoru zebrały się wszystkie przy kominku

i rozmawiały wesoło. Lauren poczuła się rozluźniona do tego stopnia, że opowiedziała dowcip. Mira i Angie śmiały się do rozpuku długo i głośno. Maria zaś rzekła:

– To bez sensu. Dlaczego ktoś miałby tak odpowiedzieć?

Reakcja mamy wzbudziła jeszcze większą wesołość u wszystkich, a Lauren śmiała się najgłośniej.

Leżąc teraz w łóżku, myślała o tamtych niezbyt odległych chwilach i zrobiło jej się smutno.

13

Październik przeleciał w okamgnieniu, ale w listopadzie życie wróciło z wolna na stare tory. Dzień włókł się do zmierzchu, a rano zaczynał kolejny. Wciąż padało, a wycie wiatru i ściana deszczu zamieniały ocean w miotaną wściekłością pralkę wirującą na pełnych obrotach. Ciężkie krople deszczu jedna po drugiej odrywały się od nabrzmiałego, zmęczonego nieba.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni Lauren starała się bywać w domu jak najrzadziej. Ten człowiek ciągle tam siedział, pił piwo, palił papierosy, zdawało się, jakby całe powietrze przesiąknięte było poczuciem przegranej. Oczywiście mama była w nim zakochana. Dla niej okazał się mężczyzną idealnym.

Lauren pracowała w restauracji każdego wieczoru i we wszystkie weekendy. Mimo że zatrudnili kolejną kelnerkę, aby ją trochę odciążyć, dziewczyna się nie oszczędzała. A kiedy nie podawała do stołu w DeSaria's, siedziała w szkolnej bibliotece lub widywała się z Davidem.

Jedynym minusem intensywnego zarabiania pieniędzy oraz doksztalcania się w celu poprawy i tak już rewelacyjnych wyników w szkole było to, że nie miała na nic siły. Kompletnie wyczerpana zmuszała się, by nie zasnąć na lekcji.

Pan Goldman rozpływał się w poetyckich zachwytach nad umiejętnościami Jacksona Pollocka w operowaniu kolorem.

Dla Lauren obraz wyglądał tak, jakby malowało go rozzłoszczone dziecko, które dostało w prezencie paletę z farbami.

Przedmioty fakultatywne.

W tym roku zostały jej właściwie tylko one. Kiedy układała sobie plan zajęć i dorzucała w poprzednich latach więcej przedmiotów, nie zastanawiała się zbyt długo nad tym, że w ostatniej klasie zostaną jedynie przedmioty nieobowiązkowe niewymagane do ukończenia szkoły. W zasadzie mogłaby mieć absolutorium już w tym semestrze. Została jeszcze trygonometria, ale i tej nie musiała mieć wpisanej na świadectwie.

Kiedy zadzwonił dzwonek, zamknęła z hukiem książkę, zerwała się z krzesła i pobiegła w stronę roześmianej gromadki uczniów, którzy rozmawiali i dawali sobie kusańce.

David znalazła przy maszynie, zajętego grą w zośkę z kolegami. Gdy ją dostrzegł, twarz rozjaśniła mu się uśmiechem. Podbiegł i chwycił ją w ramiona. Po raz pierwszy tego dnia poczuła, że zmęczenie minęło.

– Umieram z głodu – rzucił ktoś.

– Ja też.

Lauren objęła Davida i poszli wraz z całą wesołą gromadką do Hamburger Haven, ich ulubionego miejsca spotkań.

Marci Morford wrzuciła monetę do szafy grającej. Po chwili rozległ się *Crazy Rap* Afromana.

Gromadka jęknęła, ale zaraz wybuchnęła śmiechem. Anna Lyons zaczęła opowiadać, jak to pani Fiore, nauczycielka prowadząca zajęcia z gospodarstwa domowego, wkurzyła wszystkich, zadając prace domowe klasie sportowej.

Lauren zamówiła mleczny koktajl truskawkowy, burgera z bekonem i frytki.

Jak to miło mieć pieniądze w kieszeni. Przez lata udawała, że nie jest głodna. Teraz zawsze najadała się do syta.

– Kurczę, Lo! – zaśmiała się Irene Herman. – Jak to wszystko ci się mieści. Masz pożyczyć dolara?

– Jasne! – Wyciągnęła z kieszeni dzinsów kilka banknotów i podała koleżance. – Na pewno też masz ochotę na koktajl mleczny.

Wszyscy zaczęli się przechwalać, ile to by mogli zjeść.

– Hej! – odezwała się Kim po chwili. – Zwróciliście uwagę na informację o uczelniach w Kalifornii?

Lauren spojrzała na nią.

– Jaką informację?

– W Portland mają dni otwarte podczas tego weekendu.

Portland. Półtorej godziny stąd. Lauren podskoczyło ciśnienie i przyspieszyło tętno.

– To fajnie. – Ujęła dłoń Davida i ją uściśnęła. – Moglibyśmy pojechać tam razem – powiedziała i popatrzyła na niego.

David wyglądał na zakłopotanego

– Jadę na sobotę i niedzielę na urodziny babci do Indiany. Muszę tam być. – Rozejrzał się po twarzach kolegów i koleżanek. – Czy któreś z was mogłoby podwieźć Lauren?

Każdy się wykręcał.

Kiepsko. Będzie musiała jechać autobusem. A żeby jeszcze tego było mało, będzie jedyną kandydatką bez towarzystwa rodziców.

Kiedy jedzenie się skończyło, towarzystwo rozeszło się do domów, a Lauren z Davidem zostali.

– Dasz radę dostać się tam sama? A może udam, że zachorowałem i...

– Nie. Jeśli miałabym dziadków, jeździłabym do nich z przyjemnością. – Poczula drobne ukłucie zazdrości. Ile to razy marzyła, żeby pojechać do babci lub spotkać się z kuzynem. Dałaby wszystko, żeby móc spotkać się z krewnymi.

– Założę się, że Angie pojechałaby z tobą. To całkiem fajna babka!

Lauren zastanowiła się nad słowami chłopaka. Może to niezły pomysł? Ale czy wypada ją zapytać?

– Masz rację. Poproszę Angie – powiedziała, żeby David się nie martwił.

Mimo to następnego dnia również rozważała zaproponowane przez niego rozwiązanie. Nie była przyzwyczajona, by prosić o przysługi. Nie miała wokół siebie osób, na które mogła liczyć. Nie chciała wyglądać żałośnie, a jeszcze bardziej obawiała się pytań o mamę. Jeszcze niedawno w ogóle by się nie zastanawiała i pojechała autobusem.

Ale Angie była inna. Wydawała się szczerze przejmować jej kłopotami.

Jednak tydzień minął, a Lauren wciąż nie mogła się zdecydować. W piątek pracowała bardzo intensywnie, szybko realizowała zamówienia klientów, żeby byli zadowoleni. Przy każdej sposobności starała się uchwycić spojrzenie Angie i próbowała ocenić, jakie ma szanse, jeśli zwróci się do niej z prośbą. Ale trudno było tego dokonać – Angie jak motyl przelatywała od stolika do stolika i rozmawiała coraz to z innym gościem. Dwa razy Lauren próbowała zacząć rozmowę i dwa razy traciła pewność siebie, i wycofywała się nagle.

– Okej, skarbie – zaczęła Angie, gdy dziewczyna wieczorem podeszła do kredensu. – Karty na stół, cały dzień chciałaś mi coś powiedzieć.

Lauren napełniającej solniczki zadrżały ręce, sól wysypała się na blat.

– A to pech – powiedziała Angie. – Weź trochę soli i przerzuć ją sobie przez lewe ramię. Szybko.

Lauren wzięła szczyptę soli w palce i spełniła jej prośbę.

– Uf! Dobrze, że to zrobiłaś. Mógłby piorun w nas strzelić. No a teraz serio, co ci chodzi

po głowie?

– Po głowie?

– No wiesz, łazisz za mną dzisiaj cały wieczór i wpatrujesz we mnie bez przerwy. Znam cię na tyle, by wiedzieć, że czegoś chcesz. Co to takiego? Potrzebujesz wolnego wieczoru w sobotę? Nowej kelnerki nie będzie jutro, ale mogłabym cię zastąpić, jeśli planujesz randkę z Davidem.

Teraz albo nigdy – pomyślała Lauren.

Sięgnęła do plecaka i wyjęła ulotkę, którą wręczyła Angie.

– Uczelnie kalifornijskie... dzień otwarty... spotkaj się z przedstawicielami szkoły. Hm. – Angie spojrzała na dziewczynę. – Kiedy ja chodziłam do szkoły, nie było czegoś takiego. Chcesz mieć więc wolne, by tam pojechać?

– Chciałabym, żebyś ty ze mną pojechała – wyrzuciła z siebie szybko.

Angie popatrzyła na nią poważnie.

To był kiepski pomysł. Lauren miała wrażenie, że szefowa posyła jej właśnie owo „współczujące spojrzenie”.

– Mniejsza z tym. Wezmę po prostu dzień wolny, dobrze?

– Lubię Portland – odezwała się Angie.

Lauren spojrzała na nią.

– Naprawdę?

– Jasne.

– Mam rozumieć, że pojedziesz ze mną? – spytała z rosnącą nadzieją, jakby bała się uwierzyć.

– Oczywiście. I wiesz co? Nie bądź taka bojaźliwa następnym razem. Jesteśmy przyjaciółkami. A jak nimi jesteśmy, to pomagamy sobie nawzajem.

Lauren poczuła się ogromnie zakłopotana emocjami, które nią owładnęły.

– Jasne, Angie. Jesteśmy przyjaciółkami.

*

Korki na autostradzie z Vancouver do Portland sprawiły, że wlokły się niemiłosiernie. Dopiero w połowie drogi, na skrzyżowaniu z trasą prowadzącą z Waszyngtonu do Oregonu, zorientowały się, jaki był tego powód. Po południu miał się odbyć mecz między słynnymi drużynami uniwersyteckimi, których rywalizacja trwała od lat. Huskies ze stanu Waszyngton przeciw Ducksom z Oregonu.

– Spóźnimy się. – Angie mówiła to już przynajmniej ze trzy razy w ciągu ostatnich dwudziestu minut. Wyglądała na strasznie wkurzoną. Zobowiązała się, że dowiezie Lauren na czas na spotkanie, a wszystko wskazywało na to, że się spóźnią.

– Nie przejmuj się, Angie. Stracimy najwyżej kilka minut. Nic się takiego nie stanie.

Angela dała znak kierunkowskazem i skręciła w lewo do zjazdu z autostrady.

Wreszcie, odetchnęła z ulgą.

Kiedy znalazły się na bocznych ulicach i ruch zmałał, przyspieszyła i wkrótce trafiła na pusty parking w pobliżu uniwersytetu.

– Jesteśmy na miejscu. – Zerknęła na zegar umieszczony w desce rozdzielczej. – Tylko siedem minut spóźnienia. Lećmy!

Przebiegły w poprzek parkingu i wpadły do budynku.

Był wypełniony ludźmi po brzegi.

– Niech to diabli! – Angie zaczęła przebijać się do przodu. Wyglądało, że będą siedzieć na schodach. Lauren chwyciła ją za rękę i pociągnęła w kierunku ostatnich rzędów.

Na podium około piętnastu osób siedziało za długim stołem konferencyjnym. Przewodniczący prowadził dyskusję na temat zasad rekrutacji, proporcji przyjęć studentów stanowych i spoza stanu.

Lauren notowała każde słowo w organizerze.

Angie poczuła szczególnego rodzaju dumę. Gdyby miała mieć kiedyś córkę, chciałaby, żeby była taka jak ta dziewczyna. Bystra. Ambitna. Pracowita.

Przez godzinę Angie przysłuchiwała się informacjom statystycznym, co uzmysłowiło jej, że na pewno nie przyjęto by jej dzisiaj na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles. W dawnych czasach wystarczyło mieć średnią trzy zero. Obecnie, żeby dostać się na Stanford, najlepiej wynaleźć lekarstwo na jakąś chorobę albo wygrać konkurs na jakiś ważny projekt naukowy. No, chyba że się potrafi świetnie rzucać skórzaną piłką. Wtedy wystarczy średnia jeden i siedem dziesiątych.

Lauren zamknęła notatnik.

– Już po wszystkim – powiedziała.

Ludzie wokół zaczęli wstawać z miejsc i wychodzić na korytarz. W sali było bardzo głośno, ponieważ rozmawiający przekrzykiwali się wzajemnie.

– Czego się dowiedziałas? – zapytała Angie. Dalej tkwiła w miejscu, bo nie miała ochoty mieszać się z tłumem.

– Że szkoły publiczne przyjmują w dziewięćdziesięciu procentach uczniów ze swojego stanu. No i że mają podnieść czesne.

– Ha, wydaje się, że jeśli cię zapytam, czy szklanka jest w połowie pełna czy pusta, wybierzesz drugą odpowiedź. To niepodobne do ciebie.

Lauren westchnęła.

– Czasem bywa ciężko... uczyć się w Fircrest Academy. Większość moich koleżanek i kolegów wybiera uczelnie, które im się podobają. W moim przypadku jest odwrotnie, to ja muszę podobać się szkole.

– Jak rozumiem, bardzo ważny jest list motywacyjny, w którym wypunktowujesz wszystkie swoje zalety i plany życiowe.

– Uhm...

– I rekomendacja od kogoś.

– Tak, szkoda, że Jerry Brown albo Arnold Schwarzenegger nie mogą mi napisać takiego listu. Ja mogę liczyć najwyżej, że to, co wyskrobie pan Baxter, mój nauczyciel matematyki, zrobi wrażenie na komisji rekrutacyjnej. Tylko że on zapomina często, gdzie wisi tablica w klasie.

Angie spojrzała na podium. Przedstawiciele z Uniwersytetu Południowej Kalifornii, Santa Clara i Loyola-Marymount byli tam jeszcze. Siedzieli przy stole i rozmawiali.

– Gdzie byś chciała najpierw spróbować? – zapytała dziewczynę.

– Na Uniwersytet Południowej Kalifornii, tak sądzę. To uczelnia, którą David wybierze jako drugą.

– Nawet nie zamierzam pakować się w dyskusję o zdawaniu na uczelnię, na którą idzie twój chłopak. Okej, skłamałam. To po prostu zły pomysł. Nie kieruj się w wyborze szkoły tym, żeby studiować z ukochanym. Chodź. – Angie podniosła się z miejsca.

Lauren włożyła notatnik do plecaka i też wstała.

– Dokąd idziesz? – zapytała, gdy Angie zamiast do wyjścia skierowała się w stronę podium.

– Jechałyśmy taki kawał drogi nie po to, żeby sobie posiedzieć na widowni. – Ujęła rękę dziewczyny.

Lauren próbowała się wyrwać, ale Angie trzymała ją mocno. Zaczęła schodzić na dół,

ciągnąc ją za sobą, weszła na podium i zbliżyła się do pana reprezentującego Uniwersytet Południowej Kalifornii.

Spojrzał na nie, po czym posłał im zmęczony uśmiech. Bez wątpienia przyzwyczajony był do widoku rodziców holujących swe dzieci do niego.

– Witam. W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Angela Malone – powiedziała Angie i podała mu rękę na przywitanie. – Studiowałam na Uniwersytecie Kalifornijskim, ale Lauren – spojrzała na dziewczynę – woli wasz. Zupełnie nie wiem dlaczego.

Mężczyzna się roześmiał.

– To jakaś nowa metoda. Poprzez krytykę do celu?

Spojrzał na Lauren.

– A ty kim jesteś?

– LL Lauren Ribido. Fircrest Academy. – Zarumieniła się.

– Aha. Dobra szkoła. To pomoże. – Uśmiechnął się do niej. – Nie denerwuj się i powiedz, dlaczego wybrałaś naszą uczelnię?

– Chcę studiować dziennikarstwo.

To było coś nowego dla Angie. Uśmiechnęła się tak, jak uczyniłaby dumna matka.

– Masz zamiar zostać Woodwardem albo Bernsteinem? A jakie masz oceny?

– Jestem w czołówce klasowej, średnia trzy i dziewięćdziesiąt dwie setne, z wyróżnieniami.

– A z SAT?

– W zeszłym roku miałam tysiąc pięćset dwadzieścia punktów. Spróbowałam w tym roku, ale nie mam jeszcze wyników.

– Tysiąc pięćset dwadzieścia to niezły wynik. Uprawiasz jakiś sport? Pracujesz jako wolontariuszka?

– Tak.

– Dodatkowo pracuje zarobkowo dwadzieścia pięć godzin tygodniowo – wtrąciła Angie.

– Robi wrażenie.

– Zna pan Williama Laytona?

– Dziekana szkoły biznesu? Jasne. On pochodzi gdzieś stąd, prawda?

Angie przytaknęła.

– Chodziłam do klasy z jego córką. A gdyby to on napisał rekomendację dla Lauren?

Mężczyzna spojrzał na dziewczynę i sięgnął do kieszeni po małe mosiężne pudełeczko.

– Oto moja wizytówka. Proszę wysłać podanie bezpośrednio do mnie. Pokieruję nim dalej i zatroszczę się o nie.

Na koniec zwrócił się do Angie:

– List polecający od Laytona bardzo by pomógł.

*

Lauren nie mogła w to uwierzyć. Co chwilę wybuchała śmiechem bez powodu. Gdzieś w okolicy Keslo Angie poprosiła ją, by skończyła już z podziękowaniami.

Jak to się mogło stać? Po raz pierwszy w życiu potraktowano ją jak kogoś ważnego.

Ma szansę studiować na Uniwersytecie Południowej Kalifornii.

Spojrzała na Angie.

– Dzięki! Ogromne, naprawdę – powiedziała raz jeszcze, nie mogąc usiedzieć na miejscu.

– Wiem. Wiem. – Angie zaśmiała się. – Zachowujesz się, jakby ktoś po raz pierwszy wyświadczył ci przysługę. To naprawdę nie było nic wielkiego.

– Dla mnie ma ogromne znaczenie – odparła Lauren i poczuła, jak uśmiech znika jej z twarzy. Angie zrobiła coś bardzo ważnego. Sprawiała, że wreszcie miała kogoś, na kogo mogła liczyć.

14

Kampus wypełniony był tego dnia gwarem rozmów. W trzecim tygodniu listopada rekrutacja do college'ów ruszyła pełną parą. Wszyscy myśleli tylko o tym. Temat obecny był podczas każdej dyskusji. Lauren wypełniła już wszystkie dokumenty, które miały jej pomóc w zdobyciu stypendium, napisała list motywacyjny. I – co graniczy z cudem – otrzymała rekomendację od doktora Laytona z Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Zaczynała wierzyć, że naprawdę ma szansę na stypendium.

– Słyszałaś o Andrew Wanamakerze? Dziadek wcisnął go na Yale. Jeszcze nie ma ogłoszonej listy, a on już wie. – Kim Heltne westchnęła i odchyliła się do tyłu. – Jeśli nie dostanę się na Swarthmore, tata będzie mi truł. Nic go nie obchodzi, że nie znoszę śniegu.

Siedzieli we czwórce, jedli lunch – paczka przyjaciół, która poznała się bliżej już w pierwszej klasie liceum.

– Ja dałbym wszystko za Swarthmore – odezwał się Jared, masując Kim plecy. – A pójdę pewnie do Stone Hill, kolejna prywatna szkoła katolicka. Chyba w łeb sobie strzelę.

Lauren leżała na plecach z głową na kolanach Davida. Przynajmniej raz świeciło słońce i trawa była sucha. Wystawiała więc twarz na promienie, które dawały trochę ciepła.

– To alma mater mojej mamy – rzuciła Susan. – Hurr! Jest większa od college'u.

– A co z tobą, Lauren? Masz już jakieś informacje o stypendium?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Dalej wypełniam papierki. Jeszcze jeden list z wyjaśnieniem, dlaczego powinni mi je przyznać, i zacznę wrzeszczeć.

– Na pewno dostanie pełne stypendium – odezwał się David. – To najinteligentniejszy i najbystrzejszy dzieciak w naszej szkole.

Lauren wyczuła dumę w jego głosie. W innych okolicznościach uśmiechnęłyby się z zadowoleniem, ale teraz, gdy wpatrywała się w jego podbródek, mogła myśleć wyłącznie o tym, co czeka ich za jakiś czas. Wysłał papiery na Stanford i z góry było wiadomo, że go przyjmą. Fakt, że będą rozdzieleni, mroził ją bardziej od listopadowej aury i co gorsza, on wcale nie wydawał się zmartwiony. Był przekonany o sile łączących ich uczuć. W jaki sposób można zyskać taką pewność?

– Nie mogę czekać, aż mnie wykończą te wszystkie pierdoły formalne i papierkowa robota. – Kim z trzaskiem otworzyła puszkę.

Lauren zamknęła oczy. Rozmowa toczyła się dalej, ale ona już w niej nie uczestniczyła.

Sama nie wiedziała dlaczego, ale miała wrażenie, że znalazła się na zakręcie. Może przyczyną była pogoda? Było wprawdzie zimno, ale bezchmurnie. Na ogół po takich dniach nadchodzą burzliwe; chmury zaciągają niebo i przesuwają się z zachodu na wschód. A może to te gadki-szmatki o college'u tak popsowały jej nastrój. Ale była przekonana, że coś jest nie tak.

*

Piękna srebrna mgielka spowiła mokrą o poranku trawę. Angie siedziała z tyłu na werandzie, popijała kawę i wpatrywała się w ocean. Fale regularnie uderzały o brzeg, a ich rytm współgrał z jej bijącym sercem.

Ścieżka dźwiękowa jej młodości: szum morza, krople deszczu uderzające o liście

rododendronów, skrzywienie bujanego fotela na omszałej podłodze werandy.

Ale jednego elementu brakowało – głosu dzieci chichoczących i pokrzykujących na siebie. Obróciła się, żeby powiedzieć coś mężowi, i zdała sobie sprawę, że jego też już nie ma.

Wstała, ociągając się, i weszła do domu, by dolać sobie kawy. Właśnie sięgała po dzbanek, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

– Już idę! – zawołała.

Na progu stała pani DeSaria. Miała na sobie koszulę nocną do kostek i klapki, jakie nosi się podczas pracy w ogrodzie.

– Chce, żebym tam poszła.

Angie popatrzyła na nią zaniepokojona, wyglądała na zapłakaną.

– Nie stój tak na deszczu, wejdź. – Objęła mamę ramieniem i podprowadziła do sofy. –

Co się stało?

Pani DeSaria pogrzebała chwilę w kieszeni i wyjęła zmiętą, białą kopertę.

– Chce, żebym tam poszła.

– Kto? – zapytała.

– Tata.

Angie wzięła od matki kopertę i otworzyła. W środku były dwa bilety na *Upiora w operze*. Rodzice zawsze mieli zarezerwowane miejsca w Fifth Avenue Theater mieszczącym się w centrum Seattle. To jedna z niewielu słabostek taty.

– Zamierzałam przeczekać i przegapić datę przedstawienia. Już raz tak zrobiłam w lipcu z *Producentami*. – Mama westchnęła i skuliła ramiona. – Ale tata uważa, że tym razem powinniśmy pójść obie.

Angie na chwilę przymknęła oczy i zobaczyła ojca wystrojonego w swój najlepszy czarny garnitur, kierującego się w stronę drzwi. Uwielbiał musicale; gdy z nich wracał, zawsze podśpiewywał sobie pod nosem. Jego ulubionym był oczywiście *West Side Story*. Tony i Maria.

„To twoja mama i ja, z tą różnicą, że my będziemy się wiecznie kochać. Ech, Maria” – zawsze to powtarzał.

Otworzyła powoli oczy i dostrzegła te same słodko-gorzkie wspomnienia wypisane na twarzy matki.

– Świetny pomysł – odezwała się Angie. – Zorganizujemy sobie cały wieczór. Kolację zjemy w Palisades i zarezerwuję dla nas pokój w Fairmont Olympic. Będzie bardzo miło.

– Dziękuję – odpowiedziała mama i głos jej się załamał. – To właśnie mówił twój tata.

*

Następnego ranka Lauren wstała wcześniej i naszykowała sobie śniadanie, ale kiedy przyjrzała się jajeczniczy na talerzu, tej żółtej brei, odechciało jej się jeść. Odsunęła talerz tak gwałtownie, że widelec spadł ze stołu. Przez chwilę miała ochotę zwymiotować.

– Co się z tobą dzieje?

Zaskoczona, spojrzała w górę. Mama stała w progu, ubrana w okropną płócienną różową krótką spódniczkę i T-shirt z nadrukiem Black Sabbath i paliła papierosa.

– Cześć, mamo, miło cię znowu widzieć. Myślałam, że leżysz martwa w sypialni. A gdzie jest twój książę z bajki?

Pani Ribido oparła się o framugę, a na jej twarzy pojawił się rozmarzony uśmiech.

– Ten jest inny.

Lauren już miała zapytać, „czy z innego gatunku”, ale ugryzła się w język. Była w kiepskim nastroju. Nie było sensu jeszcze klócić się z matką.

– Zawsze to powtarzasz. Jerry Eckstrand był inny, w porządku. I ten facet, co jeździł

busem volkswagenem, jak on się nazywał? Dirk? O, ten zdecydowanie był inny.

– Ale z ciebie wredna suka. – Mama zaciągnęła się papierosem, wypuściła dym i zaczęła ogryzać paznokieć. – Masz okres?

– Nie, ale znowu zalegamy z czynszem, a ty, jak widzę, przeszłaś na emeryturę.

– Co prawda to nie twoja sprawa, ale chyba się zakochałam.

– Kiedy mówiłaś tak ostatnim razem, facet miał na imię Snake, takie gadzie imię. Ale w końcu jesteś dorosła i mniej więcej wiesz, co robisz.

– Zdecydowanie coś z tobą nie tak. – Mama przeszła przez pokój, usiadła na sofie, a nogi położyła na stole. – Lo, naprawdę wydaje mi się, że on może być Tym Jedynym.

Dziewczyna wyczuła czułą nutę w głosie matki, chociaż to chyba było niemożliwe.

Mężczyźni pojawiali się w jej życiu i odchodzili. Zawsze odchodzili. Zakochiwała się dziesiątki razy, ale oni nigdy nie zostawali na dłużej.

– Byłam na drinku z Phoebe i właśnie miałam się zbierać, gdy Jake wszedł do środka. – Mama zaciągnęła się papierosem po raz kolejny. – Wyglądał jak rewolwerowiec, który przyszedł się z kimś rozprawić. Kiedy światło padło mu na twarz, myślałam, że to Brad Pitt. – Zaśmiała się. – Rano, kiedy obudziłam się przy nim, nie wyglądał oczywiście jak gwiazdor filmowy. Ale pocałował mnie. W biały dzień.

Lauren poczuła, że właśnie nastąpił moment zbliżenia między nią a matką. Bardzo rzadka chwila. Przesunęła się i usiadła koło niej.

– Mówisz o nim w taki sposób...

Choć raz mama nie była spięta.

– Nie przypuszczałam, że mnie to spotka – powiedziała z uśmiechem – ale pewnie nic z tego nie będzie.

– Może mogłabym pójść i się z nim przywitać?

– Nie byłoby źle. Zaczyna uważać, że jesteś wytworem mojej wyobraźni. – Mama zaśmiała się. – Po prostu udaję, że mam dziecko.

Lauren nie wierzyła, że znowu w to wchodzi, choć sprawiało ciągle ból. Próbowała wstać, ale mama powstrzymała ją, dotykając leciutko.

– A seks. Kurczę, w łóżku jest naprawdę dobry. – Zaciągnęła się po raz kolejny i uśmiechnęła rozmarzona.

Dym zawirował wokół twarzy Lauren i podrażnił nos. Zakrztusiła się i czuła, jak jedzenie podchodzi jej do gardła. Pobiegła do łazienki i zwymiotowała. Umyła zęby, ale wciąż targały nią dreszcze, gdy po chwili wróciła do jadalni.

– Ile razy mam cię prosić, żebyś nie wypuszczała dymu prosto na mnie?!

Mama zgasiła papierosa w popielniczce i popatrzyła na córkę.

– Inaczej będziesz wymiotować?

Lauren chwyciła talerz ze stołu i podeszła do zlewozmywaka.

– Muszę lecieć. David i ja zasiedzimy się dzisiaj dłużej nad lekcjami wieczorem.

– Kim jest David?

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Fajnie, że pamiętasz. Spotykam się z nim od czterech lat.

– Aaa... ten. Przystojniak. – Mama przyglądała jej się przez chwilę, po czym wypila łyk coli. Wreszcie Lauren poczuła się przez nią dostrzeżona. – Wiele przed tobą, uwierz mi, ale jeden twardy fiutek może zniszczyć wszystko.

– Taaak. To samo mówiła Marci pani Brady.

Mama nie uśmiechnęła się, nie odwróciła wzroku. Po dłuższej chwili odezwała się łagodnie:

– Wiesz, dlaczego dziewczęta wymiotują bez powodu, prawda?

*

– Doprawdy nie mogę uwierzyć, że namówiłaś mnie na tę sukienkę – powiedziała Angie, przyglądając się sobie w lustrze, które znajdowało się w pokoju hotelowym.

– Wcale cię nie namawiałam – odparła pani DeSaria z łazienki. – Po prostu ci kupiłam.

Angie obracała się na wszystkie strony i oceniała, jak wygląda w kreacji z czerwonego jedwabiu, przylegającej do ciała. Mama wypatrzyła ją na przecenie w Nordstromie, ale sobie na pewno takiej by nie kupiła. Czerwień zdawała się mówić: „no spójrz na mnie!”. Emanowała seksapilem.

Angie na ogół wybierała stroje mieszczące się w stylu klasycznej elegancji.

Odmówiłaby pewnie włożenia tej sukni, gdyby nie to, że dzisiejszy dzień był dla nich wyjątkowo udany i nie chciała psuć nastroju. Zjadły lunch w The Georgian, były u kosmetyczki w usytuowanym w centrum miasta spa Gene’a Juareza i zrobiły zakupy w Nordstromie. Kiedy mama wypatrzyła tę sukienkę, podeszła prosto do niej z okrzykiem zachwytu.

Na początku Angie sądziła, że to tylko żart. Szkarłatna kreacja bez rękawów, z głębokim dekoltem na plecach, ozdobiona mnóstwem błyszczących kryształków w pasie, a do tego jeszcze, pomimo siedemdziesięcioprocentowej przeceny, bardzo droga.

– Chyba żartujesz? – odezwała się do matki i pokręciła głową. – Wybieramy się do teatru, a nie na ceremonię wręczenia Oscarów.

– Jesteś teraz kobietą bez zobowiązań – powiedziała mama, wychodząc z łazienki, i pomimo że miała uśmiech na twarzy, w jej oczach taił się smutek. Jakby chciała rzec: „Życie to wieczne zmiany, czy tego chcesz, czy nie”. – Pan Tannen ze sklepu wielobranżowego prosił, żeby przekazać ci, że Tommy Matucci pytał o ciebie.

Angie postanowiła puścić to mimo uszu. Nie zamierzała flirtować ze swoim chłopakiem ze szkoły średniej; ta pozycja nie figurowała na pewno na jej liście spraw do załatwienia.

– Sądzisz więc, że jeśli włożę sukienkę jak ekskluzywna dziwka, czy też celebrytka hollywoodzka, co w zasadzie znaczy to samo, odnajdę swoje miejsce w życiu. – Chciała, by brzmiało to lekko, ale kiedy wymawiała słowa „swoje miejsce”, jej uśmiech znikł.

– Sądzę coś innego – powiedziała powoli mama. – Czas najwyższy, żebyś zwróciła się ku przyszłości, nie przeszłości. Świetnie ci idzie prowadzenie restauracji. Pomysł z romantycznymi wieczorami wypalił w stu procentach. Zebrałaś tyle płaszczy, że mogłabyś w nie odziać wszystkie dzieci z podstawówek w mieście. Bądźże wreszcie szczęśliwa!

Angie wiedziała, że była to dobra rada.

– Kocham cię, mamo. Czy mówiłam ci to ostatnio?

– Nie za często. A teraz chodźmy, ojciec gromi nas, że się spóźnimy!

Droga do teatru zajęła im mniej niż piętnaście minut. Przy wejściu okazały bilety i wkroczyły do zatłoczonego, ale ślicznego i eleganckiego foyer.

– Ojciec tak lubił to miejsce – wyszeptala drżącym głosem pani DeSaria. – Zawsze kupował któryś z tych drogich programów i żadnego potem nie wyrzucał; do dzisiaj cała ich sterta leży w garderobie.

Angie objęła mamę i przytuliła mocno.

– A teraz tata zaprowadzi nas do baru.

– To chodźmy za nim. – Przeszły do niewielkiego pomieszczenia, gdzie serwowano drinki. Angie utorowała sobie łokciami drogę do bufetu i przyniosła dwa kieliszki wina. Sącząc je, spacerowały po foyer i podziwiały barokową sztukaterię, którą było ozdobione.

O siódmej pięćdziesiąt zamrugały światła.

Pospieszyły do czwartego rzędu i zajęły miejsca. Teatr wypełniały cichnące stopniowo odgłosy kroków, szepty, dźwięki strojonych instrumentów.

Przedstawienie się rozpoczęło.

Przez następną godzinę publiczność z zachwytem śledziła, jak rozwijała się piękna i smutna zarazem opowieść. Podczas antraktu, gdy światła znów się zapaliły, Angie zwróciła się do matki:

– Prawda, że niesamowity spektakl?

Mama miała łzy w oczach.

Córka zrozumiała. Muzyka uwolniła w nich najgłębsze pokłady emocji.

– Tacie też bardzo by się podobał – powiedziała pani DeSaria – ale orkiestra grała głośno i mnie trochę zmęczyła.

– Powiesz mi o tym. – Angie dotknęła delikatnie jej dłoni.

Matka spojrzała na nią. Okulary w staromodnych oprawkach powiększały piwne, pełne łez oczy.

– Nie chce ze mną tak często rozmawiać. Mówi: „Już czas, Mario”. Nie wiem, co ja bez niego pocznę.

Angie знаła ten rodzaj samotności. Bolała, czasem był to ból nie do zniesienia, ale nie dało się go uniknąć. Trzeba go po prostu przeczekać.

– Nie będziesz sama, mamó. Masz dzieci, wnuki, przyjaciół, rodzinę.

– To nie to samo.

– Wiem.

Kąciki ust pani DeSaria opadły i twarz przybrała smutny wyraz. Siedziały przez chwilę w milczeniu, pogrążone we wspomnieniach.

– Przyniesiesz mi coś do picia, Angelo?

– Oczywiście. Już idę.

Angie precyzyjnie się między siedzeniami i wmieszała w tłum widzów. W przejściu zatrzymała się na moment i spojrzała wstecz.

Mama była jedyną osobą siedzącą w czwartym rzędzie. Wydawała się taka mała z tej odległości i przygarbiona. Rozmawiała z ojcem...

Angie odwróciła się i poszła w stronę baru. Tłoczyło się tam mnóstwo ludzi.

I wtedy go zobaczyła.

Nabrała gwałtownie powietrza w płuca i wypuściła powoli.

Świetnie wyglądał.

Zabrakło jej tchu i powrócił znajomy ból w piersiach.

Dla niej był zawsze najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znała.

Pamiętała, kiedy spotkała go po raz pierwszy, wiele lat temu na Huntington Beach. Próbowала nauczyć się surfowania i szło jej fatalnie. Olbrzymia fala nakryła ją, wciągnęła i obróciła. Spanikowała i nie potrafiła wydostać się na powierzchnię. I wtedy poczuła, jak silna dłoń łapie ją za nadgarstek i wyciąga z otchłani. Na zewnątrz ujrzała najpiękniejszą parę błękitnych oczu na świecie i ich właściciela.

– Conlan – wypowiedziała szeptem jego imię, jakby istniał tylko w jej wyobraźni.

Skierowała się w stronę mężczyzny.

Dostrzegł ją.

Wpatrywali się w siebie przez chwilę, potem uścisnęli na powitanie i odsunęli.

Funkcjonowali jak roboty, którym zawieszal się system operacyjny.

– Miło cię widzieć – odezwał się.

– Też się cieszę.

Zapanowało kłopotliwe milczenie i Angie nagle zapragnęła cofnąć czas: nie podeszła do niego, nie przywitała się.

– Jak się miewasz? Wciąż w West Endzie?

– Dobrze. Odkryłam w sobie talent do prowadzenia restauracji. Kto mógł przypuszczać?

– Twój tata. – Te dwa słowa świadczyły, jak dobrze ją znał.

– Taaak. A co u ciebie?

– W porządku. Piszę serię tekstów o zabójcy grasującym na autostradzie. Może czytałaś? Chciałaby potwierdzić. Kiedyś zawsze była pierwszą czytelniczką tego, co napisał.

– Ograniczam się teraz do wiadomości lokalnych.

– Ach tak.

Serce Angie zaczęło łomotać gwałtownie. Czuła ból. Raniło ją już samo to, że stała przy byłym mężu. Powinna stąd odejść, zanim ucierpi jej miłość własna. Zamiast tego zapytała:

– Przyszedełś sam?

– Nie.

– Jasne, że nie. – Kiwnęła głową, podbródek zadrżał jej lekko. – Lepiej już pójdę...

Odwróciła się.

– Zaczekaj. – Złapał ją za nadgarstek.

Zatrzymała się, spojrzała na jego opalone palce kontrastujące z jej białą skórą.

– Jak się masz, tak naprawdę? – zapytał, przysuwając się do niej.

Mogła poczuć zapach drogiej wody po goleniu Dolce & Gabbana, którą kupiła mu na Boże Narodzenie w zeszłym roku. Dostrzegła też ciemną smużkę na szczęce – pozostałość po niedokładnym goleniu. Zawsze miał z tym problem, bo wszystko robił w pośpiechu. Angie każdego poranka kontrolowała jego wygląd. A teraz pragnęła przejechać opuszką palca po tych kilkunastu sterczących pozostawionych włoskach.

– Naprawdę dobrze, a nawet lepiej niż dobrze. Powrót do West Endu mi służy.

– Zawsze mówiłaś, że do domu nie wrócisz.

– Mówiłam wiele rzeczy. I wielu nie powiedziałam.

– Angie, nie, proszę... – Twarz mu spochmurniała, jakby wydłużyła się pod wpływem ogromnego żalu.

– Tęsknię za tobą. – Nie mogła uwierzyć, że się przyznała. Zanim zdążył jakkolwiek zareagować, zmusiła się do uśmiechu. – Spędzam czas z siostrami i ich dziećmi, jestem znowu ciocią Angelą. To nawet zabawne.

Roześmiał się z widoczną ulgą, że zmieniła temat.

– Niech zgadnę: obiecałaś Jasonowi przekonać Mirę, że kolczyk w brwi to nic straszego. Przez moment wydawało się, że między nimi jest jak dawniej. Stare dobre czasy.

– Bardzo śmieszne. Nigdy nie uważałam, że kolczyk w takim miejscu jest okej. Chociaż rzeczywiście Jason wspomniał o tatuażu.

– Conlan?

Podeszła do nich trzydziestokilkuletnia blondynka w eleganckiej granatowej sukience, którą ozdabiał sznur pereł. Wyglądała jak właścicielka małego ekskluzywnego butików.

– Poznajcie się: Lara, Angie.

Angela zmusiła się do uśmiechu. Prawdopodobnie był nienaturalnie promienny, ale nic na to nie mogła poradzić.

– Miło cię poznać. No nic, muszę lecieć – mówiąc to, odwróciła się.

Conlan przyciągnął ją do siebie.

– Przepraszam – powiedział cicho.

– Za co? – Zaśmiała się.

– Odezwij się czasem.
Siłą woli starała się uśmiechać.
– Jasne! Było miło znowu cię spotkać, do widzenia!

15

Najgorsze było to, że już niemal o wszystkim zapomniała. Przynajmniej tak sądziła, a tutaj bęc, cofnęła się do początku.

– To wyparcie. – Mira zwięźle podsumowała długie wywody Angie, jak udawało jej się kontrolować emocje po rozwodzie.

Takie samo dobre stwierdzenie jak każde inne. Między majem a wrześniem Angie pozwalała sobie na rozpamiętywanie spraw nieodwracalnych. Zwłaszcza śmierci ojca i utraty córki oraz konsekwencji tego ostatniego, czyli pogodzenia się z niemożliwością urodzenia dziecka. Właśnie odczuwała pewien rodzaj dumy, że udało jej wyciszyć żal. Kiedy myślała o tym wszystkim, serce ją kłuło, ale ból za każdym razem mijał.

Natomiast temat rozwodu odłożyła na półkę, jakby nie miał znaczenia w porównaniu z innymi stratami.

I teraz, kiedy uderzyło to w nią z całej siły, nie mogła się pozbierać.

– Nie ma nic złego w wyparciu – powiedziała do Miry, która stała przy blacie ze stali nierdzewnej i zagniała ciasto na makaron.

– Może i nie, ale czasem jak miarka się przebierze, w niektórych coś eksploduje w środku i ani się obejrzą, a są już z naładowanym pistoletem w McDonalddie.

– Sugerujesz, że mogę zostać morderczynią i zastrzelić kogoś w przyszłości?

– Ja tylko zwracam uwagę, że ignorowałaś tę sprawę tak długo, aż do teraz.

– I teraz dotarłam do ściany, czy tak? I teraz czas najwyższy, żebym o tym pomyślała?

– Conlan był jednym z dobrych elementów w twoim życiu – powiedziała Mira łagodnie.

Angie podeszła do okna i wpatrzyła się w ruchliwą ulicę.

– Jak rozumiem, nacisk należy położyć na słowo „był”.

– Zdarza się, że kobiety, które przypadkowo wypuściły swoich mężów na wolność, gonią później za nimi.

– Mówisz tak, jakby Conlan był psem, co zerwał się ze smyczy i pognał przed siebie.

Powinam rozlepić ogłoszenia w Volunteer Park?

Mira podeszła do siostry od tyłu i położyła dłoń na jej ramieniu. Przez chwilę razem obserwowały ulicę. Ich twarze na srebrnej szybie z nocnym niebem w tle przypominały odbicia w wodzie.

– Pamiętam, kiedy poznałaś Conlana.

– Wystarczy – powiedziała Angie. Nie była w stanie grzebać się teraz we wspomnieniach.

– Chciałam tylko...

– Wiem, co chciałaś.

– Czy aby na pewno?

– Na pewno. – Posłała siostrze uśmiech i miała nadzieję, że nie był on tak smutny jak jej nastrój. – Niektóre rzeczy się kończą, Miro.

– Miłość nie powinna być jedną z nich.

Angie pragnęła choć trochę być znowu naiwną dziewczyną, ale stała się jedną z ofiar rozwodu i przepadła. Nie ona pierwsza.

– Wiem – odparła i przytuliła się do siostry.

Nie powiedziała natomiast tego, o czym obie doskonale wiedziały: takie rzeczy zdarzają

się codziennie.

*

Lauren wysiadła z autobusu na Shorewood Street.

Miała przed sobą jasno oświetlony, ogromny supermarket Safeway.

„Wiesz, dlaczego i kiedy dziewczęta wymiotują bez powodu, prawda?”, przypomniały jej się słowa matki.

Wyciągnęła ze sportowej bluzy kaptur, nasunęła na głowę i starała się zanurzyć w miękkich bawełnianych fałdach. Spuściła wzrok, by nie patrzeć na mijane po drodze osoby, weszła do sklepu, wzięła czerwony koszyk i podeszła do półek z produktami „niezbędnymi dla kobiet”.

Nie spojrzała nawet na cenę testu ciążowego, chwyciła dwa opakowania i wrzuciła do koszyka, potem przeszła do działu z czasopismami i wyciągnęła ze sterty „U.S. News & World Report”. Tematem wiodącym był ranking college’ów.

Doskonale.

Rzuciła go na wierzch i poszła prosto do kasy.

Po godzinie wróciła do domu. Weszła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi, choć nie było takiej potrzeby, bo odgłosy z sypialni matki świadczyły o jednym, i usiadła na wannie. Pani Ribido na pewno nie będzie w tej chwili zaprzętała sobie głowy córką.

Spojrzała na test ciążowy. Drucek na opakowaniu był bardzo drobny, a jej drżały ręce, kiedy je otwierała.

– Boże, błagam... – Reszta prośby uwięzła jej w gardle. Wiedziała, czego chce, czy też raczej czego z całego serca nie chce, bez wypowiedzania całego zdania na głos.

*

Angie stała przy stoliku recepcyjnym i wpisywała rezerwacje do kalendarza. W ciągu ostatniej doby pracowała od świtu do zmierzchu. Każde zajęcie było lepsze od rozmyślania o Conlanie.

Spojrzała przed siebie i dostrzegła Lauren stojącą przy kominku i wpatrującą się w płomienie. W restauracji było pełno ludzi, a mimo to dziewczyna nic nie robiła. Angie podeszła do niej i dotknęła dłonią jej pleców.

Lauren odwróciła się i spojrzała z roztargnieniem.

– Co się stało? Mówiłaś coś?

– Czy wszystko w porządku?

– Tak. Tak. Miałam coś zabrać dla siódmego stolika. – Zmarszczyła brwi, jakby zapomniała, co to było.

– Zabaglione.

– Słucham?

– Stolik siódmy. Państwo Mayberry. Czekają na zabaglione i cappuccino. A Bonnie Schmidt zamówił tiramisu.

Lauren uśmiechnęła się z wysiłkiem, ale jej oczy pozostały smutne i bez wyrazu.

– O właśnie – powiedziała i skierowała się do kuchni.

– Zaczekaj – poprosiła Angie.

Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała do tyłu.

– Mama zrobiła dużo panna cotty. Zostań po pracy parę minut i zjedz ze mną, wiesz, jak szybko się psuje.

– Nie powinnam jeść tuczących rzeczy – odparła Lauren i odeszła.

Przez następne kilka godzin Angie obserwowała dziewczynę, zauważyła, że była blada, a jej uśmiechy były wymuszone. Kilkakrotnie próbowała ją rozbawić, ale bez rezultatu. Coś z pewnością było nie w porządku. Może chodziło o Davida. Albo nie przyjęli jej na uniwersytet.

Zanim pozbyła się ostatniego gościa, zamknęła kasę i pożegnała się z mamą, Mirą i Rosą, była już poważnie zaniepokojona.

Lauren stała ze skrzyżowanymi i zaciśniętymi na piersiach ramionami przy dużym oknie i wpatrywała się w noc. Ochotnicy ozdabiali latarnie uliczne indykami i czapeczkami, by ładniej wyglądały na Święto Dziękczynienia. Niedługo potem rozbłyśnie tysiące światełek rozwieszanych z okazji Bożego Narodzenia. Co roku, gdy je zapalano, było to wydarzenie godne zapamiętania. Setki turystów przyjeżdżało wtedy do miasteczka. Pierwsza sobota grudnia. Angie rzadko kiedy je opuszczała. Pewne tradycje rodzinne były nienaruszalne.

Podeszła do Lauren i stanęła za jej plecami.

– Już tylko tydzień do zapalenia świateł świątecznych.

– Tak.

Mogła dostrzec twarz dziewczyny w szybie, ale odbicie było blade i niewyraźne.

– Czy oglądacie razem, jak je zapalają?

– Razem? Kogo masz na myśli?

– Ciebie i twoją mamę.

Lauren wydała z siebie dźwięk, który miał przypominać śmiech.

– Mamusia najdroższa nie jest z tych, co marzyłyby w tłumie, by popatrzeć, jak rozbłyskują światła.

Słowa dorosłego, uprzytomniła sobie Angie, skierowane do dziecka, które tęskni za bożonarodzeniowymi światełkami. Chciała dotknąć ramienia dziewczyny, by nie czuła się samotna, ale pomyślała, że bezpośredniość tego gestu mogłaby być w tym momencie źle odebrana.

– A może miałabyś ochotę pójść ze mną. Właściwie powinnam powiedzieć z nami. Rodzina DeSariów spada na miasto jak szarańcza. Jemy hot dogi, pijemy gorące kakao i kupujemy pieczone kasztany z rotariańskiego straganu. Nie brzmi to zbyt poważnie, wiem, ale...

– Dziękuję, ale nie pójdę.

Angie wyczuła upór w głosie dziewczyny i coś jeszcze, coś, co przypominało złamane serce. Starła się ostrożnie dobierać słowa.

– Powiedz, co się stało, kochanie?

Na dźwięk słowa „kochanie” Lauren skurczyła się i odwróciła od okna.

– Lecę, pa!

– Lauren Ribido, nigdzie nie pójdziesz! – Angie była zaskoczona sposobem, w jaki się odezwała. Mówiła jak Maria DeSaria.

Dziewczyna zwróciła twarz ku niej.

– Czego ty ode mnie chcesz? – zapytała z ogromnym bólem w głosie.

– Troszczę się o ciebie. Widać, że jesteś zdenerwowana. Chciałabym ci pomóc.

– Nie, proszę! – Lauren była jak porażona.

– Co nie?

– Nie bądź dla mnie miła. Nie wytrzymam tego dzisiaj.

Angie rozumiała tego rodzaju reakcję, ten stopień wrażliwości. Nie mogła znieść, że ktoś tak młody może bardzo cierpieć, ale czymże jest okres dojrzewania jak nie wielkim zamętem w głowie i emocjami dominującymi nad rozsądkiem. Pewnie wszystko sprowadza się do złych wyników na teście. A jeśli...

– Czy ty i David zerwaliście ze sobą?

Lauren niemalże się uśmiechnęła.

– Dzięki za uświadomienie mi, że mogłoby być jeszcze gorzej.

– Ubierz się. Włóż palto.

– Czy ja się gdzieś wybieram?

– Owszem.

Angie postanowiła skorzystać z okazji. Cofnęła się do kuchni po płaszcz. Kiedy wróciła, Lauren stała przy drzwiach, miała na sobie nowe zielone palto i przewieszony przez ramię plecak.

– Chodźmy – rzuciła Angie.

Maszerowały obok siebie ciemną ulicą. Co parę kroków żelazne latarnie rzucały na nie snop światła. Normalnie o dziesiątej trzydzięci w powszedni wieczór powinno być już pusto, ale dzisiaj mnóstwo ludzi szykowało centrum miasta na świąteczne uroczystości. Zimne powietrze pachniało drewnem i oceanem.

Angie zatrzymała się na rogu, gdzie kobiety z klubu Soropotomist rozdawały kubki z gorącym kakao.

– Masz ochotę na słodką piankę? – zapytała jedna z nich z promiennym uśmiechem, a jej oddech zamienił się w białą chmurkę.

– Pewnie – odpowiedziała pogodnie Angie.

Chwyciła kubek w dłoń. Ciepło napoju mimo izolacji rozeszło się po palcach, a para owiała jej twarz. Zaprowadziła Lauren na plac. Usiadły na kamiennej ławce. Nawet stąd słyszały szum oceanu, miarowy, pewny jak uderzenia serca. Był sercem miasta.

Zerkała z ukosa na dziewczynę, która wpatrywała się ponurym wzrokiem w kubek.

– Możesz ze mną porozmawiać, Lauren. Wiem, jestem dorosła i przez to należę do wrogów, ale czasami życie rzuca coś na kształt koła ratunkowego. Jest lżej, gdy podzielisz się z kimś swoimi problemami.

– Problemy – mechanicznie powtórzyła dziewczyna, przez co nie zabrzmiało to już tak serio, ale w jej wieku każdy kłopot wydawał się ogromny, Angie zdawała sobie z tego sprawę.

– No, Lauren – ponagliła – pozwól sobie pomóc.

Dziewczyna wreszcie na nią spojrzała.

– Chodzi o Davida.

Oczywiście, można się było domyślić, kłopoty siedemnastolatek niemal zawsze związane są z chłopakami. Wystarczy, że nie dzwoni wystarczająco często, a już serce jest złamane i krwawi. Jeśli zbyt długo rozmawia z Melissą Sue podczas lunchu, już jest powód do wielogodzinnego płaczu.

Angie milczała. Gdyby miała coś poradzić, to powiedziałaaby jej, że jest młoda i pewnego dnia David będzie tylko wspomnieniem pierwszej miłości. Ale tego żadna nastolatka nie chce słuchać.

Wreszcie Lauren zapytała:

– Jak przekazać komuś złe wieści? To znaczy, jeśli się kocha tę osobę.

– Bardzo ważna jest szczerłość. Zawsze. Doświadczyłam tego boleśnie na własnej skórze. Chciałam oszczędzić mężowi przykrości i go okłamywałam. To nas zniszczyło. – Spojrzała na Lauren. – Chodzi o college, prawda? – Starła się, by jej głos brzmiał łagodnie, i chciała, żeby złagodził wydźwięk następnych słów: – Boisz się, że ty i David będziecie rozdzieleni, ale przecież nawet jeszcze nie otrzymałaś odpowiedzi z uczelni. Musisz mieć wszystkie karty w rękę, zanim zaczniesz działać.

Nad nimi zza chmur wyłonił się księżyc. Światło, które padło na twarz Lauren, nadało jej

zniecka doroślejszy, mądrzejszy wygląd. Pulchne policzki wystrzyły cień, oczy stały się niezwykle ciemne i pełne sekretów.

– College – powiedziała zdławionym głosem.

– Lauren? Czy ty dobrze się czujesz?

Dziewczyna odwróciła głowę, jakby chciała ukryć łzy.

– Tak. Masz rację. Boję się... rozdzielenia – ostatnie słowo wypowiedziała z trudem.

Angie wyciągnęła rękę i położyła ją na plecach Lauren. Poczwała, że dziewczyna drży, ale wiedziała, że nie z powodu zimna.

– To najzupełniej normalne, Lauren. Kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku kochałem się w Tommym. On...

Lauren poderwała się nagle i odepchnęła rękę Angie. Na twarzy w świetle księżycy widać było strużki łez płynące po policzkach.

– Muszę iść.

– Zaczekaj. Przynajmniej pozwól, bym cię odwiozła do domu.

– Nie. – Lauren teraz już otwarcie płakała. – Dzięki za rozmowę i próbę dodania mi otuchy, ale muszę się dostać do domu. Będę w pracy jutro wieczorem. Nic się nie martw – rzuciła i pobiegła przed siebie w mrok.

Angie została, nasłuchując kroków dziewczyny, aż ucichły w oddali. Czwała, że coś źle zrobiła, ale czy było to przeoczenie, czy też nadmiar porad, nie była pewna. Rozmowa szła jak po grudzie od samego początku. Cokolwiek Angie mówiła, reakcja Lauren była negatywna.

– Może dobrze, że nie mam dzieci – powiedziała do siebie na głos.

Potem przypomniała sobie, jak była nastolatką. Kłóciły się z mamą codziennie o wszystko: długość spódnicy, wysokość szpilek, o której ma gasić światło. Nigdy się nie zgadzały. Matczyne porady dotyczące seksu, miłości i narkotyków padały na nieurodzajną głębę. Była na nie głucha.

Może Angie popełniła błąd. Bardzo chciała rozwiązać problemy dziewczyny, ale może ona wcale tego od niej nie oczekiwała.

Następnym razem, obiecała sobie, będzie tylko słuchać.

16

„Romantyczne wieczory” okazały się sukcesem. Wielu mieszkańców West Endu, młodych, starych, szukało pretekstu, by wyjść na kolację i do kina. Sojusznikiem była również pogoda. Szare, ponure i smutne dni listopadowe nie miały w sobie nic ekscytującego. Nie było co robić w takim miasteczku podczas zimnych, deszczowych wieczorów i nocy.

Angie chodziła od stolika do stolika, rozmawiała z gośćmi, upewniała się, czy Rosa i nowa kelnerka, Carla, dają sobie radę. Uzupełniała wodę w dzbankach, przynosiła pieczywo i sama obsługiwała część klientów.

Danie dnia, które mama przygotowała specjalnie na dzisiejszy wieczór, było szczególnie smaczne. Risotto z małżami w szafranie skończyło się już przed ósmą i wyglądało na to, że losoś z cieniutkim makaronem zwanym anielskimi włosami, grillowanymi pomidorami i sercami karczochów w czosnku nie przetrwa nawet godziny. Zaskakujące, jak dobrze smakował sukces.

Angie zaczęła się nad tym niedawno zastanawiać. A konkretnie od czasu ostatniego spotkania z Conlanem. Sporo spraw powinna przemyśleć. W małym mieście kobieta bez męża, dzieci i romantycznych perspektyw miała na to dużo wolnego czasu.

A skoro zaczęła już rozmyślać nad życiem, nie potrafiła przestać. Przypominała sobie decyzje, jakie podejmowała dawno temu, gdy była w wieku, w którym nie rozumie się jeszcze wielu spraw ani tego, co dla człowieka jest najistotniejsze.

Kiedy miała szesnaście lat, postanowiła zostać Kimś. Może dlatego, że dorastała w dużej rodzinie w małym miasteczku, a może dlatego, że podziw i szacunek ojca znaczyły dla niej tak wiele. Nawet teraz nie umiałyby sprecyzować, co ostatecznie wpłynęło na jej wybory. Wiedziała tylko, że tęskniła za innym życiem, szybszym, bardziej zaangażowanym, na wyższej stopie. Uniwersytet Kalifornijski to był dopiero początek. Była jedyną uczennicą ze swojej klasy w szkole średniej, która zdecydowała się na college położony tak daleko, a kiedy się tam znalazła, wybrała przedmioty, które jeszcze bardziej oddaliły ją od rodziny i przyjaciół. Literatura rosyjska. Historia sztuki. Religie Wschodu. Filozofia. Nauka uczyniła ją świadomą wielkości i potęgi świata. Chciała go zdobyć, doświadczyć wszystkiego. A skoro już wsiadła do samochodu wyścigowego, zapięła pasy i wjechała na tor, było za późno, by zwolnić i podziwiać krajobrazy po drodze. To, co po bokach, zacierało się w pędzie, meta nie.

Wtedy właśnie poznała Conlana.

Kochała go bardzo. Tak bardzo, że mogła przysiąc przed Bogiem, że był mężczyzną jej życia.

Nie miała pewności, w którym momencie zaczęło się między nimi psuć, kiedy zaczęła zwracać uwagę na to, czego jej brakuje, i wedle tego oceniać szczęście. Ironią losu było, że miłość skłoniła ich do starań o dziecko, ale uporczywe wysiłki w tym kierunku zniszczyły zdolność kochania.

Gdyby tylko los dał im szansę na przetrwanie kryzysu... Niestety, ich rozdzielił.

Gdyby tylko byli silniejsi..

Powinna mu to właśnie powiedzieć, kiedy spotkali się w teatrze. Zamiast tego zachowała się jak głupia nieopierzona nastolatka zadurzona bez wzajemności w rozgrywającym.

Wciąż nad tym rozmyślała, kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim gościem, nalała więc sobie szklankę wina i usiadła przy kominku. Ponieważ wszyscy wyszli, panowała cisza. Nie

miała ochoty wracać do domu. Tutaj było tak wygodnie. A tam czekała ją tylko samotna droga w ciemnościach.

Samotna, główne słowo.

Napiła się łyk wina. Przeszedł ją dreszcz, ale powiedziała sobie, że spowodowało go ciepło bijące z kominka.

Otworzyły się wahadłowe drzwi do kuchni i wyszła przez nie Mira.

– Myślałam, że poszłaś do domu – odezwała się Angie i podsunęła siostrze krzesło.

– Odprowadziłam mamę do samochodu. Kiedy tak stałyśmy na deszczu, postanowiła podzielić się ze mną złotą myślą, że moja nastoletnia córka ubiera się jak dziwka. – Usiadła i poprosiła: – Nalej mi trochę wina.

Angie napełniła kieliszek i podała Mirze.

– Wszystkie dziewczyny w dzisiejszych czasach ubierają się w ten sposób.

– To właśnie mówiłam mamie. Wiesz, co mi odpowiedziała? „Poinformuj Sarah, że reklamuje produkt, którego z powodu młodego wieku nie będzie mogła sprzedać”. Kurczę! Aha, i że tata przewraca się w grobie.

– No tak, walnęła z grubej rury.

Mira posłała jej zmęczony uśmiech i napiła się wina.

– Ty też nie wyglądasz na szczęśliwą.

– Siadł mi nastrój. Po tym, jak zobaczyłam Conlana... – Westchnęła.

– Siadł ci po tym, jak się rozstaliście. Wszyscy o tym wiedzą, tylko nie ty.

– Tęsknię za nim – przyznała spokojnie.

– Co więc zamierzasz zrobić?

– Jak to „zrobić”?

– No, żeby go odzyskać.

Na samą myśl o tym Angie poczuła ból.

– Pociąg opuścił stację, Miro. Już za późno.

– Dopóki żyjesz, nigdy nie jest za późno. Pamiętasz Johna Kenta? Kiedy cię zostawił, odstawiłaś taką zmasowaną kampanię, że warto ją było odnotować u Guinnessa.

Angie roześmiała się. To prawda, biedny chłopak nie miał szans. Uganiała się za nim jak wariatka.

– Miałam piętnaście lat.

– Tak, a teraz masz trzydzieści osiem. Conlan jest wart więcej niż jakiś zapalony sportowiec ze szkoły średniej. Jeśli go kochasz... – Jak dobry wędkarz, a każdy w West Endzie wiedział, jak łowić ryby, Mira rzuciła przynętę.

– Ale on już mnie przestał kochać.

– Jesteś pewna? – Siostra spojrzała na nią.

*

Lauren pierwszy raz w życiu opuściła cały dzień w szkole. Angie miała rację, zanim coś zrobi, musi poznać prawdę, zamiast się jej obawiać.

Siedziała sztywno przy oknie w autobusie linii Greyhound i patrzyła, jak zmienia się krajobraz. Kiedy zapłaciła za bilet i weszła do środka, na dworze było jeszcze ciemno, ale gdy przejeżdżała przez Fircrest, świt skradał się już nad wzgórzami. Ponieważ autobus miał tu kilka przystanków, na każdym obawiała się, by nie wsiadł ktoś znajomy. Na szczęście tak się nie stało.

W końcu przymknęła oczy, bo znudziło jej się wyglądanie przez okno. Kilometr za kilometrem zbliżała się do celu.

„Wiesz, kiedy dziewczęta wymiotują bez powodu, prawda?”, znowu przypomniała sobie

słowa matki.

– Nie jestem w ciąży – wyszeptwała, modląc się, żeby to było prawda.

Tandetne, byle jakie testy na ogół pokazywały złe wyniki i wprowadzały w błąd.

Wszyscy o tym wiedzieli.

Nie mogła być w ciąży. Nie ma znaczenia, co ten mały pasek pokazuje.

– Seventh and Gallen – zawołał kierowca, gdy autobus zatrzymał się na przystanku.

Lauren chwyciła plecak i wysiadła.

Chłód zaatakował jej twarz, wilgoć i zimny wiatr dostały się za kołnierz. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Inaczej niż w okolicach domu, gdzie pachniało sosnami, zielenią i ostrym, słonym zapachem morza, tutaj czuć było spaliny samochodowe i miejski zaduch.

Opatuliła się, jak umiała, sprawdziła, dokąd ma iść, i skierowała się w stronę Chester Street.

Zobaczyła przysadzisty, brzydki betonowy budynek z płaskim dachem.

„Świadome rodzicielstwo”.

Co za ironia. Gdyby traktować tę nazwę dosłownie, to Lauren nie powinno tu być. Napis zaś winien brzmieć: „Nieświadome nierodzicielstwo”.

Odetchnęła głęboko, a po sekundzie zdała sobie sprawę, że zaczęła płakać.

Przestań, napominała się. Nie jesteś w ciąży. Przyjechałaś tu, żeby się o tym upewnić.

Szybkim krokiem podeszła do drzwi frontowych. Bez chwili wahania otworzyła je, minęła ochroniarza i dostała się do poczekalni.

Jako pierwsze rzuciły jej się w oczy kobiety i dziewczyny, które przyszły przed nią. Żadna nie wydawała się zadowolona. Nie było tu ani jednego mężczyzny. Zaraz potem pomyślała o przygnębiającej monotonii tego miejsca – wszystko szare: ściany, plastikowe krzesła, wykładzina.

Zdecydowanym krokiem podeszła do rejestracji, a siedząca tam kobieta uśmiechnęła się do niej.

– W czym mogę pomóc? – zapytała i wyciągnęła długopis z natapirowanej fryzury.

Lauren pochyliła się w jej stronę i wyszeptwała:

– Nazywam się Ribido. Dzwoniłam w sprawie wizyty u lekarza.

Rejestratorka sprawdziła coś w papierach.

– A tak. Test ciążowy.

Lauren wzдрыgnęła się, tak głośno kobieta wypowiedziała ostatnie słowo.

– Tak. Zgadza się.

– Proszę, usiądź i zaczekaj.

Dziewczyna zrobiła to ostrożnie, aby uniknąć z kimkolwiek kontaktu wzrokowego.

Pochyliła głowę, włosy zasłoniły jej twarz, i wpatrywała się w plecak, który trzymała na kolanach.

Wydawało jej się, że czeka w nieskończoność, aż wreszcie pojawiła się kobieta, która wywołała ją po nazwisku.

Lauren zerwała się z krzesła i rzuciła do przodu.

– To ja.

– Chodź ze mną – poprosiła kobieta. – Mam na imię Judy.

Weszły do niewielkiego pokoju zabiegowego. Judy poprosiła Lauren, by usiadła na łóżku, sama zajęła krzesło obok z notatnikiem w ręku.

– Tak więc przyszedł zrobić test ciążowy.

– Jestem niemal pewna, że niepotrzebnie przyszedłam, ale... przezorny zawsze ubezpieczony. – Próbowwała się uśmiechnąć. Spoważniała. Czekwała, aż Judy zacznie wytykać jej,

że gdyby uważała wcześniej, to nie musiałaby być teraz przezorna.

– Czy uprawiasz seks?

Lauren poczuła się mała i za młoda, by odpowiadać na takie dorosłe pytania.

– A czy się zabezpieczasz?

– Oczywiście. Spotykam się z Davidem od trzech lat. Pozwoliłam, by... no wiesz... ale tylko raz zrobiliśmy to bez kondomu.

Judy popatrzyła na nią z pełnym zrozumienia współczuciem.

– Wystarczy ten jeden raz, Lauren.

– Wiem o tym. – Poczula się nieszczęśliwa i głupiotka. – To zdarzyło się na początku października. Pamiętam, bo było tuż po meczu w Longview. Potem miałam miesiączkę.

– Dlaczego więc przyszedł do nas?

– Dlatego że w tym miesiącu okres mi się spóźnia i... – nie mogła wypowiedzieć tego na głos.

– I co?

– Zrobiłam sobie domowy test ciążowy. Wyszedł pozytywnie. Ale one przecież często dają złe wyniki, prawda?

– Mogą oczywiście się pomylić. Ale powiedz mi, jak obficie krwawiłaś ostatnim razem?

– Tylko troszeczkę.

Judy spojrzała na dziewczynę.

– Czy słyszałaś, że nieznaczne plamienie może występować, chociaż jesteś już w ciąży?

Czasami bardzo przypomina to miesiączkę.

– Och! – Lauren zmroziło.

– No, dobrze. Zrobmy wreszcie ten test, żeby się upewnić, na czym stoimy.

*

Lauren zamknęła za sobą drzwi do mieszkania.

W powietrzu unosił się zatęchły dym papierosowy. Rzuciła plecak na sofę i poszła do sypialni matki. Przez całą drogę do domu starała się ułożyć sobie, co jej powie. A teraz, kiedy tutaj stała pod na wpół otwartymi drzwiami, nie była ani o krok bliżej odpowiedzi.

Już miała zapukać, gdy usłyszała głosy.

No świetnie, Jake był w środku.

– Pamiętasz wieczór, kiedy się poznaliśmy? – zapytał chropawym, zniszczonym przez alkohol i papierosy głosem. Wszyscy przyjaciele mamy mówili tak, jakby palili papierosy bez filtra od kołyski.

Mimo to pytanie można było zaliczyć, co zaskakujące, do romantycznych. Lauren wytrzymała słuch i wychyliła się, by lepiej słyszeć odpowiedź.

– Oczywiście. Jakżebym mogła zapomnieć.

– Mówiłem ci, że będę w mieście tylko parę tygodni. Właśnie minął miesiąc.

– Ooo... – Po głosie można było wyczuć, że ją zranił. – Spodziewałam się, że tak się to skończy, ale było miło.

– Daj spokój – powiedział łagodnie.

Lauren przysunęła się bliżej drzwi.

– Z czym mam dać spokój?

– Żaden ze mnie los na loterii, Billie. Wpakowałem się w życiu kilka razy w gówno.

Zrobiłem też parę złych rzeczy. Raniłem ludzi. Zwłaszcza trzy kobiety, które za mnie wyszły.

– A myślisz, że ja to kto? Matka Teresa?

Mężczyzna podszedł do łóżka. Sprężyny w materacu zatrzeszczały pod jego ciężarem.

Nagłówek uderzył o ścianę.

– Byłabyś wystarczająco głupia, żeby ze mną wyjechać? – zapytał.

Lauren wstrzymała oddech, podobnie jak jej matka.

– Czy ja cię dobrze rozumiem? – zapytała.

– Chyba tak.

– Lauren kończy szkołę w czerwcu, jeśli mógłbyś...

– Nie należę do tych, którzy czekają, Billie.

Nastąpiła długa cisza, potem usłyszała głos matki:

– Szkoda, Jake. Może coś dałoby się, sama nie wiem... wymyślić?

– Zdaje się, że rozminęliśmy się w czasie – odpowiedział.

Lauren usłyszała, że wstał i kieruje się w stronę drzwi.

Wycofała się szybko do salonu, żeby pomyślał, że dopiero przyszła do domu.

Jake wyszedł pośpiesznie z sypialni. Kiedy zobaczył Lauren, zatrzymał się i uśmiechnął.

Widziała go po raz pierwszy. Był wysoki, tak około metra osiemdziesięciu, miał długie blond włosy i strój jak członek gangu motocyklowego: czarne skórzane spodnie, czarne buty za kostkę i nabity ćwiekami skórzany płaszcz tego samego koloru. Przywodził jej na myśl urwiste góry w National Forest, surowe i niebezpieczne. Rysom jego twarzy brakowało miękkości, miał wystające kości policzkowe i chude policzki, a na szyi tatuaż przypominający kształtem ogon smoka, a może węża, był to zresztą, zdaje się, fragment większej całości schowanej pod bluzą.

Jeśli kłopoty miały swój rysopis, to Jake pasował jak ulał.

– Cześć, dzieciaku – rzucił w przelocie.

Obserwowała go, jak wychodził z mieszkania, potem spojrzała w przeciwnym kierunku na pokój mamy. Chciała z nią porozmawiać, ale się wahała.

Może to nie był najlepszy pomysł.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i mama wypadła, potykając się, z sypialni.

Przemknęła szybko obok Lauren i zakłęła.

– Gdzie, do cholery, są moje papierosy?

– Na stoliku do kawy.

– Dzięki! Dziewczyno, czuję się tak, jakby mnie ktoś przepuścił przez maszynkę do mięsa. Za długo wczoraj balowałam. – Pani Ribido przeszukiwała stertę opakowań po pizzy, a gdy znalazła papierosy, uśmiechnęła się zadowolona. – Wcześniej wróciłaś. Coś się stało?

– Jestem w ciąży.

Mama spojrzała na nią gwałtownie. Przygryzła niezapalonego papierosa, którego trzymała w ustach.

– Żartujesz, prawda?

Lauren przysunęła się bliżej. Nic nie mogła na to poradzić. Bez względu na to, ile razy zawiodła się w przeszłości, zawsze wierzyła, czy też raczej miała nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Właśnie teraz potrzebowała, by ktoś ją przytulił i dodał otuchy, żeby powiedział: nie ma sprawy, kotku. Nawet jeśli wiedziała, że to nieprawda.

– Jestem w ciąży – powtórzyła, tym razem spokojniej.

Mama uderzyła ją w twarz. Mocno. Obie były zszokowane raptownością tego gestu.

Lauren wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Policzek palił ją jak diabli, ale to w oczach mamy pojawiły się łzy.

– Nie płacz – poprosiła dziewczyna. – Proszę.

Pani Ribido stała i wpatrywała się w nią, a niezapalony papieros nadal tkwił w jej ustach.

W różowych biodrówkach i kusej białej bluzeczce powinna wyglądać jak nastolatka.

Zamiast tego przypominała rozczarowaną życiem starą kobietę.

– Nie nauczyłaś się niczego z tego, co mi się przytrafiło?

Odchyliła się do tyłu i oparła o ścianę.

Lauren zrobiła to samo. Ich ramiona niemalże się dotykały, ale jednak stały osobno.

Dziewczyna patrzyła tępych wzrokiem na bałagan w kuchni i próbowała sobie przypomnieć, na jaką reakcję matki miała nadzieję.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Co niby miałabym zrobić?

Nigdy nie czuła wsparcia ze strony swojej rodzicielki, ale teraz była bardziej samotna niż zwykle.

– Nie wiem.

Pani Ribido zwróciła ku niej twarz. Smutek wyzierający z oczu, na których rozmazał się makijaż, był gorszy od uderzenia z policzek.

– Pozbądź się ciąży – powiedziała zmęczonym głosem. – Nie pozwól, by jeden błąd zniszczył ci całe życie.

– Kim ja jestem dla ciebie? Tylko taką pomyłką?

– Popatrz na mnie! Takiego życia pragniesz?

Lauren z trudem przełknęła ślinę i przetała oczy.

– To jest dziecko, nie... jakiś kawałek mięsa. A jeśli zdecyduję się urodzić, pomożesz mi?

– Nie.

– Nie. Tak po prostu, nie?

Wreszcie matka jej dotknęła, delikatnie. Trwało to może sekundę.

– Zapłaciłam za swoją pomyłkę. Nie zamierzam płacić za twoją. Zaufaj mi w tym wypadku. Usuń ciążę. Daj sobie szansę w życiu.

*

„Jesteś pewna?”

To pytanie nie dawało Angie usnąć przez całą noc.

– Niech cię diabli, Mira – mruknęła.

– Co ty tam mówisz? – zapytała mama, kiedy niepostrzeżenie pojawiła się tuż za nią.

Stały obie w kuchni w domu i szykowały wypieki na Święto Dziękczynienia.

– Nic takiego, mamó.

– Mamrociesz coś pod nosem, od kiedy tu jesteś. Zdaje mi się, że masz coś do powiedzenia. I układaj orzeszki ładnie, Angelo. Nikt nie będzie chciał jeść takiego niechlujstwa.

– Nie wiem do licha, co robię. – Angie rzuciła torbę orzeszków na stół i wyszła. Na werandzie wszędzie było pełno rosy, która pokryła poręczę i deski grubą i miękką jak aksamit warstwą.

Usłyszała, jak drzwi otworzyły się i zamknęły.

Mama podeszła i stanęła obok niej, przyglądając się ogołoconemu z róż ogrodowi.

– Nie mówiłaś o orzeszkach.

– Widziałam Conlana w Seattle.

– Wreszcie mi o tym mówisz.

– A skąd wiesz, Mira wypaplała?

– Podzieliła się wiedzą brzmi ładniej. Ona się martwi o ciebie, podobnie jak ja.

Angie oparła ręce o zimną, drewnianą poręcz i wychyliła się do przodu. Przez moment zdawało jej się, że słyszy szum oceanu w oddali, ale to tylko samolot przelatywał nad głową. Chciała zapytać matki, jak to się stało, że jest trzydziestoosmioletnią samotną, bezdzietną kobietą. Ale знаła odpowiedź. Pozwoliła, by miłość przeciekła jej między palcami.

– Czuję się zagubiona.
– Co zamierzasz zrobić?
– Nie wiem. Mira pytała mnie o to samo.
– Ta dziewczyna ma wrodzoną błyskotliwość.
– Może zadzwonię do niego? – Pierwszy raz pozwoliła sobie o tym pomyśleć.
– To chyba dobry pomysł. Gdyby mnie dotyczyło, chciałabym mu spojrzeć w oczy. Tylko wtedy możesz się przekonać, na czym stoisz.

– Ale on tak po prostu odszedł.
– Czy ty słyszysz, panie DeSaria? Angela zachowuje się tchórzliwie. Takiej jej nie znaliśmy. – Mama patrzyła zaskoczona.

– Oberwałam mocno parę razy w ciągu ostatnich lat. – Próbowала się uśmiechnąć. – Nie jestem już tak silna jak kiedyś.

– Nieprawda. To dawna Angela była przytłoczona stratami. Moja nowa córeczka niczego się nie boi.

Angie obróciła głowę i spojrzała w piwne oczy pani DeSaria. Było w nich tyle życiowej mądrości. Pachniało lakierem do włosów Aqua Net i perfumami Tabu. Nagle, stojąc na werandzie rodzinnego domu w towarzystwie matki, poczuła się bezpiecznie. Uświadomiła sobie, że choć wiele rzeczy się zmieniło, niektóre pozostały takie same.

Rodzina.

Co za ironia losu. Uciekła przed bliskimi aż do Kalifornii po to, by teraz uzmysłwić sobie z całą mocą, że na nic to się zdało. Jest z krwi i kości jedną z DeSariów. Zawsze jej towarzyszyli, nawet nieżyjący ojciec...

– Tak się cieszę, że wróciłam. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo za wami wszystkimi tęskniłam.

Mama się uśmiechnęła.

– Wiemy o tym. A teraz włóż placek do piekarnika. Mamy jeszcze dużo roboty.

17

Pasek mundurka Lauren wciąż jeszcze był luźny, ale całość jakoś nie leżała na niej zbyt dobrze. Przeglądając się w lustrze, mówiła sobie, że nikt nie przypuszczałby, że jest w ciąży. Czuła się jak Hester Prynne, bohaterka powieści *Szkarłatna litera*, z tą różnicą, że ona miałaby wyszyte „C” na brzuchu.

Umyła i wysuszyła ręce, po czym wyszła z łazienki.

Uczniowie zajęci rozmową wysypywali się ze szkoły, mijali Lauren w pośpiechu. Ostatniego dnia przed świętami atmosfera zawsze była podobna. Dziewczyna straciła już rachubę, ile osób wołało ją po imieniu. Wydawało się to nieprawdopodobne, by nie widzieli, że zachowuje się inaczej, szuka odosobnienia.

– Lo! – krzyknął David i sprężystym krokiem, z plecakiem przewieszonym przez ramię, ruszył w jej kierunku. Zbliżywszy się, rzucił go na ziemię, objął ją i przytulił.

Przylgnęła do niego. Kiedy się odsunęła, czuła, że drży.

– Gdzie byłaś? – Delikatnie muskał jej szyję.

– Moglibyśmy porozmawiać przez chwilę w spokoju w jakimś ustronnym miejscu?

– Już słyszałaś, prawda? Psiakrew, a mówiłem wszystkim, że chciałbym, żebyś dowiedziała się ode mnie.

Spojrzała na niego; uderzyło ją, jak promienne ma oczy i szeroko się uśmiecha. Jakby radość miała za moment eksplodować.

– Nie wiem, o czym mówisz?

– Naprawdę? – Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Przebiegli wzdłuż kawiarni, potem biblioteki, skręcili w bok dopiero koło sali muzycznej i zaszyli się w zacienionej wnęce. Ktoś intensywnie ćwiczył wewnątrz pasaże. Rytmiczne dźwięki *Tequili* pobrzmiwały w powietrzu tego zimnego popołudnia.

David pocałował ją mocno, potem ze śmiechem wyciągnął kopertę.

– Przeczytaj.

Patrzyła na kawałek papieru w jego dłoniach: miał poszarpane krawędzie, pewnie naderwane podczas otwierania. Kiedy go wzięła, dostrzegła adres zwrotny.

Uniwersytet Stanforda.

Niemalże przestała oddychać, gdy przeczytała pierwszą linijkę. „Drogi Panie Haynes, miło nam zawiadomić, że został Pan przyjęty...”

Łzy uniemożliwiły jej dokończenie lektury listu.

– Czyż to nie wspaniale? – zapytał David, odbierając jej pismo. – Zostałem przyjęty.

– To bardzo wcześnie... nikt poza tobą jeszcze nie dostał informacji.

– Można powiedzieć, że jestem szczęściarzem.

Szczęściarzem. Jasne, pomyślała.

– Bravo! – rzuciła, ale nie była w stanie na niego spojrzeć. Nie da rady mu teraz powiedzieć tego, co chciała.

– To dopiero początek, Lauren. Dostaniesz się na Uniwersytet Południowej Kalifornii albo na Berkeley, będziemy mieli do siebie po drodze, będziemy spotykać się w każdy weekend i wakacje.

Wreszcie spojrzała na niego. Miała wrażenie, że dzielą ich setki kilometrów, cały ocean.

To, że będą chodzić do różnych college'ów, nie miało teraz znaczenia.

– Wyjeżdżasz dzisiaj, prawda? – Wyczuła, jak nienaturalnie brzmi jej drewniany głos.
– Święto Dziękczynienia obchodzimy u wujka Fredericka. – Przyciągnął ją do siebie, przytulił i wyszeptał: – Weekend szybko zleci. Potem to uczymy.

Chciała się cieszyć jego szczęściem. Stanford. Marzył przecież o tej uczelni.

– Jestem z ciebie dumna, Davidzie.

– Kocham cię, Lauren.

To prawda. Kochał ją. I nie tak w stylu szkolnym „daj się przelecieć”, inaczej.

Wczoraj by jej to wystarczyło, dzisiaj postrzegała sprawę inaczej.

Łatwo było kogoś kochać, gdy wiodło się nieskomplikowane życie.

Jeszcze w zeszłym tygodniu największym zmartwieniem Lauren było to, że nie dostanie się na Stanforda. Teraz wydawało się najmniejszym z problemów. Niedługo będzie musiała powiedzieć Davidowi o dziecku i wszystko się zmieni, stanie się trudne. A miłość najtrudniejsza.

*

Jakimś cudem Lauren zdołała przepracować całą zmianę w restauracji. Nie miała pojęcia, jak to robiła. Była tak skołowana, że nie wiedziała, jak jej się udało zapamiętywać zamówienia – całe mnóstwo zamówień.

– Lauren?

Odwróciła się. Angie uśmiechała się do niej z niepokojem w oczach.

– Chciałabym, żebyście przyszły z mamą na kolację w Święto Dziękczynienia.

– O! – Dziewczyna miała nadzieję, że w jej głosie nie pobrzmiwa tęsknota.

Angie podeszła bliżej.

– Naprawdę zależy nam na twojej obecności.

Całe życie czekała na takie zaproszenie.

– Ja... – Nie potrafiła odmówić. – Moja mama niezbyt lubi przyjęcia.

Chyba że proponują dżin i wyżerkę, dodała w duchu.

– Jeśli nie będzie mogła, przyjdź sama. Pomyśl o tym. Wszyscy zbieramy się u mojej mamy o pierwszej. – Angie podała Lauren kawałek papieru. – Tutaj masz adres. Wiele dla nas znaczysz. Pracujesz u DeSariów. Jesteś jak członek rodziny.

*

Zaraz po przebudzeniu się w Święto Dziękczynienia Lauren przypomniały się słowa Angie: „Pracujesz u DeSariów. Jesteś jak członek rodziny”.

Pierwszy raz miała dokąd pójść tego dnia. Ale jak mogła to zrobić z takim bagażem.

Angie spojrzy na nią i od razu będzie wszystko wiedziała. Na samą myśl o tym cierpła jej skóra.

Chodziła po pokoju tam i z powrotem, kiedy o jedenastej zadzwonił telefon. Skoczyła, żeby odebrać.

– Słucham?

– Lauren? Mówi Angie.

– O, cześć!

– Może chciałabyś, żebym po ciebie przyjechała? Wygląda, że będzie padać, a samochód twojej mamy nie jest na chodzie.

Dziewczyna westchnęła. Starając się ukryć chęć przyjęcia propozycji, odpowiedziała:

– Nie, dziękuję.

– To będziesz o pierwszej, tak?

Prośba była tak delikatnie wypowiedziana, że Lauren nie mogła odmówić. Zresztą bardzo

pragnęła tam być.

– Oczywiście. O pierwszej.

Kiedy odłożyła słuchawkę, poszła do sypialni matki i zaczęła nasłuchiwać pod drzwiami. Cisza. Zapukała.

– Mamo?

Najpierw zatrzeszczały sprężyny, a potem usłyszała kroki. Drzwi się otworzyły. Stała w nich mama, miała zapuchnięte oczy i ziemistą cerę. Ubrana była w długi do kolan T-shirt, tym razem z nadrukiem pubu. Napis głosił: „Alkoholicy obsługują alkoholików od osiemdziesięciu dziewięciu lat”.

– Dzisiaj Święto Dziękczynienia, pamiętasz? Jesteśmy zaproszone na obiad.

Pani Ribido wyjęła z kieszeni papierosa, zapaliła jednego.

– A tak. Twoja szefowa. Mówiłaś, zdaje się, że to nic pewnego.

– Ja... chciałabym pójść.

Mama zerknęła do tyłu, bez wątpienia na mężczyznę w łóżku.

– Ja raczej zostanę.

– Ale...

– Idź. Baw się dobrze. Ja i tak nie lubię wielkich przyjęć. Wiesz o tym.

– Zaprosili nas obie. Będzie głupio, jeśli przyjdę sama.

Mama wypuściła dym z ust i się uśmiechnęła.

– Będzie bardziej głupio, jeśli przyjdiesz ze mną. Poza tym wcale nie będziesz sama. –

Wskazała palcem na brzuch córki.

Drzwi się zamknęły.

Lauren wróciła do swojego pokoju.

Do dwunastej piętnaście zdążyła trzykrotnie zmienić ubranie. W gruncie rzeczy była zadowolona, że głowę zaprzętało jej strojenie się, bo dzięki temu nie myślała o ciąży.

W końcu nie miała już czasu zastanawiać się, co włożyć, i została w tym, w czym była, w przewiewnej, cienkiej spódnicy z hinduskim nadrukiem i białym podkoszulku z czarną koronką przy szyi. Na to włożyła płaszcz, który dostała od Angie. Rozczesała włosy i upięła je na powrót w koński ogon. Nałożyła troszkę make-upu na policzki i cienia na powieki.

Udało jej się złapać autobus o dwunastej czterdzieści pięć.

Była jedyną pasażerką, co wprawiło ją w nieco smutny nastrój. Wydawało jej się, że stanowi modelowy widok osoby samotnej. W końcu było to rodzinne święto.

Poza tym przyszło jej na myśl, że i tak jest w dużo lepszej sytuacji od tych, którzy nie mają gdzie pójść i spędzą ten dzień sami przed telewizorem, pojadając gotowe dania z supermarketu i tęskniąc za tym, czego nie mogą mieć. Filmy, parady – wszystkie pokazują gromadzące się przy stole lub na dworze rodziny cieszące się wspólnie spędzonym czasem. Matki trzymające...

Dzieci.

Lauren westchnęła ciężko.

I znowu to samo skojarzenie jak korek, co tylko czeka, by wystrzelić.

– Nie dzisiaj – powiedziała na głos. Choć właściwie dlaczego nie. Może ze sobą pogadać. Nie ma tu nikogo, komu by to przeszkadzało lub kogo by bawiło.

Spędzi pierwsze Święto Dziękczynienia z rodziną, nie swoją, ale co tam. Całe życie na to czekała. Nie pozwoli, by jakiś dzieciak zepsuł jej ten dzień.

Na rogu Maple Drive i Sentinel wysiadła z autobusu.

Niebo było stalowoszare. Wyglądało bardziej na wieczór niż południe. Wiatr rozwiewał po ziemi poskręcane, czarne liście i szarpał nagimi gałęziami drzew. Jeszcze nie padało, ale

wkrótce będzie. Nadciągała burza.

Lauren zapięła płaszcz, by uchronić się przed zimnem, i ruszyła szybkim krokiem w dół ulicy. Odczytywała numery na budynkach, żeby nie przegapić domu DeSariów. Ale nie było to właściwie potrzebne, bo wiedziała, że go rozpozna. Nie myliła się.

Ogród był starannie utrzymany, trawnik krótko przycięty, a wzdłuż ścieżki rosły fioletowe kwiaty, tworząc kolorowy pas, na przekór zimowemu krajobrazowi.

Przepiękny dom w stylu Tudorów miał frontowe okna ze szkła ołowiowego, spadzisty dach i ceglane wejście w kształcie łuku. Przy samych drzwiach stała figura Jezusa z rękami rozpostartymi w geście powitania.

Lauren przeszła betonowym chodnikiem obok fontanny z Matką Boską i zapukała do drzwi.

Nie było odpowiedzi, mimo że z środka dobiegał hałas.

Sięgnęła do dzwonka.

I znowu nic. Już miała zamiar się wycofać, kiedy drzwi nagle się otworzyły.

Stanął w nich drobna blondyneczka, która zaczęła jej się przypatrywać. Miała na sobie czarną, aksamitną sukienkę z białą lamówką.

– Kim jesteś? – zapytała dziewczynka.

– Mam na imię Lauren. Angie zaprosiła mnie na obiad.

– O! – Dziewczynka uśmiechnęła się do niej, obróciła na pięcie i pobiegła.

Lauren stała przez chwilę zmieszana. Zimny wiatr powiał jej po plecach i skłonił do zamknięcia drzwi za sobą.

Weszła ostrożnie do środka przez wąski przedpokój i zatrzymała się na progu salonu.

Dalej było istne pandemonium. Co najmniej dwadzieścia osób. Trzech mężczyzn popijało koktajle w rogu pokoju, nieopodal okna, i rozmawiało z ożywieniem o meczu piłkarskim, który właśnie oglądali. Grupa nastolatków grała w karty przy stole. Śmiali się i przeklinali na przemian. Kilkoro młodszych dzieci baraszkowało na dywanie wokół planszy do gry w Candy Land.

Lauren trochę obawiała się przebijać przez ten tłumek, więc skręciła w innym kierunku. Na drugim końcu korytarza był mały pokój – tam dorośli oglądali telewizję.

Przeszła obok nich w pośpiechu, nikt nie spytał, co tu robi, i dotarła do kuchni.

Pierwszym zwiastunem był zapach roznoszący się w powietrzu. Niebiański.

Potem dostrzegła kobiety. Każda zajmowała się czymś innym. Mira obierała kartofle, Livvy układała przystawki na ozdobnej srebrnej tacy, Angie kroїła warzywa, a Maria wałkowała ciasto na makaron.

Wszystkie mówiły jednocześnie i często wybuchały śmiechem. Do Lauren docierały jedynie strzępy zdań.

– Lauren! – krzyknęła Angie. – Udało ci się przyjść.

– Dziękuję za zaproszenie. – Nagle pomyślała, że powinna coś przynieść, choćby kwiaty. Angie spojrzała poza jej plecy.

– Gdzie jest twoja mama?

– Ona... hm... źle się czuła, przeziębła się.

– W takim razie cieszymy się, że chociaż ty przyszedłaś.

Następną godzinę Lauren spędziła w kuchni w otoczeniu pań DeSaria. Pomagała Livvy nakryć do stołu, Mirze ustawić tace z przystawkami w jadalni, a Angie pozmywać naczynia.

Cały czas po kuchni kręciło się co najmniej pięć osób. Kiedy przyszło do nakrywania do stołu, liczba ta się podwoiła. Każdy wiedział, co robić. Kobiety poruszały się synchronicznie, przenosząc talerze i półmiski pełne potraw z jednego pomieszczenia do drugiego. Kiedy nadszedł

wreszcie czas, by zasiąść do stołu, Lauren znalazła się pomiędzy Mirą i Salem.

Nigdy w życiu nie widziała tak dużo jedzenia naraz. Był oczywiście indyk, a obok dwa naczynia z dressingiem: jedno jako dodatek do mięsa, a drugie do nadzienia, kartofle purée, sos pieczeniowy, zielona fasolka szparagowa z cebulą, pancetta, risotto z parmezanem i szynką parmeńską, rosół z kapłona z domowym makaronem, duszone nadziewane warzywa i chleb własnej roboty.

– To nieprzyzwoite, nieprawdaż? – powiedziała Mira ze śmiechem.

– Nie, to jest wspaniałe, cudowne – odparła Lauren rozmarzonym głosem z nutką tęsknoty.

U szczytu stołu siedziała Maria, która poprowadziła wspólną modlitwę zakończoną błogosławieństwem. Gdy skończyła, wstała.

– Pierwszy raz zajmuję miejsce taty podczas Święta Dziękczynienia – przerwała na chwilę i zamknęła oczy. – Gdzieś teraz jest i obdarza nas stamtąd miłością.

Kiedy spojrzała na wszystkich znowu, oczy miała pełne łez.

– Jedzcie – powiedziała i usiadła raptownie.

Po chwili milczenia zaczęto znowu rozmawiać.

Mira sięgnęła po półmisek, na którym leżał pokrojony w plastry indyk, i zaproponowała Lauren kawałek jako pierwszej.

– Młodość przed urodą, proszę. – Zaśmiała się.

Dziewczyna zaczęła od indyka, ale na nim nie skończyła. Nakładała sobie, aż na talerzu miała pokaźną stertę jedzenia. Każdy kawałek smakował lepiej od poprzedniego.

– Jak tam twoje podanie na studia? – zapytała Mira i upiła łyk białego wina.

– Rozesłałam do kilku miejsc i czekam. – Próbowwała wykrzesać nieco entuzjazmu w głosie. Jeszcze tydzień temu była napompowana oczekiwaniem na odpowiedź niczym balon. Bała się, czy się dostanie, jaki to będzie miało wpływ na związek z Davidem, ale podchodziła z entuzjazmem do przyszłości.

Teraz już nie.

– Gdzie wysłałaś aplikacje?

– Na Uniwersytet Południowej Kalifornii, Uniwersytet Kalifornijski, Berkeley, Uniwersytet Waszyngtoński i Stanford. – Westchnęła.

– Imponująca lista. Nie dziwię się, że Angie jest z ciebie dumna.

– Angie jest ze mnie dumna? – Lauren spojrzała na Mirę.

– Mówi mi to ciągle.

– Och! – Dziewczyna poczuła, jakby strzała przeszła jej serce.

Mira kroić indyka na małe kawałki.

– Też chciałam iść do college'u, do Rice albo do Brown, ale w tamtych czasach nie było to aż tak istotne. Przynajmniej dla mnie, bo Angie bardzo zależało. Poza tym poznałam Vince'a i... no wiesz.

– Co takiego?

– Plan był taki: dwa lata college'u w Fircrescie, a potem Western. – Uśmiechnęła się. – Na początku się udawało, ale potem życie potoczyło się swoim torem.

Spojrzała w kierunku dzieci zajętych rozmową przy drugim stole.

– A więc to one nie pozwoliły ci skończyć studiów?

Mira zmarszczyła brwi.

– Chyba ujęłabym to inaczej. Po prostu spowolniły mnie, odebrały trochę wolnego czasu. To wszystko.

Nagle jedzenie przestało Lauren smakować, straciła chęć do rozmowy, nie uśmiechała

się. Skończyła danie, które sobie nałożyła, i poszła do kuchni pomóc zmywać naczynia. Działała jak automat. Była w stanie myśleć tylko o tym, jak dziecko w jej brzuchu rośnie i rośnie, a możliwości w życiu maleją.

Wokół niej były dzieci młodsze i starsze i ich rodzice, którzy rozmawiali ze swoimi pociechami bądź o nich. Dorosli zmieniali temat, gdy Angie pojawiała się w pokoju, a kiedy wychodziła, wracali do przerwane go wątku.

Lauren zapragnęła opuścić to miejsce, wyslizgnąć się niezauważona przez nikogo i zniknąć w mroku nocy.

Ale w ten sposób zachowałaby się niegrzecznie, a nie należała do dziewczyn, które łamią zasady. Zawsze starała się być miła dla ludzi i postępować z innymi uprzejmie.

Kiedy David poprosił, by raz spróbowali kochać się bez prezerwatywy, i zapewnił, że nic się nie stanie, bo on będzie uważał, dała się przekonać.

– Za mało uważał – mruknęła pod nosem, wzięła kawałek ciasta i poszła do salonu.

Siedziała obok Livvy otoczona dziećmi, ale myślami była gdzie indziej. Wpatrywała się w nienaruszoną porcję jedzenia. Jeden z chłopców dopytywał się o zabawkę, o której nigdy nie słyszała, i film, jakiego nigdy nie widziała. Nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z pytań. Do diaska, ledwo zmuszała się do uśmiechu i udawania, że słucha, co do niej mówi. Jak mogła skupiać się na pytaniach dziecka, kiedy w tej chwili w niej samej żywa istota zapuszczała coraz głębiej korzenie, rosła z każdym uderzeniem serca. Dotknęła brzucha, choć wciąż był jeszcze płaski.

– Chodź ze mną.

Lauren drgnął podbródek, zdjęła rękę z brzucha.

Angie stała koło niej z pledem w szkocką kratę zarzuconym na ramiona. Nie czekała, aż dziewczyna wstanie, tylko odwróciła się i wyszła na zewnątrz.

Lauren poszła za nią. Usiadły na drewnianej ławce, wsparły stopy o balustradę werandy. Angie otuliła je obie kocem.

– To chyba dobry moment na rozmowę.

Delikatność, z jaką Angie to wypowiedziała, rozbroiła Lauren. Zasłona opadła, odsłaniając czystą desperację, jaka malowała się na jej twarzy.

– Znasz się na miłości, prawda?

– Byłam dość długo z Conlanem, a moi rodzice przeżyli ze sobą blisko pięćdziesiąt lat. Sądzę, że trochę się znam.

– Ale przecież się rozwiodłaś. Więc wiesz pewnie i to, że miłość ma swój kres.

– Tak. Może się wyczerpać. Ale może również przyczynić się do powstania rodziny i trwać wiecznie.

Lauren nic nie wiedziała na temat trwałości uczuć. Natomiast mogła się domyślać, jak David zareaguje na wieść o dziecku. Uśmiech zniknie mu z twarzy. Pewnie będzie starał się dowieść, że to nie ma znaczenia, że i tak ją kocha, że wszystko skończy się dobrze, ale ani ona, ani on w to nie uwierzą.

– Kochałaś męża?

– Tak.

Nie powinna była zadawać tego pytania, widziała, jak zraniło Angie. Na dodatek nie mogła się powstrzymać przed następnym.

– A więc to on przestał cię kochać?

– Oj, Lauren – westchnęła Angie. – Nie ma prostych odpowiedzi w takiej sytuacji. Miłość może pomóc nam przejść przez najtrudniejsze doświadczenia życiowe, może też być sama takim doświadczeniem. Sądzę, że Conlan kochał mnie przez długi czas.

– Jednak małżeństwo się rozpadło.

– Mieliśmy poważny problem.

– Chodzi o twoją córkę?

Angie spojrzała na nią wyraźnie zaskoczona. Uśmiechnęła się smutno.

– Mało kto ośmiela się poruszyć tę kwestię w rozmowie ze mną.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Lubię o niej czasem rozmawiać. Kiedy umarła, to był początek końca dla mnie i Cona. No, ale zajmijmy się tobą. Czy zerwałaś z Davidem?

– Nie.

– To pewnie poszło coś nie tak z college'em?

College.

Przez moment nie zdawała sobie sprawy, o co Angie pyta. Sprawy związane z uczelnią wydawały się tak odległe, że aż nierzeczywiste.

Nie tak w każdym razie jak ciąża.

Albo kobieta, która oddałaby wszystko za dziecko.

Patrzyła na Angie i tak bardzo pragnęła poprosić ją o pomoc, ale wiedziała, że nie może właśnie na nią zrzucić tego problemu.

– Wygląda, że to coś poważniejszego niż nauka – powiedziała powoli Angie.

Dziewczyna odrzuciła koc, wstała, zrobiła parę kroków i zaczęła wpatrywać się w ciemne podwórko.

Angie też wstała, podeszła do niej i dotknęła dłonią jej ramienia.

– Czy mogę ci w jakikolwiek sposób pomóc?

Lauren zamknęła oczy, poczuła ulgę, że jest ktoś, kto zwraca się do niej z taką propozycją.

Ale Angie nie mogła jej pomóc. Lauren wiedziała, że musi poradzić sobie sama.

Westchnęła. W zasadzie nie miała wyboru. Siedemnastolatka, która dopiero co wysłała podanie do college'u i odkładała każdego centa na naukę.

Jest jeszcze dzieckiem. Nie może zostać matką. Dobry Boże, teraz rozumiała kobiety, które chowały urazę do swoich dzieci. Nie chciała tego zrobić swojemu.

A skoro musi poradzić sobie sama, to znaczy...

No wyduś to z siebie, dopominała się podświadomość. Skoro potrafisz o tym pomyśleć, nazwij to.

A jeśli zdecyduje się na aborcję, czy powinna powiedzieć Davidowi?

Jak mogłaby tego nie zrobić?

– Uwierz mi – wyszeptwała, a jej oddech utworzył białą mgiełkę – wolałby nie wiedzieć.

– Co powiedziałaś?

Lauren obróciła się do Angie.

– Prawda jest taka, że... mam kłopoty w domu. Mama zakochała się w kolejnym frajerze i w zasadzie przestała chodzić do pracy. Poza tym... kłócimy się o różne rzeczy.

– Kiedy byłam w twoim wieku, byłyśmy z mamą niezłe, jeśli chodzi o sprzeczki. Jestem pewna, że...

– Moja mama różni się od twojej. – Poczucie osamotnienia znowu owładnęło Lauren. Uciekała wzrokiem przed Angie, by nie dostrzegła w jej oczach łez. – Widziałas, jak żyjemy.

Angie przysunęła się bliżej.

– Mówiłaś, że twoja mama jest młoda, prawda? Ma trzydzieści cztery lata? A to znaczy, że była prawie dzieckiem, kiedy cię urodziła. Wybrała niełatwą drogę. Jestem pewna, że stara się jak może. – Dotknęła ramienia dziewczyny. – Czasem musimy wybaczyć ludziom, których

kochamy, nawet jeśli doprowadzają nas do szału. Tak po prostu jest.

– Tak – przytaknęła głucho Lauren.

– Dziękuję, że byłaś ze mną szczerą – powiedziała ciepło Angie. – Trudno jest rozmawiać o rodzinnych problemach.

I tu ją trafiła, wydawało się, że sięgnęła dna, a okazuje się, że można spaść jeszcze niżej. Lauren wpatrywała się w ciemności, niezdolna spojrzeć na swoją rozmówczynię. Chciała powiedzieć coś właściwego, ale nic nie przychodziło jej do głowy, z wyjątkiem podziękowań.

– Dzięki. Rozmowa mi pomogła.

Angie objęła ją i przytuliła delikatnie.

– Od tego są przyjaciele.

18

„A więc to on przestał cię kochać?”

Przez całą noc Angie myślała o pytaniu, które zadała jej Lauren. Nie dawało spokoju, prześladowało ją. Rano mogła myśleć tylko o tym.

„A więc to on przestał cię kochać?”

Nigdy takie słowa nie padły z ust Conlana. Przez wszystkie te miesiące, kiedy małżeństwo się rozpadało, żadne z nich nie powiedziało: „już cię nie Kocham”.

Przestali po prostu lubić ich wspólne życie.

A to nie było to samo.

Małe ziarenko, „a jeśli?”, zapuściło korzenie i wykiełkowało.

A co jeśli on ją wciąż kocha? Albo jeśli mógłby pokochać znowu? Skoro zaczęła o tym myśleć, wszystko inne przestało się liczyć.

Zadzwoiła do siostry.

– Livvy, musisz mnie dzisiaj zastąpić w pracy – powiedziała bez przywitania.

– Dzisiaj? W czasie świątecznego weekendu? Dlaczego miałabym...

– Chcę się zobaczyć z Conlanem.

– Zaraz będę.

Siostry. Dzięki Bogu, że są.

W południe Angie dojeżdżała już do przedmieść Seattle. Samochody jak zwykle sunęły jeden za drugim, mimo że drogi szybkiego ruchu wybudowano wiele lat temu.

Skręciła na następnym zjeździe i skierowała się w stronę centrum. Zadziwiająco, ale od razu znalazła wolne miejsce parkingowe w pobliżu redakcji „Timesa”. Zatrzymała samochód i wysiadła.

Zastanawiała się, co tu u diaska robi. Nie wiedziała nawet, czy Conlan jest dzisiaj w pracy. W ogóle nic o życiu swojego eksmęża nie wiedziała.

Mieszkali daleko od siebie. Byli rozwiedzeni. Skąd przyszło jej do głowy, że chciałby się z nią spotkać?

Czy słyszysz, tato? Angela się boi, pomyślała.

To prawda. Po co się okłamywać.

Zerknęła do lusterka i sprawdziła, jak wygląda. Każda zmarszczka wyżłobiona przez czas i okoliczności była doskonale widoczna.

– Cholera!

Żeby choć miała czas na maseczkę odświeżającą.

Bądź dzielna, Angie, dodawała sobie otuchy.

Poprawiła torebkę i weszła do budynku.

Recepcjonistka była nowa.

– Chciałabym zobaczyć się z Conlanem Malone.

– Czy była pani umówiona?

– Nie.

– Pan Malone jest dzisiaj zajęty. Sprawdźę, czy...

– Jestem jego żoną. – Skrzywiła się i poprawiła: – Byłą żoną.

– Och, w takim razie...

Henry Chase, strażnik, który pracował w budynku dłużej, niż ktokolwiek sięgał pamięcią, wyłonił się zza rogu.

– Angie! – powiedział z uśmiechem. – Kopę lat!

Odetchnęła z ulgą.

– Witaj, Henry!

– Przyszłaś spotkać się z Conlanem?

– Tak.

– Chodź!

Uśmiechnęła się do recepcjonistki, ta zaś wzruszyła ramionami i sięgnęła po telefon.

Angie szła za Henrym do windy, tam się pożegnali, a ona ruszyła na górę. Na trzecim piętrze drzwi otworzyły się i znalazła się w samym centrum burzliwego świata Conlana.

Wewnątrz stało mnóstwo biurek, większość z nich podczas świątecznego weekendu była pusta. Ucieszyło to Angie. I tak mijała wystarczająco dużo znajomych twarzy. Ludzie zerkali na nią z pewną nerwowością, a potem spoglądali w stronę pokoju Conlana.

Widocznie byłej żony należało się obawiać. Bez wątpienia informacja o jej wizycie rozeszła się już lotem błyskawicy, w końcu to reporterzy, którzy kochają plotki i uwielbiają się nimi dzielić.

Podniosła dumnie głowę, zacisnęła spocone palce na torebce i szła dalej.

Zobaczyła go, zanim ją dostrzegł. Stał przy oknie w rogu swojego pokoju i rozmawiał przez telefon. Jednocześnie w pośpiechu wkładał płaszcz.

W jednej chwili skrywana głęboko przeszłość powróciła do niej z całą siłą. Przypomniała sobie, jak miał w zwyczaju całować ją rano po przebudzeniu; robił to codziennie, nawet gdy był spóźniony, a ona czasem odpychała go, ponieważ miała ważniejsze sprawy na głowie.

Zapukała w szybę.

Conlan odwrócił się i ją zobaczył. Przestał się uśmiechać, oczy mu się zwięziły. Był zły? Rozczarowany? Nie miała pewności, nie potrafiła już czytać z jego twarzy. Może się zasmucił.

Pomachał jej na powitanie.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Podniósł palec w górę, by zaczekała, i kończył rozmowę.

– To nie w porządku, George. Byliśmy umówieni. Przygotowałem zdjęcia. On już czeka na mnie w samochodzie.

Angie spojrzała na biurko. Leżały na nim notatki i listy, z drugiej strony stos gazet.

Zniknęły jej zdjęcia. Nie było w ogóle żadnych osobistych przedmiotów, najmniejszego śladu po tym, co robił i z kim w czasie wolnym.

Nie usiadła, bała się, że zacznie nerwowo stukać obcasami.

– Będę za dziesięć minut, George. Nie ruszaj się. – Conlan rozłączył się i zwrócił w jej kierunku.

– Angie. – To było wszystko, co powiedział. Nie musiał dodawać „co tutaj robisz?”.

– Byłam w mieście. Myślałam, że moglibyśmy...

– Nie dzisiaj, Angie. Mam spotkanie z George'em Stephanopoulosem. – Spojrzał na zegarek. – Za siedemnaście minut.

– Ach, tak.

Sięgnął po aktówkę.

Zrobiła krok do tyłu, poczuła się dotknięta.

Spojrzał na nią.

Nie odezwali się do siebie ani słowem, trwali w bezruchu. Pokój wypełnił się widmami dawnych dźwięków. Śmiechu. Płaczu. Szeptów.

Pragnęła, by podszedł do niej, dał jej jakikolwiek sygnał zachęty, choćby niewielki. Mogłaby wtedy powiedzieć: „Przepraszam”, i byłoby wiadomo już, po co przyszła.

– Muszę lecieć. Przepraszam. – Wyciągnął rękę, prawdopodobnie zamierzał poklepać ją po ramieniu, ale cofnęła się, zanim zdążył to zrobić. Spoglądali na siebie przez chwilę w milczeniu, po czym Conlan wyminął ją i wyszedł.

Zapadła się w fotelu przy jego biurku.

– Angie?

Nie miała pojęcia, jak długo tak siedziała, oszołomiona, próbując się pozbierać. Spojrzała w kierunku, skąd dochodziło pytanie, i zobaczyła Diane VanDerbeek.

Nie wstała. Nie była pewna, czy nogi nie odmówiłyby jej posłuszeństwa.

– Diane, jak miło cię znowu widzieć.

Mówiła prawdę. Diane pracowała z Conlanem od dawna. Przyjaźnili się. Ona i jej mąż John opiekowali się nim w trakcie rozwodu. Nie, to nie całkiem tak było. Angie poddała się bez walki. Podczas separacji Diane dzwoniła, próbowała się skontaktować, ale Angie nie odbierała telefonu.

– Odpuść sobie, na miłość boską. On wreszcie zaczyna dochodzić do siebie.

Angie się zachmurzyła.

– Mówisz tak, jakby Conlan załamał się po rozwodzie, a on był jak kamień.

Diane przypatrywała jej się przez chwilę, ważyła słowa, które miały paść. Po chwili spojrzała w okno na szarość listopadowego dnia. Usta, na ogół uśmiechnięte, zacisnęła, może nawet zagryzła wargę.

Angie poczuła się przyparta do muru. Diane zawsze była bezpośrednia. „Mówię, co myślę”, powtarzała. Cokolwiek zamierzała teraz powiedzieć, Angie nie chciała tego słyszeć.

– Naprawdę tak bardzo za nim tęsknisz? – zapytała Diane w końcu.

– Nie sądzę, żebym miała ochotę o tym rozmawiać.

– Dwa razy w tym roku weszłam do jego pokoju i zastałam go płaczącego. Najpierw, kiedy zmarła Sophie, a potem, kiedy zdecydowałaś się na rozwód. – Głos jej zmiękł, oczy nabrały łagodniejszego wyrazu. – Kiedy płakał z powodu śmierci córeczki, myślałam, jakie to smutne, że musi robić to tutaj, w pracy.

– Przestań...

– Próbowałam ci o tym powiedzieć wcześniej, kiedy to miało jeszcze jakieś znaczenie, ale nie słuchałaś. Po co więc przyszłaś teraz?

– Myślałam... – Angie nagle podniosła się z fotela. Za moment też się chyba rozpłaczę.

A jeśli już zaczniesz, Bóg jeden wie, kiedy skończy. – Nieważne. Muszę iść, kretynka ze mnie.

Skierowała się do wyjścia, po drodze usłyszała głos Diane:

– Zostaw go w spokoju, Angie. Już dosyć się przez ciebie nacierpiał.

*

Angie prawie przez całą noc nie zmrużyła oka. Wślizgnęła się do łóżka i kiedy próbowała usnąć, wracały wspomnienia i przewijały jej się w głowie jak taśma filmowa.

Cztery lata temu na urodziny Conlana pojechali do Nowego Jorku. Dostała wtedy od niego sukienkę Armaniego.

– Kosztuje więcej niż mój pierwszy samochód. Nie wiem, czy wypada, bym ją nosiła. Sądzę, że powinniśmy ją zwrócić. Tyle dzieci głoduje w Afryce.

Podszedł do niej od tyłu. Odbijali się oboje w lustrze z owalną ramą, które znajdowało się na ścianie pokoju hotelowego.

– Wyglądasz ślicznie. Nie myślmy teraz o głodującym dzieciach.

Odwróciła się, zarzuciła mu ręce na szyję i zatopiła spojrzenie w jego błękitnych oczach. Powinna była mu powiedzieć, że kocha go nade wszystko na świecie, bardziej niż dziecko, którego Bóg im odmawia. Dlaczego tego nie zrobiła?

– Tajemnica kryje się w jedwabiu. – Przesunął dłonią po jej plecach. – Ześlizguje się z ciebie równie łatwo, jak wkłada.

Poczuła wtedy dreszcz pożądania, doskonale pamięta. Ale pod względem możliwości zajścia w ciążę, nie był to najlepszy moment.

– Dzisiaj nie mam dni płodnych. Teraz nie pora na amory – powiedziała i nie zwróciła wówczas uwagi, jak odebrał te słowa.

Idiotka, pomyślała.

Kolejny obrazek z nie tak bardzo odległej przeszłości. Wyjechali służbowo do San Francisco. Miała dopracowywać szczegóły ważnej dla narodowych badań statystycznych kampanii promocyjnej. Conlan wybrał się z nią dla towarzystwa. Miał nadzieję, że uda jej się oderwać na chwilę od zajęć i zorganizują sobie przy okazji romantyczny weekend. Zgodziła się, ponieważ... co tu dużo mówić, takie weekendy nie trafiały im się często.

W barze Promenade, trzydzieści cztery piętra powyżej tętniących życiem ulic San Francisco, wybrali stolik przy oknie. Całe sławne miasto skrzące się tysiącem świateł jak najpiękniejszy klejnot lśniło u ich stóp.

Conlan przeprosił ją na chwilę i poszedł do toalety. Angie zamówiła cosmopolitan dla siebie i maker's mark z lodem dla męża. Przy okazji przeglądała jeszcze papiery z firmy. Kelnerka przyniosła drinki.

Cena zaskoczyła Angie.

– Siedemnaście dolarów za cosmopolitan?

– Jest pani w Promenade – odpowiedziała kelnerka. – Za magię miejsca się płaci. Czy życzy pani sobie te drinki?

– Jasne. Dziękuję.

Conlan wrócił po minucie. Ledwie usiadł, wychyliła się ku niemu i skomentowała:

– Siedemnaście dolarów za jednego drinka. Zamykam rachunek.

Westchnął, ale się uśmiechnął. Chyba w sposób nieco wymuszony, choć wtedy tak nie uważała.

– Przestań z tym wyliczaniem, ile co kosztuje. Mamy pieniądze i możemy je wydać, jeśli chcemy.

Wreszcie zrozumiała, co chciał powiedzieć. Przyjechał z nią do San Francisco w poszukiwaniu nie tyle romantycznych chwil, ile innego życia. Na swój sposób usiłował radzić sobie z nieziszczalnym marzeniem. Chciał uzmysłowić sobie i jej, że mogą prowadzić wspaniałe, pełne życie bez dzieci i że takie weekendowe wypady pozwolą zapomnieć o cichym, zbyt pustym domu.

W takim razie zamawiam trzy drinki i homara – powinna była powiedzieć.

To nie było takie trudne. Pocałowałby ją pewnie i tak być może rozpoczęłoby się ich nowe życie.

Zamiast tego zaczęła płakać.

– Nie prosz mnie, bym przestała mieć nadzieję – wyszeptwała. – Nie jestem jeszcze gotowa.

I w ten sposób próba „nowego otwarcia” ześlizgnęła się w błoto przeciętności dnia powszedniego.

Dlaczego nie chciała dostrzec tej prawdy, gdy była w zasięgu wzroku, dzieliła z nią łóżko każdej nocy. Przez cały czas jedyną konkluzją było to, że oczekiwanie na dziecko zrujnowało ich małżeństwo.

Ale to nie była cała prawda. Niemożność zajścia w ciążę złamała przede wszystkim Angie, a ona w odwecie zniszczyła ich oboje. Nie ma co się dziwić, że postanowił ją opuścić. Wszystko jasne.

„Dwa razy w tym roku weszłam do jego pokoju i zastałam go płaczącego... myślałam, jakie to smutne, że musi robić to tutaj, w pracy”, dźwięczały jej w uszach słowa Diane.

*

W sobotni wieczór w restauracji panował wielki tłok. Wszystkie stoliki były zajęte, a kolejka oczekujących ustawiła się w rogu. Angie odczuwała wdzięczność za takie zrządzenie losu. Pracowała i nie miała czasu na myślenie.

Roztrząsanie spraw osobistych nie było tym, co chciała robić.

Kiedy już miały zamykać, koło niej pojawiła się Mira.

– I jak? – zapytała. – Livvy powiedziała, że widziałas się z Conlanem. Jak poszło?

– Niedobrze.

– Och... – Siostra posmutniała. – Przykro mi.

*

„Miłość może pomóc nam przejść przez najtrudniejsze doświadczenia życiowe. Może też być sama takim doświadczeniem”.

Przez cały weekend Lauren rozmyślała o swojej rozmowie z Angie. Miała nadzieję, że rada znajdowała się właśnie tam, trzeba tylko umieć ją dostrzec. Jak na razie nie zauważyła niczego poza złą decyzją, którą musiała podjąć.

Nie chciała być matką.

Nie chciała oddać dziecka po urodzeniu.

Chciała nie być w ciąży.

W niedzielę źle się czuła. Ignorowała w pracy Angie, a wieczorem wymknęła się z restauracji bez pożegnania z kimkolwiek. Wracała do domu na piechotę. Bez względu na to, jak bardzo starała się zajmować innymi sprawami, myśl o dziecku towarzyszyła jej przez cały czas.

Gdzieś w połowie drogi zaczęło padać. Nasunęła kaptur na głowę i szła dalej. Pogoda pasowała akurat do jej nastroju. Odkrywała perwersyjną przyjemność w tym, że marznie i moknie.

Skręciła za rogiem i zobaczyła przed swoim domem Davida.

Stał na chodniku, w ręku trzymał bukiet róż. Był przemoczony.

– Hej, Trixie!

Owładnęła nią miłość, gorąca jak ogień, pochłaniająca wszystko. Podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję. Podniósł ją i trzymał tak mocno i blisko siebie, że traciła oddech.

Kocha mnie, pomyślała.

Zapomniała o tym podczas weekendu. Miała na kim się oprzeć.

Zsunęła się, stanęła na chodniku i uśmiechnęła się do niego mimo zacinającego deszczu.

– Myślałam, że wrócisz dopiero jutro rano.

– Tęskniłem za tobą i przyjechałem wcześniej.

– Twoja mama nie była pewnie zadowolona.

– Powiedziałem jej, że mam test z chemii. – Zaśmiał się. – Przecież nie chcemy, by na Stanfordzie zmienili zdanie. Mam złotą przyszłość przed sobą, nie wiesz o tym?

Uśmiech Lauren zgasł. Złota przyszłość Davida.

Stanford.

Poczucie osamotnienia wróciło z całą siłą, oddaliło od chłopaka, mimo że była w jego

ramionach, sprawiło, że poczuła się starsza od niego. Powinna powiedzieć mu o dziecku. Tak należało.

– Kocham cię, Davidzie. – Łzy spływały jej razem z deszczem, mieszały się i nie było ich widać, w każdym razie chłopak niczego nie dostrzegł.

– Ja też cię kocham, a teraz chodź do samochodu, inaczej nabawimy się zapalenia płuc. – Uśmiechnął się. – Pojedziemy do Erica, urządza u siebie imprezę.

Miała ochotę powiedzieć „nie dzisiaj”, zabrać go do mieszkania i zamknąć za nimi drzwi. Ale kiedy byłiby już sami, musiałyby powiedzieć mu prawdę, a nie chciała tego robić. Przynajmniej nie teraz. Niech jeszcze jedną noc spędzą beztrosko jak dzieciaki. Speed Racer i Trixie, roześmiani wśród przyjaciół.

Tak więc, kiedy chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę samochodu, nie oponowała.

„Miłość może pomóc nam przejść przez najtrudniejsze doświadczenia życiowe”.

Proszę, spraw, Boże, żeby to była prawda.

19

Angie tej nocy śniła w kolorach czarno-białych; jej wizje przypominały wyblakłe zdjęcia z albumu rodzinnego, na których uwieczniono i to, co było, i to, co się nigdy nie wydarzyło. Siedziała na karuzeli w Searle Park i kręciła się w towarzystwie małej, ciemnowłosej dziewczynki o niebieskich oczach odziedziczonych po swoim ojcu...

Po jakimś czasie dziewczyna jak mgiełka rozplynęła się w szarości, która niczym woal okryła cały świat.

Wtedy zobaczyła Conlana na boisku, trenującego drużynę Małej Ligi, składającą się z synów ich znajomych.

Obrazy były nieco rozmyte, a to dlatego, że Angie nigdy nie towarzyszyła mężowi podczas treningu. We śnie stała i biła brawo Billy'emu VanDerbeekowi z okazji udanego rzutu. W rzeczywistości leżała wtedy w łóżku w pozycji embrionalnej i narzekała na bóle, mimo że Conlan bardzo prosił, by z nim poszła.

Dlaczego nie dbała o jego potrzeby? – zastanawiała się.

– Przepraszam, Con – wyszeptala w półśnie, jakby próbowała nawiązać z nim kontakt.

Obudziła się, łapiąc gwałtownie powietrze. Przez następne kilka godzin leżała skurczona na łóżku i starała się uporządkować i schować wspomnienia gdzieś głęboko. Wiedziała, że nie powinna odbywać wycieczek w przeszłość, za bardzo ją raniły. Pewne rzeczy po prostu już się stały. Musi to sobie uświadomić.

Zdała sobie sprawę, że przez cały czas płacze. Poduszka była już mokra od łez, gdy dotarło do niej, że ktoś dobija się do drzwi.

Dzięki Bogu, pomyślała. Ktoś oderwie ją od tych ponurych rozważań.

Poderwała się, odgarnęła włosy z oczu. Odrzuciła przykrycie, wyskoczyła z łóżka i, potykając się, zbiegła po schodach.

– Już idę! Proszę zaczekać! – krzyknęła.

Otworzyła drzwi. W progu stały odświętnie wystrojone: mama, Mira i Livvy.

– Jest adwent – oznajmiła mama. – Zabieramy cię do kościoła.

– Może w przyszłą niedzielę – odpowiedziała Angie zmęczonym głosem. – Późno się wczoraj położyłam i nie spałam zbyt dobrze.

– To jasne, że źle spałaś – odezwała się Maria.

Angie zorientowała się, że natrafiła na ścianę, bo kiedy panie DeSaria wspólnie podjęły decyzję, nic jej nie mogło zmienić.

– W porządku – rzuciła.

W ciągu piętnastu minut wzięła prysznic, ubrała się i wysuszyła włosy. Kolejne trzy zajął jej makijaż. Potem już była gotowa do wyjścia.

O dziesiątej zatrzymały się na kościelnym parkingu.

Angie wysiadła z samochodu w ten zimny grudniowy poranek i cofnęła się w czasie. Była znów małą dziewczynką ubraną w białą sukienkę do pierwszej komunii... potem kobietą w bieli wystrojoną z okazji swojego ślubu... wreszcie córką w czerni oplakującą śmierć ojca. Tak wiele ważnych spraw wydarzyło się poniżej tych witrażowych okien.

Podeszły do trzeciego rzędu, gdzie stały już dzieci ustawione przez Vince'a i Sala według wzrostu. Angie usiadła obok mamy.

Przez godzinę wykonywała wyuczone za młodu ruchy i gesty: wstawiała, klęczała, siadała i znowu to samo.

Podczas modlitwy końcowej zdała sobie sprawę, że dokonała się w niej jakaś zmiana. Coś, co wytrącało ją z równowagi, wskoczyło na swoje miejsce. Uspokoila się.

Wiara towarzyszyła jej przez cały czas, miała ją we krwi, właśnie teraz to sobie uświadomiła. Poczula się silniejsza, bardziej bezpieczna. Po mszy wyszła na mroźne, rześkie powietrze i spojrzała na przeciwną stronę ulicy.

Searle Park. Karuzela, którą widziała we śnie, błyszczała w ostrym słońcu, które właśnie wyjrzało zza chmur. Bawiła się i dorastała w tym parku. Jej dzieciom też by się pewnie tu podobało.

Przeszła przez ulicę, a w uszach jej dźwięczało nigdy niewypowiedziane zdanie: „Popchnij mnie, mamó”.

Przysiadła na zimnej, chropowatej stali, zamknęła oczy i zaczęła rozmyślać o nieudanej adopcji, dzieciach, które się nie narodziły, o zmarłej przedwcześnie córeczce i rozpadzie małżeństwa.

Zaczęła płakać. Szloch rozrywał jej piersi, łamał serce, lecz gdy łzy już się skończyły i obeschły, wreszcie poczuła ulgę.

Spojrzała w bladoniebieskie niebo. Miała wrażenie, że ojciec gdzieś tu jest i ją wspiera, wyczuwała jakieś ciepło w tym zimnym powietrzu.

– Angie!

Wytarła oczy.

Mira biegła do niej z naprzeciwka, a długa spódnica plątała jej się między nogami. Gdy do niej dotarła, nie mogła złapać tchu w piersiach.

– Coś się stało?

– Wiesz co, właściwie nic. Już wszystko w porządku – odpowiedziała Angie z uśmiechem, który ją samą zaskoczył.

– Nie oszukujesz mnie?

– Nie.

Mira usiadła przy niej i zaczęła odpychać się stopami od ziemi. Karuzela ruszyła.

Angie odchyliła się do tyłu i wpatrzyła w niebo. Znowu się kręciła.

*

Lauren zbierała się na odwagę przez cały następny dzień. Kiedy dojechała do Mountainaire, było już ciemno. Bramę zamknięto, a budka strażnika wyglądała na pustą. Mężczyzna w beżowym uniformie wieszał lampki bożonarodzeniowe na wysokim metalowym ogrodzeniu, które otaczało osiedle.

Podeszła do budki i zajrzała przez okno do środka. Na krześle za biurkiem walały się pisma motoryzacyjne.

– W czym mogę pomóc?

To ten facet od lampek. Wyglądał na poirytowanego jej obecnością, a może po prostu tym, co robił.

– Przyszłam spotkać się z Davidem Haynesem.

– Czy spodziewa się pani?

– Nie – odpowiedziała ledwie słyszalnym głosem. Nic dziwnego. Zeszłego wieczoru impreza była strasznie głośna. Musieli krzyczeć do siebie, kiedy próbowali rozmawiać. A gdy David pojechał do domu, na wypadek gdyby rodzice wrócili, ona płakała do późna w poduszkę.

Lauren pokręciła głową, ale strażnik nie mógł tego zobaczyć. Ona sama w szybie widziała

głównie swoje odbicie: drobną, przestraszoną dziewczynkę z kręconymi rudymi włosami i piwnymi oczami pełnymi łez.

Zanim dotarła do domu Davida, kluczyła alejkami w górę i w dół, aż zaczęło padać. Żadna tam ulewa, raczej wilgotna mgiełka, która ziębiła policzki i utrudniała oddychanie.

Wreszcie znalazła się przed pełną majestatu rezydencją w georgiańskim stylu, która wyglądała jak jedna z bożonarodzeniowych pocztówek, jakie można kupić w Hallmarku. Doskonale miejsce na święta, ozdobione światełkami, imitacjami świeczek w oknach i wiecznie zielonymi gałązkami umocowanymi nad wejściem.

Minęła bramę przy parkingu i wzorzystą ścieżką ułożoną z kolorowych kamieni podeszła do drzwi frontowych. Światło zapaliło się automatycznie. Lauren nacisnęła dzwonek. Rozległa się muzyka symfoniczna, może Bach.

Otworzył pan Haynes. Miał na sobie spodnie khaki fachowo zaprasowane w kant i śnieżnobiałą koszulę. Jego fryzura była równie nieskazitelna jak opalenizna.

– Witaj, Lauren. Co za niespodzianka.

– Wiem, że już późno. Blisko wpół do ósmej. Powinam była zadzwonić. To znaczy dzwoniłam, ale nikt nie odbierał telefonu.

– I postanowiłaś przyjść.

– Państwo mieszkają dość daleko ode mnie, ale... koniecznie muszę się spotkać z Davidem.

– Nie przejmuj się. – Pan Haynes się uśmiechnął. – On jak zwykle siedzi przy tym cholernym komputerze i w coś gra. Na pewno ucieszy się na twój widok.

– Dziękuję panu. – Odetchnęła.

– Zaczekaj na dole. Przyślę do ciebie Davida.

Dywan wyściełający schody był gruby i miękki, zupełnie wyciszał kroki. Pokój natomiast olbrzymi i pięknie urządony. Wykładzina w kolorze lnu, olbrzymia kremowa, pokryta zamszem modułowa sofa, na niej złote i brązowoszare poduszki, obok stolik do kawy z jasnego marmuru. W bogato rzeźbionych drewnianych drzwiach umieszczony był telewizor plazmowy.

Lauren usiadła nieco sztywno na sofie i czekała. David pojawił się zniemacka; nie słyszała, jak wchodził. Podbiegł do niej i objął.

Przyłgnęła do niego.

Dałaby wszystko, by móc cofnąć czas, żeby nie mieć mu nic ważniejszego do powiedzenia nad to, że go kocha. Dorośli zawsze rozmawiają o błędach, o cenie, jaką trzeba zapłacić, jak się coś sfuserowało. Potrzebowała teraz dobrej rady.

– Kocham cię, Davidzie. – Wyczuła nutę desperacji w swoim głosie i aż się wzdrygnęła.

Chłopak zmarszczył brwi i odsunął się kawałek.

Nie spodobał jej się ten dystans.

– Zachowujesz się ostatnio dziwnie – powiedział i położył się na sofie. Przyciągnął Lauren do siebie. Ześlizgnęła się i przyklękła obok.

– Rodzice są w domu. Nie możemy...

– Tylko tata. Mama kwestuje gdzieś w centrum na cele charytatywne. – Znowu przyciągnął dziewczynę do siebie.

Chciała tego. Pragnęła go pocałować i pozwolić się dotykać, aż zupełnie się zatraci i zapomni o wszystkim...

Dziecko, przypomniała sobie.

Odsunęła go delikatnie i usiadła na piętach.

– Davidzie. – Wymówienie jego imienia najwyraźniej było wszystkim, co była zdolna powiedzieć, bo zaraz się zacięła.

– Co się dzieje? Przerażasz mnie.

Nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła płaczem.

Dotknął jej twarzy i otarł łzy.

– Nigdy wcześniej nie widziałem, jak płaczesz.

Wyczuła narastającą panikę w jego głosie. Nabrała głęboko powietrza w płuca.

– Pamiętasz mecz w Longview? Wygrana na własnym boisku, którą uznano za mecz roku?

– Tak, dwadzieścia jeden do siedmiu. – David był wyraźnie zmieszany.

– Miałam na myśli co innego.

– Co takiego?

– Po meczu poszliśmy do Rocca na pizzę, a potem do parku.

– Tak. Do czego zmierzasz, Lo?

– Miałaś samochód swojej mamy – powiedziała łagodnie i przypomniała sobie wszystko z detalami. To, jak rozłożył siedzenie, wyjął niebieski pled i szenilową poduszkę. Pamiętał o wszystkim, z wyjątkiem najważniejszego.

Prezerwatywy.

Zaparkowali na skraju plaży pod starymi cedrami. Księżyc w pełni spoglądał na nich z góry, oświetlał tajemniczo. W radiu leciał utwór Savage Garden's *Truly, Madly, Deeply*.

On też zapamiętał ten wieczór. Spostrzegła, jak wspomnienia odmalowują różne uczucia na jego twarzy. Dobrze wiedziała, kiedy przypomniał sobie ten moment. Ze strachu zwęziły mu się oczy. Odchylił się do tyłu.

– Pamiętam.

– Jestem w ciąży.

Wydał z siebie dźwięk, który ranił jej serce, westchnienie, które przeszło w milczenie.

– Nie. – Zamknął oczy. – Ja pierdolę!

– Jak sądzę, zdefiniowaliśmy problem. – Poczowała, jak odsuwa się od niej, co zabolę ją bardziej, niż myślała. Próbowwała przygotować się na każdą reakcję, ale jeśli miałby przestać ją kochać, to tego by nie zniosła.

Powoli otworzył oczy. Spojrzał na nią tępym wzrokiem.

– Jesteś pewna?

– W stu procentach.

– Och – powiedział cicho i choć wyglądał na oszołomionego, próbował się uśmiechnąć i zdjąć trochę ciężaru z barków Lauren.

– Co teraz? – zapytał wreszcie.

Nie patrzyła na niego. Wydawało jej się, że był o krok od płaczu. Nie chciała widzieć jego łez.

– Nie wiem.

– Czy mogłabyś... zrobić... no wiesz?

– Skrobanę. – Zamknęła oczy, czuła, jak w środku coś ją rozrywa na strzępy. Łzy napłynęły do oczu, ale się pohamowała. Ta sama myśl towarzyszyła przecież i jej. Dlaczego więc tak bolało, kiedy słyszała, co proponuje. – Tak, to pewnie jest wyjście.

– Tak – przytaknął szybko. – Zapłacę za zabieg. I pojedę z tobą.

Poczowała, że powoli tonie.

– W porządku. – Nawet ona słyszała, jak głucho zabrzmiał jej głos.

*

Lauren patrzyła przez okno na zamazany zielono-złoty krajobraz i starała się nie myśleć,

dokąd jedzie i co zamierza zrobić. David siedział obok niej z rękami na kierownicy. Nie odzywali się do siebie już blisko godzinę. O czym można było rozmawiać? Jechali, by... zająć się tym.

Zadrżała na samą myśl o tym, ale co mogła zrobić?

Droga z West Endu do Vancouver zdawała się trwać wiecznie, a z każdym kilometrem dziewczyna była bardziej spięta. Zabieg dałoby się wykonać bliżej domu, ale David nie chciał ryzykować, że go ktoś zobaczy. Jego rodzina przyjaźniła się z wieloma lekarzami z okolicy.

Wreszcie dojechali. Lauren spodziewała się, że przed kliniką będą stali członkowie organizacji Pro-life z transparentami, na których wypisane są straszne rzeczy i pokazane zdjęcia, od których serce się kraje. Ale dzisiaj było pusto i spokojnie. Może protestującym nie chciało się wychodzić w taki przejmująco zimny dzień.

Zamknęła oczy i starała się przetrwać narastającą panikę.

– Wszystko w porządku? – David dotknął jej po raz pierwszy. Ręka mu drżała i była zimna; dziwne, jego niepokój dodał sił Lauren.

Kochała go za to, że był tu z nią i że odwzajemniał jej uczucie. Chciała coś powiedzieć, ale gardło miała ściśnięte. Kiedy zaparkowali, ciężar decyzji, jaką podjęła, zdawał się ją przytłaczać. Przecież ona nie „zajmowała się” czymkolwiek, ona postanowiła dokonać aborcji.

Przez krótką, przerażającą chwilę nie mogła się ruszyć. David obszedł samochód i otworzył drzwi. Chwyliła się kurczowo jego dłoni.

Razem, krok za krokiem, zbliżali się do kliniki. Nie była w stanie się skupić.

Weszli do środka.

Poczekalnia była pełna kobiet, głównie młodych, w większości siedzących samotnie. Miały pochylone głowy w geście modlitwy lub rozpacz, a kolana zaciśnięte. Spóźniony żal. Niektóre udawały, że przeglądają pisma, inne nie zadawały sobie tego trudu, tylko czekały na cokolwiek, by móc zmienić zdanie i wycofać się stąd. David był jedynym przedstawicielem płci męskiej w tym gronie.

Lauren poszła się zarejestrować, a gdy wróciła, usiadła na pustym krześle z plikiem dokumentów w ręku, które zaczęła wypełniać. Kiedy skończyła, zaniósła je z powrotem do rejestracji do przejrzania.

– Masz siedemnaście lat? – usłyszała pytanie.

Zaczęła panikować. Miała zamiar skłamać, że jest starsza, ale nerwy sprawiły, iż nie wyszło to zbyt zręcznie.

– Niedługo skończę osiemnaście. – Ściszyła głos. – Czy powinnam mieć zgodę mamy na... zabieg?

– W stanie Waszyngton nie wymagamy tego. Chciałam się tylko upewnić, ile masz lat, bo wyglądasz młodziej.

– Aha. – Kiwnęła głową z ulgą.

– Usiądź – powiedziała kobieta. – Zawołamy cię.

Lauren wróciła na miejsce, David usiadł koło niej. Trzymali się za ręce, ale nie patrzyli na siebie. Bała się, że się rozplacze, jeśli to zrobi. Zerknęła na broszurkę leżącą na stole, zostawioną najpewniej przez którąś z pechowych siedzących tu wcześniej dziewczyn.

„Zabieg nie powinien trwać dłużej niż piętnaście minut...

...rekonwalescencja ze zdolnością do pracy od dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin...

...minimalny dyskomfort...”.

Zamknęła broszurkę i odłożyła na bok. Była młoda, ale instynktownie czuła, że niepokój nie wynikał z tego, czy będzie bolało albo że będzie się długo goiło, nie chodziło też o czas trwania zabiegu.

Podstawowe pytanie brzmiało: Czy będzie potrafiła potem z tym żyć?

Położyła rękę na brzuchu. W środku było życie.

Życie.

Łatwiej było nie myśleć o ciąży w ten sposób, prościej udawać, że zabieg, który nie trwa nawet piętnastu minut, usuwa problem wraz z dzieckiem. Ale jeśli nie? A jeżeli będzie oplakiwać to dziecko przez resztę życia? Jeżeli będzie się czuć zbrukana na zawsze tym, co zrobi dzisiaj?

Spojrzała na Davida i zapytała:

– Jesteś tego pewny?

Zbladł.

– A jaki mamy wybór?

– Nie wiem.

Do poczekalni weszła kobieta z tabliczką, na której widniały imiona. Wyczytywała je kolejno:

– Lauren. Sally. Justine.

– Kocham cię. – David ścisnął jej rękę.

Cała się trzęsła, wstając. Podniosły się również dwie inne dziewczyny.

Lauren posłała chłopakowi ostatnie, natarczywe spojrzenie i poszła za ubraną na białą pielęgniarką.

– Justine, pokój numer dwa – powiedziała kobieta i zatrzymała się na moment przed zamkniętymi drzwiami.

Przeżrana nastolatka otworzyła je, weszła do środka i zamknęła za sobą.

– Lauren, pokój numer trzy – odezwała się ponownie pielęgniarka, otwierając kolejne drzwi. – Włóż na siebie ten fartuch i czepek.

Tym razem to Lauren była przestraszona dziewczyną, która musiała wejść do pokoju. Zdjęła ubranie i włożyła na siebie biały bawełniany strój do zabiegu i papierową czapkę. Nie mogła nie zauważyć ironii sytuacji: kapturek i sukienka. Nie wyobrażała sobie, że to tak wygląda. Przysiadła na krawędzi stołu zabiegowego.

Srebrzyste szafki i blaty sprawiły, że się wzdrygnęła; lśniły zbyt intensywnie blaskiem wzmocnionym przez lampę wiszącą powyżej.

Drzwi się otworzyły. Do sali wkroczył wiekowy pan w czepku i z dyndającą u szyi maską. Wyglądał na zmęczonego, steranego życiem.

– Dzień dobry – powiedział i spojrzał na kartę pacjenta: – Lauren. Usiądź tam, oprzyj się wygodnie plecami i włóż nogi w pętle. Rozluźnij się.

Weszła kolejna osoba.

– Cześć, Lauren. Mam na imię Martha. Będę asystowała przy zabiegu. – Podała dziewczynie rękę na przywitanie.

Lauren poczuła, jak łzy napływają jej do oczu; wszystko stało się zamazane.

– Za kilka minut będzie po wszystkim – oznajmiła pielęgniarka.

Po wszystkim.

Za kilka minut.

Nie będzie dziecka.

Zabieg.

Już wiedziała, postanowiła. Usiadła wyprostowana.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała i czuła, jak łzy spływają jej po policzkach. – Nie mogłabym z tym żyć.

Doktor westchnął ciężko. Jego zmęczone smutne oczy mówiły wymownie, jak wiele razy był świadkiem takiej sceny.

– Jesteś pewna? – Sprawdził coś w karcie. – Masz czas na przeprowadzenie zabiegu do...
– Aborcji – wtrąciła Lauren. Wymówiła po raz pierwszy na głos to słowo, które zdawało się ranić język.

– Tak, aborcji – kontynuował lekarz. – A więc masz czas na ostateczną decyzję do...
– Rozumiem, ale zdania nie zmienię. – Po raz pierwszy w ciągu tych ostatnich dni była czegoś pewna, i to absolutnie. Ta decyzja ją uspokoiła. Zdjęła czepek.

– W porządku. Powodzenia – powiedział i wyszedł.
– Świadome Rodzicielstwo może pomóc ci, gdybyś zdecydowała się oddać dziecko do adopcji... jeśli oczywiście jesteś tym zainteresowana – poinformowała ją pielęgniarka i nie czekając na odpowiedź, opuściła pokój.

Lauren została sama. Mimo skomplikowanych emocji, jakie odczuwała, miała poczucie, że podjęła słuszną decyzję. Inaczej nie zaznałaby spokoju. Generalnie uważała, że kobieta ma prawo wyboru, co zrobić w takiej sytuacji. Jej był taki.

Ześlizgnęła się ze stołu i zaczęła ubierać.

Zachowała się właściwie. To wiedziała na pewno.

Ale co powie David?

*

Parę godzin później siedzieli razem na kremowej sofie w pokoju u niego w domu. Na piętrze toczyło się normalne życie, tutaj na dole panowała kompletna cisza. Trzymała go za rękę tak kurczowo, że aż zdrętwiały jej palce. Nie mogła przestać płakać.

– Pobierzemy się, jak sądzę – powiedział bez entuzjazmu.

Przegrana w głosie Davida zabolą ją bardziej niż cokolwiek dotychczas. Obróciła się do niego i objęła. Poczula łyzy na swojej szyi, jego łyzy, a każda paliła jak ogień. Cofnęła nieco głowę, żeby mu się przyjrzeć. Wyglądał na... załamanego. Starał się bardzo zachowywać jak dorosły, ale oczy zdradzały młody wiek. Były rozszerzone ze strachu, a wargi mu drżały. Lauren dotknęła jego wilgotnego policzka.

– To, że jestem w ciąży, nie oznacza...

David wyrwał się z jej objęć i zawołał:

– Mamo!

Pani Haynes stała w drzwiach w supereleganckim czarnym spodniemie i śnieżnobiałej bluzce. Na wyprostowanej ręce trzymała pizzę.

– Tata zadzwonił do mnie. Pomyślał, że może będziecie mieli ochotę coś przegryźć – odezwała się zdławionym głosem, patrząc na Davida. Potem się rozpląkała.

20

Lauren nie przypuszczała, że można się czuć jeszcze gorzej. Kiedy siedziała tego wieczoru na eleganckim białym krześle w salonie nieopodał kominka, żeby było jej cieplej, zrozumiała, jak bardzo się myliła. Widok płaczącej pani Haynes był nie do zniesienia. Reakcja Davida na łzy matki jeszcze bardziej. W trakcie całego zamieszania pełnego krzyków, sprzeczek, rozmów i płaczu dziewczyna starała się nie odzywać.

Wszystko przedstawiało się tak, jakby to, co się stało, było wyłącznie jej winą.

W głębi duszy czuła, że to nieprawda. Oboje mieli w tym swój udział, a przecież mama wiele razy jej przypominała, żeby zawsze miała kondomy w torebce. „Żaden facet nie myśli sensownie, jak mu twardnieje, mawiała wielokrotnie, ale to ty zaliczysz trafienie”. Tak brzmiało ogólne podsumowanie matczynych uwag na temat seksu. Szkoda, że Lauren nie słuchała.

– Mam znajomości w Los Angeles i San Francisco – oznajmił pan Haynes. Tarmosił włosy ręką, doszczętnie rujnując sobie fryzurę. – Wspaniali lekarze. I dyskretni. Nikt się o tym nigdy nie dowie.

Roztrząsali tę kwestię od dziesięciu minut. Po wielokrotnym biciu się w piersi i uwagach typu jak-mogłaś-być-tak-nieostrożna, wreszcie zadali to genialne pytanie: Co teraz?

– Już próbowała – powiedział David.

– W Vancouver – uzupełniła Lauren ledwie słyszalnym głosem.

Pani Haynes długo jej się przypatrywała. Wreszcie usiadła, a raczej padła na krzesło.

– Jesteśmy katolikami – stwierdziła.

Dziewczyna była wdzięczna choćby za tę odrobinę zrozumienia.

– Tak – odezwała się. – To... chodziło o coś więcej. – Nie dodała na głos słowa „dziecko” czy „życie”, ale było ono tak obecne i rzeczywiste jak meble w salonie czy dźwięki muzyki dolatujące z drugiego pokoju.

– Poprosiłem Lauren, by za mnie wyszła – oznajmił David.

Widziała, jak bardzo starał się być silny, i kochała go za to, ale dostrzegała również, jak niewiele dzieli go od załamania, i nienawidziła siebie. Stopniowo zaczynała zdawać sobie sprawę, ilu rzeczy David będzie musiał się wyrzec. Jakim cudem miłość po takich poświęceniach może przetrwać?

– Jesteście za młodzi, by się pobierać. Na Boga, wytłumacz im, Anito.

– Jesteśmy również za młodzi, żeby mieć dziecko – powiedział David. Po czym znowu zapadła cisza.

– Istnieje jeszcze adopcja – odezwała się pani Haynes.

David spojrział na dziewczynę.

– To prawda, Lauren. Są ludzie, którzy by je pokochali.

Nadzieja w jego głosie przygniotła ją do reszty. Łzy napłynęły jej do oczu. Chciała zaprotestować, powiedzieć, że ona też pokochałaby to dziecko. Jej dziecko. Ich dziecko. Ale nie miała siły wydobyć głosu.

– Zadzwoń do Billa Talbota – odezwał się pan Haynes. – Na pewno da mi jakieś namiary. Znajdziemy parę, która zapewni dziecku dobry dom.

Jego słowa brzmiały tak, jakby był właścicielem psa, który ma do oddania szczeniaka.

Pani Haynes patrzyła, jak jej mąż wychodzi z pokoju, po czym westchnęła i pochyliła

głowę.

Lauren spochmurniała. Zachowywali się tak, jak gdyby decyzja została już podjęta.

David podszedł do niej. Nigdy nie widziała takiego smutku w jego oczach. Chwycił ją za rękę i uściśnął. Czekala, aż coś powie; rozpaczliwie chciała usłyszeć „kocham cię”. Ale on milczał.

Co można było dodać? Nie istniał plan B, żadna droga, która nie wiodłaby ich wszystkich, a zwłaszcza Lauren, przez cierpienie. Nie była w stanie jeszcze podjąć decyzji.

– Chodźmy – zwróciła się do niej pani Haynes i wstała.

– Mogę ją odwieźć do domu, mamó.

– Ja to zrobię. – W jej głosie zabrzmiała stanowczość, nieuznająca sprzeciwu.

– W takim razie pojedziemy we trójkę – oznajmił David i ujął rękę Lauren.

Skierowali się do garażu, gdzie czekał na nich lśniący, czarny cadillac escalade.

Świadek zbrodni.

Chłopak otworzył przednie drzwi od strony pasażera. Lauren chciała zaprotestować, nie miała ochoty tam siadać, ale pomyślała, że może się to wydać niegrzeczne. Z westchnieniem zajęła miejsce. Z odtwarzacza CD niemal natychmiast popłynęła muzyka. Tęskna, zapadająca w serce melodia *Hotelu California* wypełniła wnętrze auta.

David poradził matce, by pojechała drogą ekspresową na zachód, i potem już się nie odzywał. Z każdą minutą milczenia Lauren czuła, jak coraz bardziej ściska ją w żołądku. Miała niedobre przeczucie, że pani Haynes chce poznać jej matkę, i to jest główny powód, dla którego odwozi ją do domu.

Co mogłaby na to odpowiedzieć? Zanim dotrą do mieszkania, będzie już pewnie północ.

– Mama wyjechała z miasta w interesach – skłamała w pośpiechu i poczuła się paskudnie.

– Sądziłam, że twoja mama jest fryzjerką – powiedziała Anita Haynes.

– Jest nią. Pojechała na zjazd. Jedno z takich zgromadzeń, na których pokazują wszelkie nowe produkty. – Dziewczynie przypomniało się, jak szefowa jej matki czasami wyjeżdżała na takie spotkania.

– Rozumiem.

– Może mnie tu pani wysadzić – oznajmiła Lauren.

– Przy Safewayu? – Pani Haynes zmarszczyła brwi. – Nie sądzę.

Dziewczyna z trudem przełknęła ślinę. Nie wiedziała, co wymyślić. Z tylnego siedzenia David podawał wskazówki, jak dojechać.

Zaparkowali na wprost niszczonego budynku. W świetle księżycy wyglądał jak jedno z tych opisywanych w powieściach przez Roalda Dahla miejsc, gdzie mieszkają biedne, budzące współczucie dzieci.

Chłopak wysiadł pierwszy. Jego matka, zachmurzona, zablokowała drzwi.

Lauren aż podskoczyła na ten dźwięk.

– Tutaj mieszkasz?

– Tak.

Zaskakujące, ale twarz pani Haynes złagodniała. Westchnęła ciężko.

David próbował otworzyć drzwi.

– On jest naszym jedynym dzieckiem – odezwała się. – To był cud, że się urodził. Może za bardzo go kocham. Macierzyństwo... zmienia cię w jakiś sposób. Zawsze chciałam, żeby był szczęśliwy, żeby miał wszystko, czego ja nie miałam. – Spojrzała na Lauren i kontynuowała: – Jeśli się pobierzecie i zatrzymacie dziecko... – Głos jej się załamał. – Takie życie jest ciężkie. Bez pieniędzy, wykształcenia, nawet gorzej niż ciężkie. Wiem, jak bardzo kochasz Davida. Widzę to. I on jest w tobie zakochany. Wystarczająco, by zrezygnować ze swoich marzeń

i planów. Powinnam pewnie być z niego dumna. – Ostatnie zdanie wypowiedziała łagodnie, ale bez przekonania.

Chłopak dobijał się do okna.

– Otwórz drzwi, mamo!

Lauren zrozumiała doskonale, co pani Haynes miała na myśli. „Jeśli naprawdę kochasz Davida, nie chcesz, by zrujnował sobie życie”.

Dziewczynie też to chodziło po głowie i nie dawało spokoju. Jeśli zależało mu na niej tak bardzo, by wszystko rzucić, czy jej z tego samego powodu nie powinno zależeć, by tego nie robił?

– Jeśli chciałabyś o tym porozmawiać, możesz wpaść, kiedykolwiek zechcesz.

Propozycja zaskoczyła Lauren.

– Dziękuję.

– Przekaż mamie, że jutro do niej zadzwonię.

Nawet nie próbowała wyobrazić sobie, jak wyglądałaby ta rozmowa.

– Dobrze.

Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć, więc odblokowała zamek w drzwiach, otworzyła je i wysiadła.

– Co ona ci naopowiadała? – zapytał David.

Lauren patrzyła na niego i przywołała obraz jego matki, która płakała cicho i przejmująco, jakby wszystko w niej pękało.

– Powiedziała, że cię kocha.

Twarz mu się skurczyła, gdy to usłyszał.

– Co my teraz zrobimy?

– Nie wiem.

Stali i patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

– Lepiej już pójdę – powiedział w końcu David.

Skinęła głową. Kiedy pocałował ją na dobranoc, z trudem powstrzymała się od przytulenia. Wymagało to z jej strony ogromnej siły woli, by pozwolić mu odejść.

*

Lauren zastała matkę siedzącą na sofie w salonie i palącą papierosa. Była zdenerwowana i roztrzęsiona.

– Chciałam tam pójść dzisiaj z tobą – odstawiła drinka na podłogę.

– Tak. A co się stało?

Pani Ribido sięgnęła po szklankę. Ręka jej drżała.

– Wskoczyłam do minimarketu po papierosy. W drodze powrotnej natknęłam się na Neddie. The Tides był otwarty, wstąpiłyśmy na jednego. Musiałam się napić... no wiesz... a kiedy spojrzałam na zegarek, było już za późno. – Zaciągnęła się głęboko i spojrzała na córkę poprzez szarą mgiełkę dymu. – Źle wyglądasz. Może usiądź na chwilę. Przynieść ci aspirynę?

– Wszystko w porządku.

– Tak mi przykro, Lauren – powiedziała łagodnie.

Dziewczyna po raz pierwszy wyczuła szczere współczucie w głosie matki.

– Jest okej. – Schyliła się i zaczęła zbierać opakowania po pizzy i papierosach z podłogi.

– Wygląda, że ty i Jake dobrze się wczoraj bawiliście.

Kiedy spojrzała w górę, zobaczyła, że matka płacze. Ta drobna oznaka uczuć ogrzała jej serce.

– Ze mną wszystko w porządku, nie ma powodu do płaczu. – Lauren podeszła do niej

i przyklęła koło sofy.

– On chce mnie opuścić.

– Co?

– Całe moje życie jest do niczego. Starzeję się. – Matka zdusiła niedopałek w popielniczce i zapaliła kolejnego papierosa.

Zabolało mocniej niż policzek. Nawet teraz, tego cholernego dnia, jej matka myśli wyłącznie o sobie. Dziewczyna przełknęła ślinę i odsunęła się od niej. Zajęła się na powrót zbieraniem śmieci. Z trudem powstrzymywała łzy.

– Nie zrobiłam tego – oświadczyła spokojnie.

Matka spojrzała na nią. Miała przekrwione, podkrążone oczy, tusz jej się rozmazał.

– Co?! – Minutę zajęło, zanim dotarło do niej, co Lauren miała na myśli. – Powiedz, że żartujesz.

– Nie żartuję. – Próbowwała być silna, ale czuła, że się rozkleja. Nagle zakłuło ją serce. Wiedziała, że to niemożliwe, idiotyczne, ale zapragnęła, by matka mocno ją przytuliła i powiedziała: „Wszystko dobrze, kotku”. – Nie mogłam tego zrobić. To ja muszę zapłacić za swój błąd, nie...

Spojrzała na swój brzuch.

– Dziecko – odezwała się zimno matka. – Nawet nie potrafisz wymówić tego słowa.

Lauren zrobiła krok do przodu.

– Jestem przerażona, mamó. Boję się.

– Powinnaś być. Popatrz na mnie. Rozejrzyj się wokół. – Pani Ribido wstała, przeszła przez pokój i zamasyście rozłożyła ręce. – Czy takiego życia pragniesz? Po to uczyłaś się jak głupia? Stracisz rok w college’u, wiesz o tym? A jeśli nie dostaniesz się teraz, nie dostaniesz się nigdy.

Złapała córkę za ramiona i potrząsnęła.

– Będziesz taka jak ja. Mimo całego wysiłku, jaki włożyłaś. Czy tego chcesz, naprawdę?

Lauren uwolniła się i cofnęła.

– Nie – zaprzeczyła słabym głosem.

– Jeśli nie mogłaś zdobyć się na aborcję, jakim cudem zdołasz oddać dziecko do adopcji? Albo je wychować? Wracaj jutro do kliniki. Tym razem pójdę z tobą. Daj sobie szansę w życiu. – Pani Ribido westchnęła ciężko. Jej gniew gdzieś się ulotnił. Odgarnęła włosy z oczu Lauren i założyła pasemko za ucho. To był chyba najczulszy gest, na jaki potrafiła się zdobyć.

Czułość była gorsza od krzyku.

– Nie mogę.

– Łamiesz mi serce – powiedziała do córki przez łzy.

– Nie mów tak.

– A co jeszcze mogę dodać. Już podjęłaś decyzję. W porządku. Próbowalam. – Schyliła się i podniosła torbę. – Muszę się napić.

– Nie wychodź, proszę.

Pani Ribido skierowała się do drzwi. W połowie drogi się odwróciła.

Lauren stała i płakała. W oczach miała nieme błaganie.

– Przykro mi – powiedziała matka.

I wyszła.

*

Rano po prawie bezsennej nocy obudziły Lauren dźwięki muzyki dolatującej zza ściany. CD Bruce’a Springsteena.

Podniosła się powoli. Przecierała zapuchnięte i zaspane oczy.

Najwyraźniej impreza przedłużyła się mamie do rana. Nic nowego. Trzeba przyjąć to ze zrozumieniem. Skoro siedemnastoletnia córka dała sobie zrobić dzidziusia, nie było nic lepszego do roboty, jak iść się zabawić.

Z westchnieniem ześlizgnęła się z łóżka, powlokła do łazienki i wzięła długi, gorący prysznic. Kiedy skończyła, stanęła na postrzępionym skrawku ręcznika, który służył za matę łazienkową, i obejrzała swoje nagie ciało w lustrze.

Jej piersi zdecydowanie się powiększyły. Sutki może też, ale tego nie była pewna, bo nigdy dokładnie im się nie przyglądała.

Obróciła się bokiem.

Brzuch miała płaski jak zwykle. Nie było widać śladu życia, które się w nim rozwijało.

Owinęła się ręcznikiem i wróciła do sypialni. Posłała łóżko, ubrała się w mundurek szkolny, czerwony sweterek z kołnierzykiem, spódnicę w kratę, białe rajstopy i czarne buty na płaskiej podeszwie. Wyłączyła światło i wyszła z sypialni.

W salonie się zatrzymała. Zmarszczyła brwi.

Coś było nie tak.

Popielniczki stały puste i czyste. W zlewie nie było szklanek z niedopitym piwem. Brakowało starego, purpurowego afgańskiego dywanu, który wisiał nad sofą.

Zniknął.

Niemożliwe. Nawet mama by tego nie zrobiła...

Usłyszała dźwięk zapalanego silnika; był to gardłowy warkot harleya davidsona, który trudno było z czymkolwiek pomylić.

Lauren podbiegła do okna i jednym szarpnięciem odsunęła lichą zasłonkę.

Mama właśnie sadowiła się za plecami Jake'a na motocyklu. Spojrzała w górę na córkę.

Dziewczyna dotknęła szyby palcami.

– Nie...

Powoli, jakby trudnośc sprawiało jej podniesienie ręki, matka pomachała jej na pożegnanie.

Motor z rykiem ruszył ulicą, skręcił za rogiem i zniknął z pola widzenia.

Lauren długo tkwiła przy oknie wpatrzona w pustą ulicę, czekając na ich powrót.

Kiedy wreszcie się odwróciła, dostrzegła kopertę na stoliku do kawy.

Wiedziała, co to jest.

Podniosła ją i otworzyła. Na kartce napisane było niebieskim tuszem tylko jedno słowo: „Przepraszam”.

A Boss nadal śpiewał: „Kotku, urodziliśmy się, by uciekać...”.

21

Angie wykręcała numer domowy Lauren już po raz trzeci.

– Wciąż nie odpowiada? – zapytała mama, wychodząc z kuchni.

– To niepodobne do niej, żeby nie przyjść do pracy. Zaczynam się niepokoić. – Angie zbliżyła się do okna i obserwowała ulicę.

– Dziewczyny w jej wieku czasem nawalają. Jestem pewna, że nic się nie stało.

– Może powinnam tam pojechać...

– Szefowa nie pojawia się tak po prostu. Lauren nie było raptem jeden wieczór. Pewnie poszła gdzieś z chłopakiem na piwo.

– Wcale mnie nie uspokoiłaś, mamó.

Pani DeSaria podeszła do córki.

– Będzie jutro w pracy. Zobaczysz. Chodź ze mną do domu. Napijemy się wina.

– Trzymam cię za słowo, ale dzisiaj nie mogę, chcę kupić choinkę. Właściwie już muszę lecieć, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Tata... cieszyłby się, gdyby mógł zobaczyć, jak udekorowałaś domek na święta.

Angie wyczuła tęsknotę w głosie matki i nie dziwiła się. Było to pierwsze Boże Narodzenie bez taty. Objęła ją i przytuliła.

– Zróbmy tak, mamó. W środę weźmiemy sobie dzień wolny. Pojedziemy na zakupy, zjemy lunch, wrócimy do domu i ubierzemy choinkę. Nauczysz mnie, jak się robi tortellini.

– Tortellini będzie dla ciebie za trudne. Zaczniemy od czegoś prostszego, może od tapenady. Potrafisz korzystać z blendera?

– Bardzo śmieszne.

– Dziękuję. – Mama uśmiechnęła się czule.

Stały przez chwilę przytulone i wpatrzone w mrok. W końcu Angie pożegnała się, chwyciła płaszcz i wyszła z restauracji.

Główny plac miasteczka tej zimnej, pochmurnej nocy przypominał ul. Dziesiątki wytrwałych turystów kręciło się po centrum, zachwycając się mnóstwem światełek rozwieszonych po mieście. Na końcu ulicy grupa kołędników ubrana w czerwono-zielone aksamitne stroje śpiewała *Cichą noc*. Przyjezdni i miejscowi zgromadzili się wokół nich i słuchali. Tych ostatnich można było poznać po torbach z zakupami. Powóz ciągnięty przez konie turkotał na bruku i dzwonił dzwoneczkami. Ceremonia zapalania pierwszych lampek na choince z pewnością się udała; w przyszłym tygodniu może być nawet więcej turystów. Przyjadą specjalnymi autobusami, a miejscowi będą narzekać, że zamieniają miasto w Disneyland i że trzeba za wszelką cenę stąd wyjechać. W restauracji będą tłumy przez cały tydzień.

Zaczęło padać, zanim Angie dojechała do kiermaszu świątecznego. Nałożyła kaptur na głowę i przeszła szybkim krokiem na drugą stronę ulicy.

Była to kraina czarów pełna drzewek, dekoracji i lampek. Angie zatrzymała się naprzeciwko smukłej, szlachetnie wyglądającej jodły obwieszanej złotymi i srebrnymi ozdobami. Każda z nich była inna. Anioły i Święte Mikołaje. I malutkie dzwoneczki z kolorowego szkła.

Przypomniało jej to kolekcję, jaką zainicjował wiele lat temu Conlan, kiedy kupił niewielkie cacuszko z Holandii, na którym napisane było: „Nasza pierwsza Gwiazdka”. Każdego roku dodawał nowe.

– Hej, Angie. – Usłyszała śpiewny kobiecy głos.

Rozejrzała się, przetarła oczy i zobaczyła właścicielkę sklepu, Tillie, która wyszła zza stanowiska z kasą. Ubrana była w czerwony strój Pani Mikołajowej, który nosiła już wtedy, gdy Angie była jeszcze dzieckiem.

– Doszły mnie słuchy, że zatrząsałaś w posadach rodzinną restauracją i że twoja mama jest tak z ciebie dumna, iż lada moment pęknie.

Angie próbowała się uśmiechnąć. Tak się żyło w West Endzie. Wszyscy byli świetnie poinformowani o bieżących wydarzeniach.

– Bawi ją wypróbowywanie nowych przepisów.

– Kto by pomyślał? Najlepiej zrobię, jak sama sprawdzę. Może po świętach wpadnę.

A teraz, czy mogę pomóc ci coś wynaleźć?

Angie się rozejrzała.

– Potrzebuję kilku ozdób.

Tillie kiwnęła głową.

– Słyszałam, że się rozwiódłaś. Przykro mi.

– Dziękuję.

– Coś ci powiem. Wróc za dziesięć minut. Będę miała piękne drzewko dla ciebie. Po kosztach.

– Och, nie mogłabym...

– To nic wielkiego. Zaprosisz nas kiedyś na obiad.

Angie skinęła głową. Tata zawsze w ten sposób załatwiał interesy w West Endzie.

– Lecę po choinkę i wracam piorunem.

Godzinę później jechała do domku z drzewkiem przymocowanym do dachu samochodu, pudełkiem pełnym ozdób choinkowych na tylnym siedzeniu i opakowaniem białych lampek świątecznych na przednim. Zajęło jej to więcej czasu niż zwykle, bo drogi były oblodzone. Z głośników leciał *Jingle Bell Rock*.

Potrzebowała czegoś, co poprawia nastrój. Myśl, że sama kupiła choinkę, sama ją ustawi, udekoruje i jeszcze sama będzie się nią cieszyć, była nieco depresyjna.

Zaparkowała przed domkiem i wyłączyła silnik. Wysiadła z auta, stanęła obok i popatrzyła na drzewko. Było wyższe, niż przypuszczała. Białe płatki śniegu padały jej na twarz niczym pocałunki.

No tak.

Wzięła z garażu parę rękawic ogrodowych ojca i zabrała się do zdejmowania choinki z dachu. Zanim skończyła, zaliczyła dwa upadki, miała podrapany gałęzią nos, a samochód rysy na lakierze.

Mocno zacisnęła rękę na pniu i zaczęła go ciągnąć w stronę domku. Była już prawie na progu, gdy nadjechało auto.

Reflektory zaświeciły jej prosto w oczy. W smugach światła widać było płatki śniegu niespiesznie opadające na dół.

Upuściła choinkę i się wyprostowała. To pewnie Mira przyjechała jej pomóc.

Nie ma jak siostry.

– Hej – odezwała się Angie, mrużąc oczy. – Oślepiasz mnie.

Zamiast zgasić reflektory, ktoś, kto siedział za kierownicą, otworzył drzwi. Głos Micka Jaggera popłynął w ciemność nocy. Kierowca wysiadł.

– Mira? – Angie zmarszczyła brwi, cofnęła się o krok i pomyślała, że jest sama na tym odludziu...

Ten ktoś ruszył ku niej po miękkim śniegu.

Dostrzegła wreszcie twarz i zaczerpnęła powietrza w płuca.

– Conlan!

Podszedł bliżej, tak że mogła poczuć jego ciepły oddech na swojej twarzy.

– Cześć, Angie!

Nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć. Kiedyś, lata temu, rozmowa była wartka jak strumień, dzisiaj wygląda na to, że wysechł.

Angie znów przypomniła sobie słowa Diane: „Dwa razy w tym roku weszłam do jego pokoju i zastałam go płaczącego”.

Skoro żona przegapia taki moment w życiu męża, to co może powiedzieć później?

– Cieszę się, że cię widzę.

– Piękna noc...

Odezwali się równocześnie, po czym roześmieli z zakłopotaniem i znowu pograżyli się w milczeniu. Czekala, aż się odezwie, ale tego nie zrobił.

– Zamierzałam wnieść choinkę do domku.

– Zauważyłem.

– Kupiłeś drzewko w tym roku?

– Nie.

Posmutniał na twarzy. Nie powinna go o to pytać.

– Jak widzę, nie palisz się, by mi pomóc dźwigać tę jodłę.

– Chyba wolę popatrzeć, jak sobie z nią poradzisz.

– Masz prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a ja jestem ze dwadzieścia centymetrów niższa od ciebie. Bierz tę choinkę i ją wnieś.

Zaśmiał się i schylił, żeby wykonać polecenie.

Poszła przodem i otworzyła drzwi.

Potem razem umieścili drzewko w stojaku.

– Przesuń troszkę w lewo – poprosiła, bo chciała, by jodła stała prosto.

Conlan chrząknął i zanurkował z powrotem pod igliwie.

Angie stoczyła walkę ze smutkiem. Powróciła fala wspomnień. Gdy tylko choinka stała jak trzeba na swoim miejscu, postanowiła być miła i zajęła się gościem.

– Przyniosę wino – powiedziała i poszła do kuchni.

Kiedy została sama, zaczęła głęboko oddychać.

Samo patrzenie na niego bolało.

Nalała dwa kieliszki czerwonego wina, jego ulubionego, i wróciła do salonu. Conlan stał przy kominku i patrzył na nią. W czarnym swetrze, wytartych lewisach, z ciemnymi włosami wymagającymi podcięcia wyglądał bardziej na starzejącą się gwiazdę rocka niż cenionego reportera.

– No i co dalej? – zapytał, gdy podała mu wino, i usiadł na sofie. – Mógłbym powiedzieć, że byłem w okolicy z powodów służbowych i przy okazji wpadłem.

– A ja mogłabym powiedzieć, że nie interesuje mnie powód twojej wizyty.

Siedzieli naprzeciwko siebie, ale w pewnej odległości, i prowadzili ostrożną konwersację o niczym. Angie kończyła już trzeci kieliszek wina, gdy spytał:

– Po co przyjechałaś do biura?

Można było odpowiedzieć na to pytanie na mnóstwo sposobów. Zależnie od tego, o ile dalej we wzajemnych stosunkach chciałyby się posunąć. Przez wiele lat mówiła Conlanowi półprawdy. Najpierw dlatego, by oszczędzić mu złych wieści, ale potem oszustwa były jak śliska droga, jak wir, który wciąga w otchłań. Skończyła na tym, że chciała chronić przede wszystkim siebie. Im bardziej czuła się zraniona, tym bardziej zamykała się w sobie. Aż pewnego dnia

zrozumiała, że została sama.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała wreszcie.

– Co to oznacza?

– A czy ty tęskniłeś za mną?

– Nie wierzę, że zadajesz mi to pytanie.

– Tęskniłeś? – Wstała i zbliżyła się do Conlana.

Uklękła przed nim. Ich twarze znalazły się tak blisko, że mogła przejrzeć się w jego błękitnych oczach. Zapomniała, jakie to uczucie.

– Doprowadzało mnie to do szaleństwa – wyrzuciła z siebie. Podobne słowa wypowiedziała wiele miesięcy temu w dziecinnym pokoju.

– A czy teraz jesteś zdrowa?

Czuła jego oddech na policzku; wróciło tak dużo wspomnień.

– „Zdrowa” to takie poważne słowo. Mam się na pewno lepiej. Pogodziłam się z wieloma sprawami.

– Boję się ciebie, Angie – powiedział spokojnie.

– Dlaczego?

– Złamałaś mi serce.

Pochyliła się nieco w jego stronę.

– Nie bój się – wyszeptała i pochyliła się jeszcze bardziej, aż go dotknęła.

22

Angie zapomniała, jak smakuje prawdziwy pocałunek. Poczła się znowu młoda, a nawet lepiej, jej odczucia teraz pozbawione były niepokoju, lęku czy desperacji, które towarzyszą młodości. Przepływały przez nią, elektryzowały ciało, niosły ożywienie. Westchnęła.

Conlan odsunął ją od siebie.

Zamrugła powiekami, czując, że znalazła się na krawędzi niemalże bolesnego pożądania.

– Con?

Też je odczuwał. Widziała to w jego pociemniałych oczach i zaciśniętych ustach. Na moment stracił kontrolę nad sobą i się pogubił, ale już stąpał po bezpiecznym gruncie.

– Kochałem cię – powiedział Conlan.

Czas przeszły użyty w tym wyznaniu obnażył jego duszę i przywrócił Angie do rzeczywistości.

Chwyciła go za rękę. Wzdrygnął się i próbował wywinąć. Nie pozwoliła na to. W jego oczach dostrzegła niepewność i obawę. Ale chyba też iskierkę nadziei, i tego się chciała trzymać.

– Porozmawiaj ze mną – rzuciła.

Wiedziała jednak, że nauczył się czegoś przeciwnego. W miesiącach, które nastąpiły po śmierci Sophie, stała się tak przewrażliwiona, że chowała się we własnym milczeniu. Teraz Conlan bał się troszczyć o nią, nie chciał, by jej podatność na zranienia wróciła i jak narastający przypływ zalała ich oboje i zatopiała.

– Jakie to ma teraz znaczenie?

– Co masz na myśli?

– Miłość, jaka nas łączyła, nie wystarczała ci.

– Zmieniłam się.

– Tak po prostu? Przez osiem lat ulegałaś obsesjom, a teraz mówisz, że nagle się zmieniłaś, i ja mam ci uwierzyć, tak?

– Tak po prostu? – Cofnęła się. – W ciągu ostatniego roku straciłam ojca, córkę i męża. Czy naprawdę sądzisz, że mogłam przejść przez to wszystko i pozostać taka sama? Ze wszystkich tych strat najbardziej odczuwam twoją nieobecność, Con, budzę się w środku nocy, myśląc o tobie. Tata i Sophie... oni i tak musieli odejść. Ale ty... – Zniżyła głos. – Ciebie to ja opuściłam. Dużo czasu potrzebowałam, żeby to zrozumieć. Nie było mnie przy tobie. Nie w takim stopniu w każdym razie, jak ty trwałes przy mnie. Ciężko z tym żyć. Nie wierzysz, że się zmieniłam. To się nie stało nagle.

– Pamiętam, jak bardzo potrafisz ranić.

– Niech będzie, masz rację. – Dotknęła delikatnie jego twarzy. – Ale ty też to potrafisz.

– Tak – przyznał i zamilkł.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Angie nie wiedziała, co można jeszcze dodać.

– Kochaj się ze mną – powiedziała ku swojemu zaskoczeniu. W jej głosie pobrzmiwała desperacja. Nie dbała o to. Wino dodało jej śmiałości.

Zaśmiała się niepewnie.

– To nie takie proste.

– Dlaczego nie? Przez całe życie postępujemy zgodnie z regułami. College. Katolicki ślub. Kariera. Dzieci. – Przerwała. – I wpadamy w pułapkę. Kończymy jak te zwierzaki

z Kalahari, które utykają w błocie i giną. – Pochyliła się ku niemu tak bardzo, że gdyby chciał, bez trudu mógłby ją pocałować. – Poruszamy się już bez planu. Nie znamy właściwej drogi. Jesteśmy parą ludzi, którzy mają ciężkie doświadczenia za sobą, ale próbujemy zacząć na nowo. Zabierz mnie do łóżka – powiedziała cicho.

– Niech cię diabli – wyszeptał i przyciągnął ją do siebie.

*

Następnego ranka obudził Angie znajomy stukot kropel deszczu uderzających rytmicznie o dach i spływających po szybie.

Ramiona Conlana oplatały ją nawet podczas snu. Wtuliła się w niego, szczęśliwa z powodu tej bliskości. Jego powolny spokojny oddech łaskotał ją w kark.

Leżeli w ulubionej za czasów małżeńskich pozycji na łyżeczkę. Zapomniała, jak bezpiecznie się w niej czuła.

Uwolniła się z jego objęć na tyle, by móc się odwrócić i spojrzeć na niego. Potrzebowała tego...

Dotknęła twarzy Conlana, przejechała po bruzdach, jakie wyłobilo cierpienie. Każda z nich była śladem przeżyć, tego, co zyskał i stracił. Prędzej czy później zagoszczą na twarzy każdego. Ale była to też twarz młodego człowieka, tego, którego pokochała. Jego kości policzkowe, usta i włosy, które wciąż jeszcze nie zaczęły siwieć.

Otworzył oczy.

– Dzień dobry – powiedziała, zaskoczona zachrypniętym głosem.

Miłość, pomyślała, wpływa na wszystko u kobiety, nawet na brzmienie jej głosu w chłodny, zimowy poranek.

– Dzień dobry. – Pocałował ją delikatnie i się cofnął. – Co teraz?

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jakie to podobne do Conlana. Całe jego nieplanowanie wychodziło w teorii, ale w życiu nie sprawdzało się w wypadku mężczyzny, który cały czas poszukiwał odpowiedzi na różne pytania. Ona wiedziała, czego chce. Wiedziała od chwili, kiedy spotkała go w teatrze w Seattle, a prawdopodobnie znacznie wcześniej.

Ale raz już im nie wyszło.

– Czas pokaże, co będzie – odrzekła.

– Nigdy nie byliśmy w tym dobrzy. Znasz nas. Planiści.

Nas, zaskoczyło ją.

Wystarczy na razie. To znacznie więcej, niż miała wczoraj.

– Tym razem powinno być między nami inaczej, prawda? – powiedziała.

– Zmieniłaś się.

– Poczucie straty zmienia kobietę.

Westchnął na wzmiankę o stracie, a ona zapragnęła cofnąć swoje słowa. Ale tu trzeba było chyba cofnąć całe lata. Kiedyś ich miłość napędzały: nadzieja, radość i pasja. Byli wtedy młodzi, pełni wiary w przyszłość. Czy dwoje dojrzałych ludzi potrafi odnaleźć emocje z tamtych czasów?

– Muszę być przed południem w pracy.

– Zadzwoń, że źle się czujesz. Moglibyśmy...

– Nie. – Odsunął się i zerwał z łóżka. Stał nad nią nagi, wpatrując się w jej oczy nieprzeniknionym wzrokiem. – Zawsze było nam dobrze w łóżku, Angie. Nigdy nie mieliśmy z tym problemu.

Westchnął, a to przywołało wszystko, co było złe między nimi. Schylił się po ubranie.

Kiedy je wkładał, zastanawiała się, co wymyślić, żeby nie wyjeżdżał. Ale jedyne słowa,

które przychodziły jej na myśl, to: „Dwa razy w tym roku weszłam do jego pokoju i zastałam go płaczącego”.

Złamała mu serce. Co mogła teraz powiedzieć, by miało to jakieś znaczenie? Słowa są takie nietrwałe, ulatują z oddechem.

– Wróc – powiedziała wreszcie, gdy zmierzał do drzwi. – Za jakiś czas. Kiedy będziesz gotów.

Zatrzymał się i obejrzał na nią.

– Chyba nie dam rady. Nie sędzę. Nie mogę. Do widzenia, Angie.

I już go nie było.

*

Angie była w pracy rozkojarzona. Mama dostrzegła to od razu i kilkakrotnie czyniła jakieś uwagi, ale ona nie zamierzała nic mówić. Taka smakowita plotka: „spałam z Conlanem”, rozpaliby całą rodzinę. Nie chciała wysłuchiwać szesnastu opinii na temat tego, co się wydarzyło i co będzie. Zwłaszcza obaw. Wolała mieć nadzieję, że pewnego dnia, prędzej czy później, Conlan znowu się u niej pojawi.

Poza tym miała teraz inne powody do zmartwień. Na przykład ten, że Lauren opuściła kolejny wieczór w pracy i nie pofatygowała się nawet, by do nich zadzwonić. Angie nagrywała jej się wielokrotnie na sekretarkę, ale dziewczyna nie odpowiadała.

– Angela.

Zdała sobie sprawę, że mama mówi coś do niej, więc odłożyła słuchawkę.

– Tak, mamó?

– Jak długo zamierzasz stać wpatrzona w telefon? Klienci czekają.

– Obawiam się, że ona ma kłopoty. Ktoś powinien jej pomóc.

– Ma od tego matkę.

– Nastolatki nie zawsze zwracają się ze wszystkiego rodzicom. A jeśli ona czuje się zupełnie sama?

– To jedź ją wybawić – westchnęła mama. – Ale bądź ostrożna.

Dobra rada, zdroworozsądkowa. Angie trzymała się z dala od domu Lauren przez dwa dni. W tym czasie jej niepokój wzrastał i zaczęły dochodzić do głosu złe przeczucia.

– Jutro – powiedziała sobie stanowczo.

*

Z każdym dniem było trudniej dopasować się do normalnego życia w szkole. Lauren czuła się wyobcowana, wyrzucona na tę planetę bez żadnych umiejętności, które pozwoliłyby jej przetrwać. Nie mogła się skoncentrować na lekcjach, nie potrafiła podtrzymać rozmowy, nie była w stanie zjeść, żeby nie wymiotować. „Dziecko... dziecko... dziecko...” kotłowało jej się w głowie nieustannie.

Nie pasowała już tutaj. Każda chwila pachniała kłamstwem. Czekwała, że lada moment sensacyjne wieści wybuchną i zaczną krążyć.

„Jest taka Lauren Ribido

biedna dziewczyna

wpadła

zmarnowała sobie życie”.

Nie miała pojęcia, czy jej przyjaciele ją wesprą, gdy się dowiedzą, czy odrzucą. Co więcej, nie była pewna, czy to ją cokolwiek obchodzi. Uświadomiła sobie, że nic jej z nimi nie łączy. Jakie znaczenie ma klasówka z trygonometrii albo że Robin i Chris pokłócili się w tańcu.

To wszystko było takie dziecinne. Lauren czuła, że tkwi w pułapce szarej rzeczywistości, może nie jest jeszcze kobietą, ale na pewno już nie dzieckiem i nigdy więcej nim nie będzie.

Nawet David traktował ją inaczej. Wprawdzie wciąż była pewna jego miłości, ale czasem czuła, jak się od niej odsuwa, zamyśla, i zdawała sobie sprawę, że rozważa wtedy, ile go ta miłość kosztuje.

Zrobi, co powinien. Cokolwiek miałyby to być, do diaska. Ale zapłaci za to niemożnością studiowania na Stanfordzie i utratą wszystkich korzyści wynikających z nauki w takiej szkole. A przede wszystkim ceną będzie młodość. Ona już ją zapłaciła.

– Lauren?

Spojrzała zaskoczona, bo uprzytomniła sobie, że bezwiednie położyła głowę na blacie ławki. Nie powinna była tego robić. Teraz nauczyciel, pan Knightsbridge, stał koło niej, przyglądając jej się uważnie.

– Czy ja cię nudzę?

Przez ławki przeleciał szmer wesołości. Wyprostowała się.

– Nie, proszę pana.

– Cieszy mnie to niezmiernie. Mam ci do przekazania, że pani Detlas chce cię zobaczyć u siebie.

– Dlaczego? – Lauren spochmurniała.

– Nie wiem, ale być może chodzi o sprawy związane z rekrutacją do college’u. Ona pełni funkcję starszego doradcy.

Dziewczyna nie otrzymała jeszcze odpowiedzi z uczelni, ale mogła coś pominąć podczas wypełniania formularza aplikacyjnego albo źle zaadresowała kopertę. Jakby to miało teraz jakieś znaczenie.

Westchnęła ciężko.

Pozbierała książki i zeszyty, schowała je do plecaka i poszła przez kampus do głównego sekretariatu szkoły. Na dworze panowało przenikliwie zimno. Cienka warstewka śniegu pokryła ziemię.

W biurze panowała równie chłodna atmosfera co na zewnątrz. Mary, szkolna sekretarka, ledwie na nią spojrzała, a Jan, pielęgniarka, szybko odwróciła głowę, co raczej nie było grzeczne.

Lauren przeszła korytarzem, gdzie na ścianach porozwieszane były plakaty informacyjne na temat college’ów, akademików i pracy wakacyjnej. Przed pokojem pani Detlas Lauren zatrzymała się na chwilę, nabrała powietrza w płuca i zapukała.

– Proszę!

Otworzyła drzwi.

– Dzień dobry – powiedziała, starając się zapanować nad nerwami.

– Usiądź, Lauren.

Nie było zwyczajowych żartów czy uśmiechu.

Sytuacja wyglądała nieciekawie.

– Rozmawiałam z Davidem dzisiaj rano. Rozważa rezygnację ze Stanforda. Powiedział, że, zacytuję: „Coś się wydarzyło”. Czy wiesz, co takiego miał na myśli?

Lauren przełknęła z trudnością.

– Jestem pewna, że tego nie robi. Nie mógłby.

– Nie mógłby, rzeczywiście. – Pani Detlas stuknęła długopisem w blat, lustrując dziewczynę spojrzeniem. – Naturalnie. Zależało mi, by się dowiedzieć, o co tu chodzi. Nazwisko Haynes wiele znaczy w tej szkole.

– Rozumiem.

– Dlatego zadzwoniłam do Anity.

Lauren westchnęła ciężko.

– Nie powiedziała mi niczego, ale wyczułam, że jest zdenerwowana. Wysłałam więc trenera Trippa do szatni chłopców. Wiesz, że on i David się przyjaźnią.

– Tak, proszę pani.

– Jesteś w ciąży?

Dziewczyna zamknęła oczy i zakłęła w duchu. David obiecał, że nikomu nie powie. Do końca dnia wszystko się rozniesie, jeśli już tak się nie stało. Od tej pory gdziekolwiek pójdzie, będzie tematem rozmów, cichych szeptów i będą ją wytykać palcami.

Po dłuższej przerwie pani Detlas się odezwała:

– Jest mi przykro, Lauren. Więcej niż przykro.

– Co mam teraz zrobić?

– Nie mogę ci nic doradzić. – Pani Detlas pokręciła głową. – Mogę tylko powiedzieć, że do tej pory ani jedna dziewczyna w ciąży nie ukończyła tej szkoły. Rodzice uczniów dostawali szału, gdy rzecz się wydawała.

– Jak w przypadku Evie Cochran?

– Tak. Evie starała się zostać, ale pod koniec było to zbyt trudne. Mieszka teraz chyba ze swoją ciotką w Lynden.

– Ja nie mam krewnych.

– Jesteś tu, Lauren, bo dostajesz stypendium, ale może być ono w każdej chwili cofnięte z różnych powodów. A ty zdecydowanie dałaś nam powód. Wyglądało, że możesz służyć za przykład. W najbliższych miesiącach trudno będzie podtrzymać tę tezę, nieprawdaż? Sądźmy, że lepiej będzie dla wszystkich, jeśli absolutorium uzyskasz na West End High.

– Zostało tylko sześć tygodni do końca semestru. Zniosę plotki. Proszę. Bardzo zależy mi na świadectwie z Fircrest.

– Wydaje mi się, że to może być... nieprzyjemne doświadczenie. Dziewczęta potrafią być okrutne wobec siebie.

Lauren zdawała sobie z tego sprawę. Dopóki nie wzięła udziału w projekcie „Nie bądź nudziarzem”, wyglądała kiepsko, mówiła niepoprawnie, mieszkała w beznadziejnej dzielnicy i nikt nie chciał się z nią zaprzyjaźnić. W swojej naiwności uważała, że wszystko się zmieniło, od kiedy upodobniła się do innych dziewczyn. Teraz dostrzegała bolesną prawdę. To wszystko pozory, fasada, cienka warstwa kłamstw, pod którymi skrywała, kim rzeczywiście jest. Prawdziwa Lauren była widoczna właśnie w tej chwili.

Chciała poczuć złość, dzięki której miała ambicję i determinację do ukończenia Fircrestu z dobrą lokatą, ale jej energia gdzieś się ulotniła.

Czuła tylko chłód.

Nie miała argumentów, by się bronić. Była uczennicą w ciąży w prywatnej katolickiej szkole. Jeśli kiedyś mogła stanowić dla kogoś wzór, to dzisiaj jej los mógł być jedynie przestrogą.

Uważaj, bo skończysz jak Lauren Ribido.

– Przenieś się do West Endu – powtórzyła spokojnie pani Detlas. – Dokończ tam semestr, zdaj egzaminy wcześniej. Dzięki Bogu, masz dobre oceny.

„Tam dużo lepiej pasujesz” – Lauren wyraźnie słyszała te słowa, jakby zostały wypowiedziane na głos.

Ale to było jeszcze jedno kłamstwo.

Prawda zaś taka, że nie pasowała nigdzie.

Wróciła do klasy i włączyła się w nurt zajęć. Robiła notatki, zapisała plan zajęć, zadania domowe, porozmawiała trochę z kolegami z klasy. Raz czy drugi nawet się uśmiechnęła, ale nie było to szczere. Czowała chłód i narastający gniew.

David obiecał jej, że nikomu nie powie. Oboje wiedzieli, że prędzej czy później rzecz i tak się wyda, ale jeszcze nie teraz. Nie czuła się na siłach stawić czoła pytaniom i plotkom.

Przed przerwą na lunch była już naprawdę wkurzona. Wściekła. Zignorowała przyjaciół i szybkim krokiem poszła przez kampus w stronę siłowni. David był tam z kumplami. Poza podnoszeniem ciężarów i dyszeniem z wysiłku zajęcia byli rozmową i żartami.

Kiedy weszła do środka, zapadła cisza.

Niech cię cholera, David, pomyślała.

Poczuła, jak płoną jej policzki.

– Cześć – rzuciła. Miała nadzieję, że jej głos brzmi normalnie, jakby była normalną uczennicą, nie upadłym dziewczęciem.

David podniósł się powoli. Sposób, w jaki na nią patrzył, pozbawiał ją tchu.

– Cześć, chłopaki.

Nikt mu nie odpowiedział.

W milczeniu przeszli przez kampus i dotarli na boisko. Był zimny, rześki dzień, na trawie leżała cienka warstwa śniegu.

– Jak mogłeś to zrobić? – spytała w końcu. Słowa zabrzmiały dziwnie miękko. Lauren spodziewała się, że wykrzyczy mu to pytanie, może nawet rzuci się na niego z pięściami, ale kiedy przyszło co do czego, czuła tylko, że jej zimno i że się boi.

David wziął ją za rękę i zaprowadził na trybuny. Usiedli na twardej zimnej ławce. Nie objął jej, zamiast tego patrzył przed siebie na boisko i wzdychał.

– Obiecałeś! – powiedziała, tym razem głośniej, wręcz piskliwie. – I to trenerowi Trippowi. Wszyscy wiedzą, że ma długi język. Czy sądzisz, że...

– Mój tata nie chce już ze mną rozmawiać.

– Ale... – Lauren zmarszczyła brwi, nie wiedziała, jak skończyć zdanie.

– Powiedział, że jestem skończonym idiotą. Nie. Pieprzonym kretynek. Dokładnie tak się wyraził. – David wypuścił z siebie powietrze, które zamieniło się w szarą mgiełkę.

Lauren się uspokoiła, gniew minął. Tak po prostu. Coś się w niej skurczyło. Położyła mu rękę na udzie. Przez cały ten czas, kiedy się znali, David starał się pozyskać aprobatę ojca. To ją łączyło z chłopakiem. Brak zainteresowania i miłości rodziców.

Był dumny ze swojego porsche speedstera i cieszył się nim nie dlatego, że chłopcy mu go zazdrościli, a dziewczyny uwielbiały. Dbał o samochód, bo podobało się to jego ojcu. David spędzał z tatą w garażu długie godziny, ponieważ tam i, jak się wydaje, tylko tam mógł z nim porozmawiać.

– Nie chciał nawet reperować ze mną samochodu. Oświadczył, że nie ma sensu uczyć czegoś dzieciaka, który nigdzie się nie wybiera. – Spojrzał na Lauren. – Musiałem z kimś porozmawiać. Z facetem.

Jak mogła tego nie rozumieć? Czowała się bardzo samotna.

– W porządku. Przepraszam, że na ciebie naskoczyłam.

– Przepraszam, że mu powiedziałem. Myślałem, że będzie trzymał język za zębami.

– Wiem. – Znowu zapadło milczenie, patrzyli na boisko, aż Lauren przerwała ciszę: – Dobrze przynajmniej, że mamy siebie.

– Tak – wyszeptał głosem, któremu brakowało pewności.

*

Kiedy Lauren dotarła do domu, pani Mauk czekała na nią na schodach. Gdy ją dostrzegła, za późno było już się wycofywać.

– Byłam dzisiaj u twojej mamy w pracy – oznajmiła i ciężko westchnęła.

– I co? Udało się pani ją złapać?

– Wiesz, że nie. Jej szef powiedział, że się zwolniła. Wyjechała z miasta.

Dziewczyna ugięła się pod ciężarem tych słów.

– Tak. Zdobędę pracę na pełny etat. Obiecuję...

– Nie mogę, dzieciaku – odparła i wyrzuciła z siebie z przykrością to, co musiała: – Nie będzie cię stać samej na czynsz tutaj. Mój szef jest już zmęczony tym, że twoja mama zawsze zalega z zapłatą. Chce, żebym was wyeksmitowała.

– Proszę, niech pani tego nie robi.

Pulchna twarz pani Mauk posmutniała.

– Nie mogę ci pomóc. Bardzo mi przykro. – Odwróciła się powoli i weszła do środka.

Uszkodzone drzwi zamknęły się za nią ze zgrzytem.

Jeśli jeszcze jedna osoba powie Lauren, że jest jej przykro, zacznie krzyczeć.

Chociaż to nic nie pomoże.

Wspięła się powoli po schodach na górę, weszła do mieszkania i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Pomyśl przez chwilę – powiedziała do siebie, do tej dawnej siebie, której szukała, która potrafiła góry przenosić. – Myśl!

Ktoś zapukał.

Bez wątpienia to pani Mauk, pewnie zapomniała jej wspomnieć, że musi zwolnić mieszkanie do jutra.

Podeszła do drzwi i otworzyła szarpnięciem.

– Nie mogę...

Za nimi w ponurych ciemnościach stała Angie.

– Och! – Lauren była zaskoczona.

– Cześć! – rzuciła Angie z uśmiechem. W jej głosie pobrzmiwała jakaś delikatność, która sprawiła dziewczynie niemal fizyczny ból. – Może zaprosisz mnie do środka?

Lauren wyobraziła sobie, jak Angela Malone chodzi po kosmatej, śmierdzącej wykładzinie, siada... Nie boi się usiąść na przekrzywionej sofie i rozgląda się po pokoju. Osądza, współczuje.

– Nie, naprawdę nie mogę. – Skrzyżowała ramiona i zasłoniła sobą wejście.

– Lauren! – powiedziała Angie surowym tonem. To był głos matki.

Dziewczyna nie miała siły się przeciwstawić i odsunęła się od drzwi.

Kobieta wyminęła Lauren i weszła do środka.

Lauren, potykając się, podążyła za nią. Musiała spojrzeć na mieszkanie oczami Angie. Kiczowate stiuki na ścianach, zabrudzone dymem papierosowym, ponure okna, z których widać tylko ceglany budynek naprzeciwko. Nie mogła jej nawet zaproponować, by usiadła.

– Chcesz... napijesz się coli? – spytała rozdrażnionym głosem, przestępując z nogi na nogę. Kiedy się zorientowała, co wyrabia – że prawie tańczy macarenę, o Boże – udało jej się stanąć spokojnie.

Ku najwyższemu zdumieniu dziewczyny Angie usiadła na koślawej sofie. Żadne „ojekku-poplamie-sobie-ubranie” nie padło.

– Nie mam ochoty na colę, ale dziękuję.

- Chodzi o pracę...
- Tak?
- Powinnam była zadzwonić.
- Owszem, powinnaś. Dlaczego tego nie zrobiłaś?
- Miałam bardzo trudny tydzień. – Lauren załamywała ręce.
- Usiądź.

Nie śmiała zbliżyć się do Angie. Bała się, że jeden dotyk wystarczy i się rozpłacze.

Przyniosła więc krzesło z kuchni i dopiero wtedy usiadła.

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.
- Jesteśmy.
- Masz kłopoty, prawda?
- Tak.
- Jak ci mogę pomóc?

To było więcej, niż Lauren mogła znieść. Wybuchnęła płaczem.

- Nie... nie możesz. Już za późno.

Angie podeszła do dziewczyny, podniosła ją i objęła. Lauren rozpłakała się jeszcze bardziej. Kobieta gładziła ją po włosach, plecach.

- Wszystko będzie dobrze – powtarzała.
- Nie będzie – zaprzeczyła Lauren żałośnie, kiedy się trochę uspokoiła. – Mama mnie zostawiła.

- Zostawiła cię?
- Wyjechała z facetem, który nazywa się Jake Morrow.
- Och, kotku. Wróci na pewno...
- Nie – znów zaprzeczyła spokojnie. Była zdumiona, jak bardzo boli przyznanie się, że

własna matka obdarza ją tak szczątkową miłością. Wiedziała o tym od lat, ale to wciąż od nowa raniło. – I pani Mauk powiedziała, że nie mogę tu zostać, bo nie zarobię wystarczająco dużo, by opłacić czynsz.

Spojrzała na podłogę, a potem powoli na Angie.

- Jest jeszcze coś gorszego.
- Gorszego niż to, co mówiłaś?

Lauren wciągnęła głęboko powietrze. Nienawidziła siebie za te słowa, ale czy miała jakiś wybór?

- Jestem w ciąży.

Boże dopomóż, westchnęła Angie. Jej pierwszą reakcją była zazdrość, która jak trucizna zaczęła rozchodzić się po ciele. Zabolęła ją to.

– Dziewiąty tydzień – powiedziała Lauren. Wyglądała młodo, niemożliwie młodo i bardzo nieszczęśliwie.

Angie stłamsiła uczucia. Będzie jeszcze czas, późną nocą, kiedy jak przypuszczała, poczuje się samotna i zraniona, pomyśleć o tym, jaki to świat jest niesprawiedliwy. Odskoczyła gwałtownie od dziewczyny i przysiadła na stoliku do kawy. Potrzebowała trochę przestrzeni. Cierpienie Lauren było namacalne. Angie chciała je jakoś zneutralizować, ale tym razem się nie udało. Samym przytulaniem niczego się nie rozwiąże.

Wpatrywała się w Lauren. Jej rude włosy tworzyły bezładną plątaninę, puciołowate policzki były bledsze niż zwykle, a piwne oczy tonęły w smutku.

Jeśli kiedykolwiek dziewczyna potrzebowała matczynej opieki, to...

Nie, skarciła się w duchu.

– Powiedziałaś mamie?

– Dlatego wyjechała. Oznajmiła, że już ponosiła koszty popełnionego błędu i drugi raz tego nie robi.

Angie westchnęła. Przez lata nieskutecznych starań o dziecko doszła do wniosku, że macierzyństwo to rzecz przypadku. Zbyt wiele kobiet, które nie powinny wychowywać dzieci, otrzymało ten dar, podczas gdy inne czekały nadaremno.

– Próbowałam usunąć ciążę.

– Próbowałaś?

– Myślałam, że sama rozwiążę problem, no wiesz, po dorosłemu. Ale nie potrafiłam.

– Powinnaś była przyjść do mnie, Lauren.

– Jak mogłabym to zrobić? Wiedziałam, że taka informacja cię zrani. I nie chciałam, żebyś patrzyła na mnie w ten sposób.

– To znaczy jak?

– Jakbym była idiotką.

Angie wbrew samej sobie zbliżyła się do dziewczyny, przesunęła ręką po jej włosach i założyła pukiel za ucho.

– Wcale tak o tobie nie myślę. Jest mi smutno i boję się o ciebie.

Oczy Lauren wypełniły się łzami.

– Nie wiem, co robić. David mówi, że zrezygnuje ze Stanfordu i ożeni się ze mną, ale to jest zły pomysł. Znienawidziłby mnie, a tego bym nie zniosła.

Angie pragnęła, by jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przyszły jej do głowy jakieś słowa pocieszenia, ale czuła, że dziewczyna została zapędzona w kozi róg i nie ma sposobu, by się z niego wydostać.

Lauren otarła oczy, pociągnęła nosem i usiadła prosto.

– Nie zamierzam zrzucać moich spraw na ciebie. Ale jestem przerażona, nie wiem, co dalej. Na dodatek muszę znaleźć jakieś mieszkanie.

– Poczekaj, uspokój się. Weź głęboki oddech. – Angie spojrzała na nią. – Co chcesz teraz

zrobić?

– Najchętniej cofnęłabym czas do października i użyła prezerwatywy.

Angie roześmiała się, ale niezbyt głośno i trochę na siłę.

– Czy chcecie z Davidem wychowywać dziecko?

– Skąd mogę wiedzieć teraz coś takiego? Chcę... – Schyliła się i opuściła głowę.

Wyglądało, że płacze, ale tak cicho, jakby opanowała sztukę powstrzymywania łez. – To mój bałagan, sama go narobiłam, sama muszę posprzątać. Może pani Mauk zgodzi się, bym została tu jeszcze jakiś czas.

Angie zacisnęła powieki, czuła, że i ona zaraz się rozplacze. Zaczęły jej się przypominać różne drobne wydarzenia. To jak zwróciła uwagę na Lauren w siedzibie Help-Your-Neighbor, gdy ta, sama zmarznięta, starała się załatwić płaszcz dla matki... albo kiedy na parkingu w deszczowy wieczór wtykała ulotki za wycieraczki samochodowe... czy też wtedy, gdy powiedziała, że rezygnuje z balu absolwentów... albo jak uściskała Angie za to, że pożyczyła jej sukienkę na wieczór i pomogła się umalować.

Lauren była sama na świecie. Dobra, odpowiedzialna dziewczyna, która postanowiła zrobić wszystko, co nakazywało jej sumienie, ale skąd miała wiedzieć, jaką ścieżką pójść. Potrzebowała pomocy.

„Ona nie jest twoją córką, Angelo.

Uważaj na tę dziewczynę”.

To była dobra rada i Angie już obawiała się skutków tego, że postąpi wbrew niej. Tyle ją kosztowało wydobycie się z koszmaru bezdzietności, dlaczego teraz dobrowolnie cofa się do tamtych przeżyć? Czy da radę towarzyszyć Lauren, gdy jej brzuch będzie coraz większy i większy, gdy będzie miała mdłości? Jak przetrwa intymne chwile, gdy Lauren, jak każda kobieta zacznie cieszyć się ciążą, każdym przybywającym kilogramem, pierwszymi ruchami dziecka: „Kopnął mnie... mały gimnastyk... o tutaj, dotknij mojego brzucha”.

Jednak jest i pewne „ale”.

Czy potrafi żyć ze świadomością, że w takich okolicznościach odepchnęła dziewczynę?

– Mam propozycję – powiedziała Angie powoli z pewną trudnością. – Może zamieszkas z mną.

Lauren zaczerpnęła powietrza w płuca i spojrzała na nią.

– Nie mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej.

– Zmienisz zdanie. Jak zacznę tyć, to...

– Czy kiedykolwiek komuś zaufałaś?

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale nie musiała, prawdę było widać w jej oczach.

– Mnie spróbuj zaufać. Jedź ze mną i zostań przynajmniej tak długo, aż będziesz wiedziała, co dalej. Potrzebujesz, żeby ktoś się tobą zajął.

– Żeby ktoś się mną zajął?

Angie wyczuła zdziwienie w głosie Lauren. A przecież troska o kogoś była czymś normalnym, a jej brak może mocno zranić.

– Będę sprzątała mieszkanie i prała. Potrafię gotować, a jeśli pokażesz mi, jak się pielę...

– Nie musisz wykonywać żadnej z tych czynności. – Angie się uśmiechnęła. Chociaż wciąż obawiała się nowej sytuacji, czuła też zadowolenie. Mogła coś zmienić w życiu dziewczyny. Pewnie nigdy sama nie zostanie matką, ale to nie znaczy, że nie może pełnić tej funkcji. – Pilnuj stopni w szkole i pojawiaj się w pracy na swojej zmianie, okej?

– Okej. – Lauren rzuciła się jej na szyję, aż Angie myślała, że ją udusi.

*

Lauren zapakowała ubrania, w tym szkolny mundur, już chyba niepotrzebny, kosmetyki i pamiątki, tak, że w końcu – nie licząc paru mebli – pokój opustoszał.

Ostatnią rzeczą, którą zabrała, była oprawiona w ramki fotografia jej i matki; wyglądały na niej jak tancerki rewiowe. Lauren nie pamiętała nawet sytuacji, w jakiej została zrobiona. Według mamy stały wtedy gdzieś przy zajeździe dla kierowców ciężarówek w Vegas. Przez lata Lauren próbowała przywołać wspomnienia pasujące do zdjęcia, ale nigdy jej się nie udało.

Była to ich jedyna wspólna fotografia. Ułożyła ją delikatnie pomiędzy warstwami ubrań i zamknęła walizkę. Schodząc na dół, zadrżała do pani Mauk, żeby się pożegnać.

– Zostawiam klucze, bardzo proszę.

– Dokąd idziesz?

Dziewczyna wzięła kobietę za rękę i poprowadziła do okna. Angie stała na ulicy przy swoim samochodzie i spoglądała w górę na budynek.

– To Angela Malone, zamieszkałam u niej. – W jej głosie brzmiał zachwyt.

– Pamiętam ją.

– Niech pani sprzeda meble na pokrycie zaległego czynszu, dobrze?

– W porządku. – Pani Mauk spojrzała na klucze, potem na Lauren, wreszcie smutno się uśmiechnęła. – Przykro mi... Jeśli mogłabym cokolwiek dla ciebie zrobić...

Zdanie zawisło w próżni. Obie wiedziały, że nie miała jak. Ale dziewczyna to doceniała.

– I tak nam pani pomagała, pozwalając na opóźnienia w płatnościach i w ogóle.

– Masz ze swoją mamą ciężkie życie. Kiepski interes.

Lauren wręczyła kobiecie kawałek papieru. Był na nim napisany adres i numer telefonu Angie, a także informacje dotyczące restauracji.

– Proszę. – W jej głosie pobrzmiwał żal, nad którym trudno jej było zapanować. – Jeśli mama wróci do domu, pewnie będzie chciała wiedzieć, gdzie jestem.

– A myślisz, że to zrobi?

– Tak. Wróci, kiedy rozpadnie się jej związek z Jakiem, a to się stanie na pewno.

– Będziesz czekać? – zapytała ze współczuciem pani Mauk.

Co Lauren mogła na to odpowiedzieć? Przez całe życie czekała na miłość matki, przejawy uczucia z jej strony. Nie potrafiła przestać się łudzić. Ta wiara była częścią niej samej, głęboko zakorzeniona, niezbędna, jak bicie serca czy pulsowanie krwi w żyłach. Ale teraz to już nie bolało tak bardzo jak kiedyś, a ona zaczynała nabierać dystansu do całej sytuacji.

Spojrzała na Angie czekającą na dole, by zabrać ją do domu.

Domu, zdziwiła się.

– Dam sobie radę – powiedziała, spoglądając na panią Mauk.

– Jesteś dobrym dzieckiem, będę ciepło o tobie myśleć.

– Postaram się wpaść kiedyś do pani.

– Lepiej nie. Jeśli uda ci się wyrwać z tej dzielnicy, nie wracaj tu. Ale pamiętaj, że w razie czego możesz na mnie liczyć. – Kobieta uśmiechnęła się do niej na pożegnanie.

Lauren podniosła zostawioną za progiem walizkę i opuściła budynek.

– Chcesz, żebym ci pomogła przynieść resztę rzeczy? – zapytała Angie na jej widok.

– To wszystko, co mam – odparła dziewczyna.

– Och... – Angie zatrzymała się, a niewielka zmarszczka pojawiła się na jej czole. –

W takim razie jedźmy.

Kiedy przemierzały samochodem ulice miasta, Lauren patrzyła przez okno i milczała. Od czasu do czasu poświata księżycy oświetlała wnętrze samochodu, wtedy łapała się na tym, że

przygląda się sobie w szybie. Widziała uśmiechniętą dziewczynę o smutnych oczach. Zastanawiała się, czy już zawsze będą takie, jakby odzwierciedlały wszystkie stracone okazje. Oczy jej matki takie właśnie były.

Zerknęła z boku na Angie, która nuciła jakąś melodyjkę leącą w radiu. Prawdopodobnie też nie wiedziała, co powiedzieć.

Dziewczyna zamknęła oczy. Zaczęła wyobrażać sobie własne życie z Angie w roli matki. Wszystko byłoby wtedy prostsze i miłsze. Ona nie spoliczkowałaby ciężarnej córki ani nie zostawiła jej samej w środku nocy, ani...

– Jesteśmy. Nie ma to jak w domu.

Lauren poderwała się zaskoczona; musiała się zdrzemnąć na chwilę. Choć przecież to wszystko wydawało się snem.

Angie zaparkowała przed domkiem i wysiadła z auta. Gdy zmierzały do drzwi wejściowych, przekazywała dziewczynie targającej swój bagaż podstawowe informacje.

– ...piekarnik rozgrzewa się o jakieś dwadzieścia stopni więcej, niż pokazuje. Nie ma mikrofalówki. Przepraszam. Rury są zardzewiałe...

Lauren starała się to wszystko zapamiętać. Angie rzuciła też, że okno wymaga umycia, a na poręczy sofy naderwał się materiał. I że jeśliby chciała, mogłaby w tym pomóc.

Mówiła dalej, gdy wchodziły na piętro:

– ...woda ma duże ciśnienie. Nie odkręcaj kurka do końca, bo wyskoczysz spod prysznica szybciej, niż przewidujesz. W rurach piszczy i toalety radzę nie splukiwać tuż przed prysznicem.

– Zatrzymała się i obróciła. – Mamy jedną łazienkę na nas dwie, ale chyba ci to nie przeszkadza?

– Jasne, że nie – odpowiedziała Lauren szybko.

– Taką miałam nadzieję. Dobra, w takim razie tutaj jest twój pokój. Kiedyś mieszkałam w nim z siostrami. – Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi na końcu przedpokoju.

Oczom dziewczyny ukazał się piękny, olbrzymi pokój ze stromo opadającym sufitem wspartym na drewnianych belkach. Ściany pokrywały różowe tapety z motywem winorośli i różyczek. Pasujące do wystroju kapy leżały na obu częściach piętrowego łóżka. Małe dębowe biurko stało wciśnięte w rogu, a po jego lewej stronie przez trzy prostokątne, duże okna roztaczał się wspaniały widok na ocean. Tej nocy na srebrzyste wody padała księżycowa poświata.

– No, no! – powiedziała Lauren z podziwem.

– Pościel nie była prana od jakiegoś czasu. Zaraz ją zmienię...

– Nie. – Jej głos zabrzmiał bardzo stanowczo, chyba niezamierzenie, ale... – Potrafię sama to zrobić.

– Jasne, nie miałam nic złego na myśli. Wiem, że jesteś dorosła i zaradna, chciałam tylko...

Dziewczyna postawiła walizkę, podbiegła do Angie i rzuciła jej się na szyję.

– Dziękuję – powiedziała i wtuliła twarz w miłe ciepło ramion kobiety.

Powolutku Angie zsunęła ręce dziewczyny ze swojego karku. A kiedy ta zaczęła płakać, przytuliła ją znowu i zaczęła gładzić po włosach, szepcząc przy tym raz za razem uspokajające słowa:

– Wszystko w porządku, już dobrze, Lauren, już dobrze.

Przez całe życie czekała na taką chwilę.

*

– Że co?!

Było to wypowiedziane unisono. A właściwie wykrzyczane.

Angie zmuszona była się cofnąć.

– Lauren zamieszkała ze mną.
Siostry i mama stały w kuchni rżędem i się w nią wpatrywały.
– To tak rozumiesz bycie ostrożną w postępowaniu z dziewczyną? – Pani DeSaria w zdenerwowaniu uderzała się po biodrach.
– A ja sądzę, że to świetny pomysł – rzuciła Livvy. – Dobrze zrobi wam obu.
Mama machnęła niecierpliwie ręką.
– Bądź cicho. Twoja siostra nie myśli całkiem trzeźwo. – Postąpiła krok do przodu. – Nie zaprasza się tak po prostu obcych rudzielców do domu.
– Ona nie jest obca – upierała się Livvy. – Pracuje w naszej restauracji. I jest dobrym człowiekiem.
– Była, dopóki nie zrobiła sobie wolnego przez trzy dni – powiedziała mama. – Kto wie, czy nie popełniła jakiego przestępstwa.
– Jasne. – Livvy się zaśmiała. – Jeździła od miasta do miasta i rabowała minimarkety. Robiła sobie tylko przerwy w celu uzupełnienia amunicji i na zaliczenie testu z matematyki.
Angie przestępowała nerwowo z nogi na nogę. Nie przypuszczała, że kwestia przeprowadzki Lauren narobi tyle zamieszania.
To, co teraz będzie musiała powiedzieć, jest o wiele gorsze. Może spowodować wybuch.
– Angie. – Mira przysunęła się do niej. – Jest coś jeszcze, o czym nam nie mówisz.
Ta się skrzywiła.
– Co? Masz jakieś sekrety? – parsknęła mama. – Wiesz, że tata mi o wszystkim powie.
Angie poczuła się przyparta do muru. Nie miała wyjścia. Cięża nie mogła pozostawać tajemnicą zbyt długo. Spojrzała na kobiety, które przyglądały jej się wyczekująco.
– Jest jeszcze jedna sprawa. Lauren jest w ciąży.
Wybuch był eufemistycznym określeniem tego, co po tych słowach nastąpiło.

*

Dyskusja trwała godzinami. Zanim doczekała swego wymęczonego, bełkotliwego końca, pani DeSaria zdążyła jeszcze sprowadzić szwagrów na pomoc, ciocię Giulię i wujka Francisca. Każdy w pokoju miał swoje zdanie na temat tego, czy Angie popełniła błąd. Jedyne Livvy wyłamywała się z rodzinnego chóru.

– Pozwólmy jej robić, na co ma ochotę – powiedziała w drugiej mniej więcej godzinie sporu. – Nikt z nas nie wie, co to dla niej znaczy.

Nagle zaległa cisza i na moment zaniechano tej idiotycznej dyskusji. Wszyscy odwrócili spojrzenie od dziecinnie zachowującej się według nich Angie.

Ta zaś popatrzyła z wdzięcznością na Livvy. Siostra puściła do niej oko i uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Potem zaczęło się od nowa.

Angie nie mogła już tego znieść. Po co w kółko rozpatrują za i przeciw tej decyzji. W końcu wymknęła się z pokoju i poszła na górę.

Cisza w jej pokoju była kojąca. Zamknęła za sobą drzwi i pomyślała, że ma najwyżej sześć minut, zanim mama i Mira do niej przyjdą.

Okazało się, że mniej.

W progu stanęła pani DeSaria. Na jej twarzy malowało się dobrze córkom znane rozczarowanie.

– Dwie minuty – zauważyła nieco złośliwie Angie i przesunęła się w bok na łożku. – Nowy rekord.

Mama zamknęła drzwi do pokoju.

– Wysłałam wszystkich do domu.

– To dobrze.

Usiadła obok córki, aż zatrzeszczały pod jej ciężarem stare sprężyny.

– Twój tata, niech spoczywa w pokoju, skrzyczałby cię dzisiaj. A jego byś posłuchała.

– Wiesz przecież, że tego nigdy nie robił. To ty krzyczałaś.

Pani DeSaria się zaśmiała.

– Nie musiał krzyżeć. Pozwalał mi wygadać się i wygrzmieć, a potem rysował linię na piasku i mówił: „Dosyc, Mario” – przerwała na chwilę. – Brakuje mi teraz tych linii.

Położyła pomarszczoną rękę na gładkiej dłoni córki.

– Wiem. – Angie przytuliła się do niej.

– Martwię się o ciebie po prostu. Jestem twoją mamą.

– Uhm... i za to cię kocham.

– Będziesz ostrożna, dobrze? Widziałam cię już zbyt wiele razy ze złamanym sercem.

– Jestem teraz silniejsza, mam. Naprawdę.

– Mam nadzieję, Angelo.

24

Lauren obudziła się na długo przed budzikiem. Wstała około piątej i poszła do łazienki. Kiedy wróciła do łóżka, nie mogła usnąć. Z chęcią zajęłaby się sprzątaniami, ale nie chciała budzić Angie.

Było bardzo spokojnie. Jedynym dźwiękiem dochodzącym do wnętrza był szum fal uderzających o brzeg i poświsty wiatru za oknami.

Żadnych klaksonów, klójących się sąsiadów, odgłosu butelek rozbijanych o chodnik.

W miękkim łóżku, takim jak to, w którym leżała, pod ciepłym przykryciem czuła się bezpiecznie.

Spojrzała na zegarek. Była szósta. Na dworze wciąż ciemno. Dni są bardzo krótkie w pierwszych tygodniach zimy. Gdyby szła na zajęcia do Fircrestu w ten poniedziałkowy ranek, musiałaby włożyć pod mundurek wełniane rajstopy.

Ale to już nie miało znaczenia.

Dzisiaj będzie jej pierwszy dzień w West End High. Ciężarna uczennica przeniesiona dyscyplinarnie, która ma jakoś dotrzeć do końca semestru. Dziewczęta z ludu będą ją oczywiście kochać.

Odrzuciła nakrycie i wstała z łóżka. Pozbierała rzeczy, poszła do łazienki i wzięła prysznic, po czym dokładnie wysuszyła włosy.

Wróciła do pokoju i zajęła się przeszukiwaniem szuflady, żeby znaleźć coś do włożenia.

Nic nie wydawało jej się odpowiednie na pierwszy dzień w szkole.

W końcu wybrała dżinsy biodrówki z rozszerzonymi nogawkami, do tego zamszowy pasek z frędzlami i biały sweter. Kiedy wkładała go przez głowę, zahaczyła o ucho i wypadł jej z niego kolczyk. Potoczył się gdzieś po podłodze.

Te kolczyki to był prezent od Davida na ostatnie urodziny.

Schyliła się i zaczęła go szukać, wyciągając rękę, jak najdalej się dało.

Wyczuła go pod łóżkiem.

Pochyliła się i zobaczyła coś jeszcze poza kolczykiem. Wciśnięte pod ścianę, leżało długie drewniane pudełko. Podobne w kolorze do podłogi, dlatego można je było zauważyć dopiero z niewielkiej odległości.

Lauren sięgnęła po nie i wyciągnęła spod łóżka. Kiedy je otworzyła, ujrzała w środku stertę czarno-białych fotografii. Na większości z nich były trzy małe dziewczynki w ładnych sukienkach, stojące wokół elegancko ubranego pana, którego twarz rozjaśniał zaraźliwy uśmiech. Mężczyzna był wysoki i smukły; gdy się śmiał, jego oczy się zwężyły. A śmiał się na prawie wszystkich zdjęciach. Przypominał Lauren aktora, którego znała ze starszych filmów, tego, który zawsze zakochał się w Grace Kelly.

Pan DeSaria.

Dla Lauren był jej wymarzonym ojcem. Podczas oglądania tych fotografii wspominała różne sytuacje z przeszłości, kiedy jako dziecko wyobrażała sobie rodzinne wypady do Wielkiego Kanionu i do Disneylandu, dni spędzone na kiermaszach organizowanych przez Grays Harbour County, jedzeniu cukierków, jeździe kolejką górską; wieczory w chacie, opiekaniu marshmallow nad ogniskiem w pobliżu wody.

Usłyszała pukanie do drzwi.

– Szósta trzydzieści, Lauren. Wstawaj i rób się na bóstwo.
– Już wstałam. – Wepchnęła pudełko z powrotem pod łóżko, ułożyła pościel i nakryła ją narzutą. Kiedy wychodziła z pokoju, nie widać było śladów jej bytności.
Na dole Angie krzątała się po kuchni.
– Dzień dobry – powiedziała i nałożyła jajecznicę z patelni na talerz. – Zesłaś w samą porę.
– Zrobiłaś mi śniadanie?
– Nie lubisz jajek?
– Żartujesz, są pyszne.
– Musisz się porządnie odżywiać przez najbliższe kilka miesięcy. – Uśmiechnęła się. Popatrzyły na siebie i nagle zamilkły. Słysząc było tylko odległy szum oceanu, który zdawał się narastać. Lauren odruchowo dotknęła brzucha.
– Może nie powinnam była tego mówić – odezwała się Angie z zakłopotaniem.
– Przecież jestem w ciąży. Nie ma co udawać, że nie.
– Chyba masz rację.
Lauren nie wiedziała, co jeszcze mogłaby dodać, więc podeszła do stołu i usiadła.
– Ooo, jak smakowicie pachnie.
Angie podała jej na talerzu jajecznicę i dwa tosty cynamonowe z plasterkami ogórkowego melona.
– To jedyne, co potrafię zrobić.
– Dziękuję. – Lauren popatrzyła na nią z wdzięcznością.
– Bardzo proszę – odpowiedziała Angie i usiadła naprzeciw niej uśmiechnięta. – Jak ci się spało?
– Dobrze. Będę musiała przywyknąć do tej ciszy.
– Tak. Kiedy wyjechałam do Seattle, zajęło mi całą wieczność, by przyzwycząić się do hałasu.
– Tęsknisz za miastem?
Pytanie zaskoczyło Angie, bo nie zastanawiała się nad tym wcześniej.
– Właściwie nie. Lepiej tutaj sypiam, co jest przecież niezwykle ważne.
– Może to wpływ morskiego powietrza.
– Słucham?
– Twoja mama powiedziała mi, że jeśli dziewczynka dorasta, wdychając morskie powietrze, nigdy nie będzie dobrze się czuła daleko od wody.
Angie się roześmiała.
– To rzeczywiście w stylu mojej mamy. Ale Seattle leży blisko morza.
– Dla twojej mamy wszystko, co nie jest West Endem, leży daleko od morza.
Przez chwilę jeszcze o tym rozmawiały, po czym Angie wstała.
– Pozmywaj naczynia, a ja w tym czasie wezmę prysznic. Widzimy się za dziesięć minut na dole i jedziemy do szkoły.
– Jak to jedziemy?
– Odwożę cię tylko, oczywiście. Restauracja jest dzisiaj zamknięta, więc nie ma problemu, mogę to zrobić. A tak przy okazji, myślałam, że w Fircrestie nosicie mundurki.
– Owszem.
– To dlaczego się tak ubrałaś?
Lauren poczuła, że płoną jej policzki.
– Cofnęli mi stypendium. Poza tym nie szyją mundurków w rozmiarze dla słoni.
– Czy ja dobrze rozumiem? Wyrzucili cię ze szkoły, bo zaszłaś w ciążę?

– Nie warto się tym przejmować. – Miała nadzieję, że jej głos nie zdradzał, jak się naprawdę czuła.

– Nonsens, co ty opowiadasz?!

– Nie wiem...

– Pozmywaj, a potem włóż mundurek. Złożymy w Fircrest Academy wizytę.

*

Po godzinie były już w szkolnym biurze. Lauren stała przy ścianie i miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Angie siedziała naprzeciwko pani Detlas, która trzymała złożone dłonie na metalowej powierzchni stołu.

– Miło wreszcie panią poznać, pani Ribido. Jak sądzę, nie zrozumialiśmy się dobrze co do dalszej nauki Lauren w Fircrestie.

Lauren nabrała gwałtownie powietrza w płuca i spojrzała na uśmiechniętą Angie.

– Przyszłam tutaj, żeby porozmawiać o przyszłości mojej córki – oznajmiła Angie, zakładając nogę na nogę.

– Rozumiem. Ale o przyszłości pani córki musi pani porozmawiać z doradcą w West Endzie. Widzi pani...

– To, co ja widzę, to proces sądowy albo jeszcze lepiej nagłówek w gazecie: „Katolicka szkoła wyrzuca świetną, choć ubogą, uczennicę, dlatego że zaszła w ciążę”. Wiem, jak się wymyśla takie tytuły, bo mój były mąż jest reporterem w „Seattle Times”. Właśnie wczoraj powiedział mi, że taki lokalny skandal świetnie by pasował do wielkomięskiej gazety.

– My... hm... nie wydaliliśmy Lauren oficjalnie. Wytłumaczyłam jej, że dziewczęta z Fircrestu mogą zachowywać się wobec niej niedelikatnie. – Zmarszczyła brwi. – Nie miałam informacji o pani mężu.

Zaczęła przeglądać dokumentację Lauren.

– Czy boisz się koleżanek ze szkoły? – Angie spojrzała na dziewczynę.

Ta pokręciła przecząco głową. Nie była w stanie się odezwać.

Na to Angie zwróciła się do pani Detlas.

– Bardzo uprzejmie z pani strony, że brała pani pod uwagę uczucia mojej córki, ale jak pani widzi, to twarda dziewczyna, poradzi sobie.

Kobieta zamknęła teczkę i oznajmiła:

– Lauren, jak sądzę, mogłaby skończyć semestr tutaj i przystąpić do egzaminów końcowych. Zostało tylko sześć tygodni, a w to wchodzi jeszcze przerwa świąteczna. Tak więc mogłaby zdawać egzaminy w styczniu i uzyskać absolutorium wcześniej, ale naprawdę uważam, że...

Angie wstała.

– Dziękujemy, pani Detlas. Lauren zostanie w Fircrestie i tutaj zda egzaminy zgodnie z planem.

– Jak pani uważa – odpowiedziała kobieta wyraźnie zdenerwowana.

– Jestem pewna, że dołoży pani wszelkich starań, żeby jej pomóc. A ja nie omieszkam powiedzieć mojemu wujowi, jak nadzwyczajnie się państwo zachowali.

– Wujowi?

– Ach, nie wspomniałam o nim? – Popatrzyła niewinnie. – Kardynał Lanza jest bratem mojej mamy.

Pani Detlas skurczyła się na krześle.

– Och – było jej jedyną odpowiedzią, ledwie zresztą słyszalną.

- Idziemy, Lauren – rzuciła Angie i skierowała się do drzwi.
- Dziewczyna, prawie się potykając, podążyła za nią.
- To wprost niewiarygodne – odezwała się, gdy już były na zewnątrz.
- I zabawne. Ta paniusia potrzebowała postawienia do pionu.
- Skąd wiedziałas, co powiedzieć?
- Życie, skarbie. Doświadczenie przydaje się czasem.

Lauren się uśmiechnęła. Czowała się świetnie. Po prostu wspaniale. Nikt o nią nigdy nie walczył w ten sposób, a teraz wydawało jej się, że jest silna, niezwyciężona. Gdy miała Angie u boku, stać ją było na wszystko.

Nawet na uczęszczanie do klasy, w której wszyscy się będą na nią gapić i szeptać na jej temat.

- Angie się uśmiechnęła.
- Mam tylko nadzieję, że kardynał Lanza istnieje.
- Popatrzyły się na siebie i wybuchnęły śmiechem.

*

Angie stała na rogu i patrzyła, jak Lauren idzie przez kampus. Powstrzymywała się, by nie krzyknąć: „Pa, kotku. Miłego dnia w szkole. Będę o szóstej, by cię odebrać”. Nie była jeszcze taka stara, aby zapomnieć, że ta scena byłaby szczytem obciachu. A dziewczyna nie potrzebuje dodatkowego powodu, by się za nią oglądali. Cięża w prywatnej szkole to wystarczający kłopot. Przyszywana mama maniaczka mogłaby zaszkodzić, zamiast pomóc.

Lauren obróciła się jeszcze, gdy dotarła do budynku. Pomachała Angie na pożegnanie i weszła do środka.

– Wy małe czarownice, lepiej bądźcie dobre dla mojej dziewczynki – powiedziała Angie, czując klucie serca. Zamknęła oczy, pomodliła się za nią i wsiadła do samochodu.

Kiedy wracała do domu, starała nie wyobrażać sobie przyjęcia, jakie zgotują Lauren w szkole koleżanki, ale pomyślała, że przyjedzie po nią o szóstej. Tak na wszelki wypadek. A jeśli Lauren wyjdzie ze szkoły zapłakana, zraniona bezdusznym okrucieństwem nastolatek? Może jej wtedy potrzebować...

– Nie – postanowiła głośno. Dziewczyna poradzi sobie sama. Nie było innego sposobu. Droga, którą wybrała, była trudna i przerażająca, ale skoro się na nią zdecydowała, wyjście jest jedno: iść dalej.

Jednostajna, intensywna melodyjka wydobywająca się z telefonu komórkowego przywróciła Angie do rzeczywistości. Przeszukała torebkę, wyjęła aparat i odebrała połączenie.

– Angie?

Nie zorientowała się, kto dzwoni, aż do tego momentu. Głęboko odetchnęła, bo podświadomie czekała na jego telefon.

– Cześć, Con. – Starła się, by jej głos brzmiał zwyczajnie. Zjechała na bok, żeby móc bezpiecznie porozmawiać. Serce waliło jej jak młotem.

– Tak sobie myślałem, co byś powiedziała na powtórkę tamtej nocy?

Nie miałabym nic przeciwko, pomyślała.

– Musimy porozmawiać.

– To ponadczasowa propozycja – odparła. – Powinniśmy rozmawiać od zawsze. Masz ochotę do mnie przyjechać? – I w tej samej chwili przypomniała sobie o Lauren.

Nie spodobałaby mu się taka sytuacja.

– Nie dzisiaj, jestem zajęty. Może... – Głos Conlana stał się niepewny, coś rozważał.

– Dzisiaj poniedziałek. Restauracja jest zamknięta. Mogłabym wpaść do ciebie

z lunchem.

- Z lunchem?
- Taki posiłek. Na ogół składa się z kanapek i zupy. – Niezbyt udany dowcip, skarciła się w duchu. – Nie daj się prosić, Con. Powinieneś jadać lunch.
- To może w Al Boccalino?
- Mogę tam być o jedenastej trzydzięci. – Włączyła kierunkowskaz i zaczęła włączać się do ruchu.
- To do zobaczenia, pa! – powiedział.
- Na razie! – pożegnała się. Chciała się cieszyć, ale w tej chwili mogła jedynie myśleć o dziewczynie, która zamieszkała z nią pod jednym dachem. Conlan dobrze tej wiadomości nie przyjmie.

*

Dojechała do centrum Seattle w rekordowym czasie, zaparkowała i poszła w stronę restauracji.

Ich restauracji.

Przynajmniej kiedyś nią była.

Miała jeszcze do pokonania spory kawałek, kiedy zaczęło padać. Wielkie krople deszczu i waliły w chodnik, tworząc strumienie wzdłuż krawężników. Angie rozłożyła parasol i skierowała się na Pioneer Square. W parku grupki bezdomnych tłoczyły się pod czymkolwiek, co mogło choć trochę osłonić od ulewy. Pilnowali papierosów, by im nie zamokły.

Potem znalazła się pod wiaduktem Yesler. Ta łukowata betonowa konstrukcja odporna na trzęsienie ziemi dawała schronienie przed deszczem.

Wreszcie dotarła na miejsce. W Al Boccalino było jeszcze pusto. Na lunch ludzie zaczęli przychodzić najwcześniej dopiero za godzinę.

Carlos, właściciel restauracji, rozpoznał Angie i przyszedł się przywitać.

- Pani Malone, jak miło panią znowu widzieć.
- Ja również cieszę się, że tu jestem. – Podała mu płaszcz i parasol, a potem udała się za nim do niewielkiej salki w stylu tokańskim. Momentalnie wyczuła mocny zapach czosnku i tymianku, który przypomniał jej o domu.

– Powinna pani kiedyś przywieźć do nas mamę – powiedział Carlos z uśmiechem.

Ta propozycja rozbawiła Angie. Jedyne raz, gdy przyjechała tu z rodzicami, skończył się tym, że mama spędziła większość czasu w kuchni, zamęczając szefa krojeniem i szycowaniem pomidorów do marinady. „Zgnieć je – marudziła. Po to Bóg dał nam ręce”.

– Zrobię to kiedyś – odpowiedziała, ale uśmiech jej zbladł, gdy zobaczyła Conlana.

Wstał na powitanie.

Carlos usadził Angie, podał obojgu menu i się ulotnił.

- Dziwnie uczucie być tu znowu – odezwała się.
- Wiem... Nie przychodziłem tutaj, odkąd się rozstaliśmy.
- Wydawało mi się, że mieszkasz w okolicy?
- To prawda.

Znowu zapadło milczenie. Patrzyli na siebie.

Pojawił się znowu Carlos z butelką szampana w ręku.

– Moja ulubiona para znowu razem. To dobrze. – Napełnił wysokie wąskie kieliszki błyszczącym, musującym płynem. – Pozwoli pan, żebym zadecydował, co państwo zjedzą?

– Oczywiście – odpowiedział Conlan, nie odrywając wzroku od Angie.

Czuła się bezbronna, kiedy się jej tak przyglądał. Sięgnęła po kieliszek, żeby mieć się

czym zając.

Chcę ci opowiedzieć o dziewczynie, którą poznałam, mówiła w duchu.

– Conlan – zaczęła, ale nadszedł Carlos z sałatką caprese. Wymienili wszelkie możliwe achy i ochy z zachwytem nad jedzeniem, mimo to Angie denerwowała się coraz bardziej. Nalała sobie następny kieliszek szampana.

Ona jest naprawdę świetna. Mieszka u mnie. Ach, a czy wspominałam, że jest w ciąży? – kontynuowała w myślach.

Conlan pochylił się do przodu i wsparł głowę na łokciach.

– Dzisiaj rano zadzwonił do mnie mój agent. Zaproponował mi napisanie książki. – Przerwał na moment. – Jedyną osobą, której chciałem o tym powiedzieć, jesteś ty. Co to może oznaczać, jak myślisz?

Wiedziała, ile go kosztowało to wyznanie. Chciała pochylić się w jego stronę, wziąć jego dłonie w swoje i się przyznać, że wciąż go kocha, że zawsze kochała i że to się nie zmieni, ale na to było jeszcze za wcześnie. Zamiast tego powiedziała:

– Sądzę, że oznacza to, że przez długi czas byliśmy w sobie zakochani.

– Ja przez większość życia.

Stuknęli się kieliszkami. Dźwięk uderzającego o siebie szkła zabrzmiał jak nowy początek. Wiedziała, że powinna powiedzieć mu teraz o Lauren, ale się nie zdecydowała. To był taki magiczny moment, kiedy wszystko mogło się zdarzyć.

– Opowiedz mi, o czym ma być ta książka.

Zaczął więc. Była to historia mężczyzny z małego miasteczka, oskarżonego w późnych latach dziewięćdziesiątych o zgwałcenie i zabójstwo kilkunastu starszych kobiet. Conlan przeprowadził własne śledztwo w tej sprawie i bardzo się zaangażował. Doszedł do wniosku, że ten facet był niewinny, co potwierdziły testy DNA.

– Złapałem Pana Boga za nogi – powiedział. – Oferują mi przyzwoite pieniądze za napisanie tej książki i potem następnej.

Ciągnął jeszcze temat po skończonym deserze, gdy płacił rachunek.

Kiedy Angie się podniosła, poczuła, że jest nieźle wstawiona.

Conlan stał z boku i starał się ją podtrzymywać, by się nie zataczała.

Patrzyła na niego. Był zadowolony, a jej napłynęły do oczu łzy wzruszenia.

– Jestem z ciebie dumna, Con.

– To nie wróży dobrze. – Uśmiech zgasł na jego twarzy.

– Co ty mówisz? Ja...

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, tu, w restauracji, na oczach wszystkich. To nie był jakiś tam grzeczny pocałunek na pożegnanie. O, nie.

– No, no! – powiedziała, kiedy już przestał. Kręciło jej się trochę w głowie. Próbowwała trzymać pion. Nie było to łatwe, serce waliło jak oszalałe. Pragnęła go z intensywnością, która zaskoczyła ją samą.

– Ale mieliśmy przecież porozmawiać. – Usiłowała jasno myśleć.

– Później – rzucił z desperacją w głosie. Wziął Angie za rękę i pociągnął do wyjścia. – Teraz pójdziemy do mnie.

Poddała się.

– A możemy pobiec?

– Zdecydowanie tak.

Na dworze było jasno. Zaskoczyło ją to. Po chwili uprzytomniła sobie, że przecież to pora lunchu. Przebiegli w deszczu Yesler Street, skręcili w Jackson.

Conlan miał trudności z dostaniem się do środka, bo zamek się zaciął.

Angie objęła go ramionami od tyłu, a jej dłoń powędrowała do paska.

– Niech to szlag! – mamrotał, wypróbowując kolejny klucz.

Wreszcie drzwi się otworzyły. Pociągnął ją w stronę windy, a gdy zjechała, wtoczyli się do wnętrza, cały czas się całując.

Angie płonęła. Dotykała go wszędzie, oddawała pocałunki, czuła, że się zatracza.

Nie mogła oddychać.

Winda dojechała na miejsce. Teraz już tylko minuty, sekundy dzieliły ich od jego sypialni.

Conlan położył ją na łóżku. Czekala i czuła taki przyływ pożądania, jakiego nie doświadczyła od dawna.

– Rozbierz się – powiedziała zmysłowo i wsparła się na łokciu.

Ukląkł przy łóżku pomiędzy jej nogami.

– Nie potrafię żyć z daleka od ciebie – wyszeptał.

Wiedziała, że przyjdzie jej zapłacić za te chwile.

Ale nie dbała o to teraz.

25

Angie stała naga przed oknem w mieszkaniu swojego męża, byłego męża, i patrzyła na Zatokę Elliotta. Świat zamglony od deszczu wydawał się odległy i nierealny. Samochody dudniły po wiadukcie na trasie północ-południe. Szyby w oknach lekko drżały z powodu tego ruchu, a dźwięk, jaki wydawały, przypominał zgrzytanie zębami.

Gdyby to była scena z filmu, paliłaby teraz papierosa z nieodgadnioną miną, a widzowie oglądaliby montaż scen pokazujących rozpad ich małżeństwa i właśnie rodzące się pojednanie. Ostatnia scena nawiązująca do tego, co działo się w tej chwili, pokazywałaby zbliżenie twarzy Lauren.

– Wyglądasz na zmartwioną – powiedział Conlan.

Jak dobrze ją znał. Nawet gdy stała zwrócona do niego profilem, trochę pochylona, umiał odczytać jej nastrój. Może coś w postawie, jaką przybrała, na to wskazywało. Zawsze kiedy była wytrącona z równowagi, wysuwała podbródek do przodu i zakładała ręce jedna na drugą.

Nie obróciła się, by na niego spojrzeć. W szybie widziała swoje odbicie, niewyraźne, trochę jak zarys ducha.

– Nie jestem zmartwiona, raczej zamyślona.

Zatrzeszczały sprężyny, chyba się podniósł.

– Angie?

Obróciła się, zbliżyła do łóżka i usiadła koło Conlana. Dotknął jej ramienia i ucałował pierś.

– Co się dzieje?

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego? – Cofnął się trochę.

– Jest pewna dziewczyna.

– Ooo...?

– Dobra, ze świetnymi wynikami w szkole, pracowita.

– A jaki ma związek z nami?

– Zatrudniłam ją we wrześniu. W sumie jest u nas dwadzieścia godzin tygodniowo. Po szkole, w weekendy, no wiesz. Mama tego nie przyzna, ale lepszej kelnerki nigdy nie mieliśmy.

Conlan zmierzył Angie wzrokiem.

– W czym więc problem, ma jakąś okropną wadę?

– Żadnej.

– Angie Malone, nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale ponieważ znam cię nie od dziś, wiem, że zaraz mi to wyjaśnisz.

– Matka ją porzuciła.

– Porzuciła?

– Po prostu pewnego dnia wyjechała.

Cały czas jej się przyglądał.

– Chcesz mi powiedzieć, że znalazłaś dla niej jakieś mieszkanie?

– Tak. U mnie.

– Mieszka z tobą w domku? – Conlan ciężko odetchnął.

– Tak.

Na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie, stała się pochmurna.

– Zgodziłaś się na nastolatkę w twoim domu.

– Nie rozumiesz mnie. To nie tak jak ostatnim razem. Pomagam jej, dopóki...

– Dopóki co?

– Dopóki nie urodzi dziecka. – Angie schowała twarz w dłoniach.

– O, cholera! – zaklął Conlan. Jednym ruchem odsunął pościel i wstał z łóżka.

– Con...

Poszedł prosto do łazienki i z trzaskiem zamknął drzwi.

Angie poczuła, jakby dostała kopniaka w brzuch. Wiedziała, że taka będzie reakcja. Ale jakie miała wyjście? Z westchnieniem schyliła się po rzeczy i ubrała. Potem usiadła na łóżku.

Wreszcie wyszedł. Miał na sobie sprane lewisy i jasnoniebieski podkoszulek. Gniew mu minął, wyglądał na zmęczonego. Pochylone ramiona świadczyły o doznanym rozczarowaniu.

– Mówiłaś, że się zmieniłaś.

– Bo to prawda.

– Dawna Angie przyprowadziła pewnego dnia do domu nastolatkę, i to był początek końca naszego małżeństwa. Dobrze pamiętam, nawet jeśli ty zapomniłaś.

– Daj spokój – powiedziała, czując, że coś w niej pęka. Zbliżyła się do niego. – Naprawdę o tym nie myślę. Daj mi szansę.

– Dałem ci ją mnóstwo razy. – Rozejrzał się po pokoju, po czym spojrzał na łóżko. – To był mój błąd, powinienem wiedzieć lepiej.

– Tym razem będzie inaczej. Przysięgam. – Chciała go objąć, ale się uchylił.

– Jak? Jakim cudem?

– Ona ma siedemnaście lat i nikogo, kto by się nią zajął. Nie ma gdzie pójść. Pomagam jej, ale nie pielęgnuję własnych obsesji. Pogodziłam się z tym, że nie mogę mieć dziecka.

Proszę... – wyszeptala – daj mi szansę udowodnić ci, że tym razem jest inaczej. Przyjedź i ją poznaj.

– Mam się z nią spotkać? Po tym, co przeszliśmy z Sarah Dekker...

– To nie Sarah. Dziecko będzie należało do Lauren. Zobacz się z nią. Proszę, zrób to dla mnie.

Patrzył na nią. Mierzył ją długo ponurym wzrokiem.

– Nie będę przez to przechodził ponownie. Wzloty. Upadki. Obsesje.

– Conlan, uwierz mi, jest...

– Nie waż się kończyć zdania. – Wziął klucze z kredensu i skierował się ku drzwiom.

– Jest mi bardzo przykro.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił, i powiedział:

– Zawsze jest ci przykro, Angie. Powinienem być o tym pamiętać.

*

W zeszłym roku na lekcje historii powszechnej Lauren przygotowała materiał o Londynie w czasach wiktoriańskich. W swoich badaniach oparła się między innymi na filmie *Człowiek słoń*. Pamiętała, jak oglądała go w bibliotece po godzinach, patrzyła na bogatych londyńczyków szydzących i naśmiewających się z biednego Johna Merricka, którego twarz i ciało były zniekształcone, co powodowało cierpienie ponad ludzką miarę. Jakby nie dość było tego bólu, musiał jeszcze stawiać czoło ludzkim spojrzeniom i szeptom.

Lauren doświadczała teraz sama, co to znaczy być obiektem plotek. Przez te lata, kiedy uczęszczała do Fircrest Academy, starała się wyłącznie o pozyskanie uwagi innych jako aprobaty dla tego, co robi. Nigdy nie spóźniała się na lekcję, nie łamała zasad, nie obmawiała innych

uczniów. Dbała, by pod każdym względem być jak żona Cezara – poza podejrzeniem.

Powinna była wiedzieć, że upadek z wysoka jest bolesny, a ziemia twarda.

Wszyscy się na nią gapili, wytykali palcami i szeptali. Nawet nauczyciele byli zgorzeleni i wytrąceni z równowagi jej obecnością. Zachowywali się, jakby była nosicielką jakiegoś śmiertelnego wirusa, którym łatwo można się zarazić.

Po lekcjach wtapiała się w tłum roześmianych, przekrzykujących się nawzajem uczniów. Jednak nawet wśród nich, choćby i przyjaciół, czuła się tak bardzo inna. Całkowicie obca. Ze spuszczoną głową, starała się być niewidoczna.

– Lauren!

Automatycznie spojrzała się w kierunku, skąd dochodził głos, i od razu pożałowała, że to zrobiła.

Paczka zebrała się pod masztem. Susan i Kim siedziały na ceglany murku za nim, a David i Jared grali w zośkę.

Przygotowała się na nieuniknione. Podczas lunchu poszła do biblioteki, więc się z nimi nie spotkała, ale teraz nie miała wyboru, musiała się przywitać.

– Cześć, ludki! – odezwała się, idąc w ich kierunku. Wahala się co dalej, podobnie jak David.

Mierzyli się wzrokiem z pewnej odległości.

Dziewczyny pociągnęły ją za sobą w stronę ulubionego miejsca spotkań ich grupki, czyli boiska szkolnego. Chłopcy wlekli się za nimi, grając w zośkę.

– I jak tam? – zapytała Kim, gdy stanęły przy bramce. – Jak się czujesz?

– Jestem przerażona – odpowiedziała Lauren. Nie miała ochoty rozmawiać na ten temat. Nie wiedziała już co gorsze, mówić o tym samej, czy słuchać, jak inni mówią o niej. A teraz była przecież wśród przyjaciół.

– Co zamierzacie zrobić? – zapytała Susan, szukając czegoś w plecaku. Wreszcie wyciągnęła puszkę coli. Otworzyła, napiła się i puściła dalej.

David podszedł do Lauren i objął ją w pasie.

– Nie wiemy jeszcze.

– Dlaczego nie zdecydowałaś się na aborcję? – zapytał Kim. – Moja kuzynka właśnie to zrobiła.

– Nie dałam rady. – Lauren wzruszyła ramionami. Zaczynała żałować, że nie jest daleko stąd. Z Angie, z nią czuła się bezpiecznie...

– David mówił, że zamierzacie oddać dziecko do adopcji. To chyba w porządku. Moja ciocia Sylvia zaadoptowała córeczkę w zeszłym roku i wygląda teraz na szczęśliwą. – Susan sięgnęła po colę.

Lauren spojrzała na Davida.

Po raz pierwszy pomyślała, że mógłby odejść, zostawić to razem z innymi wspomnieniami ze szkoły. Błędłoby ono, aż w końcu przestałoby się liczyć zupełnie. Dlaczego nie domyślała się tego wcześniej?

Miała nadzieję, że będą przechodzić przez to doświadczenie razem, ale nagle przypomniały jej się wszystkie ostrzeżenia. To dziewczyna zachodzi w ciążę, nie chłopak.

– Chodź – szepnęła i odciągnęła go w dyskretniejsze miejsce niedaleko trybun.

Bardzo chciała, by ją pocałował i uspokoił, ale on tylko stał i patrzył na nią z zakłopotaniem.

– No co?

– Nic... będę za tobą tęsknić w czasie przerwy świątecznej. – Chciałaby, żeby ją zaprosił, ale wiedziała, że ten czas spędza z rodziną.

– Tata umówił spotkanie w styczniu. Z prawnikiem. – Wzdrygnął się. – W sprawie adopcji.

– Opuść sobie – powiedziała z goryczą w głosie. To takie łatwe dla niego.

– Powinniśmy przynajmniej tego wysłuchać. – David wyglądał, jakby miał zamiar się rozplakać, tutaj na boisku, na oczach przyjaciół stojących kilka kroków z tyłu.

Jednak nie było to dla niego łatwe.

– Tak... jasne, powinniśmy go wysłuchać.

Patrzył na nią. Czuła się doroślejsza od niego i jakaś zdystansowana.

– Może kupię ci pierścionek. W Aspen jest mnóstwo sklepów z fajną biżuterią.

– Naprawdę? – Serce jej drgnęło.

– Kocham cię – szepnął.

Te słowa brzmiały inaczej niż kiedyś, jakby był gdzieś daleko albo pod wodą. Kiedy dotarła do domu, nie pamiętała barwy jego głosu.

*

Angie czytała przepis na gnocchi z ricottą chyba już czwarty raz. Nie uważała się za idiotkę, ale nie mogła pojąć, jak ma nadawać kształt kluseczkom za pomocą widelca.

– Mniejsza o to. – Uformowała długi wałek z ciasta i pokroiła na małe kawałki.

Postanowiła, że nauczy się gotować, ale to wcale nie oznacza, że odkryła w życiu nowe powołanie. – I tak są ładne.

Zamieszała sos. Intensywny zapach smażonego czosnku, cebuli i pomidorów unosił się w całym domu. Nie był taki doskonały jak mamy, oczywiście, ale kupny sos ze sklepu nie mógł smakować tak dobrze, jak ten domowej roboty. Miała tylko nadzieję, że nikt z rodziny nie wpadnie.

Poza tym to, że w ogóle gotowała, już stanowiło postęp.

Podobno gotowanie ma właściwości terapeutyczne. Siostry przypominały o tym przy każdej okazji. A Angie wydawała się dostatecznie zdesperowana, by to sprawdzić, no i dowiedziała się. Że obieranie, siekanie, mieszanie nic a nic nie pomaga.

„Nie będę przez to przechodził ponownie. Wzloty. Upadki. Obsesje”, dźwięczały jej w uszach słowa Conlana.

Może nie powinna była mówić mu o Lauren. Jeszcze nie. Może najpierw powinna umocnić na nowo ich miłość.

Nie.

Tak postąpiłaby dawniej i trwałaby ze swoimi problemami, odgradzona od niego, nie mogąc sforsować tej bariery. Choć on nie dostrzega niuansów przemiany, jaka w niej nastąpiła, to Angie rzeczywiście się zmieniła.

Musiała tak postąpić, nie było innego wyjścia.

Raz czy dwa zabrnęła w rozważania, czy rzeczywiście nie popełniła błędu, kiedy zaprosiła Lauren do siebie, ale prędko dochodziła do wniosku, że takie myślenie to błędna droga. W gruncie rzeczy cieszyła się, że może jej pomóc.

Umyła pęczek świeżej bazylii i zaczęła ją siekać. Przyklejała się do noża, lecz pocięta dawała się ulepić w kulkę. To, co zostało, Angie pokroiła nożyczkami na kawałki.

Otworzyły się drzwi wejściowe. Weszła Lauren. Była cała przemoczona.

Angie zerknęła na zegarek.

– Jesteś wcześniej. Miałam cię przecież odebrać...

– Chciałam oszczędzić ci czasu. – Dziewczyna zdjęła palto i zawiesiła je na metalowym stojaku. Ściągnęła botki i odrzuciła je kopniakiem, aż walnęły o ścianę.

– Ustaw buty porządnie, proszę – zareagowała Angie automatycznie. Kiedy się zorientowała, jak bardzo przypomina w tym mamę, roześmiała się.

– Co w tym zabawnego?

– Moja reakcja. Zachowałam się jak moja mama. – Wrzuciła bazylię do sosu, zamieszała drewnianą łyżką i przykryła garnek pokrywką. – I jak tam? Sądziłam, że po szkole spotkasz się z Davidem.

– Tak. Hm... – Dziewczyna posmutniała.

– Coś ci powiem. Idź na górę, włóż suche ubranie, potem napijemy się kakao i pogadamy.

– Jesteś zajęta.

– Gotuję. A to oznacza, że pewnie skończy się na wyjściu do restauracji. Tak czy siak, warto, byś się przebrała.

– Okej. – Dziewczyna wreszcie się uśmiechnęła.

Angie zmniejszyła ogień na kuchence i zajęła się przygotowaniem kakao. Była to jedna z niewielu rzeczy, które robiła dobrze. Kiedy Lauren schodziła po schodach, czekała już na nią z gorącym napojem.

– Dzięki. – Dziewczyna wzięła od niej filiżankę i usiadła w skórzanym fotelu przy oknie.

– Jak rozumiem, dzień nie za bardzo się udał – odezwała się Angie. Starła się, by jej głos brzmiał łagodnie.

Lauren wzruszyła ramionami.

– Czulałam się... starsza od moich rówieśników.

– Chyba cię rozumiem.

– Oni się martwią, czy zapamiętają daty bitew podczas wojny secesyjnej. A ja zastanawiam się, czy będę miała z czego opłacić opiekunkę do dziecka, gdy pójdę do college'u. Niewiele mamy z sobą wspólnego, prawda? – Spojrzała na Angie. – David powiedział, że może kupi mi pierścionek.

– Czy to oświadczyny?

Dopiero po upływie sekundy zorientowała się, że powinna się ugryźć w język. Twarz Lauren się skurczyła.

– Nie sędzę.

– Skarbie, nie oceniaj go zbyt surowo. Nawet dorośli mężczyźni mają problem z poradeniem sobie z obowiązkami wynikającymi z ojcostwa. David czuje się teraz pewnie, jakby wypadł z samolotu i patrzył na przybliżającą się w coraz większym tempie ziemię. Wie, że czeka go twarde lądowanie. To, że się boi, nie oznacza, że przestał cię kochać.

– Nie wiem, czybym to zniosła. Zimno mi się robi na samą myśl.

– Wiem, co chcesz powiedzieć.

Lauren spojrzała na nią uważnie. Zorientowała się, że palnęła głupstwo.

– Przepraszam, nie powinnam o tym mówić. Nie chcę, żebyś i ty była smutna.

– Co przez to rozumiesz?

– To, że wciąż kochasz swojego eksa. Zdradza cię sposób, w jaki o nim mówisz.

– Aż tak to po mnie widać? – Angie zaczęła oglądać swoje dłonie, po czym wolno powiedziała: – Spotkałam się z nim dzisiaj.

Nie wiedziała, dlaczego jej to mówi. Może po prostu musiała się wygadać.

– Naprawdę? I co, wciąż jest w tobie zakochany?

Angie wyczuła nadzieję w głosie dziewczyny. Domyśliła się, że potrzebna była jej wiara w to, że nawet wypalone uczucie może ożyć znowu. Każda kobieta tego pragnie.

– Nie wiem, wiele wody w rzece upłynęło.

– Nie byłby zadowolony z tego, że tu mieszkam.

Trafność tej uwagi zaskoczyła Angie.

– Skąd to przypuszczenie?

– Daj spokój. Po tym, co wam ta ciężarna dziewczyna zrobiła...

– To była inna sytuacja – powiedziała Angie i zdała sobie sprawę, że to samo mówiła kilka godzin temu Conlanowi. – Sarah obchodziła mnie oczywiście, ale bardziej dziecko w jej łonie. Zaadoptowałabym je i wprowadziła do naszego życia, ale z Sarah miałam zamiar się pożegnać. Po prostu zniknęłaby. Z tobą jest inaczej.

– Jak?

– Zależy mi na tobie, Lauren. Na tobie – westchnęła. – To prawda, że czasami dopadają mnie wspomnienia. Prawdą jest również, że kiedy tak leżę na górze w łóżku, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że jesteś moją córką. Ale to nie czyni ze mnie osoby, którą byłam kiedyś, już mnie nie rani. I muszę przekonać o tym Conlana.

Spojrzała przed siebie i uświadomiła sobie, że nie zwracała się do dziewczyny.

Rozmawiała ze sobą.

Lauren wpatrywała się w nią.

– A ja czasami wyobrażam sobie, że jesteś moją mamą.

– Och... – wyrwało się Angie cichutko.

– Chciałabym, żebyś nią była.

Angie myślała, że się rozplacze ze wzruszenia. Ich potrzeby wzajemnie się uzupełniały, nic dziwnego, że tak łatwo dopasowały się do siebie.

– Tworzymy drużynę – powiedziała łagodnie. – Ty i ja. Ktoś na górze nad nami czuwa i pozwolił nam się spotkać.

Otarła oczy i zmusiła się do uśmiechu.

– Dość już tej czarnej rozpaczy. Biorę się za te przekłete gnocchi i spróbuję je ugotować. Może nakryłabyś do stołu?

*

Lauren leżała na łóżku i oglądała fotografie. Było ich mnóstwo. Pan i pani DeSaria. Trzy dziewczynki razem, osobno i w różnych zestawieniach. Zdjęcia robione zimą, wiosną, latem i jesienią. Na plaży, w górach, a niektóre nawet na poboczu drogi. Patrzyła na te śliczne obrazki i wyobrażała sobie, jak to jest być tak kochaną przez całe życie, mieć ojca, który się do niej uśmiecha i bierze na ręce.

„Chodź ze mną – powiedziałaby – dzisiaj będziemy...”.

Ktoś zapukał do drzwi.

Dziewczyna wystrzeżiła z łóżka jak z procy. Nie chciała zostać przyłapaną na grzebaniu w prywatnych zbiorach rodzinnych. Uchyliła drzwi wystarczająco, by sprawdzić, o co chodzi. Dostrzegła lewe oko Angie.

– Wyjeżdżamy za dziesięć minut.

– Wiem. Baw się dobrze. – Lauren cofnęła się, ale zaraz usłyszała kroki na schodach i ponowne pukanie.

Otworzyła drzwi raz jeszcze.

– Co miałaś na myśli, mówiąc to?

– Mówiąc co?

– Że mam się dobrze bawić.

– Życzyłam ci miło spędzonego czasu z rodziną.

– Ale to Boże Narodzenie.

– Wiem. Dlatego jedziesz do centrum. Opowiadałaś wczoraj, że DeSariowie spadają jak

szarańcza na miasteczko i pochłaniają wszystko, co znajdują na swojej drodze. Baw się dobrze.

– Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że nie jesteś jedną z nas.

– Nie nazywam się DeSaria.

– Aha, i wobec tego uważasz, że powinnam zostawić cię tutaj samą w Wigilię i ruszyć w miasto z moją rodziną, objadać się ciastkami i opijać grzany winem.

– Jeśli tak stawiasz sprawę... – Lauren się zarumieniła.

– Ubieraj się. Czy dostatecznie jasno się wyraziłam?

Uśmiech rozjaśnił twarz dziewczyny.

– Tak jest, proszę pani!

– Włóż coś ciepłego. Przewidują mroźne święta. I pamiętaj, że jestem o wiele za młoda, by zwracać się do mnie „proszę pani”.

Lauren zamknęła drzwi. Pozbierała zdjęcia i wrzuciła je do pudełka, z wyjątkiem kilku, które zatrzymała. Pudełko upchnęła pod łóżkiem. Potem chwyciła dwa aparaty jednorazowego użytku i schowała je do szuflady. Gdy już wszystkie ślady przestępstwa zostały zatarte, zajęła się strojem. Włożyła dzinsy z poszerzonymi nogawkami, czarny wełniany golf, na wierzch palto obszyte futerkiem.

Na dole czekała na nią Angie. Prześliczna, w ciemnozielonej wełnianej sukience, czarnych kozaczkach i tegoż koloru pelerynie. Długie czarne włosy opadały jej w nieładzie na plecy. Wyglądała jak z żurnala.

– Ale laska z ciebie, super!

– Ty też! Ale teraz lećmy już.

Wsiadły do samochodu i przez całą drogę do miasta gawędziły sobie miło o zwykłych codziennych sprawach.

Gdy dojechały do Front Street, utknęły w olbrzymim korku i zaczęły wlec się strasznie wolno.

– Nie wierzę, że tyle ludzi wyległo na ulice w Wigilię – zdziwiła się Lauren.

– Dzisiaj jest ostatnie uroczyste zapalenie lampek świątecznych.

– Aha. – Dziewczyna przyjęła fakt do wiadomości, ale wciąż nie bardzo rozumiała, dlaczego robi się wokół tego taki szum. Mieszkała w West Endzie już wiele lat, ale nigdy jeszcze nie była na uroczystości. W święta i weekendy zawsze pracowała. David mówił, że impreza jest „okej”, ale sam też na niej dawno nie był. Jego rodzice uważali, że przychodzi tu zbyt dużo ludzi.

Angie udało się znaleźć miejsce na parkingu.

Chwilę po opuszczeniu samochodu usłyszały, jak w kościołach zaczynają bić dzwony, które zapowiadały Boże Narodzenie. Obok nich przejechał powóz, podkowy koni stuknęły o asfalt, a dzwoneczki przyłączone do uprzęży wydawały wesołe dźwięki.

Na placu kłębił się tłum turystów, przemieszczając się bezładnie od jednego sklepu do drugiego. Ludzie przystawali przed straganami handlującymi czym się dało: od gorącego kakao czy rumu po cukierki – pasiaste laski świąteczne. Członkowie klubu rotariańskiego piekli kasztany w pobliżu masztu.

– Angela! – Głos Marii przebijał się w tłumie.

Zaraz potem zostały otoczone przez rodzinę Angie. DeSariowie mówili wszyscy naraz, opowiadali dowcipy, trzymali się za ręce. Krążyli potem od kramu do kramu i jedli wszystko, na co natrafili. Lauren widziała mnóstwo znajomych ze szkoły, którzy przyszedli tu z rodzicami. Po raz pierwszy poczuła, że naprawdę w czymś uczestniczy, zamiast stać z boku i się przyglądać.

– Już czas – odezwała się Maria. Jak na dany znak, rodzina się zatrzymała. Mówiąc prawdę, zrobiło to całe miasto; wszyscy znieruchomieli w oczekiwaniu i wyglądali, jakby zamazli.

Wyłączono światła. Nad placem zapanowały ciemności. Jedyne gwiazdy świeciły olśniewająco. Angie chwyciła Lauren za rękę i uściśniła lekko.

Nagle zapalono świąteczne lampki. Setki tysięcy światełek, wszystkie jednocześnie. Lauren zapało dech w piersiach.

Magiczne, pomyślała.

– Nieźle, co? – odezwała się Angie.

– Taaak... – odpowiedziała Lauren ze ściśniętym gardłem.

Spędzili na placu jeszcze godzinę, a potem poszli do kościoła na pasterkę, która ostatnio odbywała się o dziesiątej zamiast o północy. Dziewczyna omal się nie rozpląkała, kiedy wchodziła do budynku u boku Angie. Realizowało się jedno z jej dziecięcych marzeń, nie musiała szczególnie się wysilać, by myśleć o tej kobiecie jak o matce. Po mszy każdy z DeSariów poszedł w swoją stronę.

Angie i Lauren spacerowały wśród tłumu, pokazywały sobie palcem różne rzeczy po drodze. Zanim doszły do samochodu, zaczął padać śnieg. Ogromne płatki wolniutko opadały na ziemię.

Dziewczyna nie pamiętała, kiedy ostatnio Boże Narodzenie było białe. Na ogół w tym okresie padał deszcz.

Gdy jechały Miracle Mile Road, śnieg rozpadał się na dobre. Pokrywał coraz grubszą warstwą jezdnię i gałęzie drzew, tworzył piękny biały kobierzec.

– Zastanawiam się, czy jutro nie będziemy mogły pojeździć na sankach. – Wierciła się przejęta na siedzeniu. Wiedziała, że to dziecinne zachowanie, ale nie mogła się powstrzymać. – A może porobimy sobie anioły na śniegu. Widziałam w telewizji. Hej, kto tam stoi?

Jakaś postać tkwiła przed drzwiami domku Angie. Padało na nią złotawe światło reflektorów, ale gęsty śnieg zasłaniał twarz.

Samochód stanął.

Lauren starała się podejrzeć, kto to może być.

Człowiek zszedł z ganku i zaczął zbliżać się do auta.

I dziewczyna już wiedziała. Mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i wytartych lewisach musiał być eksem Angie. Spojrzała na nią, na jej pobladłą w tym momencie twarz i otwarte szeroko oczy.

– Czy to on?

– To Conlan – potwierdziła Angie.

– No, no! – Lauren tylko tyle zdołała powiedzieć. Wyglądał jak Pierce Brosnan. Wysiadła z samochodu.

Podszedł do niej, śnieg chrzęścił mu pod nogami.

– Ty pewnie jesteś Lauren?

Miał niski, zachrypnięty głos, jakby zbyt dużo pił i palił, gdy był młody.

Dziewczyna ledwo się powstrzymała, by nie zadrzeć. Intensywnie błękitne oczy, pierwszy raz takie widziała, świdrowały ją na wskroś bez sympatii.

– To ja.

– Conlan! – rzuciła bez tchu Angie, kiedy wysiadła z samochodu i stanęła obok niego.

Mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi, cały czas wpatrując się w Lauren.

– Przyjechałem cię poznać.

26

Conlan starał się utrzymywać dystans do Lauren. Reporterski chłodny obiektywizm otaczał go jak zbroja, jakby kilka zlutowanych kawałków metalu mogło ochronić męskie serce. Siedział sztywno przy stole i tasował karty. Przez ostatnią godzinę grali w kierki i rozmawiali, chociaż Angie tego by tak nie nazwała. Odpowiedniejszym słowem byłoby przesłuchanie.

– Wysłałaś więc dokumenty do college’u? – pytał Conlan, rozdając karty. Nie patrzył na dziewczynę. Stara sztuczka dziennikarzy. Niech się rozmówcy wydaje, że to zwykle pytanie bez większego znaczenia.

– Tak. – Dziewczyna miała również wzrok utkwiony w kartach.

– Dokąd?

– Na Uniwersytet Południowej Kalifornii, Pepperdine, Stanford, Berkeley, Uniwersytet Waszyngtoński i Uniwersytet Kalifornijski.

– Nadal sądzisz, że studiowanie w college’u jest właściwym wyborem?

Aluzja do dziecka sprawiła, że Angie posłała mu karcące spojrzenie znad kart.

Lauren też popatrzyła mu prosto w oczy, które zdawały się mówić, że ma już tego dość.

– Będę uczyła się w college’u.

– Będzie ci ciężko – powiedział i wyciągnął kartę.

– Nie chciałabym być niegrzeczna, panie Malone – zaczęła dziewczyna stanowczym głosem – ale życie jest na ogół ciężkie. Dostałam stypendium w Fircrescie, ponieważ nie mam w zwyczaju się poddawać. I z tego samego powodu zdobędę stypendium w college’u. Zrobię to, co będę musiała.

– Masz jakichś krewnych, którzy mogliby ci pomóc?

– Angie to robi.

– A co z twoimi krewnymi?

– Jestem sama – odpowiedziała spokojnie Lauren.

Biedny Conlan. Angie widziała, jak jego maska topnieje. Siedzi przy stole z kartami w rękę i odsłania prawdziwą twarz, smutną, ze zmarszczką na czole, pełną obaw.

Starał się panować nad emocjami, ale już przepadł, schwytany w pułapkę łez, które zaszkliły się w oczach dziewczyny. Chrząknął.

– Angie mówiła mi, że interesujesz się dziennikarstwem. – Rozmowa przenosiła się najwyraźniej na wyższy poziom.

– Tak. – Lauren skinęła głową.

Conlan odegrał rolę dobrotliwego króla.

– Może chciałabyś kiedyś popracować ze mną. Mógłbym przedstawić cię paru ludziom z branży i pokazać, na czym ta praca polega.

Kiedy Angie wspominała tę rozmowę, pamiętała ten moment jako zwrotny. Przesłuchanie się skończyło, zapanowała miła atmosfera spotkania w gronie znajomych. Przez kolejną godzinę rozmawiali, śmiali się i grali w karty. Conlan przytoczył sporo historyjek z pracy, których bohaterami byli niezbyt rozzagnięci przestępcy. Angie i Lauren na zmianę opowiedziały parę niefortunnych wypadków ze swojego życia.

Około dziesiątej zadzwonił telefon. To był David przebywający w Aspen. Lauren odebrała rozmowę na górze.

Conlan skierował wtedy spojrzenie na Angie. Miała wrażenie, że chyba pierwszy raz tego wieczora patrzył na nią.

– Dlaczego przyjechałeś?

– Dzisiaj Wigilia, a my jesteśmy rodziną.

Chciała pochylić się w jego stronę i pocałować go, ale poczuła się zakłopotana, niepewna. Po tylu latach życia razem i kochania się żyli teraz oddzielnie.

– Sam zwyczaj to za mało – powiedziała łagodnie.

– Masz rację.

– Mam rozumieć, że to początek czegoś...

Zanim zdołał odpowiedzieć, Lauren wpadła do pokoju, rozpromieniona. Wyglądała jak dziewczyna, która ma cały świat u swych stóp i całe życie przed sobą.

– Tęskni za mną – oznajmiła i usiadła na swoim miejscu przy stole.

Znów zajęli się kartami i rozmową na błahe tematy.

To był jeden z najlepszych wieczorów Angie od lat. Tak dobrze się bawiła, że gdy Lauren o północy oznajmiła, iż idzie spać, namawiała ją, by została jeszcze trochę. Nie chciała, żeby ten wieczór się kończył.

– Angie – wtrącił się Conlan – pozwól tej biednej dziewczynie iść do łóżka. Jest już późno. Jak Święty Mikołaj może ją odwiedzić, jeżeli nie będzie spała?

Lauren roześmiała się. Był to radosny dziewczęcy śmiech. Miło było go słuchać.

– W takim razie dobranoc. – Objęła Angie i wyszeptała: – Wesołych świąt.

Na odchodnym jeszcze się odwróciła, uśmiechnęła do Conlana i powiedziała:

– To była moja najwspanialsza Wigilia w życiu.

Angie siedziała na krześle i myślała, jak cicho zrobiło się w pokoju po jej wyjściu.

– Jak zamierzasz poradzić sobie z ciężą Lauren? – zapytał delikatnie Conlan, jak gdyby jego słowa mogły ją zranić. – Jak zniesiesz widok jej powiększającego się brzucha, pierwszych kopnięć dziecka czy zakupów rzeczy dla niemowlęcia?

– Będzie bolało.

– Tak.

Spojrzenie miała spokojne, nawet jeśli ton głosu na to nie wskazywał.

– Gdybym z nią w tym okresie nie była, bolałoby bardziej.

– Przerabialiśmy to już kiedyś.

Angie myślała o tym, o nich. Z Sarah Dekker też grali w karty i oglądali telewizję, kupowali nowe ubrania. Ale to nienarodzone dziecko ich łączyło.

– Nie to, tego nie – powiedziała wreszcie.

– Nadzieja zawsze łatwo w ciebie wstępuje, Angie. W pewien sposób to ona nas zniszczyła. Nie umiesz powiedzieć pas.

– Nadzieja była wszystkim, co miałam.

– Nieprawda. Miałaś mnie.

To proste stwierdzenie zapadło jej w serce.

– Nie spoglądajmy wstecz. Kocham cię. Czy to nie może wystarczyć na teraz?

– Masz na myśli dzisiejszą noc?

Skinęła głową.

– Alkoholicy muszą się napić przynajmniej raz w ciągu dnia. Może tego samego potrzeba dawnym kochankom.

Na te słowa Conlan pochylił się do Angie, położył rękę na jej szyi i przyciągnął do siebie. Ich spojrzenia się spotkały. Oczy Angie napełniły się łzami szczęścia, jego były pełne obaw.

Pocałował ją. Potrzebowała tego bardziej, niż mogła sobie wyobrazić. Potem wziął ją na

ręce i zaniósł po schodach do jej starej sypialni.

Zaśmiała się.

– Kieruj się do dużego pokoju. Jesteśmy teraz dorośli.

Obrócił się, popchnął drzwi i kopnięciem zamknął za nimi.

*

Kiedy Angie obudziła się następnego dnia rano, bolało ją całe ciało. Przewróciła się na bok, przytuliła do Conlana i pocałowała w zarost na podbródku.

– Wesołych świąt – wymruczała, po czym przesunęła dłonią po jego nagiej piersi.

– Wesołych świąt – odpowiedział, mrużąc oczy i starając się rozbudzić.

Przyglądała mu się długo, całą wieczność, jak się jej zdawało. Sutki Angie ocierały się o pierś mężczyzny, jej ciało dojrzało od tęsknoty i słodko-bolesnego pożądania. Wiedziała, że ich serca znów biją razem. Kiedy go całowała, czyniła to z całym bagażem doświadczeń, dobrych i złych. Te pocałunki ściągały skorupę, jaka nawarstwiła się przez lata, i sprawiały, że czuła się młoda, beztraska i pełna nadziei.

Dotykała jego policzka z zachwytem i ze zdziwieniem. Być może tak czują się kobiety, gdy ich mężowie wracają do domu z wojny. Trochę smutne, ale bardziej zakochane, niż mogłyby to sobie wyobrazić.

– Kochaj mnie – wyszeptala.

– Próbowałem od ciebie uciec. Nie wyszło – powiedział i przyciągnął ją do siebie.

Dużo później, kiedy Angie mogła już swobodnie oddychać, a drzenie jej ciała ustało, wysunęła się z łóżka i rozejrzała za sukienką.

– Pójdiesz z nami do mamy?

– To niewątpliwie wywoła stare plotki. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Co proszę?

– A gdzie mógłbym być w bożonarodzeniowy poranek?

Angie roześmiała się głośno. Widać było, że miała świetny nastrój.

– Ubierz się. Jesteśmy spóźnieni. – Znalazła sukienkę, szybko się w nią wślizgnęła i poszła obudzić Lauren. Spodziewała się, że dziewczyna będzie już na nogach, ubrana, nakrecona odrobinę na rozpakowywanie prezentów, ale ona jeszcze spała.

Angie podeszła do łóżka i usiadła.

– Obudź się, kotku – powiedziała i odgarnęła jej włosy z oczu.

– Dzień dobry – wymruczała zaspana Lauren.

– Wstawaj, śpiochu. Są święta.

– Aha. Hm... – Zamknęła oczy znowu.

Angie spoważniała. Które dziecko nie wyskakiwałoby z łóżka jak z procy w bożonarodzeniowy poranek?

Odpowiedź nasunęła się szybko: takie, co nigdy nie miało powodów, by wyczekiwać Gwiazdki. Przypomniała sobie mieszkanie Lauren... i kobietę, matkę, która zostawiła ją bez słowa.

Pochyliła się, by ucałować dziewczynę.

– Rusz się, śpiąca królowo. Musimy być u mamy za piętnaście minut. W tej rodzinie prezenty otwiera się wcześniej.

Lauren odrzuciła przykrycie i pobiegła do łazienki. Wiedziały, że druga osoba, która weźmie prysznic, będzie miała letnią wodę, a kolejna już tylko zimną.

Angie cofnęła się do sypialni. Conlan miał na sobie stary szlafrok kąpielowy ojca i stał przy oknie. W rękę trzymał niewielkie pudełeczko w srebrnym opakowaniu. Zawsze robili sobie

własną Gwiazdkę, przed tą bardziej uroczystą u mamy, ale w tym roku nie była na nią przygotowana.

– Kupiłeś mi prezent? Nie sądziłam...

– To tylko drobiazg. – Podeszedł do niej i dał jej pudełko.

Odwinęła folię, potem otworzyła biały kartonik, a w środku zobaczyła śliczną, ręcznie wykonaną ozdobę choinkową. Srebrny anioł z kryształowymi drobinkami i misternie wykonanymi skrzydłami.

– Wypatrzyłem to w Rosji w zeszłym miesiącu, gdzie miałem wywiad ze Svetlaską.

Patrzyła na pięknego anioła mieszczącego się na dłoni i przypomniała sobie inny poranek wiele lat temu. „Zawsze o tobie myślę, i to dlatego”, wtedy dał jej malutki drewniany bucik, pamiątkę, którą przywiózł z Holandii. Tamten drobiazg dał początek kolekcji. Tradycji.

Spojrzała na niego.

– Kupiłeś to w zeszłym miesiącu?

– Tęskniłem za tobą – powiedział łagodnie.

Podeszła do szafki, wyciągnęła szufladę i zaczęła w niej grzebać. Kiedy odwróciła się do Conlana, trzymała w ręku aksamitne niebieskie pudełeczko.

– Też mam coś dla ciebie – oznajmiła.

Oboje wiedzieli, co jest w środku.

Wziął je z ręki Angie i otworzył pstryknięciem.

Obrączki ślubne. Diamenty pobłyskiwały na tle ciemnego aksamitu. Zastanawiała się, czy on również pamiętał dzień, w którym je wypatrzyli u jubilera. Dwoje dzieciaków, którzy chodzili od sklepu do sklepu, trzymając się za ręce i wierząc, że ich miłość będzie trwać wiecznie.

– Dajesz mi ją z powrotem?

– Mam nadzieję, że prędzej czy później będziesz wiedział, co z nią zrobić. – Uśmiechnęła się.

*

To wspaniałe życie.

Cud na 34. Ulicy.

Prezent pod choinkę.

Przez większość życia Lauren oglądała słynne świąteczne filmy i tuziny innych i myślała: „Tak. Właśnie”. Choinki o idealnych proporcjach, obwieszane mnóstwem światełek i pamiątkowych ozdób. Zielone gałązki przyczepione do obramowania kominka i efektownie owinięte poręczami.

To nie istnieje, powiedziałyby. Takiego Bożego Narodzenia w zwykłym życiu nie ma.

A tu, proszę, właśnie otworzyła udekorowane wieńcami drzwi frontowe i znalazła się w krainie czarów. Niezliczone ilości ozdób na stole, parapetach, ramach obrazów. Małe szklane renifery, porcelanowe bałwany, mosiężne saneczki wypełnione kolorowymi kulkami. W rogu pokoju stała ogromna choinka, tak obficie obwieszona bombkami i dekoracjami, że prawie nie widać było zielonych gałązek. Na jej szczycie błyszczała piękna biała gwiazda, prawie dotykająca sufitu.

I prezenty.

Lauren nigdy nie widziała tylu podarków w jednym pokoju. Odwróciła się do Conlana.

– Niesamowite! – krzyknęła. Nie mogła się doczekać, kiedy zadzwoni do Davida i wszystko mu opowie. Nie chciała pominąć żadnego szczegółu.

– Ja też tak pomyślałem, kiedy pojawiłem się tu pierwszy raz na Boże Narodzenie. – Conlan się uśmiechnął. – Mój tata dawał mamie na przykład toster na Gwiazdkę, ale nawet nie

zadawał sobie trudu, by go zapakować.

Lauren mogłaby coś na ten temat powiedzieć.

Angie zbliżyła się do nich.

– Wygląda to groteskowo, wiem. Zaczekaj, a zobaczysz, jak jemy. Jesteśmy jak piranie. – Objęła dziewczynę. – Chodź do kuchni, tam rozgrywa się prawdziwa akcja.

Uśmiechnęła się do Conlana.

Przejdźcie przez pokój zabrało prawie pół godziny. Każdy, kto zobaczył Conlana, młody czy stary, krzyczał i podskakiwał na siedzeniu, i rzucał się, by go przywitać. Czują się, jakby towarzyszyła gwiazdzie rocka. Lauren chwyciła dłoń Angie w swoją i pozwoliła jej się prowadzić przez tłum.

W przejściu się zatrzymały.

Maria kroїła ciasto, Mira układała oliwki i plasterki marchewki na kryształowym półmisku, a Livvy smarowała ciasto kremowobiałą masą.

– Spóźniłaś się – powiedziała Maria, ledwie zerkając na córkę. – Pięć kilometrów stąd, a ty zawsze musisz się spóźnić.

Conlan wszedł do kuchni.

– To moja wina, Mario. Przeze mnie poszła wczoraj późno spać.

Panie zapiszczały jednocześnie, wymachując rękami i podbiegły do mężczyzny po swoją porcję uścisków i całusów.

– Wszystkie kochają Cona – poinformowała Angie dziewczynę i udostępniła siostronom miejsce wokół byłego męża.

Kiedy już skończyły się powitania i przepytywanie, nastąpił powrót do zajęć kuchennych. Lauren nauczyła się wycinać różyczki z rzodkiewek, przyrządzać sos pieczeniowy i układać przystawki na półmisku.

Nagle wpadły dzieciaki i zaczęły ciągnąć Marię za rękaw, chcąc już otwierać prezenty.

– W porządku – powiedziała wreszcie i otrzepała ręce z mąki. – Idziemy.

Angie pociągnęła Lauren za rękę w stronę salonu, gdzie zgromadzili się wszyscy i obsiedli to, co się tylko dało: krzesła, sofę, podnóżki, kominek, a nawet podłogę.

Dzieci zgromadziły się przy choince, wydobywały spod niej prezenty i rozdawały siedzącym wokół dorosłym.

Lauren przeprosiła na chwilę obecnych i poszła do samochodu, by przynieść jedyny prezent, jaki naszykowała. Trzymała go przy piersi, gdy weszła na powrót do pachnącego cynamonem domu, po czym usiadła obok Angie przy kominku.

Mała Dani zbliżyła się do niej i wręczyła paczuszkę.

– To nie dla mnie – zaprotestowała Lauren. – Poczekaj, zaraz pomogę ci odczytać imię...

Angie położyła rękę na udzie dziewczyny.

– Dla ciebie.

Lauren nie wiedziała, co powiedzieć. Położyła prezent na kolanach i bąknęła:

– Dziękuję.

Nie mogła się powstrzymać, by nie przesunąć palcami po gładkim foliowanym papierze.

Nie skończyło się na jednym podarku, pojawił się jeszcze jeden i kolejne: od Marii, od Miry, od Livvy. Nigdy ich tylu nie dostała. Obróciła się do Angie i wyszeptowała:

– Nie przypuszczałam. Nie mam dla was nic. Prawie...

– To nie zawody, kotku. Moja rodzina pomyślała o tobie przy okazji, gdy kupowała prezenty dla innych. Nic nadzwyczajnego.

Conlan przebijał się do nich przez tłoczące się na środku pokoju dzieciaki, a kiedy mu się to udało, usiadł koło Lauren. Przesunęła się w stronę Angie, żeby zrobić mu miejsce.

– Oszałamiające to wszystko, nie sądzisz? – zapytał.
– Całkowicie – zgodziła się dziewczyna.
– Już wszystkie rozdane! – krzyknęło któreś z dzieci. Było to hasło, że można zacząć rozpakowywać prezenty. Rozległ się odgłos rozrywanego papieru, rozdieranych opakowań i rozwiązywanych wstążek. Dorośli i dzieci piszczełi z zachwytu, podskakiwali i całowali się nawzajem.

Lauren schyliła się po pierwszą paczkę. Ta była od Miry, Vince’a i dzieciaków.

Trochę bała się ją otworzyć. Przecięła starannie papier wzdłuż linii zaklejenia, a potem złożyła, tak żeby można go było jeszcze wykorzystać. Spojrzała szybko, czy ktoś jej się przygląda. Na szczęście każdy zajęty był własnymi prezentami. Zdjęła przykrycie białego pudełka. W środku leżała śliczna, ręcznie haftowana w ludowe wzory bluzka, która świetnie nadawała się na okres ciąży.

Na samą myśl o tym serce jej się ścisnęło. Chciała od razu podziękować, ale Mira i Vince pochylali się nad czymś. W kolejnej paczuszce znalazła srebrną bransoletkę od Livvy i jej rodziny. Od Marii dostała książkę kucharską. Ostatni prezent otrzymała od Angie, był to wspaniały, oprawny w ręcznie tłoczoną skórę dziennik. Dedykacja brzmiała:

„Dla mojej drogiej Lauren.

Najnowsze członka naszej rodziny.

Witaj!

Z miłością,
Angie”.

Wpatrywała się w te słowa, kiedy usłyszała koło siebie podniesiony głos.

– O Mój Boże!

Dziewczyna zerknęła w bok.

Angela otwierała właśnie prezent od Lauren. Była to prosta dębowa rama, czterdzieści dwa centymetry na pięćdziesiąt, z podkładką z kości słoniowej. Dziewczyna wybrała kilka zdjęć z pudełka znalezione pod łóżkiem i dodała do tego fotki zrobione przez siebie podczas Święta Dziękczynienia.

Angie wodziła palcem wskazującym po szkłe, w miejscu, gdzie była na fotografii z ojcem. Miała na sobie kwieciste dzwony i dopasowany sweter z wycięciem w szpic w wielobarwne poziome paski. Siedziała mu na kolanach, zajęta opowiadaniem jakiejś historii. Tata wydawał się rozbawiony.

– Gdzie znalazłaś te zdjęcia? – zapytała.

– To są odbitki. Oryginały nadal leżą w pudełku.

W pokoju robiło się coraz ciszej. Każdy przerywał rozmowę i spoglądał na Lauren.

Maria podeszła pierwsza. Klęknęła przy Angie, wzięła ramę ze zdjęciami i patrzyła na nie urzeczona i wzruszona. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Nasza wycieczka do Yellowstone... a tutaj przyjęcie z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Gdzie je znalazłaś?

– Były w pudełku pod łóżkiem w mojej sypialni. W domku nad morzem. Przykro mi. Nie powinnam grzebać...

– Dziękuję. – Maria przyciągnęła Lauren do siebie i uściskała. Kiedy się odsunęła, widać było, mimo łez, jasny uśmiech na jej twarzy – Przyprowadziłaś z powrotem mojego Tony’ego na święta. To najpiękniejszy prezent. Przyniesiesz mi jutro resztę fotografii, dobrze?

– Oczywiście. – Dziewczyna uśmiechnęła się radośnie. Została z rozjaśnioną twarzą nawet wtedy, gdy pani DeSaria odeszła. Angie chwyciła Lauren za rękę, ścisnęła i powiedziała:

– Bardzo dziękuję.

*

Świąteczny obiad u DeSariów był tylko nieco cichszy od gry w piłkarzyki, która się po nim rozpoczęła. Ustawiono trzy stoły. Dwa w salonie, wokół każdego po cztery krzesła, i jeden w jadalni, przy którym zebrało się szesnaście osób. Jeden ze stołów był dla małych dzieci, drugi dla nastolatków, którzy mieli się opiekować maluchami, z czym radzili sobie raczej kiepsko. Nie można było spokojnie wypić więcej niż trzy kieliszki, by któryś z nastolatków nie przybiegł i nie poskarżył się na malucha lub odwrotnie. Oczywiście nikt na nich nie zwracał uwagi i zanim skończono pić trzecią butelkę wina, dzieci wiedziały, że nie ma sensu przychodzić do jadalni. Dorosli bawili się na dobre.

Nie tak Angie wyobrażała sobie pierwsze Boże Narodzenie bez taty. Spodziewała się raczej stonowanych głosów i smutnych oczu.

Podarunek od Lauren zmienił wszystko. Te stare fotografie nieoglądane od lat ściągnęły ojca do nich. Zamiast smutno wspominać, stali się uczestnikami wydarzeń z przeszłości. Mama opowiadała, jak to było podczas wyprawy do Yellowstone, jak zostawili przez przypadek Livvy w restauracji samą.

– Trzy małe dziewczynki i psa niełatwo upilnować. – Roześmiała się.

Jedyną osobą, która się nie śmiała, była Livvy. Cały dzień zachowywała się cicho. Angie zastanawiała się, czy małżeństwo siostry nie przeżywa kłopotów. Starła się ją rozweselić przy stole, ale ona tylko uciekała ze wzrokiem.

Obiecała sobie, że dowie się, o co chodzi, po obiedzie, i zerknęła na Lauren, która z kolei prowadziła z Mirą ożywioną dyskusję.

Angie spojrzała teraz w lewo i dostrzegła, jak Conlan jej się przygląda.

– Ta dziewczyna ma w sobie coś – powiedział.

– Ona ciebie też polubiła.

– Uważaj, Angie, to niebezpieczne, kiedy Lauren odejdzie...

– Wiem. – Pochyliła się w jego stronę. – I wiesz co, Con, mam dostatecznie wielkie serce, by tu i ówdzie stracić kawałek.

Z wolna się uśmiechnął.

– Miło mi to słyszeć. – Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nagłe stukanie widelca o kieliszek mu przerwało.

Angie podniosła wzrok.

Livvy i Sal wstali. Sal walił w kieliszek do wina. Kiedy wokół stołu zapadła cisza, objął żonę ramieniem.

– Chcieliśmy wszystkich poinformować, że na przyszłe święta przybędzie rodzinie jeszcze jeden maluch.

Nikt nie powiedział ani słowa.

Oczy Livvy wypełniły się łzami, gdy popatrzyła na Angie.

Ta czekała, aż pojawi się znajomy ból. Cała zeszywniała. Conlan objął ją mocno. Ten uścisk mówił: „tylko spokojnie”.

I pozostała spokojna. Uświadomiła to sobie i się uśmiechnęła. Wstała, podeszła do siostry i uścisnęła ją mocno.

– Cieszę się twoim szczęściem.

Livvy nieco się cofnęła.

– Naprawdę? Tak się bałam powiedzieć ci o tym.

Angie uśmiechnęła się. Ból nie przepadł całkiem, skrył się w zakamarku serca jak szklana

drobinka. No i zazdrość. Ale ani ona, ani ból nie były tak silne jak poprzednio. Może zresztą nauczyła się je kontrolować. Wiedziała jedno: nie musiała już wymykać się do cichego pokoju, by popłakać, a jej uśmiech nie był wymuszony.

– Naprawdę.

Po tej wymianie zdań wróciło ożywienie przy stole.

Angie usiadła na swoim miejscu, a mama rozpoczęła modlitwę. Kiedy już było po wszystkim, kiedy poprosili o spokój dusz zmarłych bliskich, w tym taty i Sophie, Conlan pochylił się do niej.

– Wszystko w porządku?

– To szokujące, co?

Patrzył na nią długo, a potem wyznał:

– Kocham cię, Angelo Malone.

*

– Która godzina? – zapytała Lauren, podnosząc wzrok znad czasopisma, które miała w ręku.

– Minęło dziesięć minut od ostatniego razu, kiedy pytałaś – powiedziała Angie. – Nie martw się, przyjedzie na pewno.

Dziewczyna rzuciła magazyn na podłogę. Nie było sensu udawać, że czyta. Podeszła do okna i zaczęła wpatrywać się w dal. Nad oceanem zapadała noc. Fale były już ledwie widoczne, spieniona srebrna grzywa na grafitowym wybrzeżu. Styczeń zawitał do West Endu razem ze wschodnim wiatrem, którego chłodne porywy wyginały drzewa.

Angie podeszła do Lauren od tyłu i objęła ją w pasie. Dziewczyna przytuliła się do niej. I uspokoiła szybko jak zwykle w jej obecności.

Matczyny uścisk, pomyślała.

– Dzięki. – Wyczuła drżenie we własnym głosie. Od czasu do czasu odzywała się w niej tęsknota za tym, by to Angie była jej mamą. Zawsze czuła się potem winna, ale nie mogła się tego pragnienia pozbyć. Kiedy rozmyślała o własnej matce (na ogół późną nocą, w ciemnościach, kiedy szum fal powoli sprowadzał na nią spokojny sen, jakiego wcześniej nie znała), przeważnie doznawała rozczarowania. I ono głużyło wyrzuty sumienia, że ją zdradza. Współczuła sobie i matce. Przez chwilę wyobrażała sobie, jak mogło wyglądać jej życie teraz, gdyby nie Angie. Matka nie spotkała nikogo takiego, musiała liczyć na siebie.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

– Już przyszedł! – Lauren oderwała się od okna i pobiegła otworzyć. David stał za progiem w czerwono-białej sportowej kurtce i starych džinsach. W ręku trzymał bukiet róż.

Objęła go ramionami za szyję. Kiedy się cofnęła, śmiała się z własnej desperacji, ręce jej drżały, a łzy płynęły z oczu.

– Tęskniłam za tobą.

– Ja też.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do środka.

– Angie, pamiętasz Davida?

Kobieta podeszła do nich. Lauren poczuła dumę na jej widok. Wyglądała ślicznie w czerni, z rozpuszczonymi ciemnymi włosami i uśmiechem gwiazdy filmowej.

– Miło cię znowu widzieć, Davidzie. Jak minęły święta?

– W porządku. – Nadal obejmował dziewczynę. – Aspen jest świetne, jeśli chodzi się w futrze i popija martini. Tęskniłem za Lauren.

Angie się uśmiechnęła.

– Pewnie dlatego dzwoniłeś tak często.
– Często? Czy...
– Tylko się z tobą drażnię – powiedziała. – Wiesz, że chcę widzieć Lauren z powrotem przed północą, dobrze?

Dziewczyna zachichotała. Godzina policyjna, pomyślała. Była chyba jedyną nastolatką, która się z tego cieszyła.

David popatrzył zakłopotany i spytał:

– Na co masz ochotę? Może pójdziemy do kina?

Lauren chciała po prostu cieszyć się jego obecnością.

– A może zagramy tutaj w karty? Albo posłuchamy muzyki?

Chłopak nachmurzył się, zerknął na Angie, ale ta szybko rzuciła:

– Mam coś do zrobienia na górze.

Lauren spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Co ty na to, Davidzie?

– Zgoda.

– No to fajnie. Jedzenie macie w lodówce, kukurydzę w szafce, a gdzie stoi naczynie do robienia popcornu, Lauren wie – oznajmiła Angie i pogroziła palcem chłopakowi. – Będę tu czasem wpadała.

Lauren powinna być zła za te słowa, ale tak naprawdę lubiła je słyszeć. Czowała, że ktoś o nią dba, troszczy się.

Angie powiedziała dobranoc i poszła na górę.

Kiedy zostali sami, dziewczyna wzięła kwiaty i wstawiła do wazonu. Potem przyniosła z kuchni prezent, jaki miała dla niego.

– Wesołych świąt.

Usiedli wygodnie na sofie, przytulili się do siebie.

– Otwórz.

Odwinął papier z małego pudełeczka. Gdy je otworzył, zobaczył w środku złoty medalik ze świętym Krzysztofem.

– Będzie cię chronił – oświadczyła – kiedy będziemy daleko od siebie.

– Może dostaniesz się na Stanford? – powiedział, ale w jego głosie brakowało przekonania. Głęboko wciągnął powietrze.

– W porządku – wyszeptała. – Wiem, że nie będziemy razem studiować. Nasza miłość to przetrwa.

Popatrzył na nią i powoli sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej ślicznie opakowaną paczuszkę.

Kiedy ją otworzyła, doznała rozczarowania. W środku nie było pierścionka. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że w głębi ducha oczekiwała oświadczyn. Zamiast tego wyjęła parę diamentowych kolczyków w kształcie serca, zawieszonych na cieniutkim łańcuszku jak rybki na żyłce.

– Są prześliczne – powiedziała drżącym głosem. – Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę miała diamentowe kolczyki.

– Chciałem kupić pierścionek.

– Te kolczyki są wspaniałe.

– Moi rodzice nie chcą, żebyśmy się pobrali.

Zanosilo się na poważną rozmowę.

– A ty co myślisz?

– Nie wiem. Pamiętasz, wspominałem ci o prawniku, z którym miał porozmawiać mój tata?

- Tak. – Starła się to powiedzieć z uśmiechem.
- Mówi, że na pewno są ludzie, którzy chcieliby to dziecko i którzy by je pokochali.
- Nasze dziecko – poprawiła go spokojnie.
- Nie mogę być ojcem – powiedział tak smutnym głosem, że o mało się nie rozpląkała. –

To znaczy jestem nim. Wiem o tym, ale...

Dotknęła jego twarzy i zastanawiała się, jak długo ten ból będzie trwał. Nagle poczuła się dużo starsza od niego. I stało się dla niej jasne, że to może ich zniszczyć.

Chciała móc mu powiedzieć, że dobrze, zrobi, jak sobie życzą jego rodzice, odda dziecko do adopcji, i co tam jeszcze będą chcieli. Ale nie wiedziała, czy powinna tak postąpić. Spojrzała na niego, w blasku ognia jego oczy prawie w ogóle nie były niebieskie.

- Powinieneś iść na Stanford i nie myśleć o tym wszystkim.
- Tylko porozmawiaj z prawnikami, dobrze? Może coś wiedzą. – Jego głos stał się piskliwy, niemalże płaczliwy.

Westchnęła. Był to krótki rozdzierający dźwięk, jakby odrywali mięso od kości.

- Dobrze.

Lauren zamknęła podręcznik i spojrzała na zegarek.

Druga czterdzieści pięć

Druga czterdzieści sześć.

Wypuściła powietrze z nerwowym westchnieniem. Patrzyła, jak jej koledzy z klasy śmieją się, rozmawiają, zbierają swoje rzeczy i wychodzą. Szkoła kipiała energią jak zwykle przed końcem semestru. W innych, normalnych, okolicznościach Lauren byłaby równie podekscytowana jak inni. Ale teraz, w trzecim tygodniu stycznia, miała inne obawy. O tej porze w przyszłym tygodniu, kiedy jej znajomi ze szkolnej ławy zaczną zajmować miejsca w klasie, ona już będzie po zdanych egzaminach. Będzie absolwentką.

Schowała książkę i notatnik do plecaka, przerzuciła go sobie przez ramię i skierowała się do wyjścia. W holu wmieszała się w tłum, starając się uśmiechać do przyjaciół i zachowywać tak, jakby to był zwykły dzień.

Cały czas się zastanawiała, czy powinna poprosić Angie, żeby z nią poszła do szkoły?

Dlaczego tego nie zrobiła?

Nawet teraz nie była pewna.

Zatrzymała się w szatni i wzięła palto. Już miała zamknąć schowek, gdy poczuła, że ktoś ją ciągnie do tyłu. To był David.

– Cześć – wyszeptał jej do ucha.

– Cześć. – Pochyliła się do niego.

Obrócił ją powoli do siebie, aż stanęli twarzą w twarz. Uśmiechał się pogodnie. Chyba po raz pierwszy od czasu, gdy wyznała mu, że jest w ciąży.

– Wyglądasz na zadowolonego – stwierdziła cierpko. Pomyślała, że powiedziała to tonem własnej matki.

– Przepraszam.

Ale chyba nie wiedział, dlaczego przeprasza ani co zrobił źle. Zastanawiała się, czy zamierza od tej pory traktować ją ze szczególną troską. Zmusiła się do uśmiechu.

– Nie masz za co. Moje nastroje zmieniają się teraz szybciej od pogody. To gdzie idziemy?

Na jego twarzy odmalowała się ulga, podobnie jak wcześniej czytelne było jego zakłopotanie. Uśmiechnął się, ale resztki obawy były widoczne w jego oczach.

– Do mnie. Mama powiedziała, że tam będziesz się czuć lepiej. – Objął ją ramieniem.

Kopniakiem zamknęła szafkę i pozwoliła mu się zaprowadzić przez kampus do samochodu.

Przez kilka kilometrów dzielących Fircrest Academy od Mountaineer rozmawiali o mało istotnych sprawach. Ploteczki. Nocny bal absolwentów. Podrywy. Lauren starała się trzymać tych tematów, które dotyczyły zwyczajnego życia. Ale kiedy David zatrzymał samochód przed budką strażników, wstrzymała oddech.

Brama się otworzyła.

Splotła dłonie i spoglądała przez okno na duże piękne domy.

Przez kilka ostatnich lat, kiedy przychodziła do tej enklawy luksusu, dostrzegała tylko jej urodę. Marzyła, żeby być jedną z osób mieszkających tutaj. Teraz zastanawiała się, dlaczego

ludzie, którzy mają tak dużo pieniędzy, nie chcą wybudować swoich domów nad wodą albo w tak ruchliwej dzielnicy jak rodzina DeSariów. Tam ulice są pełne życia. Tutaj wszystko było za bardzo ogrodzone, ukryte, zbyt doskonałe. Jak prawdziwe życie i miłość mogły rozkwitać w tak dusznej przestrzeni?

Kiedy zaparkowali przy krawężniku przed domem Haynesów, zaczęła zadawać sobie pytanie, co będą we trójkę robili w tym ogromnym pustym budynku.

– Jesteś gotowa? – zapytał David.

– Nie.

– To może chcesz, żebym odwołał spotkanie?

– Absolutnie nie. – Lauren wysiadła z samochodu i skierowała się w stronę domu.

W połowie drogi David dogonił ją i wziął za rękę. Ten gest dodał jej otuchy i trochę uspokoił.

Przed drzwiami zatrzymali się na moment. David otworzył je i wprowadził dziewczynę do środka.

Wewnątrz było jak zwykle cicho, zupełnie inaczej niż w pełnym gwaru i rozgardiaszu domu DeSariów.

– Mamo? Tato? – zawołał David i zamknął drzwi wejściowe.

Pani Haynes zeszła na dół w długiej, białej wełnianej sukni. Kasztanowe włosy miała upięte w ciasny kok. Wyglądała szczuplej niż wtedy, gdy ją Lauren widziała po raz ostatni, i starzej.

Dziewczyna domyślała się dlaczego. Smutek dało się dostrzec nawet na jej pomalowanych ustach.

– Witaj, Lauren. Jak się czujesz?

– W porządku.

– Dziękuję, że zgodziłaś się przyjść. David mówił nam, jakie to dla ciebie trudne.

Chłopak ścisnął jej rękę.

Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, wyrazić swoją opinię, ale odczuwała jakąś blokadę. Skinęła tylko głową.

Właśnie wtedy pan Haynes wszedł do pokoju. Ubrany był w granatowy, dwurzędowy garnitur i jasnożółtą koszulę, emanowała z niego pewność siebie wpływowego gracza, który potrafi przeforsować swoje zdanie na sali posiedzeń. Za nim stał mężczyzna krępej budowy w czarnym garniturze.

– Witaj, Lauren. – Pan Haynes nie zadał sobie trudu, by się uśmiechnąć. Nie patrzył na syna. – Chciałbym, żebyś poznała Stuarta Phillipsa. Jest szanowanym adwokatem specjalizującym się w sprawach adopcyjnych.

Wystarczyło jedno słowo na ten temat, a w oczach Lauren pojawiły się łzy.

Pani Haynes natychmiast podeszła do niej z chusteczką i powiedziała cicho coś w stylu, że wszystko będzie dobrze.

Ale nie było.

Dziewczyna otarła łzy, wymamrotała „przepraszam” i pozwoliła, by poprowadzono ją do salonu pełnego drogich mebli w kolorze kremowym. Usiedli, a Lauren pomyślała, że gdy się rozplacze, popłami ich eleganckie obicie.

Na chwilę zapanowało niezręczne milczenie, po czym prawnik zaczął mówić.

Lauren słuchała, a przynajmniej próbowała to robić. Serce waliło jej jak młot i nie mogła się skupić. Dochodziły do niej urywki zdań, jak wyrzucane na brzeg szczątki rozbitego statku:

...najlepsza decyzja dla dziecka

...inna rodzina, inna matka

...więcej możliwości niż rodzic

...wygaśnięcie praw
...college jest najlepszym wyjściem dla ciebie
...zbyt młoda...

Adwokat skończył, usiadł w fotelu i uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby jego słowa nie miały żadnego emocjonalnego znaczenia.

– Czy masz jakieś pytania, Lauren?

Rozejrzała się po pokoju.

Pani Haynes wyglądała, jakby miała zamiar się rozplakać, a David był blady. Niebieskie oczy zwężyły mu się ze strachu. Jego ojciec stukał palcami o poręcz fotela.

– Wszyscy uważacie, że powinnam to zrobić – odezwała się Lauren powoli.

– Jesteście za młodzi, żeby być rodzicami – stwierdził pan Haynes. – Na litość boską, David nie pamięta o nakarmieniu psa czy posłaniu łóżka.

Pani Haynes obdarzyła go miazdzącym spojrzeniem, po czym zwróciła się ze smutnym, pełnym zrozumienia uśmiechem do dziewczyny:

– Nie ma tu prostych odpowiedzi, Lauren. Każdy z nas to wie. Ale ty i David jesteście dziećmi. Zaslugujecie na to, by wam się powiodło w życiu. Rodzicielstwo to ciężka praca. Musicie myśleć również o losie dziecka. Przecież chcecie, by miało odpowiednie możliwości. Próbowałam porozmawiać na ten temat z twoją mamą, ale nie odbiera telefonu.

– Uwierz mi, młoda damo – wtrącił prawnik – są setki wspaniałych ludzi, którzy będą kochać i troszczyć się o twoje dziecko.

– I w tym tkwi sedno – Lauren odezwała się tak cicho, że wszyscy pochylili się ku niej, by usłyszeć, co powie. – To jest moje dziecko.

Spojrzała na Davida i się poprawiła.

– Nasze dziecko.

Nie poruszył się, wytrzymał jej spojrzenie. Dla kogoś, kto go nie znał, mogłoby się wydawać, że słowa dziewczyny nie wywarły na nim wrażenia. Ale ona go kochała, więc dostrzegła rozczarowanie, jakie pojawiło się w jego oczach.

– W porządku – powiedział, a przecież nie pytała go o nic. I tak wiedziała, że stanie po jej stronie, poprze decyzję, którą ona podejmie.

Wiedziała również, że on wcale tego nie chce. Dla Davida to nie było dziecko, ale wpadka. Pomyłka. I gdyby on miał podejmować decyzję, szybko podpisałiby kilka papierów, oddali dziecko w dobre ręce i żyli dalej.

I jeśli ona tego nie robi, zrujnuje przyszłość jemu, sobie, a może również dziecku.

Westchnęła ciężko. Powinna zerwać z chłopakiem. Jeżeli go kocha, musi go uwolnić od tych wszystkich spraw.

Sama myśl o tym ją paraliżowała.

Rozejrzała się raz jeszcze po pokoju i dostrzegła wyczekiwanie w spojrzeniach wszystkich obecnych. Czuła się pokonana.

– Pomyślę o tym – zapewniła.

Smutny uśmiech Davida złamał jej serce.

*

– Hej, czy ty słyszysz ten minutnik? – zapytała Angie, schodząc na dół.

– No, dzwoni – odpowiedziała Lauren i podciągnęła kolana pod brodę. Siedziała na podłodze przed kominkiem.

– Właśnie, a wiesz dlaczego?

– Obiad na stole?

Angie przewróciła oczami.

– Może nie jestem najlepszą kucharką, ale nawet ja nie wyciągam dania z piekarnika o jedenastej rano.

– No, dobrze. – Lauren spojrzała na swoje dłonie, paznokcie miała całkiem poobgryzane. Angie uklękła na wprost niej.

– Snujesz się po domu bez celu już zbyt długo. W zeszłym tygodniu, kiedy się obroniłaś, kupiłam twoją ulubioną pizzę, ale prawie jej nie tknęłaś. Wczoraj poszłaś do łóżka o siódmej. Czekałam cierpliwie, aż będziesz chciała ze mną porozmawiać, ale ty...

– Pójdę posprzątać swój pokój. – Dziewczyna zaczęła podnosić się z podłogi.

Angie powstrzymała ją ruchem ręki.

– Kochanie, twój pokój nie mógłby być bardziej czysty. Robisz w nim porządku codziennie od paru dni. Pracujesz, sprzątasz pokój i śpisz na okrągło i nic poza tym. Co się z tobą dzieje?

– Nie mogę o tym mówić.

– To znaczy, że chodzi o dziecko.

Lauren usłyszała, że głos Angie zdrzął, gdy wymawiała słowo „dziecko”.

– Nie chcę o tym z tobą rozmawiać.

Kobieta westchnęła.

– Wiem. I zdaję sobie sprawę dlaczego. Ale ja już nie jestem taka delikatna jak kiedyś.

– Twoje siostry mają inne zdanie.

– Moje siostry za dużo mówią.

Lauren spojrzała na nią. Zrozumienie, jakie dostrzegła w oczach Angie, sprawiło, że zapytała:

– Jak to zniosłaś? Mam na myśli utratę Sophie?

Angie podwinęła nogi pod siebie.

– Ha! Nikt jeszcze nie zapytał mnie o to w tak bezpośredni sposób.

– Przepraszam. Nie powinnam była.

– Powinnaś, jesteśmy przyjaciółkami. Możemy rozmawiać o naszym życiu.

Przysunęła się do Lauren i ją objęła. Wpatrywały się przez chwilę w ogień buzujący w kominku. Angie czuła, jak stary żal powraca, uciska jej piersi tak mocno, że nie może oddychać.

– Pytasz mnie, jak się żyje ze złamanym sercem? – odezwała się wreszcie.

– Chyba tak.

Skoro już wspomnienia wróciły, Angie będzie musiała stawić im czoło.

– Trzymałam ją w rękach, czy mówiłam ci o tym? Była taka drobniutka. I sina. – Nabrała z trudem powietrza w płuca. – Kiedy odeszła, nie mogłam przestać płakać. Tęskniłam za nią tak bardzo. Sądzę, że ten żal ukształtował mnie jakoś... spowodował, że Conlan odszedł, a potem wróciłam do domu. I wtedy przytrafiło mi się coś zdumiewającego.

– Co takiego?

– Poznałam śliczną, promienną młodą kobietę, która uświadomiła mi, że istnieje radość w życiu. Zaczęłam przypominać sobie, co mnie spotkało dobrego. Zrozumiałam, że tata miał rację, gdy mówił: „To minie”. Życie zawsze idzie do przodu, a ty z nim, starasz się za nim nadążyć. Czas leczy złamane serca. Rany zblizniają się, pamięć pozostaje, ale błędnie. Uświadamiasz sobie, że minęła godzina bez myślenia o swych troskach, potem dzień. Nie wiem, czy to jest odpowiedź na twoje pytanie...

Lauren patrzyła na płomień.

– Chcesz powiedzieć, Angie, że staruszek czas leczy wszystkie rany.

– Rozumiem, że nastolatce trudno w to uwierzyć, ale tak jest.

– Być może... – westchnęła. – Wszyscy oczekują, że oddam dziecko do adopcji.

Boże dopomóż, pierwszą myślą Angie było „oddaj dziecko mnie”. Nienawidziła się za to. Chciała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle. Nagle wróciły dawne marzenia i plany. Po chwili zapanowała nad emocjami i zapytała spokojnie:

– A ty czego byś chciała?

– Nie wiem. Nie chcę niszczyć życia Davidowi, sobie też nie, nikomu, ale nie mogę tak po prostu oddać mojego dziecka. Co ja mam robić?

– Och, Lauren. – Angie ją przytuliła. Nie powiedziała na głos, że Lauren już podjęła decyzję, zamiast tego rzekła: – Spójrz na mnie.

Dziewczyna cofnęła się, twarz miała zalaną łzami.

– Ccco?

– Jestem tu z twojego powodu. – Po raz pierwszy Angie ośmieliła się dotknąć brzucha dziewczyny. – A tam w środku znajduje się mała istotka, która potrzebuje silnej matki.

– Chyba nie poradzę sobie sama.

– To właśnie próbuję ci powiedzieć. Cokolwiek postanowisz, nie będziesz sama.

*

Ostatnie, tonące w szarości dni stycznia zlewały się ze sobą. Niebo zaciągnięte było chmurami, a deszcz padał w jednostajnym rytmie.

Mieszkańcy West Endu wszędzie, gdzie się spotykali, czy to na zgromadzeniach kościoła kongregacyjnego, czy gdy szli Driftwood Way, stale rozmawiali o pogodzie i każdego dnia wyczekiwali słońca.

Kiedy styczeń się skończył, z nadzieją zaczęli myśleć o lutym.

W walentynki chmury się przerzedziły, deszcz ustał, ale było mglisto.

W restauracji DeSariów było pełno ludzi. Do siódmej goście zajęli każde wolne miejsce, a kolejka chętnych ustawiła się pod oknem.

Wszyscy uwijali się jak w ukropie. Lauren, która pracowała na pełną zmianę, od kiedy skończyła szkołę, obsługiwała dwa razy tyle stołów co zwykle. Mama i Mira potroiły liczbę wydawanych dań dnia, a Angie nalewała wina, przynosiła chleb i dbała o sprzątnięcie opróżnionych naczyń ze stołu. Nawet Rosa nosiła jak natchniona po dwa talerze naraz zamiast jednego.

– Angela! – Otworzyły się drzwi kuchenne i mama zawołała: – Serca karczochów z ricottą.

– Już lecę! – Angie zbiegła ze schodów i chwyciła ogromny talerz wypełniony karczochami i drugi ze świeżą ricottą. Po godzinie takiego biegania padała na twarz. Przymierzały się do zatrudnienia jeszcze jednej kelnerki, a może nawet dwóch.

Właśnie szła sprawdzić zrobione rezerwacje, kiedy wpadła na Livvy. Dosłownie. Roześmiała się.

– Nie mów, że przyszedłeś na kolację?

– Czy spędzę wieczór walentynkowy w rodzinnej restauracji? Niestety, nie. Sal pracuje do późna.

– To co cię tu przyniosło?

– Słyszałam, że brakuje wam rąk do pracy.

– Nie, jest trochę roboty, ale jakoś dajemy radę. Dziękci. Powinnaś teraz więcej odpoczywać. Idź do domu i...

Ktoś podszedł do Angie od tyłu i ją objął. Zanim zdążyła się odwrócić, poczuła, jak ją

podnosi i zmierza do wyjścia z restauracji. To był Conlan.

– Sama widzisz, jednak potrzebujecie kogoś do pomocy – usłyszała zza pleców głos siostry.

Puścił ją dopiero, sadzając na przednim siedzeniu swojego kabrioletu.

– Zamknij oczy – powiedział.

Zrobiła, o co prosił.

– Podoba mi się ta nowa Angie. Taka posłuszna.

– Nie wiadomo, jak długo, kolego. – Roześmiała się. Było tak przyjemnie w ten zimny lutowy wieczór. Conlan nie postawił dachu, więc lodowaty wiatr smagał jej twarz i rozwiewał włosy.

– Jesteśmy na plaży – zgadła, poczuła bowiem bryzę i usłyszała fale.

Zorientowała się, że wysiadł z samochodu, potem uchwyciła odgłos otwieranego i zamykanego bagażnika. Następnie Conlan wziął ją na ręce, wydostał ze środka i ponióśł gdzieś, jak mogła oceniać po jego ciężkich krokach, jakąś piaszczystą, niewygodną drogą.

– Ktoś chyba powinien częściej zaglądać na siłownię? – drażniła się z nim.

– Odezwała się waga ciężka – mruknął.

Postawił ją na ziemi. Usłyszała pacnięcie koca o piasek i przekleństwa Conlana, który usiłował go rozłożyć. Potem rozpalil ognisko. Poczuła ostry zapach z domieszką morskiej bryzy i przypomniały jej się imprezy na plaży z czasów szkolnych.

Wciągnęła głęboko powietrze, a razem z nim aromat wspomnień z młodości. Piasek, morze, drewno wyrzucone na brzeg, które było zawsze wilgotne.

– Otwórz oczy.

Otworzyła i zobaczyła go na wprost niej.

– Szczęśliwych walentynek, Angie.

Wychyliła się w jego stronę, a on uklęknał na piasku. Zaczęli całować się jak nastolatki, głodni swojej bliskości, i rozciągnęli się na kocu.

Leżeli spleceni, mając nad sobą rozgwieżdżone niebo, słuchali, jak trzaska ogień, całowali się, rozmawiali i znowu całowali. Chodziło im po głowie, by się kochać, ale noc była cholernie zimna, a i bez rozbierania odczuwali sporo przyjemności.

Gwiazdy świeciły jasnym blaskiem, podobnie księżyc, spienione fale napływały miarowo. Angie wtuliła się w Conlana, całowała jego podbródek, kąciki ust.

– Co teraz? – zapytał cicho. To niedopowiedzenie zawisło między nimi.

– Nie musimy o niczym decydować, Con. Jest dobrze, tak jak teraz. – Od świąt widzieli się kilka razy i godzinami rozmawiali przez telefon. Cieszyła się tym, co ma, i bała się pragnąć więcej.

– Dawna Angie lubiła wyznaczać cele i je osiągać. Nie bardzo rozumiała zdanie: „Poczekamy, zobaczymy”.

– Dawna Angie była młoda. – Pocałowała go długo i mocno, całą sobą, włożyła w ten pocałunek każdą cząstkę przepełniającej ją miłości. Kiedy się odsunęła, czuła, że drży. W oczach Conlana dostrzegła cień dawnego strachu, niepewność, czy skoro raz im się nie udało, podołają za drugim.

– Zachowujemy się jak para dzieciaków.

– Tak długo byliśmy dorośli – rzekła. – Po prostu kochaj mnie, Con. Niczego więcej nam teraz nie trzeba.

Ręce mężczyzny przesunęły się po plecach Angie i powędrowały pod jej spódnice.

– Mogę to zrobić.

Chwyciła mocno koc i owinęła nim siebie i Conlana.

– Zrób to – tyle zdołała powiedzieć, zanim ją pocałował.

*

Dżdżyste dni lutego toczyły się jeden za drugim, tworząc szarą monotonię wpływającego czasu. Ostatniej nocy tego najkrótszego miesiąca roku wrócił sen o dziecku. Angie obudziła się, przekręciła na bok i zaczęła szukać po omacku męża, którego obecność na nią działała kojąco. Ale była sama. Usiadła i zapaliła lampkę stojącą przy łóżku, podciągnęła kolana pod brodę i skuliła się, otaczając je rękami. Kolana nie zastąpiły jednak obecności drugiego człowieka.

Dobrą wiadomością było to, że nie pojawiła się ani jedna łza. Angie czuła się tak, jakby miała się rozplakać, ale nie zrobiła tego. Postęp. Kiedy jest źle, nawet taka odrobina cieszy.

Nie zdziwiło jej, że śniła o dziecku. W końcu mieszkała z Lauren, a to musiało przywoływać przeszłość. Nie dało się tego uniknąć. Zwłaszcza teraz. Od zeszłego tygodnia dziewczyna zaczęła przybierać na wadze, jej brzuch, na razie w sposób ledwie zauważalny, zaczął się zaokrąglać. Obcy nie zauważyłby tego, ale kobieta, która przez znaczną część dorosłego życia zwracała szczególną uwagę na takie oznaki, owszem. Niewielki brzuszek Lauren świecił jasno jak neon. A dzisiaj mają umówioną wizytę u lekarza, a to nie będzie dla Angie łatwe.

Przestała w końcu starać się usnąć i sięgnęła po plik dokumentów, które leżały na nocnym stoliku. Przez parę godzin zajmowała się listą płac i rachunkami. Kiedy wreszcie ranne słońce zajrzało w okno, odzyskała spokój.

Trzeba pogodzić się z tym, że będą się zdarzać takie noce jak dzisiejsza, a może i dnie, i po prostu nauczyć się je znosić.

Najbliższe miesiące przyniosą pewną nerwowość, poczucie straty i tęsknotę. Angie musiała się z tym liczyć, kiedy zaproponowała Lauren mieszkanie. Niektóre sny nie odejdą łatwo, to może potrwać całe życie. Miała tego świadomość.

Wstała i poszła do łazienki. Długi gorący prysznic bardzo ją odświeżył. Mogła teraz stawić czoło wyzwaniom rozpoczynającego się trudnego dnia.

Poradzi sobie ze wszystkim dla dobra dziewczyny. Słala łóżko, gdy usłyszała, jak Lauren woła ją z dołu.

Angie wyszła z pokoju i zapytała:

– Co chciałaś?

– Śniadanie gotowe.

Szybko zbiegła na dół i zastała dziewczynę nad garnkiem z owsianką, którą mieszała. Lauren przywitała ją wesoło.

– Dzień dobry.

– Wczesnie wstałaś.

– Wcale nie. – Lauren popatrzyła na nią. – Znowu miałaś ciężką noc?

– Nie, nie – odparła szybko Angie. Żałowała, że kiedyś przyznała się, że czasem źle sypia.

– To dobrze. – Dziewczyna uśmiechnęła się z widoczną ulgą. Postawiła dwa talerze owsianki na błękitnych podkładkach i usiadła naprzeciwko. – Twoja mama powiedziała mi, że muszę jeść więcej błonnika, i nauczyła przyrządzać owsiankę.

Angie poprawiła zupę według zwyczaju DeSariów, dodała do niej brązowy cukier, syrop klonowy, rodzynki i mleko i spróbowała.

– Bajeczna! – pochwaliła.

– Mira oczywiście poradziła mi, żebym jadła dużo białka, a Livvy wzięła mnie na stronę i tłumaczyła, że dzięki węglowodanom dziecko będzie silne. Wynika z tego, że muszę wsuwać

wszystko.

– To jest motto życiowe mojej rodziny: jedz więcej.

Lauren się zaśmiała.

– Mam dzisiaj o dziesiątej wizytę u lekarza. Autobus odjeżdża o...

– A dlaczego uważasz, że pozwolę ci jechać autobusem do lekarza?

– Wiem, że jest ci ciężko.

Angie chciała wymyślić jakąś mądrą odpowiedź, ale widząc szczere spojrzenie dziewczyny, oświadczyła:

– W życiu podejmujemy wiele trudnych decyzji. Chcę iść z tobą do lekarza.

Po tym stwierdzeniu rozmowa przybrała zupełnie inny obrót, wiodła znajomymi, codziennymi ścieżkami. Kiedy stały obok siebie i zmywały naczynia, mówiły o restauracji, pogodzie, planach na resztę tygodnia. Lauren opowiedziała zabawną scenkę, jaka miała miejsce podczas ostatniej randki z Davidem, a potem jeszcze śmieszniejszą historyjkę dotyczącą jej matki.

Kiedy dojeżdżały już do doktora, Angie znowu była spięta. Zatrzymała się na chwilę przed drzwiami kliniki, jakby wahała się, czy wejść.

Dziewczyna dotknęła jej ręki.

– Może wolisz zaczekać w samochodzie?

– Nie ma mowy. – Zmusiła się do uśmiechu, mniejsza o to, że nieco sztucznie wypadł, otworzyła drzwi i weszły do środka.

W pamięci Angie odżyły trudne wspomnienia. Odwiedziła tak wiele podobnych miejsc, włożyła na siebie tyle jednorazowych fartuchów, wsuwała stopy do różnych ginekologicznych strzemion. Przez lata na próżno...

Podeszły do recepcji, podała nazwisko dziewczyny kobiecie siedzącej za stołem marki Formica.

– Lauren Ribido.

Recepcjonistka przeszukała dokumentację, wyjęła jedną kartę i podała Angie.

– Proszę wypełnić i zwrócić.

Stała i patrzyła na znajome rubryki. Zaczynało się od „data ostatniej miesiączki...”, „liczba poprzednich ciąży...” i tak dalej. Powoli przekazała kartę dziewczynie.

– Och... – Kobieta w recepcji spoważniała. – Przepraszam, sądziłam...

– Nic się nie stało – powiedziała szybko Angie. Zaprowadziła Lauren do rzędu krzeseł stojących pod ścianą. Usiadły obok siebie.

Dziewczyna zaczęła wypełniać formularz.

Pisak sunący po papierze wydawał dźwięk, który nie wiedzieć czemu uspokajał Angie.

Kiedy wywołali nazwisko dziewczyny, omal nie wstała również. Ale zaraz się powstrzymała. Lauren ma wiele spraw do załatwienia na ścieżce wiodącej ku dorosłości. To dopiero początek. Ona poczeka tu na jej powrót.

Angie wydawało się, że wizyta trwa wieczność. Mogła się odprężyć, przemyśleć to i owo. Zanim Lauren wróciła, odzyskała równowagę. Była w stanie rozmawiać z nią o wszystkim: symptomach, bólach, porannych mdłościach, szkole rodzenia.

Po drodze do domu zatrzymały się przy sklepie spożywczym, żeby zadbać o właściwą, bogatą w witaminy dietę dziewczyny. Potem posiedziały chwilę na ławce na zewnątrz.

– Dlaczego właściwie usiadłyśmy tutaj? – zapytała Lauren. – Lada chwila może zacząć padać.

– Pewnie tak.

– Zaczynam marznąć.

– To zapnij kurtkę.

Zielony minivan zatrzymał się przed nimi, a następnie zaparkował.

– Najwyższy czas – bąknęła Angie i wyrzuciła papierowy kubek po kawie do kosza na śmieci, który stał obok ławki.

Wszystkie drzwi vana otworzyły się jednocześnie. Z samochodu wysiadły: Mira, mama i Livvy; każda coś mówiła.

Mama i Livvy podeszły do Lauren, chwyciły ją za ręce i postawiły na nogi.

– Sądziłam, że restauracja jest dzisiaj nieczynna. – Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Angela powiedziała, że przydadzą ci się nowe ubrania – odezwała się mama.

Kremowe policzki Lauren się zarumieniły. Różowy kolor podkreślał piegi na jej buzi.

– Och... nie wzięłam ze sobą pieniędzy – powiedziała zakłopotana.

– Ja też nie, mam – odezwała się Livvy za śmiechem. – Będziesz musiała odkurzyć kartę kredytową. Mnie również przyda się parę ciuchów ciężowych.

Pani DeSaria pacnęła córkę w głowę.

– Spryciuła. Chodźcie, zaczyna padać.

Amatorki zakupów poszły przodem, cały czas rozmawiając; wyglądały tak, jakby rój pszczoł przemieszczał się ulicą.

Mira trzymała się z tyłu.

– I jak? – zapytała. – Radzisz sobie z tym wszystkim?

Angie była wdzięczna siostrze za bezpośredniość tego pytania.

– Nie byłam w sklepie dla kobiet w ciąży już od dawna.

– Wiem.

Spojrzała przed siebie. Metalowy szyld z nazwą „Matka i dziecko” informował, że są już blisko. Kiedy ostatni raz była tutaj z siostrami, spodziewała się dziecka i uśmiech przychodził jej bez trudu. Teraz zwróciła się do Miry:

– Będzie dobrze – powiedziała. I zdała sobie sprawę, że naprawdę tak myśli. Troszkę może zrobi jej się przykro, przypomną się trudne chwile, ale te uczucia związane są z dawną Angie, nowa wie już, że mimo wszystko łatwiej jest stawić czoło problemom, niż uciekać. – Chcę tam być ze względu na Lauren. Ona mnie potrzebuje.

– Życzę ci, by się udało. – Uśmiech Miry był pełen życzliwości i troski.

– Ja sobie też. – Angie odwzajemniła uśmiech.

Ale na wszelki wypadek wzięła siostrę pod rękę.

Wiosna przyszła wcześniej. Chłodna, deszczowa zima przygotowała grunt pod rozhukaną feerię barw. Kiedy słońce ośmieliło się wreszcie przedrzeć przez warstwę szarych chmur, krajobraz zmieniał się w oczach. Pierwsze pokazały się jasnioletowe krokusy, przebiły się przez zimną, twardą ziemię. Potem zazieleniły się wzgórza, a drzewa wypuściły pąki, które rozwinęły się w drobne listeczki. Żonkile rozkwitły wzdłuż ulic, tworząc na trawie jaskrawożółte plamy.

Kwitła również Lauren. Przytyła już ponad siedem kilo. Każdego dnia spodziewała się ze strony lekarza wyrzutów z tego powodu. Poruszała się wolniej, czasami musiała robić sobie przerwy w pracy. Wychodziła wtedy przed restaurację drzwiami kuchennymi i łapała kilka oddechów. Lawirowanie pomiędzy stołami zaczynało stanowić dla niej wyczyn olimpijski.

Nie to było jednak najgorsze. Zaczynały ją boleć stopy, musiała też korzystać z toalety częściej niż najwięksi amatorzy piwa, a gazy wzbierające się w jelitach powodowały bóle i stwarzały krępujące dla niej sytuacje, gdy wydostawały się na zewnątrz.

W kwietniu coraz bardziej aktualne stawało się pytanie: Co dalej?

Przez ostatnie kilka miesięcy unikała go, wybiegając w przyszłość nie dalej niż najbliższy dyżur w restauracji czy kolejne spotkanie z Davidem. Teraz, niestety, on znowu poruszył temat adopcji. Trzeba było podjąć jakąś decyzję.

– I jak? – Chłopak trącił ją łokciem.

Siedzieli przytuleni na sofie ze splecionymi rękami. Ogień trzeszczał w kominku.

– Nie wiem – odpowiedziała cicho. Te dwa słowa zaczęły się już zużywać.

– Mama rozmawiała z prawnikiem z zeszłym tygodniu. Znalazł kilka par, które wprost się wrywają do tego, by je wychowywać.

– Nie „je”, tylko nasze dziecko, Davidzie.

Westchnął ciężko.

– Wiem, Lo. Uwierz mi, wiem.

– Naprawdę mógłbyś to zrobić? – Spojrzała na niego. – Odejść tak po prostu od naszego dziecka.

Odsunął się i wstał.

– Nie wiem, czego ty ode mnie chcesz, Lauren? – Głos mu się załamał, jakby zaraz miał się rozpłakać.

Podeszła do chłopaka, stanęła za nim i objęła go w pasie. Nie mogła zbliżyć się, tak jak chciała, miała już za duży brzuch. Poczowała kopnięcie dziecka.

– Jacy byliby z nas rodzice? – zapytał David, nie patrząc na dziewczynę. – Jeśli rzucimy college, co będziemy robić? Z czego żyć?

Lauren stanęła tak, by patrzeć mu w oczy; miała tylko jedną odpowiedź:

– Pójdiesz na Stanford niezależnie od tego, co zdecydujemy w sprawie dziecka.

– Chyba powinienem już pójść – oznajmił zdławionym głosem.

Patrzyła na jego załzawione oczy i chciała mu powiedzieć, że wszystko się uda, że ich miłość zda każdy egzamin, ale wiedziała, że nie znajdzie właściwych słów, a do tego delikatne kopnięcie w jej brzuchu przypomniało, po jak różnych orbitach porusza się teraz każde z nich.

Straci go, jeśli zatrzyma dziecko.

„Trudne decyzje” – te słowa usłyszała jakiś czas temu od Angie. Jak to się stało, że dopiero teraz do niej dotarły?

Zamierzała coś powiedzieć, jeszcze nie wiedziała co, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Westchnęła ciężko, wyswobodziła się z objęć Davida i zawołała:

– Już idę!

Otworzyła, za progiem stał Erni, listonosz. Trzymał kilka małych paczek i plik listów.

– Bardzo proszę.

– Dzięki. – Paczki położyła na stole i zaczęła przeglądać listy. Jeden zaadresowany był do niej. – To z Uniwersytetu Południowej Kalifornii. – Zakłuło ją serce. W ogólnym zamieszaniu zapomniała o wysłanych aplikacjach.

David zbliżył się do niej. Wyglądał na równie przejętego jak Lauren.

– Na pewno cię przyjęli – powiedział.

Kochała go za to, że w nią wierzył. Otworzyła list i przeczytała słowa, o jakich marzyła.

– Udało mi się – wyszeptała. – Nie sądziłam.

Objął ją i przytulił mocno.

– Pamiętasz naszą pierwszą randkę? To było po meczu z Aberdeen. Siedzieliśmy na plaży przy ogromnym ognisku. Wszyscy inni biegali wokół niego, tańczyli i pili. My rozmawialiśmy. Mówiłaś mi wtedy, że pewnego dnia zdobędziesz Nagrodę Pulitzera, a ja ci uwierzyłem. Jesteś jedyną osobą, która nie dostrzega, jaką wspaniałą dziewczyną jesteś.

Pulitzer. Nie mogła przestać dotykać swojego powiększonego brzucha. „Daj sobie szansę – powiedziała jej matka, nie kończ jak ja”.

– Co ja mam robić? – wyszeptała zapatrzona w błękitne oczy Davida.

– Przyjmij stypendium. – Chociaż słowa chłopaka były szorstkie, wypowiedział je łagodnym głosem.

Powinna to zrobić, wiedziała o tym. Przynajmniej tak nakazywał rozum. Serce mówiło jednak co innego. Jak będzie mogła wychowywać dziecko bez wykształcenia, bez perspektyw? Znowu przyszła jej na myśl matka, która cały dzień spędzała na nogach, strzygąc włosy, a całe noce piła, poszukując miłości w miejscach, gdzie jej nie ma. Westchnęła ciężko. Prawda z trudem torowała sobie drogę. Lauren chciała studiować w college’u, żeby mieć inne życie niż własna matka. Z niepokojem spojrzała na Davida.

– Prawnik rzeczywiście znalazł odpowiednich ludzi?

– Najlepszych.

– Możemy się z nimi spotkać? Sami zdecydować?

Radość, jaka odmalowała się na jego twarzy, uczyniła z niego z powrotem chłopca, którego pokochała. Objął ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać, i całował długo, aż poczuła, że kręci jej się w głowie. Kiedy się cofnął, uśmiechał się szeroko.

– Kocham cię, Lauren.

Ona wydawała się poważna. Jego entuzjazm dla adopcji sprawił, że poczuła chłód i ogarnęła ją złość.

– Zawsze dostajesz to, czego chcesz, prawda?

Przestał się uśmiechać.

– Co masz na myśli?

Nawet nie wiedziała. Chciała dwóch rzeczy, które nie dadzą się pogodzić, tego była pewna.

– Sama nie wiem.

– Do diabła, Lauren. Co się z tobą dzieje? Jakim cudem mam trafić w twoje nastroje, skoro zmieniasz je co kilka sekund?

– Jakbyś w tej sprawie powiedział kiedykolwiek coś właściwego. Jedyne, czego pragniesz, to żebym pozbyła się dziecka.

– Czy lepiej byłoby, gdybym kłamał? Sądziś, że machnę ręką na całą swoją przyszłość i będę tylko tatusiem?

– Uważasz, że mnie nie zależy na przyszłości? Ty dupku! – Odepchnęła go.

Pobladł na te słowa.

– Ten problem staje się coraz trudniejszy.

– Najwyższy czas go rozwiązać.

Stali i wpatrywali się w siebie przez chwilę. Wreszcie David podszedł do niej.

– Jest mi przykro. Naprawdę.

– To nas niszczy – oznajmiła.

Wziął ją za rękę i zaprowadził na sofę. Siedzieli obok siebie, ale wydawało się, że dzielą ich kilometry.

– Przestańmy się kłócić i porozmawiajmy rozsądnie. O wszystkim – powiedział spokojnie.

*

Angie wysiadła z samochodu i zamknęła drzwi.

Miała przed sobą przechowalnię rzeczy wartościowych.

C-22.

Boksy innych ludzi znajdowały po drugiej stronie. Długi, niski budynek był jednym z wielu. Przy wejściu do magazynu A-1 widniał napis: „Chroń swoje rzeczy. Trzymaj je pod kluczem”.

Angie przełknęła ślinę. Klucz, który trzymała w ręku, wydawał się przedmiotem zimnym i obcym. W pewnym momencie miała ochotę zawrócić, bo nie czuła się na siłach znów wejść do schowka.

Obawiała się, czy wystarczająco poukładała sobie przeszłość, ale wiedziała, że musi tam iść. Posuwała się krok za krokiem, aż dotarła do właściwych drzwi. Włożyła klucz do zamka, usłyszała charakterystyczne kliknięcie, drzwi zaterkotały, podniosły się i wsunęły do szczeliny w suficie.

Poszukała kontaktu na ścianie i zapaliła światło.

Pojedyncza żarówka oświetliła wnętrze i oczom Angie ukazały się pudełka, meble owinięte w koce i kapy.

To wszystko, co pozostało po jej małżeństwie. Łóżko, które kupili z Conlanem na Pioneer Square; spali na nim przez wiele lat. Biurko, którego używał na studiach. Sofa nabyta z myślą, że będzie służyć całej rodzinie, gdy zechcą oglądać telewizję.

Nie przyszła tu jednak po to, by wspominać przeszłość.

Przyszła tu z powodu Lauren.

Zaczęła grzebać wśród pudełek, posuwała się coraz dalej i wreszcie znalazła to, czego szukała – wciśnięte w sam kąt trzy kartony z napisem: „Pokój dziecienny”.

Powinna je po prostu zabrać i włożyć do samochodu. Zamiast tego uklękła na zimnej, cementowej podłodze i zaczęła zaglądać do środka. Lampa w kształcie Kubusia Puchatka leżała na stosiku flanelowej pościeli.

Patrzyła na każdą rzecz wybieraną z tak ogromną starannością, leżącą bezużytecznie od nowości. W każdym przedmiocie tkwił okruczeństwo jej serca, pozostawiony tu dawno temu, ale niezapomniany.

Podniosła małą zrolowaną piżamkę i przytknęła do nosa. Nie pachniała niczym,

z wyjątkiem tektury, brakowało woni pudru dla niemowląt czy szamponu Johnson's Baby.

No ale skąd by się wzięła? Przecież żadne dziecko tego nie nosiło ani nie leżało przy świetle dobywającym się z żarówki umieszczonej w Puchatkowym koszyczku.

Angie zamknęła oczy i przypomniała sobie szczegóły pokoju dziecięcego. I noc, kiedy spakowała wszystkie te rzeczy.

W wyobraźni ujrzała małą, czarnowłosą dziewczynkę z błękitnookim mężczyzną.

– Zaopiekuj się nią, tato – wyszeptała i wstała z podłogi.

Już czas, żeby te przedmioty wydobyć z przygnębiających ciemności magazynu. Powinno się ich używać. Niech stoją w pokoju dzieciennym.

Zebrała wszystko i zaniósła do auta. Na dworze zdążyło się w tym czasie rozpadać.

*

Angie nie mogła uwierzyć, że czuje się tak wspaniale. Tamten dzień przesłonił słońce na lata, tak że długo brakowało jej światła.

Dziecinny pokój. Dziecięce ubrania i zabawki. Dopóki trzymała te rzeczy, cierpiała.

Teraz wreszcie poczuła się wolna.

Żałowała, że Conlan nie może tego zobaczyć. Tyle razy widział ją zapłakaną, gdy siedziała nad tymi drobiazgami, trzymała jakąś grzechotkę, kocyk, bibelocik.

Choć przecież...

Wzięła telefon komórkowy do ręki i nacisnęła szybkie wybieranie.

– Redakcja, słucham?

– Cześć, Kathy – odezwała się i włączyła głośnik. – Tu Angie. Czy jest Conlan?

– Jest, już łączę.

Po chwili usłyszała jego głos.

– Cześć, jesteś w Seattle?

– Nie, właśnie wracam do West Endu.

– To jedziesz w złym kierunku.

Zaśmiała się.

– Zgadnij, co mam w bagażniku?

– Pojęcia nie mam.

Czuła się jak alkoholik, który wreszcie przyznaje się do tego, że jest chory. Pamiątki ze spotkania AA leżały w bagażniku w tekturowych pudełkach.

– Dziecięce rzeczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – odezwał się po sekundzie wahania.

– Łóżeczko. Ubrania. Wszystko. Opróżniłam schowek.

Znowu chwila ciszy.

– Dla Lauren?

– Przyda jej się.

Angie wiedziała, że Conlan dopowie sobie sam to, czego nie powiedziała na głos. „Nam to nie będzie potrzebne”.

– Ja się z tym czujesz?

– Wiesz, to zdumiewające, Con. Czuję się świetnie. Pamiętasz, jak kiedyś mieliśmy lecieć helikopterem na narty?

– A ty nie mogłaś spać przez trzy noce poprzedzające wyjazd?

– No właśnie. Miałam mdłości na samą myśl o tym. Ale kiedy pilot wysadził nas na szczycie i poszusowaliśmy w dół, nie mogłam doczekać się następnego razu. Tak się teraz czuję. Zjeżdżam na nartach po stoku.

- No, no.
 - Wiem. Nie mogę doczekać się chwili, kiedy jej to dam. Na pewno będzie szczęśliwa.
 - Jestem z ciebie dumny Angie.
- Zadzwoiła do niego, by usłyszeć te słowa, choć uświadomiła to sobie dopiero teraz.
- Uczymy to jutro wieczorem.
 - Trzymam cię za słowo.

Rozłączyła się uśmiechnięta. W radiu leciała stara piosenka Billy’ego Joela *It’s still Rock & Roll to Me*. Nastawiła głośniej i nuciła razem z piosenkarzem.

Kiedy dojeżdżała do West Endu i skręciła w nadmorską drogę, śpiewała już tak głośno, jak się dało, i wybijała rytm, uderzając dłonią w kierownicę.

Czuła się jak dzieciak wracający do domu po wygranym przez własną drużynę meczu. Zaparkowała, chwyciła torbę i weszła do domku.

– Lauren!

Wewnątrz panowała cisza. Ogień buzował w palenisku.

Po długiej chwili dobiegł Angie jakiś szmer i wreszcie rozległ się głos dziewczyny:

– Tu jesteśmy.

Lauren siedziała na sofie. Łzy połyskiwały jej na policzkach, oczy miała czerwone i zapuchnięte. David siedział obok, trzymając ją za rękę. Chyba też płakał.

Angie poczuła strach. Dobrze wiedziała, co oznacza płacz na początku piątego miesiąca ciąży.

- Co się stało?
- Rozmawialiśmy z Davidem.
- Z dzieckiem wszystko w porządku?
- Tak, doskonale.

Angie poczuła ulgę. Powinna poskromić zbyt bujną wyobraźnię.

– Uf, to zostawiam was samych – powiedziała i ruszyła po schodach na górę.

– Zaczekaj – zawołała Lauren i z zakłopotaną miną wstała, wzięła ze stolika jakiś list i podała go kobiecie.

David momentalnie podszedł do dziewczyny i otoczył ją ramieniem.

Angie zaczęła czytać, co było napisane w liście:

„Szanowna Pani Ribido,

mamy przyjemność poinformować, że została Pani przyjęta na Uniwersytet Południowej Kalifornii... jako studentka... otrzymuje Pani pełne stypendium na pokrycie kosztów czesnego i zakwaterowania... prośba o potwierdzenie do 1 czerwca...”

– Wiedziałam, że dasz radę – powiedziała Angie łagodnym głosem. Miała ochotę chwycić ją w ramiona, śmiać się i skakać, ale takie okazywanie radości zarezerwowane było dla zwyczajnych dziewcząt dostających się na studia w normalnych okolicznościach. Ani jedno, ani drugie nie miało tu miejsca.

– Nie sądziłam, że się dostanę.

Angie dawno nie wyczuwała takiego smutku w głosie dziewczyny. Łamał jej serce. Ze wszystkich doświadczeń ostatnich miesięcy zdobycie tego, na czym Lauren tak zależało, było najtrudniejsze i najbardziej bolesne. Teraz nadszedł czas na podjęcie decyzji i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

– Jestem z ciebie dumna.

– To zmienia postać rzeczy – odezwała się Lauren spokojnie.

Angie czekała, co usłyszy dalej. Pragnęła ją przytulić, ale dziewczyna nadal tkwiła w objęciach Davida.

– Możliwe jest pogodzenie studiów z wychowywaniem dziecka.
– Nawet jeśli ma dwa miesiące? – Głos Lauren brzmiał staro i jakby z daleka. Jej słowa zdawały odbijać się echem po pokoju.

Angie zamknęła oczy. Każda odpowiedź byłaby kłamstwem. Wiedziała już to, o czym Lauren miała się dopiero przekonać. Znalazienie całodziennej opiekunki do malutkiego dziecka było trudne i kosztowne. Pocierała nos i wzdychała. Miała wrażenie, że znajduje się na tonącym statku, i czuła, jak podnosi się poziom wody.

– To trudna sytuacja – odezwała się wreszcie. Nie było sensu kłamać. – Ale ty jesteś silną, inteligentną dziewczyną...

– Inteligentna dziewczyna nie znalazłaby się w takiej sytuacji – powiedziała Lauren. Jej oczy znowu napelniły się łzami, choć próbowała się uśmiechać. Spojrzała na Davida, który skinął głową zachęcająco, po czym skierowała wyczekujący wzrok na Angie.

Przez chwilę panowało milczenie.

Kobieta poczuła, jak mróz ścina jej krew w żyłach. Zaczęła się bać.

Lauren puściła rękę Davida i postąpiła krok naprzód.

– Weź nasze dziecko, Angie.

Powietrze z niej uszło. Poczuła, że drży.

– Nie – wyszeptła, gestem rąk odpychając taką możliwość.

Dziewczyna zrobiła jeszcze jeden krok w jej stronę. Wyglądała tak młodo. Tak rozpaczliwie. Odezwała się ze łzami w oczach:

– Proszę. Chcemy, żebyś zaadoptowała nasze dziecko. Rozmawialiśmy o tym przez cały dzień. To jedyne wyjście.

Angie zamknęła oczy, ledwie słyszalny dźwięk wydobył się z jej ust. Nie powinna iść znowu tą drogą. Poprzednio omal jej to nie zabiło. Nie powinna wracać do tych marzeń...

...o dziecku.

Nie da rady. Nie jest wystarczająco silna.

Otworzyła oczy.

Lauren wpatrywała się w nią. Po bladej twarzy dziewczyny spływały strużkami łzy. Jej piwne oczy były przekrwione i zapuchnięte. List z uniwersytetu leżał na wyciągnięcie ręki, kawałek papieru, który mógł zmienić życie...

– Proszę – wyszeptła raz jeszcze.

Angie poczuła, że się zapada, że uchodzą z niej wszelkie uczucia. Nie miała wątpliwości, że powinna odmówić przyjęcia dziecka. I wiedziała, na Boga, że nie jest w stanie tego zrobić.

Nie mogła odmówić. Nie Lauren. I sobie też nie. I wiedziała w głębi serca, że robi źle, kiedy odezwała się cicho:

– Dobrze.

*

– Coś się z tobą dzisiaj dzieje – rzuciła mama i poprawiła sobie okulary na nosie.

– Nic. Wszystko w porządku. – Angie odwróciła wzrok.

– Nie jest w porządku. Jerrie Carl pytała o wolny stół trzy razy, zanim jej odpowiedziałas.

– A kiedy pan Costanza prosił o czerwone wino, wetknęłaś mu do reki butelkę – odezwała się Mira, przy okazji wycierając ręce w fartuch.

Angie nie powinna była przychodzić do kuchni. Mama i Mira jak para hien wyczuły krew i skoro już trafiły na trop, szły za nim i obserwowały.

– Wszystko w porządku. Naprawdę. – Obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

Kiedy znalazła się poza kuchnią, jej dobre samopoczucie przestało być już takie

oczywiste. Poruszała się wolno, ale przy tym natłoku myśli to, że w ogóle się poruszała, już było sukcesem. Uśmiech miała niewyraźny, choć starała się, by gościł stale na jej twarzy, dzięki czemu miała nadzieję uniknąć zbędnych pytań.

Tak naprawdę przez ostatnią dobę nie czuła nic. Skrywała w sobie emocje, tak jakby włożyła je do pudełka, zamknęła na kluczyk i teraz nie ośmielała się zajrzeć do środka.

Lepiej było tego nie oglądać. Obie z Lauren zawarły coś na kształt paktu z diabłem. Zapewniły sobie wycieczkę do piekła, która u obu zaowocuje złamanym sercem. Angie miała wrażenie, że dobrowolnie dała się zamknąć w małym, ciemnym pomieszczeniu.

Podeszła do okna i zaczęła się przyglądać nocnemu niebu. Odgłosy dochodzące z wypełnionej ludźmi restauracji zaczęły cichnąć w oddali, a ona słyszała coraz głośniejsze bicie własnego serca.

Co teraz? – zastanawiała się.

To pytanie nie dało jej zasnąć całą noc. I z nim obudziła się rano.

Przeżywała huśtawkę emocji – mieszankę rozpaczy i nadziei. Nie miała pomysłu, od której strony powinna się zabrać do rozplątywania tego motka. Jakaś jej część powtarzała magiczne słowo „dziecko” i czuła jego cudowną słodycz, ale w tle pojawiała się trzeźwe ostrzeżenie: „Lauren nie będzie go w stanie oddać”.

Jeśli fatum się ziści, to poza złamanym sercem będzie musiała wybrać: dziewczyna albo dziecko. W najlepszym wypadku może mieć jedno albo drugie. W najgorszym straci oboje.

– Angie?

Zaczerpnęła powietrza i szybko się odwróciła. Za nią stał Conlan z tuzinem czerwonych róż.

Zapomniała, że byli umówieni na randkę. Próbowwała się uśmiechnąć, ale wypadło to kiepsko. Conlan spojrział na nią zaniepokojony.

– Wcześniej przyjechałeś – odezwała się i roześmiała szybko, trochę za szybko.

– Jestem raptem minutę albo dwie wcześniej. Czy wszystko w porządku? – zapytał zaskoczony jej reakcją.

– Jasne. Poczekaj chwilkę, pójdę po płaszcz i powiem dobranoc. – Wyminęła go i skierowała się w stronę kuchni. Była już przy drzwiach, gdy zorientowała się, że zapomniała o kwiatkach.

Niech to diabli, przeklęła w duchu.

– Conlan przyjechał – zwróciła się do mamy i Miry. – Dacie radę beze mnie zamknąć restaurację?

Tamte wymieniły porozumiewawcze spojrzenie.

– A więc o to chodzi – powiedziała pani DeSaria. – Myślałaś o nim cały dzień.

– Podwiozę Lauren do domu – zaoferowała się Mira. – Baw się dobrze.

Baw się, nakazała sobie.

Z tego wszystkiego Angie zapomniała powiedzieć do widzenia. Cofnęła się do sali restauracyjnej, wzięła od Conlana kwiaty i udając, że je wacha, zapytała:

– Dokąd jedziemy?

– Zobaczysz – odparł i pomógł jej wsiąść do samochodu. Po chwili jechali drogą na południe.

Angie wyglądała przez okno. W szybie zobaczyła odbicie swojej twarzy – szczupłą, pociągłą, zmęczoną.

– Chodzi o dziecko?

Odwróciła się w jego stronę i zamrugnęła powiekami.

– Słucham?

– Wczoraj segregowałaś rzeczy z dziecinnego pokoju, prawda? Czy dlatego jesteś dzisiaj milcząca?

I znowu wyczuwała niepewność w głosie Conlana, który traktował ją z wielką ostrożnością, żeby tylko jej nie urazić. Była na niego zła.

– Wszystko poszło dobrze.

Czy to naprawdę było wczoraj? Ona pośród reliktyw przeszłości z nadzieją na nowe otwarcie w życiu.

– Czy aby na pewno?

– Pozbierałam wszystkie rzeczy do pudełek i zawiozłam do domu dla Lauren. – Głos jej się zmienił, gdy wymówiła imię dziewczyny i przypomniała sobie wczorajszą rozmowę.

„Weź nasze dziecko”, dźwięczały jej w uszach słowa Lauren.

– To w porządku – powiedział Conlan ostrożnie.

– Byłam taka szczęśliwa. – Miała nadzieję, że jej głos nie zabrzmiał smutno. Tyle się wydarzyło od tamtego momentu.

– Jesteśmy na miejscu. – Conlan zatrzymał samochód na zwirowym parkingu.

Angie wychyliła się przez okno.

Zobaczyła przepiękny murowany dom z kamienia, otoczony jodłami i przystrzyżonym żywopłotem z rododendronów. „The Sheldrake Inn wita was” głosił napis na szyldzie.

Popatrzyła na Conlana i obdarzyła go tym razem naprawdę szczerym uśmiechem.

– To więcej niż randka.

– Mieszkaś teraz z nastolatką. Muszę myśleć o przyszłości. – Uśmiechnął się szeroko.

Weszli razem do przytulnego wnętrza zajazdu.

Przywitała ich kobieta w stroju wiktoriańskim i pokierowała do recepcji. Mężczyzna stojący za kontuarem upewnił się, czy ma do czynienia z państwem Malone, i pochwalił, że przyjechali o czasie.

Conlan wypełnił formularz hotelowy, który podał recepcjoniście razem z kartą kredytową. Ich apartament znajdował się na piętrze. W sypialni stało ogromne łóżko z baldachimem, w salonie był kamienny kominek, a w łazience wanna, w której mogły się kąpać jednocześnie dwie osoby. Na dodatek z okien roztaczał się magiczny widok na wybrzeże tonące w księżycowej poświacie.

– Angie?

Powoli zwróciła ku niemu twarz.

Jak mu to powiedzieć? – zastanawiała się.

– Zbliź się do mnie.

Nie potrafiła się oprzeć brzmieniu jego głosu. Zrobiła, o co prosił. Objął ją i przytulił tak mocno, że aż zakręciło jej się w głowie.

Musi mu powiedzieć.

Teraz.

Jeżeli mają mieć przed sobą jakąkolwiek wspólną przyszłość, musi mu powiedzieć.

– Conlan...

Pocałował ją delikatnie. Potem cofnął głowę i zaczął się Angie przyglądać.

Czuła, że zapada się w tym jego błękitnym spojrzeniu.

– Nie spodziewałem się, że pozbędziesz się dziecinnych rzeczy. Jestem taki dumny z ciebie. Patrzę na ciebie i wreszcie swobodnie oddycham. Chyba do wczoraj nie zdawałem sobie sprawy, jak głęboko to we mnie siedzi.

– Och, Con. Musimy...

Wolno ukląkł na jedno kolano i, uśmiechając się, wręczył jej ślubną obrączkę.

– Już wiem, co mam z tym zrobić. Wyjdź za mnie jeszcze raz.
Angie padła na kolana.
– Wiesz, że cię kocham. Pamiętaj o tym, dobrze? Tata mawiał: kocham cię miłością większą od całej wody spadającej na ziemię pod postacią deszczu.
Zmarszczył brwi.
– Spodziewałem się prostego tak, a potem porywu namiętności.
– Najpierw muszę ci coś powiedzieć. Kto wie, czy nie zmienisz zdania.
– Na temat tego, czy chcę cię poślubić?
– Tak.
Spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem, podniósł trochę jeden łuk brwiowy i rzucił:
– Okej. Wal!
Nabrała głęboko powietrza w płuca.
– Wczoraj, kiedy zadzwoniłam do ciebie, byłam taka przejęta. Nie mogłam się doczekać, by wrócić do domu i spotkać się z Lauren. – Wstała, podeszła do okna i spojrzała na fale rozbijające się o brzeg. – Wróciłam i zastałam ją zapłakaną. Był z nią David.
Mężczyzna wstał, słychać było, jak skrzypi drewniana podłoga. Być może chciał podejść do Angie, ale nie zrobił tego.
– Przyjęli ją na Uniwersytet Południowej Kalifornii i dali pełne stypendium. Marzyła o tym.
– I?
– Wszystko uległo zmianie – powiedziała, powtarzając jak echo słowa dziewczyny. – Może gdyby dziecko było większe, umiało już chodzić, jakoś by sobie poradziła, ale z dwumiesięcznym? Nie ma szans, żeby pogodziła naukę, pracę i wychowywanie dziecka.
Minęła dłuższa chwila, zanim Conlan się odezwał. Miał zmieniony, szorstki głos, gdy zapytał:
– I co dalej?
Angie zacisnęła powieki.
– Chce oddać dziecko do adopcji. Sądzi, że tak będzie najlepiej dla niego.
– Pewnie ma rację. Jest na nie za młoda. – Podeszedł do niej, ale jej nie objął.
– Powiedziała: „Weź moje dziecko”. Tak zwyczajnie. – Westchnęła. Conlan zeszywniał.
– Czulałam się jak ogłuszona, dopadło mnie to znienacka z ogromną siłą.
– Zgodziłaś się.
Jego głos zabrzmiał głucho. Zwróciła ku niemu twarz, dzięki Bogu, przynajmniej się nie odsunął.
– A jaki miałam wybór? Kocham Lauren. Może nie powinnam była nawiązywać z nią bliskich stosunków. Nie. Wcale tak nie uważam. Jestem zadowolona, że to zrobiłam. Dzięki niej zrozumiałam lepiej siebie. I ciebie. – Zarzuciła mu ręce na szyję i pociągnęła ku sobie, tak by na nią spojrzeć. – Wyobraź sobie, że Sophie poprosiłaby nas o to?
– Lauren nie jest Sophie – oświadczył z bólem w głosie.
– Ona jest czyjąś Sophie. A przede wszystkim przerażoną siedemnastolatką, która potrzebuje, by ktoś ją pokochał, zadbał o nią. Jak mogłabym jej powiedzieć nie? Albo że ma oddać dziecko obcym, kiedy ja jestem tutaj? Kiedy my jesteśmy?
– Niech cię diabli, Angie. – Odepchnął ją i poszedł do drugiego pokoju.
Wiedziała, że zamiast iść do niego, powinna dać mu czas na przemyślenie tego, co powiedziała, ale tak bardzo się bała, że znowu go straci.
– Jak możemy jej odmówić w takiej sytuacji? – Zbliżyła się do niego. – A ty będziesz mógł być trenerem Małej Ligi...

– Przestań – powiedział to takim głosem, że Angie prawie go nie rozpoznała.
– Jak możemy powiedzieć nie? – powtórzyła raz jeszcze, tym razem łagodniej, i zmusiła go, by patrzył jej w oczy. Jednocześnie przypomniła sobie, jak odwiedziła Conlana w biurze i słowa wypowiedziane przez Diane: „Dwa razy w tym roku weszłam do jego pokoju i zastałam go płaczącego”.

Przesunął ręką po jej włosach i westchnął.

– Nie dam rady przechodzić przez to po raz kolejny. Przykro mi.

Angie zamknęła oczy. Te ostatnie dwa słowa przeszły ją niczym sztylet.

– Wiem – powiedziała i pochyliła głowę. Miał rację. Jak mogli powtórnie ryzykować? Łzy napłynęły jej do oczu. Każda decyzja była zła. Nie mogła stracić Conlana... ale nie mogła też odmówić Lauren. – Tak bardzo cię kocham, Con – wyszeptala.

– I ja ciebie też – oznajmił takim tonem, jakby przeklinał tę miłość.

– To może być szansa dla nas.

– Już tak kiedyś myśleliśmy – przypomniał jej. – Czy zdajesz sobie sprawę, ile kosztowało mnie ciągle stawianie cię na nogi, wycieranie twoich łez i słuchanie, jak płaczesz? Ile razy wmawiałem sobie, że to moja wina?

– Miałaś własne powody do płaczu. – Dotknęła jego twarzy.

– Tak – odparł szorstko.

– Nigdy nie ocierałam twoich łez, ale też ty nigdy przy mnie nie płakałeś.

– Twój ból był tak ogromny...

– Tym razem jest inaczej, Con. My się zmieniliśmy. Możemy stanowić drużynę. Może Lauren poradzi sobie jakoś z tym wszystkim, a my będziemy mogli być rodzicami, jak zawsze tego chcieliśmy. A jeśli nie, ona odejdzie, ale my zostaniemy. To, co się wydarzy, nie zmieni naszych stosunków. Przysięgam. – Padła na kolana i wyszeptala: – Ożeń się ze mną, Conlanie.

Wpatrywał się w nią, oczy mu pojaśniały.

– Niech cię diabli – powiedział i ukląkł. – Nie mogę żyć bez ciebie.

– Nie próbuj. Proszę... – Pocałowała go. – Zaufaj mi. Tym razem nic nas nie rozdzieli.

*

Lauren słyszała, jak podjeżdża samochód Davida. Pobiegła do drzwi wejściowych, by mu otworzyć.

Powitał ją uśmiechem.

– Jesteś gotowa? – zapytał i wziął ją za rękę.

– W stu procentach.

Poszli do samochodu. Przez całą drogę do Mountaineira opowiadał jej o porsche: biegach, przyspieszeniu, kolorze lakieru. Wydawał się zdenerwowany i co dziwne, działało to na nią uspokajająco. Kiedy byli już na miejscu i wysiedli z auta, David westchnął głęboko i zapytał:

– Naprawdę wszystko w porządku?

– Tak.

– To dobrze.

Weszli do ogromnego tonącego w eleganckim beżu domu Haynesów.

– Mamo? Tato?

– Jesteś pewien, że są w domu?

– Są. Mówiłem im, że musimy porozmawiać.

Państwo Haynes rzeczywiście pojawili się błyskawicznie, jakby czekali na nich w sąsiednim pokoju.

Mama Davida wpatrywała się w zaokrąglony brzuch Lauren.

Ojciec zaś starannie unikał patrzenia na nią. Zaprowadził ich do salonu, gdzie wszystko jak zwykle leżało na swoim miejscu.

Jedynie dziewczyna w ciąży do niego nie pasowała.

– A zatem... – rozpoczął pan Haynes, gdy wszyscy usiedli.

– Jak się czujesz? – zapytała pani Haynes, ale głos miała zboląły i starała się unikać wzroku Lauren.

– Świetnie, chociaż jestem gruba. Lekarze mówią, że dziecko rozwija się doskonale.

– Dostała pełne stypendium na Uniwersytecie Południowej Kalifornii – poinformował rodziców David.

– To fantastycznie – ucieszyła się pani Haynes. Spojrzała na męża, który usadowił się wygodnie w fotelu.

Dziewczyna chwyciła Davida za rękę.

– Zdecydowaliśmy się oddać dziecko do adopcji.

– Dzięki Bogu! – Pan Haynes odetchnął z ulgą. Lauren spostrzegła, jak łagodnieją mu rysy twarzy i schodzi z niej napięcie. Na koniec się uśmiechnął.

Matka Davida przysiadła koło dziewczyny.

– To musiała być dla ciebie trudna decyzja.

– Łatwa nie była. – Lauren odczuwała wdzięczność za te słowa.

Pani Haynes wyciągnęła do niej rękę, jakby chciała jej dotknąć, ale w ostatniej chwili się wycofała. Dziewczyna pomyślała, że się przestraszyła.

– Tak będzie dla was obojga najlepiej. Jesteście jeszcze tacy młodzi. Zadzwonimy do prawnika i powiemy mu...

– Myśmy już wybrali rodziców – przerwała Lauren. – Przybraną mamą zostanie moja... szefowa. Angie Malone.

Pani Haynes skinęła głową. Mimo że odczuwała wyraźną ulgę, wydawała się trochę smutna. Schyliła się po torebkę, położyła ją na kolanach i wyjęła książeczkę czekową. Wypełniła jeden arkusik, wyrwała i podała Lauren.

Wypisana suma opiewała na pięć tysięcy dolarów.

Dziewczyna spojrzała na czek i powiedziała:

– Nie mogę tego przyjąć.

Przyglądały się sobie przez chwilę. Lauren po raz pierwszy dostrzegła zmarszczki pod makijażem matki swojego chłopaka.

– To na college. Los Angeles jest drogim miastem. Stypendium nie wystarczy ci na wszystko.

– Ale...

– Pozwól sobie pomóc w ten sposób – poprosiła łagodnym głosem. – Jesteś dobrą dziewczyną, Lauren, która zamienia się powoli w kobietę.

– Dziękuję. – Poczuli się, co ją zaskoczyło, poruszona tym prostym komplementem.

Pani Haynes wstała, ale zanim odeszła, odwróciła się.

– Może mogłabyś dać mi zdjęcie mojego... zdjęcie dziecka, kiedy już się urodzi.

– Oczywiście – odpowiedziała. Po raz pierwszy pomyślała o panu i pani Haynes jak o dziadkach.

Anita Haynes spojrzała na nią raz jeszcze.

– Naprawdę uważasz, że dasz radę to zrobić?

– Muszę. To właściwa decyzja.

Po tych słowach nie było już nic do dodania.

29

Lauren wróciła do domu tuż przed północą.

Zamknęła za sobą drzwi i westchnęła zmęczona. Marzyła, by pójść do łóżka i zamknąć oczy. Ten dzień sprawił jej przykrość.

Dotknęła brzucha i poczuła delikatne kopnięcie.

– Hej! – powiedziała cichutko do dziecka i poszła do salonu.

Była w jadalni, gdy zauważyła ogień palący się w kominku i usłyszała dźwięki muzyki dolatującej z głośników. Coś lekkiego, chyba jakaś hawajska melodia. *Somewhere over the Rainbow* grane na ukulele.

Angie i Conlan siedzieli razem i patrzyli w płomienie.

– O! – Lauren była zdziwiona. – Myślałam, że jesteś gdzieś poza domem na romantycznej randce.

Angie wstała i podeszła do niej. Podała na powitanie lewą dłoń, na której palcu błyszczał wielki diament.

– Bierzymy ślub raz jeszcze.

– Wspaniale! – Dziewczyna zapiszczała i rzuciła się w objęcia Angie. Dopiero w tej chwili zrozumiała, jak bardzo brakowało jej Angie przez cały dzień, jaka się czuła samotna. Nie chciała jej teraz puścić. – I mój dzidzius będzie miał również tatę. O, przepraszam. – Rozluźniła uścisk. Poczuła się głupio, dziewczyna, która powinna być kobietą.

Powiedziała „mój dzidzius”.

– Właściwie to przyjechaliśmy do domu, żeby z tobą porozmawiać – oznajmił Conlan.

Lauren zamknęła oczy, poczuła się wyczerpana. Brakowało jej sił, by znów rozmawiać na temat dziecka.

Nie miała jednak wyboru.

– Dobrze.

Angie chwyciła ją za rękę i ścisnęła. Pomogło. Podeszły do sofy, usiadły.

Conlan został tam, gdzie był, czyli przy kominku. Siedział lekko pochylony z dłońmi na udach. Kosmyki czarnych włosów opadały mu na twarz, a oczy na tle ognia płonęły niebieskim blaskiem.

Jego wzrok przeszywał Lauren na wylot. Nie było jej zbyt komfortowo na tej sofie.

– Jesteś właściwie dzieckiem – zaczął nadspodziewanie łagodnym głosem. – Jest mi przykro z powodu tego wszystkiego.

– Przestałam być dzieckiem parę miesięcy temu – powiedziała Lauren z uśmiechem.

– Nie. Musisz się zmierzyć z problemami dorosłych, ale to nie to samo, co być dorosłą. – Westchnął. – Rzecz polega na tym, że... Angie i ja nieco się obawiamy.

Tego dziewczyna nie oczekiwała.

– Sądziłam, że chcecie mieć dziecko.

– Chcemy – odezwała się Angie stłumionym głosem. – Może nawet za bardzo.

– Powinniście więc być szczęśliwi. – Patrzyła to na nią, to na niego. – Oddaję je wam.

Och, Sarah...

Przypomniała sobie o tamtej dziewczynie, która też obiecywała, a potem zmieniła zdanie.

– Tak – powiedziała Angie.

– Nie zrobię wam tego. Obiecuję. To znaczy... Kocham was. I kocham moje dziecko. Wasze dziecko. Chcę postąpić właściwie.

Angie dotknęła twarzy Lauren.

– Wiemy, skarbie. Po prostu chcieliśmy...

– Musimy – wtrącił Conlan.

– ...czy to dobrze przemyślałaś. To nie będzie łatwe.

– Trudniej, niż być matką w wieku siedemnastu lat?

Uśmiech Angie był równie słaby jak dotyk.

– To ci podpowiada rozum, a ja pytałam, co mówi twoje serce?

– Żadna z tych decyzji nie jest łatwa – powiedziała dziewczyna i otarła oczy. –

Zastanawiałam się nad tym bardzo długo. To najlepsze wyjście. Uwierzcie mi.

Po jej słowach zaległa cisza, którą przerywało tylko trzaskanie ognia w kominku i lecące z sykiem iskry.

– Uważamy, że powinnaś się spotkać z prawnikiem i psychologiem – odezwał się po chwili Conlan.

– Dlaczego?

Angie starała się uśmiechać, jakby chciała pokazać, że to jest zwykła wieczorna pogawędka, jedna z wielu. Zdradzał ją smutek, który malował się w jej oczach.

– Dlatego, że zależy mi na tobie równie mocno jak na dziecku, które urodzisz. Wiem, w jakim kierunku zmierzamy. Dokąd ty zmierzasz. Jedną kwestią jest podjąć decyzję o oddaniu dziecka, a inną jej realizacja. Chcę, żebyś była pewna.

Lauren prawie nie słuchała słów, które padły, po tym jak Angie powiedziała: „Zależy mi na tobie”. Tylko David mówił jej to wcześniej. Pochyliła się do przodu i objęła ją bardzo mocno.

– Nigdy cię nie skrzywdzę – wyszeptala ze ściśniętym gardłem. – Nigdy.

Angie się cofnęła.

– Wiem o tym.

– Czy spotkasz się więc z prawnikiem? – zapytał z obawą Conlan.

– Oczywiście – powiedziała ze szczerym uśmiechem. – Zrobię dla was wszystko.

Angie przytuliła ją mocno. Lauren usłyszała jakby z daleka ciche słowa Conlana:

– Nie złam więc jej serca.

*

W biurze prawnika było sporo ludzi. Po lewej stronie stołu siedziała rodzina Haynesów, po prawej Angie, a obok niej Conlan. Krzesło Lauren stało pośrodku i mimo że nie było zbyt oddalone od reszty, dziewczyna czuła się nieco samotna i odseparowana.

Angie podniosła się, aby do niej podejść.

Właśnie wtedy do pokoju wkroczył prawnik. Wysoki, korpulentny mężczyzna w drogim czarnym garniturze powitał zgromadzonych gromkim „dzień dobry”.

Angie usiadła z powrotem.

– Nazywam się Stu Philips – przedstawił się i wyciągnął rękę do Conlana, który podniósł się, by go przywitać.

– Conlan Malone. A to moja... Angela Malone.

Angie znowu wstała, podała mu rękę, po czym usiadła. Usiłowała nie myśleć o tym, jak ostatnim razem brała udział w podobnym spotkaniu.

„Mam dla państwa dziecko.

Nastolatka”.

– A więc, młoda damo – Stu zwrócił się do Lauren – podobno podjęłaś decyzję?

– Tak, proszę pana. – Jej głos był ledwie słyszalny.

– Dobrze, zatem zacznijmy od spraw formalnych. Chciałbym zwrócić państwa uwagę na pewną niezręczność, jaka wynika z reprezentowania przez prawnika obydwu stron umowy. Jest to legalne w tym stanie, ale odradzałbym taką decyzję. Jeśliby się coś wydarzyło, pojawiła jakaś różnica zdań między państwem, nie będę mógł pomóc żadnej ze stron.

– Nic się nie pojawi – odezwała się stanowczym głosem Lauren. – Już się zdecydowałam. Stu spojrział na Conlana.

– Decydują się zatem państwo na ryzyko związane z podwójną reprezentacją prawną?

– Ta decyzja jest najmniej ryzykowna ze wszystkich, jakie podjęliśmy w tej sprawie – odparł Conlan.

Prawnik wyciągnął jakieś papiery z teczki i przesunął po stole w ich kierunku.

– Podpiszcie te dokumenty i przejdziemy do meritum. Jest tam napisane, że z pełną świadomością wynikającego z tego ryzyka zgadzacie się na podwójną reprezentację.

Kiedy złożyli wymagane podpisy, przez następną godzinę dyskutowali o samej sprawie. Kto może opłacić jakie koszty, które dokumenty winny być podpisane i przez kogo, rozpatrywali też szczegóły prawa obowiązującego w stanie Waszyngton. Trzeba było określić moment wygaśnięcia praw rodzicielskich rodziców biologicznych, wyznaczyć opiekuna prawnego dziecka, terminy i tak dalej.

Angie już to wszystko przerabiała, i wiedziała, że w ostatecznym rozrachunku nie tyle formalności miały znaczenie, ile emocje. Uczucia. Można podpisać tonę papierów i dostarczyć je tam, gdzie trzeba, a efekt końcowy i tak jest niepewny. To dlatego nie można ostatecznie sfinalizować procedury adopcyjnej przed urodzeniem się dziecka. Lauren musi najpierw objąć swoje małenstwo, a dopiero potem podpisać ostatecznie wiążącą decyzję o jego oddaniu.

Angie bolało serce na samą myśl o tym. Zerknęła w lewo.

Dziewczyna siedziała spokojnie na krześle z rękami na kolanach. Mimo zaokrąglonego brzucha nadal wyglądała młodo i niewinnie. Dziewczynka, która połknęła arbuza. W tej chwili energicznie potakiwała prawnikowi w jakiejś kwestii.

Angie chciała podejść teraz do niej, przyklęknąć i wziąć ją za rękę, powiedzieć „nie jesteś sama z tym wszystkim”, ale prawda była inna: Lauren zostanie sama. Nie może być przecież większej samotności nad tę, którą będzie odczuwać po oddaniu swojego dziecka.

I choćby Angie nie wiem jak się starała, nie będzie mogła dziewczyny ochronić, kiedy ten moment nadejdzie.

Zamknęła oczy. Jak będą mogli przejść przez to wszystko nietknięci? Jak...

Poczuła, że ktoś tarmosi ją za rękaw. Zamrugała powiekami, rozejrzała się wokół.

Conlan wpatrywał się w nią. Podobnie prawnik, Lauren i wszyscy w pomieszczeniu.

– Pytaliście mnie o coś? – zapytała i poczuła, że się rumieni.

– Tak jak mówiłem – powtórzył Stu – chciałbym sporządzić plan adopcyjny, dzięki któremu wszystko będzie szło prościej. Możemy zacząć?

– Oczywiście – powiedziała Angie.

Adwokat spojrział na nią, potem na Lauren.

– Jaki sposób komunikowania się chciałyby panie przyjąć, kiedy dziecko zostanie już przekazane państwu Malone?

– Co pan ma na myśli? – spytała Lauren ze zmarszczonym czołem.

– Jak rozumiem, mimo że odda pani dziecko, będzie chciała utrzymać z nim kontakt, na przykład zadzwonić na urodziny i podczas Bożego Narodzenia albo napisać list czy otrzymać jego zdjęcie przynajmniej raz do roku?

Lauren zaczerpnęła powietrza. To było oczywiste, że nie wybiegała myślą tak daleko, nie

zastanawiała się, że przekazanie dziecka zmieni ich stosunki. Popatrzyła na Angie i zadrżała.
– Będziemy w kontakcie cały czas. Jesteśmy... – głos Angie na moment zawisł – jak rodzina.

– Nie jestem pewien, czy taka otwartość może wyjść dziecku na korzyść – powiedział prawnik. – Ścisłe wyznaczanie granic sprawdza się o wiele lepiej. Doświadczenie wskazuje...

– Och... – westchnęła Lauren i przygryzła wargę. Nie słuchała adwokata. Patrzyła na Conlana i Angie. – Nie pomyślałam o tym. Dziecku potrzeba tylko jednej matki.

David wychylił się do przodu i ujął w swoje dłonie rękę dziewczyny.

– Nie musimy postępować dokładnie tak jak inni, możemy ustalić odrębne zasady – zaproponowała Angie. Może powinna coś jeszcze dodać, ale zaczęła wszystko analizować i trudno było jej sobie wyobrazić, że Lauren tak zwyczajnie zniknie z ich życia... tylko jak to by się miało wszystko skończyć?

Dziewczyna spojrzała na nią. Smutek w jej brązowych oczach był wprost nie do zniesienia. Przez moment wyglądała na dużo starszą, niż była, wręcz staro.

– Nie zdawałam sobie sprawy... powinnam była. – Próbowała się uśmiechnąć. – Będziesz doskonałą mamą, Angie. Moje dziecko jest szczęściarzem.

– Nasze dziecko – poprawił ją łagodnie David.

Lauren posłała mu pełen wdzięczności uśmiech.

Angie wahała się, czy nie należałoby czegoś jeszcze powiedzieć.

W końcu dziewczyna spojrzała znowu na prawnika i powiedziała:

– Proszę mi powiedzieć, jaki system sprawdza się najlepiej?

Spotkanie trwało dalej, słowa fruwały w powietrzu tam i z powrotem, potem opadały na papier i przytwierdzone czarnym tuszem, przekształcały się we wzajemne zobowiązania.

Przez cały ten czas Angie chciała podejść do Lauren, wziąć ją w ramiona i wyszeptać, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy jednak tak siedziała w pokoju pełnym reguł prawnych i zasad, otoczona ludźmi, którzy byli pełni wątpliwości, sama nie wiedziała, co myśleć.

*

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów w niedzielę wielkanocną nie padało. Słońce wzniosło się wysoko na błękitnym niebie. Po chodnikach spacerowało wielu ludzi, na ogół odświętnie ubranych, którzy udawali się do swoich kościołów.

Angie szła pomiędzy Conlanem a Lauren. Dzwon kościelny zaczął przyzywać na modlitwę. Przyjaciele i rodzina wchodzili ławą do środka.

Tuż przed wejściem Angie zatrzymała się na chwilę, Con i dziewczyna zrobili wobec tego to samo.

– Powiemy im wszystko później. Podczas śniadania i dzielenia się jajkiem, dobrze?

Oboje skinęli głowami.

Angie przekreśliła pierścionek, który dostała od Conlana, diamentem do dołu. Taki trik nie oszuka pań z rodziny DeSaria na długo, ale przynajmniej jest nadzieja, że teraz, gdy będą pochłonięte nabożeństwem, niczego nie zauważą.

Zrobiła krok naprzód.

Lauren powstrzymała ją ręką.

– Co się stało, skarbie? – W spojrzeniu dziewczyny było coś, co Angie chyba rozumiała. Rodzaj lęku, podziwu, a może i szacunku, jak gdyby pójście do kościoła z rodziną było rzadkim darem. A może też i odrobina niepokoju. Wszyscy denerwowali się tym, co miało niedługo nadejść. – Weź mnie za rękę.

– Dzięki – odpowiedziała Lauren i uciekła wzrokiem szybko, ale nie na tyle, by Angie nie dostrzegła łez wzruszenia w jej oczach. Ze splecionymi dłońmi weszły po schodach do pięknego starego kościoła.

Wydawało się, że msza trwa wieczność, choć dla nich mogłaby się nie kończyć. Angie pomagała Lauren klękać, a potem się podnosić.

Kiedy przyszła kolej na nią, by się pomodlić, skłoniła się nisko i prosiła w duchu: „Drogi Boże, wskaż nam właściwą drogę wśród tej niepewności. Osłaniaj, chroń nas, a przede wszystkim Lauren. Amen”.

Po skończonym nabożeństwie wszyscy zeszli do podziemi kościoła, gdzie wystawiono na stołach mnóstwo ciast i ciasteczek. Angie podczas rozmowy z rodziną i znajomymi trzymała lewą rękę w kieszeni.

Do środka wchodziły tłumnie dzieci z ozdobami świątecznymi, które własnoręcznie przygotowały.

Wreszcie zgromadzeni powoli zaczęli się rozchodzić. Poranek na dworze przywitał ich znowu słońcem i chłodem. Odświętnie ubrani ludzie czuli się sobie bliscy. Przeszli przez ulicę i poszli do parku.

Angie spojrzała na pustą karuzelę, która w słońcu błyszczała jak czyste srebro.

Conlan podszedł do niej i objął ją w pasie. Wiedziała, że on również myśli o Sophie. Ile razy przychodzili tu i patrząc na bawiące się dzieci, marzyli o własnym. Mówili cicho do siebie: „Pewnego dnia”.

Teraz też patrzyli, jak mali mieszkańcy West Endu wprawiają karuzelę w ruch.

– Okej, dzieciaki – powiedział ojciec O’Houlihan ze śpiewnym irlandzkim akcentem. – Szukajcie teraz jajek, które pochowane są w okolicy.

Rozległ się pisk i towarzystwo rozbiegło się po parku.

Lauren podeszła do Dani, która stała obok Miry.

– Chodź, pomogę ci poszukać – zaproponowała dziewczynce, po czym wzięła ją za rękę i poszły.

W niedługim czasie cały klan DeSariów zgromadził się w jednym miejscu. Byli jak gęsi, pomyślała Angie. Zlatywali się i tworzyli klucze. Nawet ich rozmowy przypomniały ptasi świergot, bo wszyscy mówili jednocześnie.

Angie odchrząknęła.

Conlan ścisnął jej rękę i uśmiechając się, dodał otuchy.

– Mam dwie sprawy do przekazania – odezwała się. A ponieważ nikt nie słuchał, powtórzyła głośniejszym głosem.

Mama pacnęła wujka Francisa w tył głowy.

– Bądź cicho, nasza Angela ma nam coś do powiedzenia.

– Pewnego dnia, Mario, oddam ci, zobaczysz. – Wujek masował sobie głowę.

Mira i Livvy przybliżyły się.

Angie pokazała pierścionek.

Wrzask, jaki się rozległ, roztrzaskał pewnie szyby w oknach w całym miasteczku.

Rodzina rzuciła się na Angie i Conlana, omal ich nie tratując.

Jeden przez drugiego wykrzykiwali gratulacje, zadawali pytania i każdy twierdził, że wiedział, iż tak się stanie, już od dawna.

Kiedy entuzjazm nieco przygasł, mamie coś się przypomniało.

– A ta druga sprawa? – zapytała.

– Która? – Angie przysunęła się do Conlana.

– Miałaś powiedzieć nam o dwóch. Jaka jest ta druga? Zamierzasz porzucić restaurację?

– Nie. Rozważam, czy też raczej rozważamy pozostanie w West Endzie. Conlan otrzymał zamówienie na książkę i propozycję pisania cotygodniowych felietonów do swojej gazety. Może to równie dobrze robić tutaj.

– Wspaniałe wieści – powiedziała mama.

– Dalej nie zdradziłaś drugiego sekretu, siostrzyczko – odezwała się Livvy.

Angie chwyciła Conlana raz jeszcze za rękę, jakby szukała u niego schronienia, i wypaliła:

– Zamierzamy zaadoptować dziecko Lauren.

Tym razem zapadła kompletna cisza.

– To nie jest dobry pomysł – odezwała się mama wreszcie.

– A co miałam zrobić? Powiedzieć nie? Patrzyć, jak oddaje dziecko obcym?

Cała rodzina jak jeden mąż zaczęła przyglądać się Lauren, która niczego nieświadoma, schylała się raz za razem w poszukiwaniu w wysokiej trawie jajek. Mała Dani stała za nią, pokazywała coś paluszkami i chichotała. Z tej odległości wyglądały jak młoda mama z córką.

– Lauren ma wielkie serce – stwierdziła pani DeSaria. – I smutną przeszłość. To niebezpieczna kombinacja, Angelo.

Livvy postąpiła krok do przodu.

– Poradzisz sobie z tym? Jeśli ona zmieni zdanie? – zapytała cicho.

Angie spojrzała na Conlana, który skinął głową, i wsparł ją wielce wymownym uśmiechem.

– Razem damy sobie radę ze wszystkim – powiedział.

– Tak – dodała pogodnie. – Najtrudniej będzie powiedzieć do widzenia samej Lauren.

– Ale zostanie ci dziecko – wtrąciła Mira.

– A może innym razem...? – Mama próbowała ponownie odwieść ją od tej decyzji.

– To już postanowione – odezwał się Conlan, a wtedy wszyscy umilkli.

Jeszcze raz spojrzeli na Lauren, a potem zaczęli rozmawiać o codziennych, bardziej przyziemnych sprawach.

Angie odetchnęła z ulgą. Już po burzy, stawiała czoło i ją przetrwała. Oczywiście będą to długo komentować w rodzinie, prowadzić niekończące się rozmowy telefoniczne, wymieniać uwagi za i przeciw, wypowiadać opinie. Jakaś część tych plotek i rad będzie oczywiście docierać do niej. Ale większość nie.

Poza tym nie mogłyby one przynieść niczego nowego, nad czym Angie nie zastanawiała się już wielokrotnie.

Rozwiązania niektórych spraw nie trzeba szukać, wystarczy na nie poczekać. To jak z pogodą. Po co wypatrywać burzowych chmur na horyzoncie, przecież nie przesądzają o deszczu następnego dnia. Równie dobrze może on być słoneczny i piękny.

Nie sposób przewidzieć przyszłości.

Jedyne, co można zrobić, to żyć dalej po swojemu jak dotąd.

*

Samochody zajeżdżały bez przerwy w ciągu ostatniej godziny. Co parę minut drzwi wejściowe otwierały się i nowa fala gości napływała do domu, niosąc elegancko opakowane prezenty i pudełka z jedzeniem. Mężczyźni zgromadzeni w salonie oglądali sport w telewizji i pili piwo. Przynajmniej z tuzin dzieci zajętych było w pokoju bawialnym grami planszowymi Nintendo oraz tańcem z Barbie i Kenem.

Jednak właściwe centrum wydarzeń znajdowało się w kuchni. Mirę i Livvy pochłaniało szykowanie przystawek, układały na tacach: ser Provolone, pieczone papryczki, tuńczyka, oliwki,

bruschettę. Mama umieszczała kolejne warstwy manicotti w porcelanowym naczyniu do pieczenia, Angie zaś przygotowywała krem z ricotty do cannoli. W rogu na małym kuchennym stole, przy którym mieściła się kiedyś podczas codziennych posiłków cała rodzina DeSariów, stał biały trójwarstwowy tort weselny w otoczeniu morza serwetek i srebrnych sztućców.

– Lauren – poprosiła Maria – zacznij nakrywać do stołu i zanieś przekąski do jadalni.

Dziewczyna niezwłocznie podeszła do małego stolika i zabrała z niego serwetki, noże, widelce i łyżki.

Kiedy stanęła w progu pokoju, zapatrzyła się na ogromny stół. Nakryty był jasnozielonym adamaszkowym obrusem. Pośrodku stał wazon pełen białych róż.

Na pewno będą robić zdjęcia, gdy wszystko zostanie już ustawione jak powinno. No właśnie, musi właściwie nakryć do stołu, tylko jak to zrobić?

– Trzeba zacząć od sztućców – wyjaśniła Angie, która pojawiła się nagle koło niej. – W ten sposób.

Lauren przygląda się, jak powstają piękne wzory z widelców, noży i łyżeczek, i nagle zrobiło jej się przykro. Owładnęła nią myśl, że niedługo będzie musiała to wszystko zostawić.

– Dobrze się czujesz, kochanie? Wyglądasz, jakbyś właśnie straciła przyjaciela.

Lauren uśmiechnęła się i odpowiedziała szybko:

– Nie sądzę, że powinnaś nakrywać do stołu w czasie własnego wesela.

– To właśnie jest fajne, gdy poślubia się drugi raz tego samego faceta. Ważne jest samo małżeństwo, nie uroczystość temu towarzysząca. Robimy to tylko ze względu na mamę. – Przynęła się bliżej. – Mówiłam, żeby nie robiła nic wielkiego, ale znasz ją.

Angie wróciła do szykowania stołu.

– Wolalabyś chłopca czy dziewczynkę? – zapytała Lauren i dalej obserwowała ruchy kobiety.

Ręka Angie z dwoma nożami zastygła w powietrzu. Była to chwila, która wydawała się trwać w nieskończoność. Dookoła hałasowała gromada dzieci, a w jadalni w nagłej ciszy dwie kobiety słyszały tylko własne oddechy.

– Nie wiem – odparła i położyła noże na właściwym miejscu. – Najważniejsze, żeby było zdrowe.

– Psycholog, do którego mnie wysłałaś, powiedziała mi, że powinnam pytać cię o wszystko, co mi leży na sercu. Że szczerosc między nami jest ogromnie ważna.

– Wiesz, że możesz ze mną porozmawiać na każdy temat.

– Ten plan adopcyjny, który ułożyłyśmy... – zaczęła dziewczyna, chcąc poruszyć temat, który nie dawał jej zasnąć, ale zdenerwowała się i nie potrafiła dokończyć zdania.

– Tak?

Lauren przełknęła ślinę.

– Będziesz stosowała się do jego zaleceń, przysyłała listy i zdjęcia?

– Oczywiście, że tak, kotku.

Coś w sposobie, w jaki Angie wypowiedziała słowo „kotku”, i łagodność jej głosu sprawiły że dziewczyna nie potrafiła dłużej dusić w sobie emocji i wyrzuciła ze zbolalym sercem:

– Zapomnisz o mnie.

Twarz Angie zmieniła się, łzy napłynęły jej do oczu, chwyciła Lauren w ramiona i mocno przytuliła.

– Nigdy!

Kiedy rozluźniły uścisk, dziewczyna zamiast doznać ulgi, poczuła się jeszcze bardziej samotna. Położyła rękę na brzuchu; wewnątrz mały ktoś delikatnie dobijał się, by wyjść na świat.

Już chciała poprosić Angie, żeby jej dotknęła, ale nagle pojawił się David, więc podbiegła do niego i pozwoliła, by ją objął.

Samotność, którą odczuwała jeszcze przed chwilą, znikła. Kiedy odda dziecko, nie będzie sama. Przecież ma Davida!

– Świetnie wyglądasz – powiedział.

Uśmiechnęła się, nawet jeśli mocno przesadził...

– Jestem wielka jak stodoła.

– Raczej jak piękny pałac, ale ja lubię architekturę. Może nawet będę ją studiował.

– Mądrała.

Objął ją i skierowali się w stronę jedzenia. Po drodze opowiedział jej ploteczki ze szkoły. Do czasu kiedy zaczęła grać muzyka, a Maria zagoniła całą trzódkę na trawnik na tyłach domu, gdzie ustawiono białą altankę ozdobioną setkami jasnych jedwabnych różyczek, Lauren miała już wyśmienity humor.

Conlan stał w altance ubrany z czarne levisy i tego samego koloru sweter pod szyję obok ojca O’Houlihana w stroju obowiązującym kapłana.

Przy dźwiękach *Unforgettable* Nat King Cole’a Angie kroczyła udekorowaną ścieżką. Miała na sobie biały kaszmirowy sweter z wypukłymi wzorami i zwiewną białą spódnicę. Szła na bosaka, a wiatr rozwiewał na plecach jej długie czarne włosy. Niosła w ręku pojedynczą białą różę.

Lauren patrzyła na nią z podziwem.

Uśmiechnęła się, kiedy Angie ją mijała. Ich spojrzenia się spotkały i w tej króciutkiej chwili Lauren pomyślała: Też cię kocham.

To było wariactwo...

Angie wręczyła dziewczynie różę i poszła dalej.

Ta popatrzyła na kwiat z niedowierzaniem. Nawet w tak ważnym dla siebie momencie Angie myślała o niej.

– Widzisz, jakim jesteś szczęściarzem – wyszeptała do maleństwa w swoim brzuchu. – To będzie twoja mama.

I nie wiedzieć czemu, znowu zachciało jej się płakać.

30

Pewnego deszczowego poranka pod koniec kwietnia Maria zdecydowała, że Angie musi nauczyć się gotować. Pojawiła się wcześniej z wielkim tekturowym pudłem pełnym różnych produktów. Na nic zdały się dyskusje.

– Jesteś mężatką... na powrót. Powinnaś znać się na kuchni.

Lauren stała w przejściu i próbowała zapanować nad sobą, by nie wybuchnąć śmiechem, widząc protestującą Angie. Zresztą z marnym skutkiem.

– No i czemu szczerzysz zęby? – zapytała Maria i położyła dłoń na ustach dziewczyny. – Ty też się nauczysz. Obie się ubierajcie i macie być w kuchni za dziesięć minut.

Lauren pobiegła na górę, zrzuciła flanelową koszulę nocną i włożyła czarne legginsy i stary podkoszulek z Fircrest Academy z wizerunkiem buldoga.

Zbiegła na dół i w kuchni nadziała się od razu na wzrok Marii.

Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie i czekała na polecenia.

– Co mam robić?

Pani DeSaria podeszła do niej, pokręciła głową i szepnęła:

– Jesteś za młoda, by mieć takie smutne oczy.

Lauren nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Maria wyjęła fartuch z pudła i podała go dziewczynie.

– Masz, włóż to.

Ta zrobiła, o co ją proszono.

– A teraz chodź tutaj. – Maria zaczęła wyciągać na ladę produkty. Kiedy w kuchni pojawiła się Angie w dżinsach i T-shircie, ujrzała mąkę, masło i metalową miskę pełną jajek.

– Makaron – powiedziała i zmarszczyła czoło.

Przez następną godzinę pracowały ramię w ramię. Pani DeSaria uczyła je, jak zrobić dołek w kupce mąki, stosowny do liczby jajek, potem połączyć składniki i wyrobić ciasto, tak żeby nie było za twarde. Później Lauren rozwałkowała je, a Angie, żeby było im przyjemniej pracować, poszła włączyć muzykę.

– Tak będzie fajniej – oznajmiła po powrocie.

Maria dała Lauren nożyk do cięcia ciasta.

– Pokrój makaron na kwadraty o pięciocentymetrowym boku.

– Nie wiem, czy potrafię, może lepiej niech Angie to zrobi. – Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Tak – zaśmiała się tamta. – Zdecydowanie bardziej się do tego nadaję.

Pani DeSaria dotknęła delikatnie twarzy Lauren.

– Wiesz, co się stanie, jak popełnisz błąd?

– Co?

– Rozwałkujemy jeszcze raz i znowu spróbujemy pociąć.

Lauren wzięła do ręki kółko z ząbkowaną krawędzią i zaczęła kroić ciasto na kwadraty. Robiła to z taką precyzją, jakby wykonywała doświadczenie chemiczne.

– Widzisz, Angie – powiedziała. – Twoja dziewczyna to skarb.

„Twoja dziewczyna”.

Te słowa towarzyszyły Lauren przez cały poranek, ogrzewały ją. Kiedy nałożyły farsz do

tortellini i skończyły robić makaron, uśmiechała się, a nawet śmiała bez przyczyny.

Żałowała, że lekcja gotowania ma się ku końcowi.

– Muszę lecieć – oznajmiła Maria wreszcie. – Ogród mnie wzywa, sadzonki czekają.

Angie się zaśmiała.

– Dzięki Bogu. – Puściła oko do Lauren.

– Pewnego dnia będziesz żałowała, Angelo, że tak lekceważyłaś dorobek rodziny. – Pani

DeSaria pociągnęła nosem.

Angie objęła matkę i uścisnęła ją mocno.

– Żartuję przecież. Jutro wezmę książkę kucharską i spróbuję sama coś ugotować.

Będziesz zadowolona?

– Tak.

Maria uściskała obie, pożegnała się i wyszła. Lauren podeszła do zlewu i zabrała się do zmywania. Angie stanęła obok i zaczęła jej pomagać. Myły i wycierały naczynia w zgodnym rytmie, co od jakiegoś czasu łatwo im przychodziło.

Kiedy skończyły, Angie powiedziała:

– Muszę pojechać do Help-Your-Neighbor. Umówiłam się z dyrektorką. Pomysł z płaszczami okazał się strzałem w dziesiątkę, więc mamy obmyślić następną akcję.

– Jedź i niech wam coś fajnego wpadnie do głowy.

Dziewczyna wycierała ręce, a Angie zbierała się do wyjścia. Zamknęła z hukiem drzwi, a po chwili słychać było warkot zapuszczanego silnika.

Lauren podeszła do okna i popatrzyła na odjeżdżający samochód. Z głębi domu dochodził chropowaty głos Bruce'a Springsteena.

„Kotku, urodziliśmy się, by uciekać”.

Odwróciła się od okna i podbiegła do odtwarzacza, by wyłączyć muzykę. Zapadła cisza. Wydawało jej się, że słyszy, jak Conlan uderza palcami o klawiaturę, ale w rzeczywistości siedział za daleko, żeby jakkolwiek dźwięk mógł do niej dotrzeć.

Znowu zaczęła myśleć o swojej matce, mimo że starała się tego unikać.

– Sądziłem, że dzieciaki w twoim wieku lubią Bossa – usłyszała zza pleców głos Conlana.

Odwróciła się powoli.

– Hej! – rzuciła.

W ciągu paru tygodni, jakie upłynęły od ślubu, Lauren starała się trzymać z dala od mężczyzny. Nie było to łatwe, jako że mieszkali w jednym domu. Wyczuwała w nim jakieś wahanie i niechęć do poznania jej bliżej.

Patrzyła teraz na niego i nerwowo pocierała ręce.

– Angie pojechała do miasta. Za jakiś czas wróci.

– Wiem.

No jasne, że przed wyjściem poinformowała męża, gdzie jedzie. Dziewczyna poczuła się jak idiotka, bo lepiej było nic nie mówić.

Conlan podszedł do niej.

– Jesteś podenerwowana w moim towarzystwie.

– To raczej ty w moim.

Uśmiechnął się.

– Przewrażliwienie. Po prostu obawiam się o Angie. Ona jest czasem... krucha emocjonalnie. Pozwala sobie decydować sercem.

– A ty sądzisz, że ja ją zranię.

– Niechący oczywiście.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc zmieniła temat.

– Chcesz zostać ojcem?

– Tak – odparł, ale w jego oczach pojawił się cień smutku, więc zaczęła żałować, że o to zapytała.

Przypatrywali się sobie przez chwilę. Oboje znali smak rozczarowania, co zbliżało ich do siebie.

– Wiesz, że jestem inna niż tamta dziewczyna.

– Wiem. – Cofnął się, jakby chciał zwiększyć dystans pomiędzy nimi, po czym usiadł na sofie.

Podeszła do stolika kawowego i usiadła na nim.

– Jakim będziesz ojcem?

Pytanie zupełnie zaskoczyło Conlana. Wzdrygnął się, spojrzął na swoje ręce. Sporo czasu minęło, zanim zebrał odpowiednie słowa.

– Postaram się niczego nie przegapić: ani meczu, ani przedstawienia, ani wizyty u lekarza – powiedział łagodnym głosem i spojrzął na dziewczynę. – Będę zabierał ją, lub jego, do parku, kina i na plażę.

Lauren odczuła nagle ogromną tęsknotę. W tej chwili dopiero zdała sobie sprawę, po co w ogóle zadała to pytanie – chciała wiedzieć, co ojciec może robić ze swoim dzieckiem.

W oczach Conlana dostrzegła teraz smutek i zrozumienie.

Poczuła się, jakby była przezroczysta. I bezbronna. Wstała.

– Chyba już pójdę. Zaczęłam czytać nową książkę Stephena Kinga.

– A może poszlibyśmy do kina? – zaproponował delikatnie. – W centrum grają *Mieć i nie mieć*.

– Nigdy o nim nie słyszałam – odpowiedziała cichutko.

Wstał i podszedł do niej.

– Bogart i Bacall? Najwspanialsza aktorska para wszech czasów. Ten film to kryminał. No, nie daj się prosić, chodźmy!

*

Maj obwieścił swoją obecność wzdłuż i wszerz stanu Waszyngton. Z dnia na dzień zrobiło się słonecznie i gorąco. Róże na terenie całego West Endu rozkwitły i rozsiewały upojny zapach. W ciągu jednej nocy rośliny w koszach rozwieszonych wzdłuż Driftwood Way z szarych, patykowatych, niezauważalnych stały się piękne, mieniące kolorami. Fioletowa lobelia, czerwona gardenia, żółte bratki, lawendowe floksy. W powietrzu unosiła się woń świeżych kwiatów, słonej wody i glonów pławiących się w słońcu.

Ludzie wychodzili z domów powoli, mrużyli oczy w oślepiającej jasności dnia niczym krety wypływające z nor. Dzieciaki wrywały się do przekopywania szaf w poszukiwaniu szortów z zeszłego roku, koszulek bez rękawów i polarów. Później matki stały w tych samych pokojach, w których ich pociechy buszowały, i wzięwszy się pod boki, wpatrywały się w sterty porzuconych zimowych ubrań. Do uszu matek z zewnątrz dobiegał dźwięk dzwonekórowerów i śmiech dzieci zmuszonych do chowania się przed deszczem przez tyle miesięcy.

Niedługo po Memorial Day miasteczko zacznie wypełniać się turystami. Będą przyjeżdżać masowo samochodami zwykłymi i turystycznymi, autobusami, ze sprzętem do łowienia ryb i wykresami dotyczącymi przyptyków. Długa i pusta piaszczysta plaża będzie nieubłaganie przyciągała ich ku morzu. Gnani odwiecznym instynktem, nie będą potrafili nazwać tego, co się z nimi dzieje, ale przyjadą na pewno.

Dla tych, co zawsze mieszkali w West Endzie, i tych, co przetrwali tu jakoś kilka

mokrych zim, turyści byli dobrą wiadomością o gorzkim posmaku. Bez wątpienia dzięki pieniądzom przyjezdnych miasto trzymało się jakoś, reperowano drogi, kupowano wyposażenie do szkół i opłacano nauczycieli. Ale jednocześnie z pojawieniem się turystów tworzyły się korki na drogach, był tłok na plaży i kolejki w sklepach spożywczych.

W pierwszą sobotę maja Lauren obudziła się wcześniej i nie mogła już usnąć, ponieważ nie była w stanie ułożyć się wygodnie. Wobec tego włożyła legginsy dla kobiet w ciąży, ze specjalnie szeroką górą, i zwiewną w olbrzymim rozmiarze bluzkę z poszerzonymi rękawami. Kiedy była już ubrana, wyjrzała przez okno.

Lawendowo-różowe niebo stanowiło piękne tło dla czarnych drzew. Postanowiła wyjść na dwór, bo w czterech ścianach poczuła się nagle jak uwięziona. Przeszła na palcach obok sypialni Angie i Conlana. Prześlizgnęła się na dół po cienki koc z angory, który leżał na sofie, i po chwili już była na zewnątrz. Łagodny szum wiatru koił jej nerwy. Uspokoila się i zaczęła miarowo oddychać.

Stała przez dziesięć minut na werandzie, oparta o balustradę, aż rozboleły ją stopy.

Ciąża zaczęła dawać się Lauren we znaki. Oprócz stóp często bolała ją głowa, kłuło serce, a maluch zaczął uprawiać regularną gimnastykę w brzuchu. Najgorsza zaś była szkoła rodzenia, do której chodziła razem z Angie co tydzień. Przerażające obrazki. David poszedł tam z nią raz i błagał, by nie musiał tego robić więcej. Zgodziła się, bo tak naprawdę wołała towarzystwo Angie i chciała też, by była ona obecna przy porodzie. Potrzebowała jej. Zwłaszcza że miała wątpliwości, czy nauka regularnego oddychania uśmierzy ból, kiedy nadejdzie czas.

Ostatniej nocy wrócił sen, w którym jako mała dziewczynka w jasnozielonej sukience trzymała matkę za rękę. Czuła się bezpieczna, gdy mocna dłoń pewnie ujmowała jej małe paluszki. „Chodź – mówiła mama we śnie – nie możemy się spóźnić”.

Gdzie miałyby nie zdążyć, Lauren nie wiedziała. Czasem to był kościół, innym razem szkoła, a jeszcze innym spotkanie z tatą. Jedyne, czego była pewna, to że poszłaby z mamą na koniec świata.

Zeszłej nocy kobietą, która trzymała ją za rękę, była Angie.

Usiadła na werandzie w wielkim, starym, dębowym bujanym fotelu. Kąt, pod jakim znajdowało się oparcie, sprawiał, że było jej wygodnie. Westchnęła zadowolona. Pomyślała, że musi powiedzieć Angie, że to jest doskonałe miejsce do usypiania dziecka wieczorem. W ten sposób będzie ona (zawsze wyobrażała sobie, że urodzi córkę) rosła przy uspokajających dźwiękach morza. Wiedziała, że to bujanie i ten szum sprawi, że życie maleństwa będzie inne niż jej, która musiała wysłuchiwać kłótni sąsiadów i wdychać dym papierosowy.

– Podoba ci się, prawda? – zwróciła się do nienarodzonego dziecka, które odpowiedziało kopnięciem.

Położyła się na oparciu fotela i zamknęła oczy. Łagodny, uspokajający ruch – tego właśnie dzisiaj potrzebowała.

Zanosilo się na trudny dzień. Taki, w którym całe życie skupione jak w soczewce można obejrzeć niczym na taśmie filmowej przewijanej od tyłu. W zeszłym roku o tej porze była ze znajomymi na plaży: chłopcy grali w piłkę i zoşkę, dziewczyny opalały się w skąpych bikini i okularach przeciwsłonecznych. Kiedy zapadł zmierzch, rozpalili ogniska, opiekali hot dogi oraz marshmallow i słuchali muzyki. Czuła się tak bezpiecznie w ramionach Davida tamtej nocy, pewna swojego miejsca w świecie. Jedyne, czego zaczynała się wtedy obawiać, to że nie będą studiowali w tym samym college’u. Minał rok, a ona przemieniła się z młodziutkiej dziewczyny w kobietę. Tak bardzo chciałyby móc cofnąć czas. Kiedy odda dziecko Angie i Conlanowi, będzie mogła...

Nie potrafiła dokończyć tej myśli. Działo się tak coraz częściej, bo wpadała w panikę. Nie

chodziło o adopcję. Lauren była przekonana, że podjęła właściwą decyzję, wątpliwości dotyczyły tego, co będzie potem.

Była inteligentną dziewczyną. Rozmawiała na ten temat z psychologiem i wyznaczonym opiekunem prawnym. Zadawała im każde pytanie, jakie tylko przyszło jej do głowy. Poszła nawet do biblioteki, by poczytać na temat adopcji otwartej. Wydawała się dużo lepsza, przynajmniej z jej punktu widzenia, bo będzie mogła mieć informację o tym, jak dziecko się rozwija. Zdjęcia. Rysunki. Listy. Nawet okazjonalne wizyty wchodziłyby w grę.

Niestety, jedno było wspólne dla każdego typu adopcji. Dzień zawsze kończył się tak samo – biologiczna matka wracała do swojego życia.

Sama.

Ta wizja przyszłości prześladowała Lauren. Znalazła dom u Angie i Conlana i stała się członkiem rodziny DeSariów. Myśl, że to utraci i zostanie sama na świecie, była nie do zniesienia. Prędzej czy później tak się stanie. David pójdzie do college'u, jej matka gdzieś przepadła, a Angie i Conlan przestaną się nią interesować, kiedy w ich życiu pojawi się mały człowieczek. Różne sprawy mają swój naturalny bieg, oczywisty dla każdego. „Do widzenia, biologiczna matko” należy do takich rzeczy.

Westchnęła głęboko i pogłaskała swój duży brzuch. Naprawdę liczyło się szczęście dziecka i Angie. I o tym powinna pamiętać.

Usłyszała, jak otwierają się i zamykają z trzaskiem drzwi osłonowe przeciwko owadom.

– Wcześniej wstałaś – stwierdziła Angie. Podeszła do niej i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Próbowalaś kiedyś spać z arbuzem na brzuchu? Tak to mniej więcej wygląda.

Angie usiadła na huśtawce na ganku. Metalowe łańcuchy zaskrzypiały pod jej ciężarem.

Lauren zorientowała się o sekundę za późno, że Angie dobrze wie, jak to jest.

Ciszę, jaka zapadła, przerywał tylko szum fal. Najprościej byłoby teraz odchylić się na oparcie, rozluźnić i udawać, że nic się nie stało. Tak jak robiła to przez ostatni miesiąc. Wszyscy oni zresztą koncentrowali się na terażniejszości, ponieważ przyszłość niosła ze sobą zbyt dużo obaw. Ale czas zachowywania pozorów się kończył.

– Do wyznaczonej daty porodu zostało tylko parę tygodni – powiedziała, jakby Angie nie wiedziała o tym. – W mądrych książkach piszą, że powinnaś być teraz na etapie zakładania gniazda. Może powinniśmy urządzić z tej okazji przyjęcie dla przyszłej mamy.

– Gniazdko uwite – westchnęła Angie. – Mam już naszykowane mnóstwo różnych dzieciennych rzeczy.

– Boisz się, tak? Pewnie myślisz, że maleństwu może się coś stać tak jak Sophie?

– Och, nie. Sophie urodziła się za wcześnie, to wszystko. Jestem pewna, że twoje dziecko urodzi się silne i zdrowe.

– Chcesz powiedzieć twoje dziecko. Powinniśmy przerobić mój pokój na dziecienny. Widziałam te pudełka nagromadzone w pralni. Jak to się stało, że ich dotychczas nie rozpakowałaś?

– Jest jeszcze czas.

– Mogłabym zacząć to robić...

– Nie. – Angie zorientowała się, jak ostro zabrzmiał jej głos. Chciała nadrobić to uśmiechem. – Nie jestem jeszcze w stanie myśleć o dekorowaniu pokoju. Jest zbyt wcześnie.

Lauren dostrzegła strach w oczach kobiety i nagle coś jej przyszło do głowy.

– Tamta dziewczyna. Czy pomagała ci urządzać pokój dziecienny?

– Sarah – odpowiedziała tak cicho, że jej głos prawie zginął w dźwiękach nadchodzącego lata, szumu fal i ptasiego śpiewu. Para dzwoneczków na werandzie poruszona wiatrem wydała miły dla ucha dźwięk.

Dziewczynie serce się krajało na widok Angie owładniętej strachem. Podeszła i usiadła na huśtawce koło niej.

– Nie jestem Sarah. Nie zranię cię jak ona.

– Wiem o tym, Lauren.

– Więc się nie bój.

Angie się roześmiała.

– Okej. Znajdę lekarstwo na raka i nauczę się chodzić po wodzie. – Spoważniała. – Tu nie chodzi o ciebie. Strach potrafi być głęboko zakorzeniony. Ale ty się tym nie przejmuj. Na razie to jest twój pokój i ciesz się, że w nim mieszkasz.

– Jeden okupujący na raz wystarczy.

– Coś w tym stylu. A teraz zmieniamy temat. Nie masz mi przypadkiem czegoś do powiedzenia?

– Czego?

– A na przykład tego, że dzisiaj kończysz osiemnaście lat. Musiałam dowiedzieć się o tym od Davida.

– Ach, to. – Nie emocjonowała się tym dniem szczególnie, dlatego nie powiedziała im o urodzinach. Była przyzwyczajona, że zawsze mijały bez większego echa.

– Mama zorganizowała przyjęcie.

Lauren drgnęła. Poczula, jakby nagle wypila sporą ilość szampana.

– Na moją cześć?

– Oczywiście, że na twoją. – Angie się roześmiała. – Chociaż, ostrzegam cię, będą na pewno jakieś gry.

– Uwielbiam gry. – Dziewczyna nie posiadała się z radości. Nikt nigdy nie organizował dla niej przyjęcia.

– Proszę. – Angie podsunęła jej małą paczuszkę owiniętą ozdobną folią. – Chciałam ci to dać, kiedy jest jeszcze cicho i spokojnie.

Palce Lauren drżały z niecierpliwości, gdy otwierała prezent. Było to niewielkie pudełko z sygnaturką „Seaside Jewelry”. Gdy je otworzyła, zobaczyła śliczny srebrny naszyjnik z medalionem w kształcie serca. Wewnątrz tego serca po jednej stronie była umieszczona malutka wspólna fotografia jej i Angie, druga czekała pusta.

Na zdjęcie dziecka.

Lauren nie była pewna, dlaczego znowu płacze, ale kiedy obejmowała Angie i szeptała podziękowania, czuła słony smak łez w ustach. Po chwili odsunęła się i otarła oczy. To krępujące płakać z taką łatwością zwłaszcza z powodu prezentu. Podeszła do balustrady i zapatrzyła się w ocean. Miała wrażenie, że w gardle rośnie jej gęsia skórka, która uniemożliwia mówienie.

– Tak się cieszę, że tu jestem – oznajmiła i wychyliła się do przodu, by poczuć powiew wiatru. – Dziecko też będzie szczęśliwe, że może dorastać w takim miejscu. Żałuję...

– Czego żałujesz?

Lauren obróciła się wolno twarzą do Angie.

– Gdybym mieszkała tutaj od urodzenia i miała taką mamę jak ty... nie wiem, ale może nie musiałabym robić zakupów w sklepach dla kobiet w ciąży.

– Każdy popełnia jakieś błędy, skarbie. Dorastanie w kochającej rodzinie nie uchroni cię od nich.

– Nie wiesz, jak to jest – powiedziała Lauren – gdy się jest niekochanym... i potrzebuje się tak wiele od innej osoby.

Angie wstała i podeszła do dziewczyny.

– Jestem pewna, że twoja mama cię kocha. Ma teraz po prostu mętlik w głowie.

– Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że ja tęsknię za nią czasem. Budzę się z płaczem i dochodzi do mnie, że mi się śniła. Sądzisz, że takie sny mijają?

Angie dotknęła delikatnie policzka Lauren.

– Sądzę, że dziewczyna zawsze będzie potrzebować matki. Ale za jakiś czas może przestanie ci to tak bardzo doskwierać. I prawdopodobnie jest, że pewnego dnia ona wróci.

– Oczekiwanie czegoś od mojej mamy to gra na loterii. Kupujesz los co tydzień, masz nadzieję, że może tym razem się uda, ale nic z tego.

– Jestem tutaj – powiedziała Angie – i kocham cię.

Dziewczyna znowu wzruszyła się do łez.

– Też cię kocham. – Objęła ją i przytuliła się mocno. Tak bardzo chciała móc tu zostać.

*

Z każdym mijającym dniem Angie odczuwała coraz większe napięcie, często bolała ją głowa i nie chciało jej się wstawać z łóżka. Był początek czerwca. Jakiś czas temu niechcący obróciła się zbyt energicznie i coś strzyknęło jej w plecach. Conlan namawiał ją, by odwiedziła kręgarza. Przynosił jej, a nawet obiecała, że umówi się na wizytę.

W głębi duszy wiedziała, że źródła dolegliwości były zupełnie inne. Nie powodowały ich kości, lecz serce. Każdy poranek przybliżał ją do dziecka, którego zawsze pragnęła... ale i do momentu, gdy Lauren opuści ich dom.

Prawda, której świadomość zżerała Angie, była taka, że nie da się pogodzić tych dwóch rzeczy.

Conlan zdawał sobie oczywiście z tego sprawę, a propozycję, by odwiedziła kręgarza, traktował pro forma, bo po prostu nie wiedział, co jej poradzić w tej sytuacji. Pewnej nocy, gdy leżeli w łóżku tak blisko siebie jak dwa kawałki puzzli, zadał jej dwa istotne pytania. Odpowiedziała na obydwa, mimo że były dla niej bolesne.

– Lauren niedługo wyjedzie – oznajmił i objął Angie mocno. – Chce wybrać się do Los Angeles wcześniej, żeby znaleźć pracę. Miejsce do spania na lato da się załatwić w żeńskim akademiku.

– Pewnie tak.

– Taka jest kolej rzeczy.

Angie zamknęła oczy, ale nie mogła usnąć. W wyobraźni widziała, jak Lauren pakuje swoje rzeczy, całuje ich na pożegnanie i wyrusza w drogę.

– Wiem, ale nie mogę przestać myśleć o tym, że zostanie sama.

– Sądzę – odezwał się Conlan łagodnie – że lepiej będzie się czuła, gdy wyjedzie.

– Ona nie zdaje sobie sprawy, jak ciężko jej będzie. Próbowałam jej to wytłumaczyć.

– Ma osiemnaście lat. To cud, że w ogóle usłuchała nas w czymkolwiek. – Przytulił ją jeszcze mocniej. – Nie ma sposobu, byś mogła ją przygotować na wszystko, co nastąpi.

– Jest możliwość... – Angie zbierała siły, by dokończyć zdanie. – Że nie będzie w stanie tego zrobić.

– Czy jesteś na to gotowa? Ostatnim razem...

– Z Sarah było inaczej. Myślałam cały czas o dziecku. Lubiłam przesiadywać w pokoju dzieciennym i wyobrażać sobie, jak to będzie. Nazywałam ją Boo, a ona mnie mamusią. Co noc marzyłam, że kołyszę ją do snu, trzymam w ramionach.

– A teraz?

– Teraz we śnie widzę Lauren, jak kończy studia... jej ślub... i wreszcie, gdy macha nam na pożegnanie ręką i płacze.

– Jednak to ty budzisz się zalana łzami.

– Nie wiem, czy mogę zabrać jej dziecko. – Angie dopuściła do głosu swoje najgłębsze obawy. – Nie wiem też, jak mogłabym jej odmówić. Cokolwiek zrobimy, wszyscy wyjdziemy z tego poranieni.

– Jesteś teraz silniejsza. Oboje jesteśmy. – Przechylił się, by ją pocałować.

– Tak sądzisz? Dlaczego w takim razie boję się wyciągnąć tę kołyskę od taty?

Conlan westchnął, a ona przez moment dostrzegła niepokój w niebieskich oczach męża. A może tylko jej się wydawało?

– Łóżeczko z *Pola marzeń* – powiedział, jakby coś sobie przypomniał.

Tata Angie zrobił je własnoręcznie, polerował każdy szczegół. Zwierzył się, że pomysł zaczerpnął z filmu, w którym grał Kevin Costner.

Ojciec miał łzy w oczach, kiedy wręczał jej kołyskę. „To moje dzieło – pochwalił się – dla niej”.

– Chodź do mnie – poprosił Conlan. – Zadbam o nasze samopoczucie, choćby nie wiem, co się stało.

– Tak – odpowiedziała Angie – ale kto zadba o Lauren?

*

Druga niedziela czerwca była deszczowa. Wszystkie modły o słońce zostały zignorowane.

Ale Lauren miała w nosie pogodę. Przejmowała się swoim wyglądem.

Wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Najpierw dobra informacja. Cięża przydała miedzianym włosom dziewczyny, najbardziej charakterystycznemu elementowi jej urody, większego blasku.

Poza tym były same złe wiadomości. Przytyła na twarzy w ostatnich tygodniach; jej zawsze lekko puciołowate policzki stały się naprawdę okrągłe. A o brzuchu już lepiej nie wspominać.

Za nią, na starannie posłanym łóżku, leżała sterta ubrań. Przez ostatnią godzinę próbowała różnych zestawień strojów ciężowych i z każdego była niezadowolona. Wyglądała w nich jak nadmuchana lalka.

Usłyszała pukanie do drzwi i głos Angie:

– Zbieraj się, Lauren. Musimy już wychodzić.

– Zaraz będę na dole.

Dziewczyna westchnęła. Podeszła jeszcze raz do lustra, sprawdziła makijaż po raz czwarty i ledwo powstrzymała się od dodania różu na policzki. Zamiast tego chwyciła torbę, przerzuciła ją przez ramię i wyszła z pokoju.

Na dole czekali na nią Malone'owie. Wyglądali absolutnie wspaniale. Obydwoje. Conlan ubrany w czarny garnitur i stalowoniebieską koszulę przypominał Jamesa Bonda, a Angie w wełnianej sukience w stonowanym kolorze różu pasowała do niego idealnie.

– Na pewno tego chcesz? – zapytała Angie.

– Tak – odpowiedziała Lauren. – Jedźmy.

Dojazd do Fircrest Academy zabrał im połowę tego czasu, co normalnie. Znaleźli miejsce parkingowe i wysiedli.

Przeszli w milczeniu przez kampus. Wszyscy wokół nich śmiali się, rozmawiali i robili zdjęcia.

W audytorium wrzało jak w ulu.

Przed wejściem Lauren się zatrzymała.

Bała się wejść do środka. Będzie ciężko człapać pod obstrzałem tyłu spojrzeń. A potem

trzeba wysiedzieć w otoczeniu wszystkich zgromadzonych tam rodziców i dziadków.

– Dasz radę – odezwał się Conlan i wziął ją pod rękę.

Uspokoilo ją to. Starala się spoglądać ponad tłumem, oglądała dekoracje.

„Klasa z 2004 roku

Odważnie w przyszłość”.

Pomyślała, że pewnie byłaby odpowiedzialna za wykonanie tych dekoracji, gdyby jej życie potoczyło się inaczej.

Sala gimnastyczna pełna była uczniów w szkarłatnych, aksamitnych strojach, z wyszorowanymi buziami i oczami uśmiechającymi się promiennie. Lauren nagle zapragnęła dołączyć do kolegów, śmiać się i droczyć z dziewczynami. Tęsknota była tak silna, że nieomal paraliżowała jej ruchy. Dziś wieczorem będzie wielki bal dla absolwentów, na który czekała tyle lat.

Angie wzięła ją za rękę i poprowadziła do miejsca, gdzie we trójkę usiedli pośród innych uczniów kończących szkołę oraz ich krewnych.

Lauren dostrzegła Davida. Zmieszał się z tłumem w tym samym czasie co ona, ale jej nie widział. Przeżywał ten moment, cieszył się chwilą.

Zirytowało ją to, że on tam sobie stoi, zamiast jej towarzyszyć, i ma całe życie przed sobą, a ona siedzi tutaj, wciśnięta między innych, ciężarna dziewczyna-kobieta, która straciła tak wiele.

Jednak równie szybko jak się rozpałił, jej gniew zgasł i przez resztę dnia odczuwała jedynie tęsknotę.

Szmer przerodził się w hałas, który wciąż narastał. Lauren zacisnęła dłonie i starała się panować nad sobą.

Nie mogła się powstrzymać, by nie rozglądać się za matką, choć wiedziała, że nie ma po co szukać.

Mimo to... miała wciąż maleńką, raniącą serce nadzieję, że matka pewnego dnia wróci, odszuka ją i wtedy znowu się zobaczą.

Angie objęła ją mocno.

Rozległy się dźwięki muzyki.

Lauren wychyliła się do przodu. Poniżej uczniowie w pośpiechu zajmowali swoje miejsca.

Jeden po drugim absolwenci Fircrest Academy wkraczali na podium, odbierali dyplomy od dyrektora szkoły, a gdy kręcili głowami, chwościki ich biretów majtały się na wszystkie strony.

– David Ryerson Haynes – powiedział dyrektor.

Rozległ się gromki aplauz. Koledzy wiwatowali, wykrzykiwali jego imię. Głos Lauren zginął w tym hałasie.

Chłopak wkroczył na podium.

Gdy wrócił na swoje miejsce, dziewczyna odetchnęła na trochę, do momentu kiedy zaczęto wyczytywać absolwentów o nazwiskach rozpoczynających się na literę „R”.

– Dan Ransberg... Michael Elliot Relker... Sarah Jane Rhenquist...

Lauren zamarła w oczekiwaniu.

– Thomas Adams Robards.

Lauren wyprostowała się na krześle i starała się nie kryć rozczarowania. Wiedziała, że nie wywołają jej nazwiska. Co prawda zakończyła naukę w poprzednim semestrze, ale...

Miała nadzieję. Tyle lat ciężko pracowała, to niesprawiedliwe, że jej koledzy siedzieli tam, podczas gdy ona tutaj.

– To tylko ceremonia – wyszeptła Angie. – Też jesteś absolwentką tej szkoły.

Lauren nie mogła się powstrzymać, by nie uzalić się nad sobą.

– Tak bardzo tego pragnęłam – powiedziała z goryczą. – Biret, toga... oklaski. Marzyłam, że przemówię w imieniu klasy. A zamiast tego jestem klasowym błaznem.

Angie spojrzała na nią smutno.

– Też chciałabym, żeby wszystkie moje marzenia się spełniły, ale tak się nie dzieje.

Niektóre z nich przechodzą nam koło nosa. Takie jest życie.

– Wiem, ale...

– Chcesz, by tak nie było, prawda?

Dziewczyna skinęła głową. To była równie dobra odpowiedź jak każda inna. Oparła się o Angie, trzymając ją za rękę, dopóki nie skończyli czytać listy nazwisk.

Ceremonia trwała jeszcze około czterdziestu pięciu minut i było po wszystkim. Poszli we trójkę, próbując się przedostać przez tłum roześmianych i zagadanych uczniów w kierunku wielkiego namiotu ustawionego na wypadek deszczu na boisku szkolnym. Błyskało tyle fleszów od aparatów, jakby przyjechali paparazzi.

Koledzy i koleżanki zaczęli podchodzić i witać się z Lauren.

Starali się nie patrzeć na jej brzuch, a ich oczy mówiły: „biedna dziewczyna”, co z kolei sprawiło, że poczuła się jak idiotka.

– Tam jest – odezwała się Angie.

Lauren wspięła się na palce.

Stał tam z rodzicami. Lauren puściła rękę Angie i zaczęła przeciskać się przez tłum.

Kiedy David ją dostrzegł, na mgnienie oka pobladł i przestał się uśmiechać. Zauważyła to, mimo że jego twarz za chwilę znów była pogodna.

Pragnął ten wieczór spędzić, tak jak to robią wszyscy absolwenci Fircrestu, z kolegami na plaży, przy ognisku, chciał rozmawiać, śmiać się i pić piwo.

Nie w smak mu było towarzyszenie swojej dziewczynie, która zamieniła się w wieloryba, i wysłuchiwanie jej narzekań na temat bólów i dolegliwości.

Zatrzymała się na wprost niego.

Schylił się, by ją pocałować.

Oddała pocałunek, wiedziała, że zrobiła to za mocno, trwało to za długo, więc w końcu się cofnęła.

Pani Haynes spoglądała na nią ze zrozumieniem.

– Lauren, Angie, Conlan, witajcie wszyscy!

Przez kilka minut stali i rozmawiali na niezobowiązujące tematy. Kiedy konwersacja utknęła w martwym punkcie i zapadło kłopotliwe milczenie, David zwrócił się do Lauren:

– Masz ochotę iść potem na plażę?

– Nie. – Z trudem wymówiła to słowo.

Ulga na jego twarzy była widoczna, ale zapytał raz jeszcze:

– Jesteś pewna?

– Jestem. – Nawet nie mogła go winić. Od dawna czekała na ten wieczór. A teraz było jej po prostu przykro.

Porozmawiali jeszcze chwilę i rozeszli się do swoich samochodów. Dopiero gdy dojeżdżali do drogi głównej, Lauren uświadomiła sobie, że nikt nie zrobił jej zdjęcia z Davidem.

Tyle lat razem i nie będą mieli fotografii z okazji ukończenia szkoły.

Kiedy byli już na miejscu, dziewczyna poszła prosto do swojego pokoju. Słyszała, jak Angie i Conlan coś do niej mówili, ale miała taki mętlik w głowie, że nie docierało do niej, czy pytają ją o coś, czy też po prostu rozmawiają ze sobą.

Usiadła na łóżku, wpatrzyła się w jego ramę i zaczęła wspominać.

Kiedy nie mogła dłużej tego znieść, zeszła na dół i wyszła na werandę. Deszcz przestał już padać i na horyzoncie pojawił się skrawek błękitnego nieba.

Stała oparta o poręcz.

Gdzieś tam w dole, na plaży, ktoś rozpałił ognisko. Dym wzbijał się w górę.

Zastanawiała się, kto to mógł być.

Może jacyś dorośli? Ale chyba nie.

Zaczęła rozważać, czy nie pójść tam, by się przekonać, poczuć piasek pod stopami...

– Lauren! – Angie pojawiła się za nią i zarzuciła jej wełniany pled na ramiona. –

Zmarzniesz.

– Tak myślisz?

– Tak.

Odwróciła powoli twarz i dostrzegła przestraszony wzrok Angie.

– Och – westchnęła słabiutko i się rozplakała.

Angie przytuliła ją i pogładziła po włosach. Stały tak objęte całą wiecznością. Kiedy rozdzieliły się, Lauren zauważyła, że Angie też płakała.

– Czy to zaraźliwe? – zapytała i spróbowała się uśmiechnąć.

– Tak tylko... wciąż czasem jesteś małą dziewczynką. Jak rozumiem, David pojedzie sam na wieczorną imprezę na plaży?

– Nie tyle sam, ile beze mnie.

– Mogłaś jechać.

– Czuję, że nie należę już do ich grupy. – Zrobiła dwa kroki i usiadła na huśtawce.

Chciała powiedzieć Angie, że ostatnio ma wrażenie, że nie przynależy nigdzie. Uwielbiała ten dom i tę rodzinę, ale mieszkanie tutaj też się skończy. Gdy tylko pojawi się dziecko.

Co powiedział tamten prawnik?

Dziecko musi mieć jedną matkę.

Angie usiadła koło niej. Zapatrzyły się na zapuszczony trawnik i rozciągającą się dalej piaszczystą plażę.

– Co się stanie potem? – zapytała Lauren. Starła się nie patrzeć na kobietę. – Dokąd pójde? – Wyczuła jakąś tragiczną nutę w swoim głosie, ale czy mógł on inaczej brzmieć?

– Wrócisz tutaj. Do domu. A kiedy będziesz gotowa, wyjedziesz. Kupiliśmy ci z Conem bilet powrotny do Los Angeles. Na Boże Narodzenie przyjedziesz, mam taką nadzieję.

Dom.

To słowo jak strzała wbiło się głęboko w jej serce. Kiedy dziecko się urodzi, wtedy już przecież to nie będzie jej dom.

Przez całe życie Lauren czuła się samotna. Teraz rozumiała to lepiej. Najpierw była z nią matka, która odeszła, ale zastąpiła ją Angie. W ciągu ostatnich paru miesięcy miała poczucie, że jednak gdzieś przynależy.

Dopiero teraz pozna, co to znaczy być naprawdę samotną.

– Nie musimy postępować według utartych schematów – stwierdziła Angie z wyraźną desperacją w głosie. – Możemy stworzyć taką rodzinę, jaką chcemy.

– Psycholog powiedział mi, że nie powinnam tutaj mieszkać po urodzeniu dziecka. Że to będzie zbyt trudne dla nas wszystkich.

– Dla mnie nie będzie za trudne – odparła Angie z namysłem. – Ale ty musisz zdecydować, co będzie najlepsze dla ciebie.

– Tak. Sądzę, że sama będę musiała o siebie zadbać.

– Zawsze będziemy cię wspierać.

Lauren pomyślała o wspólnie ustalonym planie adopcyjnym, listach, zdjęciach, porozumieniu. Wszystko zostało tak ułożone, żeby były stale w kontakcie.

– Tak – powiedziała, chociaż myślała co innego.

31

Conlan, Angie i Lauren siedzieli przy starym lekko zdezelowanym stole i grali w karty. Z głośników płynęła dość głośna muzyka z czasów młodości Angie, co zmuszało ich do przekrzykiwania się nawzajem. Aktualnie Madonna wspominała, jakie to uczucie być dziewczyną.

– Zdaje mi się, że macie kłopoty – oznajmiła Lauren, która wyciągnęła ósemkę karo. – Patrzcie i płaczcie.

Mówiąc to, rzuciła na stół dziesiątkę kier.

Conlan zerknął na Angie.

– Czy mogłabyś ją powstrzymać?

– Nie! – krzyknęła Angie i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Cholera! – zaklął Conlan.

Lauren roześmiała się głośniejsz od dźwięków muzyki. Był to młody, radosny, niewinny śmiech, który chwycił Angie za serce.

Dziewczyna zerwała się i odtńczyła taniec zwycięstwa. Nietypowy, bo powolny i ociężały, ale i tak rozbawił całą trójkę.

– Ojej, chyba powinnam już pójść do łóżka – powiedziała z uśmiechem niewiniątka.

Conlan się roześmiał.

– Tylko spróbuj, dzieciaku. Nie możesz zostawić nas z tymi wszystkimi punktami i po prostu sobie pójść.

Lauren zmierzała już w kierunku schodów, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

Zanim zastanowiła się, kto to może być, pospieszyła otworzyć.

W progu stały: pani DeSaria, Mira i Livvy. Każda z nich dźwigała wielkie tekturowe pudło. Weszły do środka i pomknęły, zajęte rozmową, prosto do kuchni.

Angie nie musiała otwierać tych pudeł, bo i tak wiedziała, co zawierają.

Jedzenie, mrożonki, wszelkie produkty łatwe do przygotowania, które można błyskawicznie odgrzać i podać.

– Nowe mamusie nie mają zbyt wiele czasu, by tracić go na stanie przy kuchni.

Angie zrobiło się nieprzyjemnie. Nie miała zupełnie ochoty iść tam i oglądać, co przyniosły.

– Skończcie z tym – krzyknęła do matki i siostry. – My tu gramy w karty.

– To nie jest muzyka. – Pani DeSaria podeszła do odtwarzacza i go wyłączyła.

Angie się uśmiechnęła. Pewne sprawy pozostają bez zmian. Mama zaczęła wyłączać jej sprzęt grający gdzieś tak pod koniec lat siedemdziesiątych.

– Co powiesz na partyjkę pokera?

– Nie mam zamiaru was ograć – odpowiedziała Maria.

Mira i Livvy zaśmiały się, a ta ostatnia uznała za stosowne poinformować Lauren, że mama oszukuje.

– Nieprawda – obruszyła się pani DeSaria.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Jestem pewna, że grałabyś uczciwie.

– Po prostu mam szczęście w kartach – oznajmiła Maria i przysunęła sobie krzesło, na którym usiadła.

Zanim i Mira dołączyła do grających, Lauren pobiegła do toalety.

– To już chyba piętnasty raz dzisiaj. Zaraz wrócę.

– Znam to uczucie – przyznała się Livvy i pomasaowała po brzuchu.

– Jak ona się czuje? – zapytała Mira, jak tylko dziewczyna wyszła.

– Sądzę, że to już się stanie lada moment – odparła Angie.

Wszyscy spojrzeli po sobie ze smutkiem, myśląc o tym samym: Czy Lauren będzie w stanie oddać dziecko?

– Przyniosłyśmy jedzenie – powiedziała Mira.

– Dzięki.

Nagle drzwi do łazienki otworzyły się z impetem. Lauren wbiegła do pokoju, zatrzymała się i stała tak chwilę blada i przerażona. Po nogach spływała jej woda i na podłodze tworzyła się kałuża.

– Zaczyna się.

*

– Oddychaj, o tak: huuu, huuu, huuu – demonstrowała Angie.

Lauren poderwała się na łóżku i krzyczała:

– Wyjmijcie je ze mnie! – Chwyciła za rękaw Angie. – Nie chcę być więcej w ciąży.

Niech ono przestanie. O Boże, aaa...

Padła na poduszki i dyszała ciężko.

Angie otarła czoło dziewczyny wilgotną, zimną ściereczką.

– Jesteś bardzo dzielna, skarbie. Świetnie się trzymasz.

Skurcze na chwilę ustały. Lauren spojrzała zmęczonymi oczami na Angie. Wyglądała tak młodziutko. Kobieta delikatnie przykładała jej kawałki lodu do ust.

– Nie dam rady – wyszeptowała dziewczyna. – Nie jestem... ach.

Bóle i parcie wróciły.

– Oddychaj, kochanie. Spójrz na mnie, spójrz. Jestem tutaj. Oddychamy razem. – Wzięła ją za rękę.

Lauren padła na poduszki i zaczęła płakać.

– To boli. Podajcie mi narkotyk.

– Coś znajdę. – Angie pocałowała ją w czoło i wybiegła z pokoju.

– Gdzie jest ten cholerny doktor?! – Biegała po korytarzu tam i z powrotem, aż znalazła doktora Mullena. Miał tej nocy dyżur. Stały lekarz, który opiekował się Lauren, był na urlopie. – Dobrze, że pana spotkałam. Dziewczyna ma bóle. Musi dostać jakieś lekarstwo. Obawiam się, że...

– Dobrze, pani Malone. Zaraz do niej zajrzę. – Skinął na pielęgniarkę i poszli do pokoju, gdzie leżała Lauren.

Angie weszła do poczekalni, która była wypełniona po brzegi. Mira z rodziną, Livvy z rodziną, wujek Francis, ciocia Giulia, Conlan i mama – wszyscy zgromadzili się na tej niewielkiej przestrzeni. Po drugiej stronie, przy ścianie, na krześle w kolorze musztardowym siedział David, wyraźnie rozkojarzony i przerażony.

Boże, taki młody!

Gdy Angie weszła, wszyscy ją opadli i zaczęli wypytywać jeden przez drugiego.

Kobieta czekała, aż się uspokoją. Kiedy wreszcie ucichło, odezwała się:

– Sądzę, że to już niedługo.

Potem podeszła do Davida, który w tym czasie zdążył wstać. Był tak blady, że niemal przezroczysty, nawet na tle białej ściany. Błękitne oczy miał pełne łez. Zrobił w jej stronę kilka

niepewnych kroków.

– Co z nią?

Angie chwyciła go za rękę i poczuła, że jest zimna. Spojrzała w jego oczy i zrozumiała, dlaczego Lauren tak bardzo pokochała tego chłopca – miał teraz serce na dłoni. Pewnego dnia stanie się mężczyzną.

– Ma się nieźle, zważywszy na okoliczności. Chciałbyś ją zobaczyć?

– A już po wszystkim?

– Jeszcze nie.

– Nie dam rady – wyszeptał. Zastanawiała się, jak długo ta decyzja będzie go nękać.

Zostawi w nim jakiś ślad, to pewne, ale wiele z obecnych tu osób zapamięta ten dzień. Może wszyscy. – Powiedz jej, że tu jestem. Moja mama też tutaj jedzie.

– Zrobię to.

Stali i patrzyli na siebie przez jakiś czas bez słowa. Angie szukała słów, które byłyby odpowiednie. Podeszedł do niej Conlan i otoczył ją ramieniem. Spojrzała na niego i zapytała:

– Czy jesteś gotowy?

– Tak.

Przeszli przez poczekalnię, Conlan wziął od pielęgniarki fartuch ochronny i włożył go, po czym weszli do sali porodowej.

W tej chwili Lauren wołała Angie po imieniu.

– Jestem już, skarbie, jestem tutaj. – Podeszła do łóżka i wzięła ją za rękę. – Oddychaj, kotku.

– To boli.

Angie czuła, że przeszywa ją ból, którego doświadcza dziewczyna.

– Czy David przyszedł? – zapytała i znowu zaczęła płakać.

– Jest w poczekalni. Czy chcesz go zobaczyć?

– Nie. Ach! – Wygięła się z bólu.

– Tak właśnie. Przyj! – powiedział doktor Mullen. – Dalej, Lauren. Przyj mocno.

Dziewczyna uniosła się, wyprostowała i wrzasnęła.

– To chłopiec – poinformował parę minut później doktor Mullen.

Lauren padła bezwładnie na poduszki.

– To pan jest ojcem, prawda? – lekarz zwrócił się do Conlana. – Chciałby pan przeciąć pępowinę?

Ten nie poruszył się.

– W porządku – odezwała się Lauren. – Zrób to.

Conlan zbliżył się na drewnianych nogach, wziął nożyczki i zrobił to, o co go proszono. Momentalnie pojawiła się położna i wzięła dziecko.

– Dokonałaś tego. – Angie uśmiechnęła się do dziewczyny przez łyży i odgarnęła jej wilgotne włosy z czoła.

– Czy jest zdrowy?

– Jak rydz – odpowiedział doktor.

– Moja bogini – zachwyciła się Angie. – Taka jestem z ciebie dumna.

Lauren spojrzała na nią zmęczonymi oczami.

– Opowiesz mu o mnie, prawda? Że byłam dobrą dziewczyną, która popełniła błąd. I że oddałam go z miłości.

Ta prośba zabolowała Angie tak mocno, że przez moment nie była w stanie odpowiedzieć. Kiedy już to zrobiła, głos miała mocny i pewny.

– Będzie cię znał, Lauren. Nie powiemy sobie po prostu do widzenia.

– Tak. Dobrze. Ale teraz chyba trochę się prześpię. Jestem wykończona. – Przytuliła się do poduszki.

– Chcesz zobaczyć synka?

– Nie. Nie chcę go widzieć – powiedziała twardo.

*

Kiedy Lauren się obudziła, pokój, w którym leżała, tonął w kwiatach. Gdyby nie czuła się tak okropnie, mogłaby się nawet uśmiechnąć. Próbowwała zgadnąć, od kogo dostała bukiety. Fiołki afrykańskie na pewno od Livvy i Sala, od Marii azalii w doniczce. Różowe goździki przyniosła Mira, a lilie i niezapominajki Angie z Conlanem. Dwa tuziny czerwonych róż muszą być od Davida. Ciekawa była, co napisano na bilecikach? Co się mówi młodej matce, która nie może zatrzymać dziecka?

Pukanie do drzwi oderwało ją od tych rozmyślań.

– Proszę!

Drzwi się otworzyły. Na progu stał David z mamą, oboje bladzi i z niepewnym wyrazem twarzy.

Kiedy spojrzała na ukochanego chłopaka, jedyne, o czym mogła myśleć, to to, że jej brzuch jest pusty.

– Widziałeś go?

David przełknął ślinę i skinął głową

– Jest malutki – stwierdził i podszedł do niej.

Czekała, aż ją pocałuje. David cmoknął ją zdawkowo. Spoglądali na siebie w milczeniu, które ciążyło im obojgu.

– Ma twoje włosy – odezwała się pani Haynes, podchodząc do łóżka. Stała obok syna, jakby chciała mu dodać odwagi.

– Proszę... nic nie mów – powiedziała Lauren przez ściśnięte gardło.

Znowu zapadła cisza. Dziewczyna spojrzała na Davida i miała wrażenie, jakby oddalony był od niej setki kilometrów.

Nie damy rady, pomyślała.

Uświadomienie sobie tego podziałało na nią jak zimny prysznic. Myśl, która czaiła się gdzieś głęboko, schowana w ciemnościach, czekała na blask słońca, żeby ją oświetlił, nadał kształt i realne znaczenie.

Byli dziećmiakami i teraz, kiedy urodziła, mogli powrócić do swojego odrębnego życia. Mogą oczywiście próbować się widywać, mimo że będą chodzić do różnych szkół, ale zakończenie możliwe jest tylko jedno. Ich związek nie przetrwa. Pozostanie im wracać do niego we wspomnieniach i określać za poetami: pierwsza miłość.

David już w tej chwili nie bardzo wiedział, co jej powiedzieć. Nawet nie potrafił jej objąć. Była inna, przeszła fundamentalną przemianę i on to wyczuwał.

– Śliczne kwiaty – odezwała się i wyciągnęła do niego rękę. Kiedy jej dotknął, poczuła, że skóra jego dłoni jest zimna.

David skinął głową.

Pani Haynes podeszła do dziewczyny i delikatnie odgarnęła jej włosy z oczu.

– Jesteś bardzo dzielną dziewczyną. Wiem, dlaczego mój syn tak bardzo cię kocha.

Rok temu takie słowa miałyby dla niej ogromną wartość. Teraz patrzyła na panią Anitę i nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Chyba zostawię was samych – stwierdziła pani Haynes i wycofała się z pokoju. Szpilki stuknęły po linoleum, jak wychodziła. Zamknęła drzwi za sobą.

Chłopak pochylił się i pocałował Lauren. Tym razem naprawdę.
– Podpisałem papiery – powiedział, kiedy odsunął się od niej.
Kiwnęła głową.
– Czuję się dziwnie... po prostu przepisałem go na kogoś. Nie mamy innego wyboru,
prawda?
– A co moglibyśmy zrobić?
– Tak... – Odetchnął z ulgą.
Patrzył na niego sprawiło jej ból, więc zamknęła oczy.
– Chciałabym się teraz przespać.
– Dobrze. Pojadę z mamą, żeby kupić rzeczy do szkoły. Potrzebujesz czegoś?
Szkoła. Całkiem o niej zapomniała.
– Nie.
Ucałował ją w policzek, dotknął twarzy.
– Wrócę po obiedzie.
– Dobrze.
– Kocham cię – powiedział.
A Lauren oczy zaszyły łzami.

*

Angie siedziała w pokoju numer 507 na drewnianym bujanym fotelu.
Conlan usiadł na krześle obok niej. Co parę minut spoglądał na zegarek, ale nie mówił ani
słowa.
– Zmieniła zdanie – wyszeptwała wreszcie Angie. Ktoś musiał to powiedzieć.
– Nie wiemy tego – odparł, ale w głębi ducha czuł, że zgadza się z żoną.
Zegar tykał i tykał.
Drzwi otworzyły się nagle. Pielęgniarka ubrana w pomarańczowy strój weszła do pokoju.
W ręku trzymała niemowlaka owiniętego w niebieski koc.
– Państwo Malone?
– To my. – W głosie Conlana pobrzmiwało napięcie.
Kobieta podeszła do Angie i delikatnie włożyła zawiniątko w jej rękę. Po czym opuściła
pokój.
Chłopczyk był śliczny: drobny i różowy, buzię miał maleńką jak piąstka. Parę rzadkich
rudych kosmyków przykleiło mu się do główki. Małe usteczka szukały czegoś, co mogłyby
possać.
Angie poczuła, że spada na łeb i na szyję. Cała miłość, którą próbowała jakoś trzymać na
wodzy, teraz się uzewnętrzniła. Ucałowała mięciutki, aksamitny policzek, wciągnęła słodki
zapach jego skóry.
– Och, Con – wyszeptwała i wbiła w niego wzrok. – Tak bardzo jest podobny do Lauren.
– Nie wiem, co powinienem teraz czuć – odezwał się Conlan po minucie.
Angie wyczuła zakłopotanie w jego głosie, nieokreślony ból spowodowany strachem
przed utratą i chociaż raz to ona była tą silną.
– Hej! – Spojrzała na niego i dotknęła jego dłoni. – Jestem tutaj, przy tobie. I nieważne,
co się stanie, między nami nic się nie zmieni. Damy radę.

Lauren nie widziała syna przez dwadzieścia cztery godziny po porodzie. Nie pozwoliła sobie na to. Kiedy tylko pielęgniarka pojawiała się w pokoju, zanim zdążyła się odezwać, mówiła: „Jestem matką biologiczną, rozmawiajcie w sprawach dziecka z państwem Malone”.

Pod koniec następnego dnia zdążyła już zniechęcić się do miejsca, w którym przebywała. Jedzenie było okropne, widok żaden, w telewizji mało dostępnych kanałów, ale najgorsze ze wszystkiego było to, że musiała słuchać odgłosów z pokoju niemowlęcego. Płacz synka powodował, że sama z trudem powstrzymywała się od łez. Przeglądała wtedy po raz kolejny katalog Uniwersytetu Południowej Kalifornii, ale nie uspokajało jej to wcale.

Noworodek cały czas dawał znać o sobie, zawodząc na wysokich tonach. A ona siedziała z zamkniętymi oczami i zaciskając dłonie, powtarzała: „Ktoś się zaopiekuje Johnnym...”, bo tak właśnie od pewnego momentu zaczęła go nazywać.

Przechodziła przez trudny okres, ale poradziłaby sobie, gdyby nie wizyta Angie zeszłej nocy.

Dziewczyna spała krótko i nerwowo. Dochodziły do niej odgłosy z pobliskiej autostrady, próbowała wtedy wmawiać sobie, że to szum oceanu tuli ją do snu.

– Lauren?

Spodziewała się pielęgniarki z nocnej zmiany, bo sądziła, że to ostatnia kontrola przed wyłączeniem światel. Ale pojawiła się Angie.

Wyglądała okropnie. Miała zmęczone, zapuchnięte i przekrwione oczy, a czynione przez nią wysiłki, by się uśmiechnąć, wypadały nieudolnie. Rozmawiała dość długo z dziewczyną, szczotkowała jej włosy, przynosiła wodę do picia, żeby na koniec powiedzieć, z czym przyszła.

– Musisz go zobaczyć.

Lauren przyjrzała się oczom Angie i pomyślała, że jest w nich to, czego szukała przez całe życie. Miłość.

– Boję się.

Kobieta dotknęła jej delikatnie.

– Wiem, kochanie. Właśnie dlatego powinnaś to zrobić.

Dziewczyna rozmyślała o tym jeszcze długo potem i wiedziała, że Angie ma rację. Musi go choćby przez chwilę potrzymać w ramionach, ucałować w małe policzki, powiedzieć mu, że go kocha. I pożegnać się.

Jednak obawiała się tego, raniła ją sama myśl, że musi go opuścić. A zarazem zastanawiała się, jakie to uczucie, trzymać takie małe ciało.

Prawie dniało, gdy podjęła decyzję. Wychyliła się i zadzwoniła po pielęgniarkę. Kiedy się pojawiła, Lauren powiedziała:

– Przynieś mi, proszę, moje dziecko.

Następne dziesięć minut wydawało się trwać wiecznie.

Kiedy wreszcie pielęgniarka wróciła, dziewczyna zobaczyła swojego małego, różowego synka po raz pierwszy. Miał oczy Davida, a po niej spiczasty podbródek i rude włosy. W drobnej twarzączce dziecka zawierało się całe życie Lauren.

– Czy wiesz, jak go trzymać? – zapytała pielęgniarka.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową. Gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła wydusić

słowa. Kobieta ostrożnie ułożyła niemowlaka w jej rękach.

Lauren nie zauważyła, kiedy pielęgniarka wyszła.

Wpatrywała się w ten cud w swoich ramionach i mimo że był malutki, przesłonił jej cały świat. Serce wzbierało dumą, zapierało jej dech w piersiach.

Ona i on stanowili rodzinę.

Rodzina, pomyślała.

Przez całe życie szukała kogoś bliskiego i teraz był taki ktoś, leżał w nią wtulony. Nigdy nie poznała dziadków, kuzynów, wujków, ciotek, nie wiedziała, czy ma rodzeństwo, ale miała syna.

– Johnny – wyszeptwała i złapała go za piąstkę.

Chwycił jej palec.

Jak mogłaby go opuścić? Na samą myśl o tym zbierało jej się na płacz.

Obiecała...

Ale wtedy jeszcze nie wiedziała, nie pojmowała. Jak mogła zresztą to rozumieć, skoro dopiero teraz zaczęła doświadczać macierzyńskiej miłości?

„Nie jestem Sarah Dekker”, powiedziała Angie ledwie kilka tygodni temu. „Nigdy cię nie zranię”.

Zacisnęła powieki. Jak mogłaby teraz zdradzić tę kobietę?

Angie, która czekała na tę chwilę tak długo i ma wszelkie dane po temu, żeby być najlepszą matką na świecie. Osobę, która pokazała jej, czym może być miłość i życie w rodzinie.

Powoli otworzyła oczy i spojrzała na syna przez łzy.

– Ale ja jestem twoją mamusią – wyszeptwała.

Pewnych decyzji, choćby nie wiadomo jak mądrych i słusznych, nie da się po prostu podjąć.

*

David odwiedził ją tego popołudnia. Wyglądał na wykończonego, uśmiechał się z przymusem.

– Według mamy on przypomina mojego dziadka – odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

– Nadal jesteś pewien, że powinniśmy go oddać? – zapytała Lauren.

– Tak. Dla nas to za wcześnie.

Miał rację. Byli za młodzi na rodziców. I nagle zaczęła myśleć o nich, o tym, że byli ze sobą tak długo i że tak bardzo go kochała. Wspominała, jak bardzo lubił opowiadać o samochodach, i to, jak cały czas coś mówił, gdy oglądali filmy, a kiedy śpiewał, fałszował i zapominał słów piosenek. Ale wyczuwał też jej złe nastroje, zagubienie, strach i potrafił jak nikt inny trzymać za rękę i uspokoić. To była wielka miłość.

– Kocham cię, Davidzie – powiedziała niepodziewanie niskim głosem.

– Ja ciebie też... – Pochylił się i ją przytulił.

Oderwała się od niego pierwsza, ale on nadal trzymał ją mocno za rękę.

– To jest koniec tego, co było między nami – wyszeptwała. W ogóle ledwie wymówiła te słowa. Chciała, żeby się teraz zaśmiał, wziął ją w ramiona i powiedział: „Przenigdy!”.

Ale on tylko się rozplakał.

Poczuła, że ją też oczy szczypią od łez. Chciała cofnąć swoje słowa, wyjaśnić, że nie miała tego na myśli, ale wiedziała, że to, niestety, prawda. Niektóre marzenia wyślizgują się z rąk. Najgorsze w tym wszystkim było, że naprawdę mogło im się udać, mogli się kochać wiecznie, gdyby tylko nie zaszła w ciążę.

Zastanawiała się, jak długo będzie odczuwała ból na myśl o nim. Miała nadzieję, że pewnego dnia ta rana się zablizni i pozostanie po niej małe, ledwie widoczne znamię.

– Jedź na studia i zapomnij o wszystkim.

– Tak mi przykro – powiedział zapłakany. Zaakceptował jej propozycję. I choć wiedziała, że zerwanie z Davidem będzie ją sporo kosztowało, w jakimś stopniu podziałało to na nią kojąco i omal się nie uśmiechnęła. Trzeba dokonać pewnych poświęceń dla miłości.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej małą różową kartkę.

– Proszę, to dla ciebie.

Zmarszczyła czoło. Wzięła kartkę i spojrzała.

– To tytuł własności twojego porsche.

– Chciałbym, żebyś miała ten samochód.

– Och, Davidzie, nie. – Ledwie go widziała przez łzy.

– Mam tylko to.

Zapamięta ten moment na całe życie. Choćby nie wiadomo, co się stało, zawsze będzie wiedziała, że ją kochał. Oddała mu różową kartkę i wyszeptala, wiedząc, że robi to po raz ostatni:

– Pocałuj mnie, Speed Racer.

*

Gdy Angie mijala pokój pielęgniarek, już się domyślała.

– Pani Malone? – zapytała jedna z nich. – Pani Connelly chciała z panią porozmawiać.

Puściła ramię Conlana i pobiegła. Sandałem zahaczyła o linoleum, co spowodowało hałas. Otworzyła drzwi tak gwałtownie, że aż trzasnęły o ścianę.

Łóżko Lauren było puste.

Oparła się o framugę drzwi. W pewnym sensie spodziewała się tego, wiedziała, że ten moment nadejdzie, ale niczego jej to nie ułatwiło.

– Odeszła – powiedziała do Conlana, gdy stanął koło niej.

Stali w wejściu, trzymali się za ręce i patrzyli na porządnie zasłane łóżko. W pokoju unosił się jeszcze zapach kwiatów. Jedyne dowód na to, że Lauren spała tutaj ostatniej nocy.

– Pani Malone?

Odwróciła się, spodziewając się pulchnej twarzy szpitalnego kapelana. To on pierwszy pojawił się w szpitalu u Angie, kiedy zmarła Sophie.

Ale to była pani Connelly, opiekun prawny dziewczyny.

– Wyszła godzinę temu – oznajmiła i spuściła głowę. – Z synem.

Angie liczyła się z takim obrotem spraw, ale jednak przewidywać a zmierzyć się z czymś takim, to istotna różnica. Ból pojawił się nagle i uderzył z całą siłą.

– Rozumiem.

– Zostawiła dwa listy: jeden dla pani, drugi dla Davida.

– Dziękuję – szepnęła Angie i wzięła koperty.

– Przykro mi – powiedziała pani Connelly i opuściła pokój.

Angie patrzyła na czystą, białą kopertę i nagryzmołone na wierzchu nazwisko: Angela Malone. Ręce jej się trzęsły, gdy ją otwierała i zaglądała do środka.

Droga Angie,

nie powinnam go nigdy brać w objęcia (tu jakieś słowa zostały zamazane). Całe życie szukałam rodziny i teraz, kiedy on się pojawił na świecie, nie mogę go opuścić. Jest mi przykro.

Żałuję też bardzo, że brakuje mi siły, aby powiedzieć Ci to osobiście. Nie potrafię. Mogę tylko modlić się, że Ty i Conlan pewnego dnia mi wybaczą.

Wiedz, że gdzieś istnieje młoda mama, która przed snem będzie myślała o Tobie. Będzie

wyobrażała sobie, że jest Twoją córką, i tego pragnęła.

*Z wyrazami miłości,
Lauren*

Angie złożyła list i schowała do koperty, po czym odwróciła się do Conlana i powiedziała:

– Ona jest tam całkiem sama.

– Nie jest sama – odrzekł łagodnie.

Kiedy spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że przewidywał to od dawna.

– Może nie całkiem, ale jednak jest.

Wziął ją w ramiona i pozwolił jej się wypłakać.

*

David był w poczekalni z matką.

Kiedy dostrzegł Angie i Conlana, przywitał się.

– Państwo Malone, dzień dobry!

Jego mama, Anita, uśmiechnęła się i również skinęła im głową.

Nastąpiła pełna zakłopotania cisza. Przyglądali się sobie.

– To śliczny chłopiec – odezwała się pani Haynes, a głos jej lekko zadrżał.

Angie zastanawiała się, jak to jest żegnać się z własnym wnukiem.

– Lauren wyszła ze szpitala – powiedziała na tyle spokojnie, na ile potrafiła. – Zabrała dziecko ze sobą. Nie wiemy... – Nie dała rady skończyć tego zdania.

– Nie wiemy, dokąd poszła – dokończył za nią Conlan.

– O, Boże! – Anita usiadła na krześle i zakryła usta dłonią.

David się zachmurzył.

– O czym pani mówi?

– Lauren opuściła szpital razem z synem – powtórzyła Angie.

– Opuściła, ale... – Głos się chłopakowi załamał.

– Zostawiła to dla ciebie. – Angie wręczyła mu kopertę.

Drżącymi rękami ją otworzył. Wszyscy stali, patrzyli na niego i czekali w milczeniu.

– Ona już nie wróci – oznajmił ze łzami w oczach, gdy skończył czytać.

Angie ledwie się powstrzymała od tego, by nie rozplakać się razem z nim.

– Chyba nie potrafiłaby. – Po raz pierwszy ośmieliła się to powiedzieć. Dobrze, że Conlan stał przy niej. – Uważa pewnie, że wszyscy wolimy nie wiedzieć, gdzie jest.

– Co teraz zrobimy, mamo? – David podszedł do niej i wziął ją za rękę. – Ona jest całkiem sama. To moja wina. Powinienem być z nią zostać.

Stali tak wszyscy, patrzyli na siebie i nikt nie wiedział, co począć.

– Zadzwońcie do nas, jeśli wróci – odezwała się wreszcie Anita.

– Oczywiście – odparł Conlan.

Angie patrzyła, jak matka z synem wychodzą, trzymając się za ręce. Zastanawiała się, co sobie teraz mówią. Jakich słów można użyć w takiej sytuacji?

Na koniec odwróciła się do męża i popatrzyła uważnie na niego.

W jego oczach malowało się całe ich życie: to, co dobre, co złe, i to, co mieści się między tymi dwoma pojęciami. Przez jakiś czas wydawało się, że miłość ich opuściła. Stało się tak dlatego, że nie doceniali tego, co mieli. Teraz już wiedzą, co ile jest warte. Ból, jaki dziś odczuwają, nie zerwie więzi, jaka ich łączy.

– Chodźmy do domu – odezwała się i prawie udało jej się uśmiechnąć.

– Tak – odpowiedział. – Do domu!

*

Lauren wysiadła z autobusu i wkroczyła do swojego starego świata. Mocniej przytrzymała Johnny'ego, który spał spokojnie w nosidełku na piersiach. Nie chciała, żeby się tutaj obudził.

– Nie należysz do tej dzielnicy, John-John. Zapamiętaj to sobie.

Zapadała noc, robiło się coraz ciemniej, co nadawało okolicznym budynkom wygląd bardziej złowieszczy niż nędzny.

Zaczęła się trochę denerwować, a nawet bać. Nie czuła się tu już jak u siebie.

Obejrzała się z tęsknotą na przystanek autobusowy. Gdyby tylko skręciła, poszła kawałek dalej, to tuż za rogiem mogłaby złapać autobus do Miracle Mile Road.

Ale nie miała po co tam jechać. Decyzję podjęła już w szpitalu. Zawiodła zaufanie, jakie pokładali w niej Angie i Conlan. Postąpiła dokładnie odwrotnie, niż obiecywała. Jeżeli darzyli ją jakimś uczuciem, to wszystko przepadło. Trochę się знаła na porzucaniu.

Już nie była częścią tamtego świata, domku nad brzegiem morza, restauracji pachnącej tymiankiem, czosnkiem i duszonymi na małym ogniu pomidorami. Wybrała życie tutaj, nastąpił nieodwołalnie powrót do korzeni.

Wreszcie dotarła do swojego dawnego domu. Nie miała zbyt dobrego nastroju.

Włożyła dużo starań, żeby się stąd wydostać. Ale na co więcej ją było stać? Miała malutkiego synka, któremu mogła zapewnić opiekę najwyżej przez parę miesięcy. Na tyle w najlepszym wypadku wystarczy czek opiekujący na pięć tysięcy dolarów. I tak nie zostanie zbyt długo w tym mieście, które zawsze przypominałoby jej Angie. Gdy tylko poczuje się lepiej, zacznie rozglądać się za nowym miejscem do życia.

Postawiła niewielką walizkę na ziemi i się wyprostowała. Wszystko ją bolało. Advil przestał działać, odczuwała dolegliwości w podbrzuszu, a także kłujący ból pomiędzy nogami. Będzie szła teraz krokiem pijanego marynarza. Westchnęła, podniosła walizkę i poszła wolno zachwaszczoną ścieżką, wymijając czarne worki ze śmieciami i nasiąknięte wodą pudła z tektury.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Dotąd nikt ich nie naprawił. Parę sekund minęło, zanim jej oczy przyzwyczyły się do ciemności. Zapomniała już, jak tutaj ciemno, jak śmierdziało papierosami i beznadzieją. Podeszła do mieszkania 1A i zapukała.

Usłyszała szuranie nogami, stłumione „chwileczkę” i drzwi się otworzyły. W progu stanęła pani Mauk w kwiecistej podomce i puchatych różowych kapciach. Na siwych włosach miała staromodnie zawiązaną chustkę.

– Lauren – powiedziała ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy... mama mnie szukała? – Wyczuła żalną prośbę w swoim głosie, co zaraz ją zawstydziło.

– Nie, ale chyba nie spodziewałaś się, że będzie?

– Nie – odezwała się cichutko, niemalże szeptem.

– Myślałam, że udało ci się stąd wyrwać.

Dziewczyna lekko drgnęła na słowo „wyrwać”, ale starała się nad sobą panować.

– Takim jak my to się chyba nie udaje, pani Mauk.

Kobieta zafrasowała się na te słowa, a zmarszczki na jej twarzy stały się głębsze.

– Kto to jest?

– Mój syn. – Uśmiechnęła się trochę smutno. – Johnny.

Pani Mauk wyciągnęła rękę i pogłaskała dziecko po głowie. Potem westchnęła i oparła się o framugę.

Lauren знаła ten dźwięk. Tak brzmiała porażka. Jej matka wzdychała w ten sam sposób.

- Chciałam się dowiedzieć, czy nie ma pani pokoju do wynajęcia? Mam trochę pieniędzy.
- Wszystkie mieszkania są zajęte.
- Och... – Postanowiła, że już nie będzie płakać ze względu na Johnny'ego. Odwróciła się i chciała odejść.
- Wejdz do środka. Zaczyna padać. Możesz się dziś przespać z Johnnym w pokoju gościnnym.
- Dziękuję – odpowiedziała Lauren, pod którą nogi uginały się ze zmęczenia.

Pani Mauk zaprowadziła ją do pomieszczenia, które było jadalnią i salonem zarazem. Bardzo przypominał on pokój w starym mieszkaniu Lauren. Meble Formica, kosmaty dywan, sofa pokryta obiciem w kwiaty, a po jej bokach dwa niebieskie fotele firmy La-Z-Boy z podnózkami. W małym telewizorze leciał odcinek starego serialu *I Dream of Jeannie*.

Pani Mauk poszła do kuchni.

Lauren usiadła na sofie i wyjęła niemowlaka z nosidełka. Od razu zaczął płakać. Zmieniła mu pieluszkę i ubrała na nowo, ale nie przestawał kwilić. Słysząc go było w całym mieszkaniu.

- Proszę – szeptała Lauren, delikatnie masując mu plecy i kołysząc. – Przecież nie jesteś głodny.

Trwało to dopóty, dopóki nie wróciła pani Mauk z dwoma filiżankami herbaty.

- Czy dobrze się czujesz? – zapytała, ponieważ dziewczyna płakała.
- Jestem po prostu zmęczona. – Wytarła oczy, spróbowała się uśmiechnąć.

Pani Mauk postawiła herbatę na stole i usiadła.

- Jest taki drobnutki.
- Ma dopiero dwa dni.
- A ty szukasz mamy i miejsca do spania. Oj, Lauren. – Pani Mauk posłała jej jedno z tych spojrzeń pełnych współczucia, których tak nie lubiła.

Wpatrywały się w siebie przez chwilę, nic nie mówiąc. Z telewizora dolatywał śmiech z emitowanego sitcomu.

- Co zamierzasz zrobić?
- Nie wiem. – Popatrzyła na synka. – Miałam go oddać rodzicom adopcyjnym, wszystko było uzgodnione, ale... nie potrafiłam.
- Widzę, jak bardzo go kochasz – powiedziała pani Mauk łagodnie. – A co z ojcem?
- Też go kocham i dlatego tu jestem.
- Całkiem sama.

Lauren podniosła głowę, wargi jej zadrżały, oczy napełniły się łzami. Znowu.

- Przepraszam, to hormony. Ciągłe płaczę.
- Gdzie byłaś?
- Co pani ma na myśli?
- Pamiętam tamtą kobietę, która wtedy po ciebie przyjechała. Wyglądałam przez okno w kuchni i widziałam, jak wsiadałaś do samochodu. I wtedy pomyślałam sobie: Niech ci się wiedzie, Lauren Ribido.
- Angie Malone. Trudno mi o niej mówić.
- Jestem tylko starą kobietą, która przesiaduje cały czas w domu, ogląda seriale sprzed lat i rozmawia z kotami, ale wydaje mi się, że tamtej kobiecie na tobie zależy.
- Popsułam wszystko.
- W jaki sposób? Co zrobiłaś?
- Obiecałam, że oddam jej dziecko, a zamiast to zrobić, zabrałam Johnny'ego i uciekłam ze szpitala w środku nocy. Teraz mnie na pewno nienawidzi.

– W ogóle więc z nią nie rozmawiałaś? Tak po prostu uciekłaś?

– Nie mogłam spojrzeć jej w twarz.

Pani Mauk odchyliła się do tyłu na krześle, przez chwilę przyglądała się dziewczynie spod zmrużonych powiek i wreszcie powiedziała:

– Zamknij oczy.

– Ale...

– Po prostu zrób, o co cię proszę. Chcę, żebyś wyobraziła sobie swoją mamę.

Przed oczami Lauren pojawiła się platynowa blondynka, niegdyś piękna, która zaczęła chudnąć i marnieć. Leżała rozwalona na sofie w postrzępionej dżinsowej minispódnicy i przyciasnej bluzce. W prawej ręce trzymała papierosa i wypuszczała smugę dymu.

– Okej, już sobie wyobraziłam.

– To jest właśnie przykład, co się dzieje z kobietą, która ucieka.

Lauren otworzyła oczy powoli i spojrzała na panią Mauk.

– Widziałam, że starałaś się uciec od takiego życia, jakie miałaś w domu. Nosilaś plecak wypchany książkami, miałaś dwie prace, zdobyłaś stypendium do Fircrestu. Pojawiałaś się z pieniędzmi za czynsz, podczas gdy twoja mama przepijała resztę tego, co miała, w pubie The Tides. Miałam nadzieję, że ci się uda. Czy zdajesz sobie sprawę, jaka to rzadkość w tym domu?

Nadzieja.

Dziewczyna zamknęła oczy i tym razem wyobraziła sobie Angie, jak stoi na werandzie, wpatrzona w morze, z czarnymi włosami rozwiewanymi przez wiatr. Kobieta odwraca się, widzi Lauren i uśmiecha się. „Tutaj jesteś? Wyspałaś się?”

To była migawka z przeszłości, fragment zwyczajnego dnia.

– Masz dokąd pójść? – zapytała pani Mauk.

– Obawiam się, że nie.

– To nie jest sposób, żeby przejść przez życie, uwierz mi, Lauren. Wiem, kiedy droga się kończy i zostaje tylko strach. Ty też to rozumiesz. A to oznacza mieszkanie jak wasze na górze i stertę niezapłaconych rachunków.

– A jeśli mi nie wybaczy?

– Daj spokój, dziewczyno. Jesteś bystra, potrafisz jej wytłumaczyć. Lepiej zastanów się, co zrobisz, kiedy ci wybaczy.

*

– Jesteś reporterem, do diabła. Odszukaj ją.

– Angie, przerabialiśmy to już z tuzin razy. Nie wiem nawet, od czego zacząć. David wypytywał o nią wśród znajomych. Nikt nic nie wie. Facet z dworca autobusowego nie przypomina sobie, by sprzedawał jej bilet. Stare mieszkanie wynajęto powtórnie. Właścicielka odwiesiła słuchawkę, gdy zacząłem o nią pytać. Dyrektor do spraw studenckich na uniwersytecie poinformował mnie, że Lauren zrezygnowała ze stypendium. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie poszła.

Angie włączyła malakser. Furkoczący odgłos mielenia wypełnił kuchnię. Patrzyła na powstającą w środku masę w nadziei, że przyjdzie jej jakiś pomysł do głowy.

W ciągu ostatniej doby przedyskutowali z Conlanem już wszelkie możliwości. Dziewczyna po prostu przepadła. Nie było to takie trudne na tym zaganianym i zatłoczonym świecie.

Angie wyjęła miskę z malaksera i wylała polewę na przygotowane wcześniej jagody.

Siostry poradziły jej, że gotowanie ma funkcje terapeutyczne. Zrobiła już trzy ciasta jagodowe. Jeszcze jedno i zacznie krzyczeć.

Conlan podszedł do niej z tyłu, objął i pocałował w szyję. Angie odsunęła się od niego.

– Nie mogę znieść tego, że ona jest tam sama. I nie mów mi, że nie jest. To jeszcze dziecko. Potrzebuje kogoś, kto by się nią zaopiekował.

– Została matką – powiedział łagodnie. – Wtedy dorośleje się bardzo szybko.

Odwróciła się do Conlana i położyła dłonie na jego piersi. Serce pod jej ręką biło spokojnie i miarowo. Kiedy czuła się w ciągu ostatnich godzin skołowana, zagubiona, niepewna, podchodziła do męża, przytulała się i pozwalala, by był jej oparciem.

Pocałował ją. Z ustami na jej ustach wyszeptał:

– Ona wie, że ją kochasz. Wróci.

Angie wyczuła w jego głosie, jak bardzo pragnie w to uwierzyć.

– Nie. Ona nie wróci. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo myśli, że ja nie wybaczę. Matka nie nauczyła jej pewnych wartości. Nie rozumie siły przebaczenia, a na pewno przebaczyłaby swojej mamie chwilę po tym, gdyby się pojawiła. Nie wie, ile miłość może przetrwać, wie tylko, jak łatwo ją zniszczyć.

– Wiesz, co mnie zadziwia? W ogóle nie wspominasz o dziecku...

– Jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że ona nie będzie w stanie go oddać. – Westchnęła. – Żałuję, że jej tego nie powiedziałam wprost. Może wtedy nie uciekałyby w środku nocy.

– Mówiłaś, co się naprawdę liczy, a ona to usłyszała. Zapewniam cię.

– Nie sądzę, Con.

– Ja to wiem. Kiedy urodziła dziecko, powiedziałaś jej, że ją kochasz i jaka jesteś z niej dumna. Pewnego dnia przestanie się nienawidzić i wróci. Może matka nie nauczyła jej, czym jest miłość, ale ty to zrobiłaś. I prędzej czy później to do niej dotrze.

Conlan zawsze potrafił znaleźć właściwe słowa, dokładnie te, których potrzebowała.

– Czy mówiłam ci, jak bardzo cię kocham, Conlanie Malone?

– Mówiłaś. – Spojrzał na piekarnik. – Jak długo powinno się piec to ciasto?

– Około pięćdziesięciu minut. – Uśmiechnęła się.

– To mamy bardzo dużo czasu, żebyś pokazała mi, jak mnie kochasz, może nawet niejeden raz?

*

Angie ucałowała śpiącego męża i wysunęła się ostrożnie z łóżka, żeby mu nie przeszkadzać. Włożyła szary dres i wyszła z pokoju.

Na dole było tak spokojnie. Zapomniała, że tak może być. Cisza. Nastolatka robi zawsze tyle hałasu...

– Gdzie ty się podziewasz? – wyszeptała.

Świat był taki cholernie duży, a Lauren taka młoda. Z tuzin złych zakończeń przemknął Angie przez głowę jak obrazki z horroru.

Poszła w stronę kuchni, by napić się kawy. Była w połowie drogi, kiedy dostrzegła pudełko. Stało przy ścianie w przedpokoju. Conlan musiał je wczoraj przynieść z pralni, jeszcze zanim pojechali do szpitala.

Wczoraj. Ile się może zmienić w tak krótkim czasie.

Wiedziała, że nie powinna do niego zaglądać, ale tak zrobiłaby dawna Angie. I nic dobrego by z tego nie wynikło.

Podeszła do pudełka, uklękła obok i je otworzyła.

Na wierzchu leżała lampa w kształcie Kubusia Puchatka, zawinięta w różowy bawełniany kocyk.

Angie wzięła ją do ręki. Zdziwiająca, ale wcale nie płakała, nie czuła bólu po utraconym dziecku, dla którego tę lampę kupiła. Zamiast tego zaniósła ją do kuchni i ustawiła na stole.

– Tutaj – rzekła. – Czeka na ciebie, Lauren. Przyjdź po nią.

Odpowiedziała jej cisza. Tu i tam rozlegało się skrzypnięcie, jak to w starym domu, a w oddali słychać było szum i pomruki oceanu. Jednak gdy liczba mieszkańców spadła z trzech do dwóch, wewnątrz było naprawdę cicho.

Wyszła na ganek, by popatrzeć na wodę. Tak bardzo nastawiona była na kontemplację natury, że dopiero po chwili zobaczyła dziewczynę stojącą pomiędzy drzewami.

Angie pobiegła w jej kierunku i omalże nie wywróciła się dwa razy.

To była Lauren, poważna, z zapuchniętymi, czerwonymi oczami. Próbowwała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło.

Angie chciała wziąć Lauren w ramiona, ale coś ją powstrzymało. Było coś strasznego we wzroku dziewczyny, usta jej drżały.

– Tak bardzo się o ciebie martwiliśmy – odezwała się Angie i podeszła krok bliżej.

Lauren przyglądała się synkowi w swoich ramionach.

– Wiem, że ci go obiecałam. Tylko że... – Popatrzyła na nią oczami pełnymi łez.

– Och, Lauren. – Wreszcie Angie udało się zmniejszyć dystans pomiędzy nimi i delikatnie dotknęła jej mokrego policzka, na co wcześniej często sobie pozwalała. – Powinnam ci więcej powiedzieć o dniu narodzin, ale... to było dla mnie trudne, bo Sophie tak krótko żyła. Wystarczyło, że trzymałam ją kilka minut w ramionach i przepadłam. Wiedziałam, że kiedy spojrzysz w oczy swojego synka, będziesz stracona, tak jak ja byłam. To dlatego nie chciałam urządzać pokoju dziecinnego. Przeczynałam, że tak zrobisz, kochanie.

– Wiedziałas, że go zatrzymam?

– Byłam tego prawie pewna.

Twarz dziewczyny skurczyła się odrobinę, usta zadrżały i opadły leciutko w dół.

– I mimo to zostałaś ze mną. Sądziłam...

– Chodziło o ciebie, Lauren. Nie domyślasz się tego? Jesteś członkiem naszej rodziny.

Kochamy cię.

Oczy dziewczyny się rozszerzyły.

– Nawet po tym, jak was skrzywdziłam?

– Miłość przysparza trochę przykrości, ale nie odchodzi tak łatwo.

Lauren wpatrywała się w nią.

– Kiedy byłam mała, śnił mi się wciąż ten sam sen. Każdej nocy. Ubrana byłam w zieloną sukienkę i była ze mną kobieta, która trzymała mnie za rękę. Mówiła do mnie zawsze: „Chodź, Lauren, przecież nie chcemy się spóźnić”. Kiedy się budziłam, płakałam.

– Dlaczego płakałaś?

– Bo tak bardzo różniła się od mojej prawdziwej mamy.

Angie głęboko odetchnęła i westchnęła ciężko. Coś się w niej rozluźniło, jakby pękła jakaś zaporą. Po to się z spotkały w życiu, ona i Lauren. To doskonały moment, żeby... Wzięła dziewczynę za rękę.

– Masz mnie, Lauren – oznajmiła.

– Och, Angie. – Łzy ciekły jej strumieniem po policzkach. – Tak mi przykro.

Kobieta przyciągnęła ją do siebie.

– Nie ma powodu, żeby ci było przykro.

– Dziękuję, Angie – powiedziała już spokojniej i odsunęła się troszkę.

Twarz kobiety rozpromienił łagodny uśmiech.

– Nie, to ja ci dziękuję.

– Za co? Za to, że przysparzam ci wiecznie kłopotów i nie sypiasz przeze mnie po nocach?

– Za to, że dzięki tobie odkrywam uczucie, które jest dostępne matkom. A teraz można powiedzieć, że i babciom. Przez wszystkie te lata marzyłam o małej dziewczynce na karuzeli. Nie wiedziałam, że...

– Czego nie wiedziałas?

– Że moja córka wyrosła już z placu zabaw.

I nagle wszystko dotarło do Lauren. Jasno stanęły przed oczami lata, kiedy stała przy oknie i z rozpaczą marzyła o matce, która kochałaby ją, kładła do łóżka, opowiadała bajki przed snem i całowała na dobranoc.

– Ja też czekałam na ciebie.

Roześmiały się szczęśliwie.

– A kto to przyczepił się do twoich piersi jak pajak?

– John Henry – powiedziała Lauren i wyjęła synka z nosidełka, żeby podać Angie, która wzięła go od dziewczyny i trzymała w ramionach.

– Jest cudowny – szeptała, czując mieszaninę lęku i miłości. Nic lepiej od dziecka nie wypełnia kobiecych ramion. Pocałowała chłopczyka w czółko.

– Co powinnam teraz zrobić? – zapytała spokojnie Lauren.

– To ty mi powiedz, co chciałabyś zrobić.

– Chcę iść do college'u. Może jeśli pójdę od razu do pracy na parę miesięcy, to uzbieram trochę pieniędzy i zacznę od semestru wiosennego. Nie tak to sobie wyobrażałam, ale... sprawy przybrały inny obrót.

– Nawet w ten sposób byłoby ci ciężko – powiedziała Angie łagodnie i pomyślała, że jeszcze ciężiej byłoby jej patrzeć, jak koledzy, zwłaszcza David, wyjeżdżają jesienią do college'u. Straci ich wszystkich. Każdy rozpocznie nowe życie. I przestaną mieć cokolwiek wspólnego z dziewczyną, która została matką. To złamałoby Lauren serce.

– Jestem przyzwyczajona do wysiłku. Jeśli tylko mogłabym odzyskać pracę...

– A czy pomogłoby ci, gdybyś miała gdzie mieszkać?

Dziewczyna nabrała gwałtownie powietrza w płuca i wydała krótki dźwięk, jakby zniecka obmyła ją fala na brzegu.

– Naprawdę?

– No jasne, że tak.

– Nie musiałabym, nie musielibyśmy zostać na długo. Tylko dotąd, aż zarobię na mieszkanie i opiekunkę do dziecka.

– Czy ty jeszcze nie zrozumiałaś, Lauren? Nie potrzebujesz żadnej opiekunki. Należysz do głośnej, kochającej i nieznoszącej sprzeciwu rodziny. Johnny nie będzie pierwszym dzieckiem dorastającym w restauracji i nie ostatnim. – Roześmiała się. – No i jak możesz sobie wyobrazić, znajdę nieco czasu, żeby się nim zająć. Nie co dzień, bo to twój syn, ale bez wątpienia mogę się przydać.

– Zrobiłabyś to?

– Oczywiście. – Angie przyjrzała się dziewczynie z uwagą. Tak młodo w tej chwili wyglądała, a w jej oczach znów malowała się nadzieja. Angie uściśnęła ją mocno. Nie mogła jej wypuścić z ramion. W końcu zmusiła się do tego. – Pojawiłaś się w samą porę. Dzisiaj są urodziny ciotki Giulii i zrobiłam z tej okazji ciasto jagodowe, którego nikt nie będzie jadł, z wyjątkiem ciebie i Conlana. No chodź. Nie chcemy się przecież spóźnić.

Lauren przełknęła ślinę, wargi jej zadrżały i ze łzami wzruszenia powiedziała:

– Kocham cię, Angie.

– Wiem, skarbie. To boli czasem jak diabli, prawda?

Ręka w rękę poszły przez trawę do domu.

Dziewczyna momentalnie pobiegła do radia i je włączyła. Wciąż ustawione było na jej ulubionej stacji. Stara piosenka Aerosmith rozbrzmiała z głośników i sprawiła, że cały dom zatrzęsł się w posadach. Ściszyła ją zaraz, ale niedostatecznie szybko.

– Co to za wrzask, do cholery?! – zagrzmiął z góry Conlan i wparował, potykając się, do salonu.

Lauren zamarła, spojrzała na niego i wybąkała:

– Cześć, Conlan! Ja...

Przemknął jak pocisk i chwycił ją w objęcia. Kręcił się z nią po pokoju, aż obydwójce zaczęli się śmiać.

– W samą porę, dziewczyno!

– Wróciła – oznajmiła Angie i pogłaskała z uśmiechem chłopczyka po nosie. Spojrzała na lampę w kształcie Kubusia Puchatka na stole, która wreszcie oświetlił pokój dziecinny. – Nasza dziewczynka przyjechała do domu.

